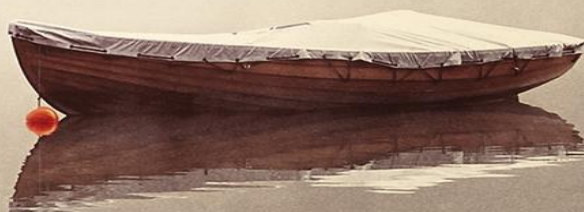


KRYMINAŁ

# DANIEL

ARNE

PUSTKOWIA



**D A H L**  
ARNE

**P U S T K O W I A**

Przełożył  
Maciej Muszański

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2017

Tytuł oryginału: *UTMARKER*

Redakcja językowa: Agnieszka Niegowska

Projekt okładki: © Miroslav Šokčić

Zdjęcie na okładce: © Fotolia

Adaptacja okładki: Izabella Marcinowska

Korekta: Beata Wójcik

Redaktor prowadzący: Małgorzata Głodowska

Copyright © Arne Dahl, 2016

Published by agreement with Salomonsson Agency

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-525-1

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

1

# 1

LIŚCIE OSIKI DRŻĄ. Słyszy to, chociaż biegnie, jak jeszcze nigdy w życiu, przez trawę sięgającą mu do piersi.

Kiedy łąka się rozszerza, szmer jest wyjątkowo intensywny. Przystaje. Nagle dźwięk robi się tak natarczywy, jakby do jego świata chciał przeniknąć ktoś z innej epoki. Chwieje się na nogach, a szmer znów słabnie. Odzyskuje równowagę i orientuje się, że powiewające złote włosy prawie zniknęły mu z oczu w wysokiej trawie. Musi jeszcze bardziej się wyteńczyć, żeby nie stracić gruntu pod nogami.

Jest letni dzień, jeden z tych, które zdarzają się o wiele za rzadko. Lekkie jak piórka chmury delikatnie przecinają błękitne niebo, a każde źdźbło połyskuje innym odcieniem zieleni.

Biegli długo. Najpierw coraz bardziej opustoszałą drogą z przystanku autobusowego, potem przez łąkę, a teraz w oddali zamajaczyła mu połyskująca woda.

Wie, że jeśli ma dojrzeć hangar na łodzie, nie może biec tak szybko. Wie, że hangar jest gdzieś tam, schowany wśród drzew na brzegu. Zielonobrunatny, brzydki, naprawdę fantastyczny.

Złote, falujące włosy zwalniają. Odwracają się, a on wie, że zaraz się zdziwi. Nigdy nie przestał się dziwić i nigdy nie przestanie. Kiedy kanciasty profil powoli ukazuje się jego oczom, słyszy to znowu.

W pobliżu nie ma żadnych osik. Mimo to nie dociera do niego nic poza

*szumem liści. Potem szum przechodzi w szept, a szept przeradza się w pieśń.*

*Ktoś tam jest i czegoś od niego chce.*

*Nagle stają oko w oko.*

*Nadal czuje, że nie może złapać tchu.*

## 2

**Niedziela, dwudziesty piąty października, godz. 10:14**

LIŚCIE OSIKI DRŻAŁY. Pociemniałe niebo zwiastujące deszcz skojarzyło mu się ze średniowieczem, a szmer, głośniejszy niż zwykle, zdawał się przenikać przez drgające listowie. Berger potrząsnął głową, odpędził wszystkie nieproszone wrażenia i zmusił się, żeby opuścić wzrok i nie patrzeć na czubki drzew. Poczuł za plecami drewnianą ścianę. Szorstki dotyk spróchniałego drewna, które gwałtownie odzyskało surowy chłód.

Rzucił okiem na ruiny dwóch pozostałych domków, w miarę widoczne w zapadającym zmierzchu. Przy każdym kucało dwóch kolegów. Wszyscy mieli ociekające wodą kamizelki kuloodporne i pistolety w rękach. Skupiali na nim wzrok. Czekali na sygnał. Odwrócił się i zobaczył szeroko otwarte sarnie oczy. Łzy spływały po twarzy Deer, jakby cała jej głowa była jednym wielkim płaczącym okiem.

Sześciu gliniarzy wśród ruin, w ulewnym deszczu.

Berger wyjrzał zza rogu. Mały domek był niewidoczny. Widzieli go, kiedy przemykali od strony bocznej drogi i rozbiegali się w różne strony. Teraz był pochłonięty przez deszcz.

Wziął głęboki wdech. To było nieuniknione.

Skinął głową w stronę najbliższej ruiny. Dwaj mężczyźni, pochyleni, w szalejącej ulewie przemknęli do środka. Kolejne skinienie w inną stronę i następna dwójka zniknęła w środku czegoś, co wyglądało jak

jaskrawoczerwona maź. On ruszył jako ostatni. Czuł za sobą oddech, który lada chwila mógł się przerodzić w szloch. W zasięgu wzroku nadal nie było żadnego domu.

Jeden po drugim biegnący koledzy chronili się przed deszczem. Cztery przygarbione postaci, które, choć widział tylko ich plecy, emanowały szczególną powagą.

Dom, kawałek po kawałku, wyłaniał się zza zasłony deszczu. Ciemnoczerwony z białymi narożami. Czarne rolety, ani śladu życia. I deszcz, który nie chciał odpuścić.

Teraz był już blisko. Blisko wszystkiego. Może nawet blisko końca.

Wiedział, że nie wolno mu tak myśleć. Teraźniejszość była wszystkim. Tu i teraz. Nigdzie indziej, w żadnym innym czasie.

Zebrali się pod schodami poźółkłej werandy z odpadającą farbą. Dwie rynny wypluwały im na stopy kaskady wody. Teren był podmokły. Spojrzenia wszystkich znów spoczęły na nim. Policzył. Cztery pary plus oddech Deer za plecami. Dał jej znak, żeby przeszła naprzód. Spoglądał w dziesięcioro oczu. Skinął głową. Dwóch mężczyzn skreśliło w stronę schodów. W jasnozielonych oczach niższego błyszczała adrenalina. Wyższy miał w ręku narzędzie do wyważania drzwi.

Berger ich powstrzymał.

– Pułapki – przypomniał szeptem.

Deszcz nagle stał się ich sprzymierzeńcem. Bębnienie kropeł o dachówki zagłuszało ich kroki na schodach. Człowiek z wyważaczem uniósł go, a pozostali równocześnie odbezpieczyli pistolety. Dopiero kiedy drzwi zostały otwarte, przez stukot deszczu przedarł się inny dźwięk. Głuchy trzask łamanego drewna.

Otworzyła się przed nimi wielka czarna przestrzeń.

Zielonooki wszedł do środka z uniesioną bronią. Minęło kilka sekund.



Choć wydawało się, że znacznie więcej.

Berger w stukocie deszczu słyszał własny oddech. Dziwnie powolny. Czas się rozciągał.

Po chwili na pierwszy plan wysunął się jeden dźwięk. Z początku nie wydawał się ludzki. Potem zmienił się w bardziej zdziwiony niż udręczony. Najdelikatniejszy odgłos strachu przed śmiercią.

Zielonooki antyterrorysta wyłonił się z mroku. Był blady jak kreda. Upuścił służbowy pistolet na werandę. Dopiero kiedy upadł na bok, dźwięk zamienił się w krzyk. Nadal nie przypominał ludzkiego głosu. Dwóch kolegów odciągnęło go na bok. Na drewnianej posadzce werandy woda mieszała się z krwią. Z przedramion zielonookiego wystawały dwa ostrza.

Berger usłyszał własny jęk, jęk bólu. Nie mógł się temu poddać, ból nie mógł go powstrzymać. Pośpiesznie zajrzał w mrok i cofnął głowę za futrynę. Odwrócił się. Deer przykucnęła pod oknem, z bronią w gotowości i uniesioną latarką. Jej brązowe oczy były przejrzyste jak szkło.

– Pułapki – wyszeptała.

– Znów za późno – odpowiedział głośnie Berger i wszedł do środka.

Mechanizm był zamontowany na ścianie w przedpokoju. Wystrzeliło z niego coś w rodzaju noży. Na ustalonej wysokości i w ustalonym kierunku. Deer poświeciła w lewo, na uchylone drzwi. Prawdopodobnie prowadzące do salonu.

Krzyk na werandzie przybrał na sile i był teraz okrzykiem bólu, a nie tylko czystym, pełnym zdumienia strachem przed śmiercią. Paradoksalnie kryła się w nim nadzieja. To był krzyk człowieka, który sądził, że mimo wszystko przeżyje.

Berger wyjął latarkę, ale zanim ją włączył, wskazał dwóm ludziom, że mają wejść po schodach i skręcić w prawo. Zamachał latarką, żeby ukryć drżenie rąk.

Koledzy weszli na górę. Plamy światła krótko zatańczyły na suficie i znów zrobiło się ciemno. Berger spojrzał na Deer i skinął głową. Razem się odwrócili w kierunku uchylonych drzwi po lewej. Szczelina ziała czernią.

Chwycili lusterka na wysięgnikach i zbadali wewnętrzną stronę framugi. Nic, co mogłoby sugerować pułapkę. Berger pierwszy wszedł w ciemność, Deer zaraz za nim. Ubezpieczali się nawzajem. Słabe światło ukazało pustawy, skąpo umeblowany salon, sterylnie czystą sypialnię i równie wypucowaną kuchnię. Nie było tu czuć żadnego zapachu.

Kuchnia zgasła ostatni promyk nadziei. Była tak czysta.

I tak pusta.

Wrócili na korytarz, a w tym samym czasie dwaj koledzy zeszli po schodach. Ten, który szedł przodem, tylko pokręcił głową.

W przedpokoju zrobiło się jaśniej. Ranny mężczyzna już nie krzyczał, tylko jęczał. Dwa długie, wąskie ostrza bez rękojeści leżały na posadzce. Deszcz zmył z nich krew, podobnie jak z całej werandy.

Wszystko było tak czyste.

Berger uniósł wzrok. Daleko w dole dostrzegł karetkę – podjechała do wielkiej zaniedbanej bramy posesji. Obok stały dwie policyjne furgonetki mrugające niebieskimi światłami i samochody dwóch koncernów medialnych. Przy barierkach zaczęli się gromadzić gapie. Deszcz tylko siąpił.

Spojrzenie Bergera padło na schody werandy – miały ponad dwa metry wysokości. Zrobił długi krok z powrotem do korytarza.

– Tu jest piwnica – stwierdził.

– Jesteś pewien? – odparła Deer. – Nie ma żadnych drzwi.

– Nie ma – zgodził się Berger. – Szukajcie przejścia. W rękawiczkach.

Włożyli jednorazowe rękawiczki, rozproszyli się, podnieśli rolety. Do środka wpadło światło przefiltrowane przez strużki wody. Berger wysunął łóżko, przestawił komodę. Nic. Słyszał hałasy z innych pokoi. Nagle z kuchni

dobiegł stłumiony głos Deer:

– Chodź tutaj.

Wskazywała drewnianą podłogę koło lodówki. Berger zauważył nieco jaśniejszy kwadrat. Był wielkości lodówki.

Wspólnymi siłami próbowali przesunąć ją z powrotem na jaśniejszy kwadrat. Pojawiła się reszta ekipy, już tylko trzech. Wytężyli siły. W końcu lodówka była znów na swoim miejscu.

Obok, pomiędzy lodówką a piekarnikiem, widniał ślad kłapy w podłodze. Brakowało uchwytu.

Berger spojrział na ślad. Wiedział, że kiedy otworzą klapę, wszystko się zmieni. Prawdziwe zejście w mrok dopiero nastąpi.

Musieli podważyć klapę. Czterech mężczyzn próbowało najróżniejszych przyborów kuchennych. W końcu udało się ją obluźnić. Kiedy była uchylona na ponad dziesięć centymetrów, Berger ich zatrzymał. Poświecił po brzegach, a Deer wsunęła lusterko, które dotrzymywało kroku wiązce światła. Żadnej pułapki. Otworzyli klapę. Huk. Obłok kurzu. I cisza.

Przede wszystkim cisza.

Berger zapalił latarkę, spostrzegł schody. Zeskoczył na nie z uniesionym pistoletem i latarką.

Schodek za schodkiem z powrotem pogrążał się w mroku. Światło latarki więcej ukrywało, niż odsłaniało. Miał przed sobą wycinek świata, który składał się tylko z wąskiego piwnicznego korytarza i uchylonych niskich drzwi, za którymi ziała ciemność. Inna, a jednak taka sama.

Od razu zwrócił uwagę na zapach. Nie ten, którego się spodziewał. Bardzo trudny do zidentyfikowania.

Piwnica okazała się większa, niż myślał. Ze wszystkich stron były drzwi. I betonowe ściany, z całą pewnością nowsze niż dom.

Powietrze było nasycone. Nic więcej nie mogłoby się w nim zmieścić. Nie

było okien i żadnych innych źródeł światła oprócz pięciu jasnych kręgów, które wciąż się poruszały.

Zapach stał się intensywniejszy. To była mieszanka. Czuł woń odchodów. Mocz. Może krwi. Ale nie zwłok.

Nie zwłok.

Przyjrzał się kolegom penetrującym maleńkie pomieszczenia. Wyglądali na zmęczonych. On sam był w wewnętrznym pokoju po lewej i świecił po ścianach. Nie było tam nic, kompletnie nic. Próbował wyobrazić sobie plan budynku.

– Pusto – oznajmiła Deer. Jej blada twarz wyjrzała zza drzwi. – Ale ten zapach musi przecież skądś dochodzić.

– Piwnica jest asymetryczna – stwierdził Berger i przyłożył dłoń do ściany. – Jest tu jeszcze jedno pomieszczenie. Tylko gdzie?

Oświetlił ich skupione twarze. Światło latarki pogłębiło bruzdy. Ruszył, a pozostali poszli jego śladem.

– Rozdzielcie się – polecił, kiedy stanął przy drzwiach. – Szukajcie, trzymając się lewej ściany. Interesują nas zmiany kolorów, faktury, jakiegokolwiek.

Wrócił do wewnętrznego pokoju po lewej. Beton miał jednolitą barwę, nic się nie wyróżniało. Uderzył w ścianę – wymierzył jej szybki i silny cios podbródkowy. Rękawiczka pękła.

– Chyba to mamy – głos Deer dobiegł nie wiadomo skąd.

Berger strzepnął dłoń i ruszył przed siebie. Deer kucała w prawym rogu pokoju po prawej, jeden z policjantów oświetlał go drżącym snopem światła.

– Tu widać różnicę, prawda? – zapytała.

Berger przyjrzał się ścianie. Ten sam kolor betonu, może minimalna różnica w odcieniu na powierzchni pięćdziesięciu centymetrów kwadratowych w dolnym rogu. Na schodach rozległy się kroki. Po chwili

przyszedł jeden z kolegów, z wyważaczem w ręku.

Berger go zatrzymał. Poleciał skierować snop światła na fragment o innym odcieniu. Wyjął telefon i zrobił zdjęcie. Potem skinął głową.

W ciasnym i niskim pomieszczeniu trudno było wziąć dobry zamach. Jednak choć policjant zamachnął się najwyżej przeciętnie, czarny walcowaty przyrząd przeszedł na wylot. Berger sprawdził. Płyta gipsowa. Skinął głową. Wyważacz poszedł w ruch jeszcze dwa razy i w ścianie powstał kwadratowy otwór. Wokół był już tylko twardy beton. Do powiększenia otworu potrzebowaliby specjalistycznego sprzętu.

Okno w przepaść.

Lustro, ukazujące tylko czerni. Berger popatrzył na Deer i zrozumiał, że już wiedziała. Była najmniejsza z nich, więc to było jej zadanie. Odwróciła się do niego. Miała w oczach strach.

– Tylko uważaj – powiedział, najłagodniej, jak potrafił.

Deer się wzdrygnęła. Opadła na kolana, pochyliła się i wpełzła do środka, z niespodziewaną łatwością.

Mijał czas. Wszystko trwało dłużej, niż powinno.

Berger poczuł nagły dreszcz przerażenia. Miał wrażenie, że Deer przepadła, że bez żadnych zabezpieczeń wysłał ją prosto do piekła.

Sekundy płynęły dziwnie wolno.

Nagle z otworu dobiegło stęknięcie, stłumiony jęk.

Berger przyjrzał się funkcjonariuszom. Byli bladzi, jeden gorączkowo próbował powstrzymać drżenie lewej dłoni.

Opadł na kolana, wziął głęboki oddech i wpełzł do środka.

Zobaczył Deer, zakrywającą dłońmi usta. Patrzyła na przeciwległy koniec pomieszczenia. Na podłodze i kawałku ściany widać było plamy. Duże plamy. Woń zamieniła się w smród.

Kilka zmieszanych ze sobą paskudnych zapachów.

Kiedy przesadnym nakładem sił wcisnął się do środka, wszystkie wrażenia zmysłowe znów się uaktywniły. Wstał, uniósł latarkę, podszedł bliżej.

Deer stała przy ścianie. Między dwiema podporami ze zmurszałego drewna było coś, co skupiało całą uwagę. Na skraju tej swoistej sceny, na cementowej podłodze widniała duża plama, a przy niej leżało przewrócone wiadro. Na ścianie między podporami była jeszcze większa plama o prawie takim samym, a jednak jakże innym kolorze.

– Kurwa mać – zaklęła Deer.

Berger spojrzał na plamę, rozciągającą się od podłogi po ścianę. Tyle wystarczyło, aby poczuć zapach. Nawet pomimo tego, że podłogę pokrywały fekalia z wiadra.

Krwi było na tyle dużo, że dało się ją wyczuć.

Zdążyła zakrzepnąć. Nie przybyli za późno. Przybyli o wiele za późno.

Przyjrzał się ścianom, każdej po kolei. Poczuł się tak, jakby czegoś od niego żądały. Jakby wydawały krzyk.

Deer szukała u niego wsparcia. Przytulili się, szybko i przelotnie. Wiedząc, że na ewentualny wstyd przyjdzie czas później.

– Musimy zostawić to miejsce w tak nienaruszonym stanie, jak to tylko możliwe – powiedział. – Idź pierwsza.

Jej stopy zniknęły mu z pola widzenia. Zrobił kilka kroków w stronę otworu. Zatrzymał się, patrzył. Wrócił do podpór. Obie miały mniej więcej takie same haki, na trzech poziomach. Opuścił wzrok, popatrzył na podłogę. Za podporą po prawej stronie coś było. Lekko wciśnięty drobny przedmiot. Pochylił się i go wyciągnął. Kółko zębate. Małeńkie kółko zębate. Uważnie mu się przyjrzał.

Potem włożył do równie małego woreczka na dowody, zasunął go i schował do kieszeni.

Wyciągnął telefon komórkowy i sfotografował podpory pod różnymi

kątami. Odwrócił się w stronę kałuży zakrzepłej krwi. Ją też sfotografował. Powiódł wiązką światła latarki po ścianie, której część była zbryzgana. Zrobił kilka zdjęć, także tym fragmentom ściany, na których nie było krwi.

Wszystko potoczyło się tak szybko, że nie zdążyli nawet go zawołać. Wysunął ręce przez otwór i pozwolił się wyciągnąć.

Wspięli się po schodach. Jedno po drugim wychodzili na słońce, od którego zakręciło im się w głowach. Deszcz przestał padać. Berger i Deer stali bardzo blisko siebie na werandzie. Oddychali swobodnie.

Kilku techników kryminalistycznych ze sprzętem laboratoryjnym niecierpliwie przebierało nogami. Ich otyły szef Robin wchodził po schodach. Na szczęście on, a nie inny szef – Allan. Rannego kolegi już nie było, karetka też odjechała. Radiowozy nadal stały i mrugały niebieskimi światłami. Przedstawiciele mediów z kamerami i mikrofonami napierali na barierki. Liczba obserwatorów znacznie się zwiększyła.

Kiedy technicy wchodziłi do piekielnego domu, Berger spojrzał na tłum. Ogarnęło go dziwne uczucie. Zdjął rękawiczkę z lewej dłoni, podniósł telefon i zrobił zdjęcie, a potem jeszcze dwa, ale uczucie już się ulotniło.

Spojrzał na swój stary rolex. Dziwnie się czuł, mając go na nadgarstku, bo w każdą niedzielę zmieniał zegarek. Wskazówki powoli posuwały się naprzód. Czuł, jak mały elegancki czasomierz odlicza nic nieznaczące sekundy. Odwrócił się do Deer. Z początku myślał, że patrzy na jego zegarek, ale potem dostrzegł, że jej spojrzenie sięga niżej, że przygląda się jego dłoniom, a prawa, przynajmniej częściowo, wciąż jest pokryta rękawiczką.

– Krwawisz – powiedziała.

– Nie – zaprzeczył i ściągnął rękawiczkę. Skrzywił się.

Deer przelotnie się uśmiechnęła i spojrzała na jego twarz. Czujnie go obserwowała. Zbyt czujnie.

– O co znów chodzi? – odparł z irytacją.

– „Znów”?

Usłyszał cudzysłów, ale mimo wszystko powtórzył:

– Co?

– Zanim weszliśmy do domu, powiedziałaś, że jest za późno. „Znów”.

– Ach tak?

– Przecież Ellen jest naszym pierwszym przypadkiem.

Uśmiechnął się. Czuł, że się uśmiecha. To było niestosowne na werandzie królestwa śmierci.

– Cieszy mnie, że mówisz w czasie teraźniejszym.

– Ellen żyje – oznajmiła.

Wciąż nie odrywała od niego wzroku.

– „Znów”? – powtórzył z westchnieniem.

– No więc?

– Miałem na myśli bardziej egzystencjalny wymiar – odpowiedział i wzruszył ramionami. – „Za późno” to moje motto.

Deszcz przestał padać.



### 3

**Niedziela, dwudziesty piąty października, godz. 19:23**

– PUŁAPKI?

Komisarz policji Allan Gudmundsson najwyraźniej postanowił zrobić parodię reprimendy. Na widok tego przedstawienia Berger poczuł, że przewraca mu się w żołądku.

– Tak – odparł niewinnie. – Ten cholerny mechanizm zapewne tak właśnie można określić.

– Dobrze wiesz, że nie o to pytałem.

– A o co?

– Dlaczego, do diabła, ostrzegłeś antyterrorystów akurat przed pułapkami?

– Rzeczywiście, bardzo im pomogłem...

– To nie ma nic do rzeczy. Pytam: dlaczego?

– Ten gnój nie zostawił po sobie ani śladu. Jest sprytny, to wszystko. Sprytny i na tyle niebezpieczny, że zastawił pułapki we własnej opuszczonej norze.

– Przecież to był trop, do cholery! – ryknął Allan. – Ten dom to był trop.

Berger zdusił wszystko, co cisnęło mu się na usta. Wyjrzał przez okno. Jesienny deszcz powrócił, zbliżał się wieczór. Większość grupy opuściła już posterunek. Deer została – zobaczył jej oświetloną monitorem twarz przez dwa zalane deszczem okna, między którymi był kąt prosty. Szyby przedzielał fragment ulewy w kształcie wycinka tortu.

– Nie, Sam – krzyknął Allan, a w jego głosie pobrzmiwała niespodziewana wola walki. – Kłamiesz.

Berger nagle pomyślał, że właśnie w tej chwili mógłby zasnąć. Po prostu zamknąć oczy, a skrzeczenie Allana ukołysałoby go do snu.

Najlepiej chyba było dać spokój.

– Kłamię? – odparł, głównie po to, aby ukryć, że jest nieobecny myślami.

– Dopóki to były drobne kłamstwa, przymykałem na nie oko – kontynuował Allan znacznie łagodniejszym tonem. Berger nie miał wątpliwości, że napięcie będzie stopniowo rosło. – Skoro jednak zacząłeś kłamać szefowi prosto w oczy, oznacza to, że wyniosłeś swoją teorię spiskową na zupełnie nowy, niebezpieczny poziom.

– O wiele za wcześnie stałeś się biurokrata.

– Grasz do innej bramki i okłamujesz własnego szefa, żeby to zamaskować. Myślisz, że na dłuższą metę tak się da?

– A co miałem zrobić? – odparł Berger i wzruszył ramionami. – Nie iść tam? Nie ostrzegać moich ludzi przed ewentualnymi pułapkami?

– Chodzi raczej o to, co mógłbyś zrobić w przyszłości.

– Schwycić seryjnego mordercę?

Pieczołowicie budowane napięcie zakończyło się długim wypuszczeniem powietrza, które mocno przekraczało granicę zwykłego wydechu i zdradzało imponującą pojemność płuc jak na tak starego człowieka. Prawdopodobnie w całym życiu Allan nie wypalił ani jednego papierosa.

Wolno i z przesadnym naciskiem powiedział:

– Tu nawet nie ma mordercy, Sam. Jest najwyżej porywacz. Każdego roku w Szwecji odnotowuje się osiemset zaginięć, a większość ludzi znika na własne życzenie. To ponad dwie osoby dziennie. Nie można tak po prostu wybrać sobie kilku zaginionych i twierdzić, że zabił ich seryjny morderca, którego nie dostrzega nikt inny. W tym kraju **nie ma** żadnych zasranych

seryjnych morderców. No chyba że w głowach skorumpowanych prokuratorów i gliniarzy z przerostem ambicji. Ci drudzy są nawet gorsi.

– Nie ma mordercy? – zapytał Berger z naciskiem.

– Nie ma ofiary, Sam.

– Nie było cię w tej piwnicy, Allan. Daję ci słowo, że są ofiary.

– Widziałem zdjęcia. I rozmawiałem z koronerem. Krew była w różnych stadiach skrzepnięcia. Wydawało się, że jest jej znacznie więcej, a tak naprawdę to najwyżej trzydzieści mililitrów. Od tego się nie umiera.

Berger wlepił wzrok w ścianę za plecami Allana. Była pusta. W końcu powiedział:

– Ellen mogła żyć, kiedy ją przenoszono, może żyje nadal. Ale umrze.

Tlen zamarza w temperaturze minus dwustu osiemnastu stopni Celsjusza. Azot i argon, pozostałe składniki powietrza, mają nieco wyższy punkt zamarzania, więc powietrze zamarza, kiedy zamarza tlen.

A zatem w gabinecie komisarza Allana Gudmundssona na komisariacie w Sztokholmie przynajmniej chwilowo musiała panować temperatura minus dwustu osiemnastu stopni, bo między policjantami bez wątpienia znajdował się blok zmrożonego powietrza.

W końcu odezwał się Allan.

– Grupa krwi B Rh minus. Druga najmniej popularna w Szwecji. Ma ją dwa procent mieszkańców. Wśród nich jest Ellen Saviger. Ale nie tylko taką krew znaleźliśmy.

Zmrożone powietrze wciąż się utrzymywało.

Berger nadal milczał.

– Było tam jeszcze sporo A Rh plus, co zdezorientowało techników – ciągnął Allan. – Czy to przypadkiem nie jest twoja grupa krwi, Sam? Znaleziono ją na ścianach poza komórką i na podłodze w środku. Były też fragmenty skóry.

Spojrzenie Allana powędrowało w dół prawego ramienia Bergera. Kant biurka zasłaniał dłonie. Allan pokręcił głową i kontynuował:

– W obu przypadkach czekamy na wyniki badań DNA, ale w praktyce nie są nam potrzebne. W żadnym przypadku.

– Ona ma piętnaście lat – odparł Berger. Starał się nie podnosić głosu. – Ma piętnaście lat i siedziała tam trzy tygodnie. W ciemnej i cuchnącej komórce w piwnicy z wiadrem na gównu, a jedynym jej towarzyszem był sporadycznie pojawiający się szaleniec. Straciła mnóstwo krwi. Czy tylko mnie przychodzi na myśl Diabeł? Diabeł, który na pewno nie jest niewiniątkiem. Atakował już wcześniej. Prawdopodobnie wiele razy.

– To żaden argument, Sam. Argumentem są dowody.

– Dowody nie spadają nikomu z nieba – odparł Berger. – Gromadzi się je, nie ignorując poszlak, idąc tropem niepodpartym dowodami, ufając przeczuciom, wierząc doświadczeniu. Allan, cholera, mamy tu siedzieć i czekać na dowody? Na tym według ciebie polega praca policji?

– Jak to możliwe, że nie znaleźcie planu?

– Słucham?

– Nie wiedziałeś, że w tym domu jest piwnica. Jak to możliwe?

– Dobrze wiesz, że trop pojawił się nagle. Poprosiłem cię o zebranie kilku antyterrorystów. Żeby Ellen nie musiała tam siedzieć ani minuty dłużej, niż było to konieczne.

– A co, jeśli tam wtedy była? – spytał Allan. – Gdybyście mieli plan, moglibyście pobiec prosto do piwnicy. I może byście ją uratowali. A tymczasem, jeśli ona i porywacz byli tam dzisiaj, to raczej doprowadziliście do jej śmierci. Przez waszą powolność i niekompetencję. Przez waszą pieprzoną amatorszczyznę.

Berger spoglądał na Allana. Po raz pierwszy pomyślał, że szef w pewnym sensie ma rację. Nie czuł się z tym dobrze. Jeśli tak rzeczywiście było, to

Allan na pewno się nie mylił: zadziałali jak amatorzy.

– Zaprosił nas tam – wymamrotał w końcu.

– Co ty gadasz? – odparł z westchnieniem Allan.

– Zobacz, jak to wygląda. Nagle, po trzech tygodniach, nowe zeznanie świadka. Punkt na peryferiach Märsta, blisko lasu. U faceta, którego nikt nie znał, widziano dziewczynkę. Musieliśmy szybko zareagować, ale była niedziela i wiele rzeczy nie działało. Na przykład gmina Märsta, mimo moich nacisków, nie zdobyła planu budynku. Na samym początku mieliśmy tam do czynienia z mechanizmem, nazwijmy go pułapką, dużo bardziej subtelnym niż to, co brałeś pod uwagę. Prawda, Allanie?

– Ostrza w przedramionach. Brałem to pod uwagę.

– Dwie sprawy. Po pierwsze: to było przygotowane z myślą o policjantach. Wymierzone tak, żeby ominąć kamizelkę. A po drugie: nie na wysokości głowy. Przygotowane po to, aby zakpić, nie zabić. Twardzi antyterroryści mieli się więc na podłodze w strachu przed śmiercią. Wszystko zostało ustawione niezwykle precyzyjnie. Nasz człowiek jest perfekcjonistą.

– Chyba nie zapytałeś, jak się czuje Ekman.

– Ekman? – zawołał Berger.

– Kolega, któremu ostrza przeszły ręce.

– Jak on się czuje?

– Nie wiem. Mów dalej.

– Ta pułapka jest jak kokarda na jakiejś pieprzonej paczce. Opakowanej wieloma warstwami i różnymi rodzajami papieru. Paczka w paczce. Po uporaniu się ze sznurkiem trzeba się przebić przez pierwszą warstwę – znaleźć ukryte przejście w podłodze. A potem zejść do tego cholernego labiryntu w piwnicy. Jest jeszcze jedna paczka – trzeba się przebić przez ścianę. Dopiero po rozwiązaniu kokardy i otwarciu jednej paczki ukrytej w drugiej może nas wpuścić do swojej świątyni.

– Rozumiem, co masz na myśli – odparł Allan. – Ale łatwo tak powiedzieć po czasie. Wtedy tego nie wiedziałeś. Musiałbyś mieć plan, żeby uderzyć z maksymalną skutecznością.

– Przypuszczałem, że to jest paczka – oznajmił Berger.

– Naturalnie. Obdarzony nadludzkimi mocami gliniarz Sam Berger. Skąd wobec tego taki cholerny pośpiech?

– Istniała mikroskopijna szansa, że alarm nie jest fałszywy. Że naprawdę mogliśmy uratować Ellen i schwytać porywacza.

Komisarz Allan Gudmundsson wstał i oznajmił:

– Konsekwencja w myśleniu nie jest twoją najmocniejszą stroną, Sam, ale tym razem ci daruję. Nie mogę sterować twoimi myślami i przekonaniem. Ale mogę dać ci jasne wytyczne co do kierunku, w którym należy podążać, badając tę sprawę. Kierunek jest następujący: Ellen została porwana przed szkołą w sztokholmskiej dzielnicy Östermalm ponad dwa tygodnie temu. Tyle. Ty i cała twoja okazała ekipa nie ustaliliście nic więcej. Nie wpadliście na żaden sensowny trop.

– Co wyraźnie pokazuje, że robił to nie pierwszy raz.

– Nie ma nawet poszlak, Sam. Tylko czyste strzały, którymi pod żadnym pozorem nie wolno ci się dzielić z grupą. Ten zakaz został dziś wzmocniony. Dzięki waszej tak zwanej interwencji. Jeśli postanowisz zignorować wytyczne i zakazy, zostaniesz zwolniony.

– Uznam wtedy, że żartujesz.

– Bo wyglądam, jakbym żartował, prawda?

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Żaden nie odwrócił wzroku. Klincz. Jeśli Allan żartował, bardzo dobrze to ukrywał. W końcu odwrócił wzrok, westchnął głęboko i pokręcił głową.

– Jaki będzie następny krok? – zapytał.

– Najszybciej, jak się da, prześlę całą sprawę z Deer. Musimy wrócić

do podstaw.

– Nie możesz mówić do dorosłej, równej stopniem koleżanki „kochanie”. To dziwaczne, Sam. Słyszałem już na korytarzach pretensje o seksizm.

– Nazywa się Desiré Rosenkvist – odparł Berger. – Glina nie może się tak nazywać, do cholery. Deer to skrót od Desiré, to się pisze przez dwa e. Deer, jak jeleni albo sarna. Ona ma przecież sarnie oczy.

– No tak, teraz jest o wiele mniej seksistowsko – odparł Allan i wyprosił go z gabinetu.

Idąc ciemnym korytarzem, Berger czuł, że się uśmiecha. Skręcił przed słupem, który oznaczał początek przestrzeni biurowej. Została tam już tylko Deer. Podniosła wzrok i ich spojrzenia się spotkały.

– Ochran? – zapytała.

– I to porządny – potwierdził. – Na przykład mam przestać nazywać cię Deer.

– Mógł też mnie zapytać.

– Oczywiście to w trosce o ciebie.

Śmiech. Słaby. Nic poza tym.

– Posłuchaj – powiedziała po chwili znad komputera i coś kliknęła.

Komputer odezwał się żarliwym kobiecym głosem:

*Jestem pewna, że całkiem niedawno widziałam przez okno tę dziewczynę. Wiecie, którą... Choć nie jestem całkowicie pewna, że to była ona, ale miała na szyi taką... bo ja wiem... różową skórzaną opaskę z greckim przekrzywionym krzyżem. Nie wiem, czy to krzyż prawosławny, ale ona jest przecież naturalną blondynką, więc ni cholery nie może mieć greckich korzeni.*

Deer zatrzymała ten potok słów.

– Co w tym kontekście oznacza „różowa”?

Berger wzruszył ramionami.

– Decydująca. Ta, która sprawiła, że wyruszyliśmy.

– Tak – odparła z namysłem Deer. – Nie był to krzyż grecki, tylko rosyjski, ale prawosławny, mogła to zobaczyć w mediach. Jednak informacji, że opaska była różowa, nie podawaliśmy. Bardziej chodzi mi o... jak by to powiedzieć... o bliskość. Jak blisko kogoś trzeba stać, żeby dostrzec, że kawałek sznurka na jego szyi jest różowy?

– Nigdzie nie stała – odparł Berger. – Bo żadna „ona” nie istnieje.

Deer patrzyła na niego jakiś czas, a potem znowu uruchomiła plik dźwiękowy:

*No tak, no tak, adres. Ostatni dom na skraju lasu, przy ruinach. Nie pamiętam teraz nazwy ulicy, ale człowiek, który tam mieszka, to cholerny odludek. Nigdy się go nie widuje, a kiedy już się to zdarzy, to zawsze ucieka. Równie dobrze mógłby...*

Deer przerwała nagranie.

– Potem oczywiście sobie przypomina, jak się nazywa ulica, i podaje nam pełny adres – powiedziała. – Technicy szacują, że od opróżnienia piwnicy minęły co najmniej dwie doby, pewnie więcej. A więc świadek zeznający dziś rano nie mógł widzieć Ellen przez okno całkiem niedawno. Ta kobieta twierdziła, że mieszka w okolicy. Niejaka Lina Vikström rzeczywiście mieszka pod podanym przez nią sąsiednim adresem. Nie skontaktowaliśmy się z Liną Vikström, bo podróżowała po Azji Południowo-Wschodniej. Podróż z cyklu „odnajdź samego siebie”, bez telefonu komórkowego.

– No proszę – odparł Berger. – To coś nowego.

– Podawanie się za ową niedostępną Linę Vikström świadczy o dogłębnej wiedzy na temat sąsiadów.

– I nie tylko.

– Zasadnicze pytanie jest oczywiście złożone – stwierdziła Deer. – Czy mamy tu do czynienia ze współpracowniczką? Czy głos tego świadka to tak



naprawdę zniekształcony głos porywacza? A może nasz sprawca jest kobietą?

– Technicy od analizy dźwięku się nie odezwali?

– Jeszcze nie. Ale skoro mowa o zniekształcaniu głosu, obecnie jest możliwość przywrócenia pierwotnego.

– Niestety, nie mam większych nadziei – odparł Berger. – Jeżeli technicy odzyskają pierwotny głos, też będzie sfalszowany. W taki czy inny sposób. On zostawia za sobą ślady tylko wtedy, kiedy chce. Jeśli to mu jest do czegoś potrzebne.

– Czyli w sprawę nie jest zamieszana żadna kobieta?

– Tak obstawiam. Pracuje sam.

– Ale robił to już wcześniej? Znów „przybyłeś za późno”?

Berger ugryzł się w język. Skierował światło lampki Deer na najbliższą białą tablicę. Tam widniały wszystkie szczegóły sprawy. Nie było tego dużo. Trzy tygodnie i ani jednego sensownego tropu – w tym wypadku Allan miał rację. Było za to mnóstwo ślepych uliczek.

Tylko dlatego, że nie chciano brać pod uwagę historii.

Berger powiódł wiązką światła po gąszczu samoprzylepnych karteczek, zdjęć, paragonów, dokumentów, rysunków i strzałek. Wszystko wykonane ręcznie, po staremu, bez śladu elektroniki. W końcu matowe światło zatrzymało się na dwóch rysunkach ołówkiem. Berger opuścił lampkę, podszedł i zdjął przytrzymujące je magnesy. Położył je na klawiaturze Deer i razem patrzyli na narysowane twarze. Deer wskazała rysopis po prawej.

– Ten mieliśmy od pierwszego dnia – powiedziała. – Mężczyzna w vanie zauważony przed szkołą na Östermalmie, tuż przed końcem lekcji Ellen Saverger. Dwóch niezależnych od siebie świadków zgodziło się co do tej rekonstrukcji. Oprócz tego mamy nowy wizerunek, sporządzony przez sąsiada z Märsta, jak dotąd jedynego człowieka, który widział „odludka na

skraju lasu”.

– Jakie są twoje wnioski? – spytał Berger.

– Jeżeli to ten sam człowiek, to brak mu jakichkolwiek indywidualnych rysów twarzy. Standardowy wizerunek białego mężczyzny koło czterdziestki. Z drugiej strony, przynajmniej znamy wiek i pochodzenie etniczne. Powiem, że można było się tego spodziewać.

– Więcej?

– Nic więcej – odparła Deer i pokręciła głową.

– Wygląda na nowicjusza?

– Na ten temat nie można nic powiedzieć.

– Ten człowiek, o ile to on, już wcześniej robił takie rzeczy. Wiem, że ty też to widzisz, Deer. Ma to wypisane na twarzy.

– Naprawdę gromadzisz konkretne dowody. Allan takie uwielbia. Powiedz, co takiego zachowałeś dla siebie, kiedy prowadziłeś swoje dochodzenie.

Kiedy to mówiła, znów miała sarnie spojrzenie.

Berger wiedział bardzo dobrze, że w żadnym wypadku nie jest to oznaka słabości, lecz jeden z jej najmocniejszych atutów.

– Allan wyraźnie tego zakazał. Poza tym to nie jest coś, co miałyby inny kierunek niż nasze śledztwo.

– Od kiedy się przejmujesz zakazami Allana?

– Odkąd zagroził, że mnie wyleje.

Wymienili szybkie spojrzenia w ciemności.

Berger skierował światło lampki na nowy policyjny rysunek.

– Erik Johansson? – zapytał, wpatrując się w rysopis. – Najczęściej spotykane nazwisko w Szwecji?

– Tak, takie nazwisko widnieje na umowie najmu domu w Märsta. Agent wynajmujący mieszkania z drugiej ręki nigdy nie spotkał wynajmującego.

Właścicielami są Szwedzi mieszkający w Argentynie.

– Ten agent... jak tłumaczy to, że nigdy nie spotkał lokatora?

– Mieli kontakt mailowy. Twierdzi, że usunął całą korespondencję. To oczywiście może być prawda, sprawca mieszkał w tym domu od ponad dwóch lat, a takie stare maile lubią czasem zniknąć. Choć sądzę, że pośrednik celowo usunął przyszłe dowody. Samir porównał pierwotne ogłoszenie z opłatami. Jest między nimi różnica trzech tysięcy. Prawdopodobnie nasz człowiek dołożył trzy banknoty tysiackoronowe, żeby nie musiał pokazywać twarzy. Biuro pośrednika bez skrupułów zatrzymało sobie nadpłatę, kiedy wysyłało kasę do Argentyny.

– Da się ustalić coś więcej na podstawie adresu mailowego?

– Samir wszystko sprawdził. Prawdopodobnie zbadał sprawę dogłębnie.

Berger przyjrzał się rysopisowi „Erika Johanssona”.

– Jeszcze raz włącz nagranie – polecił.

Deer zrobiła, jak kazał. W skupieniu słuchali energicznego głosu „Liny Vikström”. Kiedy nagranie dobiegło końca, Berger oznajmił:

– Uważam, że najciekawsza w tym wszystkim jest dramaturgia.

– Rozumiem, co masz na myśli.

– O ile to mówi sam Erik Johansson, a jestem całkowicie pewien, że nie ma żadnych współpracowników, w zupełności wystarczyłby zwykły telefon. Nie musiałyby „działać” tak intensywnie.

– O czym to świadczy?

– Nie wiem – odparł Berger i postukał w rysunek. – W każdym razie o niczym dobrym.

– *Drama queen?*

– W najlepszym wypadku. W najgorszym cały czas odgrywa rolę, przeróżne, i robi to dobrze. Jest tak przekonujący jako gadatliwa sąsiadka, *white trash*, że nie mogła to być jego pierwsza aktorska robota.

– Mylisz klasy społeczne – odparła ze śmiechem Deer. – Przecież ona wyjechała na cholerną jogę do Azji Południowo-Wschodniej.

– Czy ja wiem... – odparł Berger. – Lina Vikström mieszka w specjalnie zaprojektowanej willi z trzema mieszkaniami, no i po separacji z mężem ordynatorem wzięła urlop z pracy, a zajmowała kierownicze stanowisko w firmie farmaceutycznej.

– Aha – odparła Deer.

– Aha – potwierdził Berger. – Tu nie chodzi o realizm. Nasz sprawca stworzył sobie własną Linę Vikström i ma kompletnie gdzieś, kim ona tak naprawdę jest. On jest Bogiem. Sam decyduje. Rzeczywistość nie ma tu nic do rzeczy. Przerabia ją tak, żeby mu pasowała.

– W jaki sposób zmienia to nasze wyobrażenie o tym, co się stanie z Ellen Saverger?

– Tylko mówi, że jest gotów przyznać sobie każde prawo.

– Niezbyt przypomina naszych zwyczajowych obleśnych pedofilów...

Berger znieruchomiał i popatrzył na Deer.

– Nie sądzę, żeby był pedofilem – odparł.

Deer umilkła i mu się przyglądała. Mimo ciemności wyczuwał jej przenikliwe spojrzenie.

– Okej – powiedziała w końcu. – Dokładnie w tej chwili twoje tajne śledztwo nabrało innego kierunku niż nasze.

Berger spojrzał jej w oczy.

– Nie prowadzę żadnego tajnego śledztwa – oznajmił.

– Przecież ty nie wierzysz w to śledztwo – wybuchnęła Deer. – Od początku zakładaliśmy, że ten skurwiel, który czeka pod szkołą, żeby porwać dziecko, to pieprzony pedofil.

– Dopóki to założenie nie wiodło nas na manowce, nie miało znaczenia. Nie wiem, czy tak jest nadal.

– Co się zmieniło?

– Jest cholernie pretensjonalny.

Berger cenił Deer za opanowanie i lojalność. Jednak spojrzenie, którym obrzuciła niepogodę za oknem, nie było ani opanowane, ani lojalne.

– Jestem zwykłym gliniarzem – zwróciła się do bogów deszczu. – Skończyłam tylko szkołę policyjną. Przez moich socjaldemokratycznych, optymistycznie patrzących w przyszłość rodziców z klasy robotniczej zostałam przeklęta arystokratycznym imieniem i nazwiskiem Desiré Rosenkvist. Mimo to jestem pierwszą osobą z rodziny, która ma wyższe wykształcenie, i musiałam ciężko harować, żeby zostać inspektorką kryminalną. Czy ty, nadgliniarzu Samie Bergerze, mógłbyś mi wyjaśnić, co oznacza „pretensjonalny”?

Berger spojrzał na jej poprzecinane strugami wody odbicie i odparł:

– A czy ty utrzymujesz potajemnie kontakt z Allanem?

– O czym ty gadasz?

Berger nagle zmienił tor.

– Jest pretensjonalny, udziwniony, sztuczny, nienaturalny, nadmiernie szarżuje. Dostarcza policji prezent w pięknym opakowaniu. Pragnie sławy, chce, żebyśmy go podziwiali. Mogę się zgodzić, że takie zachowanie jest również typowe dla siatki pedofilów, ale wówczas w grę wchodzi hermetyczne kręgi. Oni przekraczają nowe, coraz bardziej diaboliczne granice, pokazują się podobnym sobie, zyskują odzew, sławę i podziw. Ale nigdy nie słyszałem o pedofilu, który chciałby się chwalić publicznie, tym bardziej policji. Poza zamkniętym kręgiem obowiązuje strach.

Deer pomału z powrotem się odwróciła do Bergera. Jej twarz nie była już w strugach deszczu.

– No i jeszcze pozostaje kwestia wieku. Kiedy Ellen zaginęła, miała piętnaście lat i jeden miesiąc. To nie jest seksualne wykorzystanie dziecka,

czyli pedofilia, jeśli między sprawcą a ofiarą nie ma pokrewieństwa. A rodzinę Savingerów sprawdziliśmy. Przynajmniej tyle.

– Możemy to chyba potraktować jako alternatywną hipotezę. Uznać, że być może są inne motywy niż dwa oczywiste: porwanie dla okupu i pedofilia.

– Może i tak – zgodziła się Deer.

Kiedy Berger zbierał szpargały z biurka obok, zadzwonił jej telefon. Nie mówiła wiele, a rozmowa dobiegła końca po dwudziestu sekundach.

– Technicy skończyli już pracę w domu – podsumowała. – Żadnych odcisków palców, żadnego DNA poza dwoma śladami krwi. Obrzydliwie czysto, jak powiedział Robin.

– Wyszorowane do czysta – odparł Berger i dodał: – Nie powinnaś być teraz w domu z rodziną?

– Johnny i Lykke są z babcią w kinie. Dostałam dyspensę. Piwo?

– Brzmi niezwykle kusząco – odparł Berger. – Ale myślałem raczej o kilku zadaniach.

– Oczywiście dla mnie – powiedziała Deer z łagodnym uśmiechem. – Podczas gdy nadgliniarz Sam Berger będzie zajęty kolejną podejrzaną internetową randką.

Berger prychnął. Sam nie wiedział, czy to śmiech.

– Miałem jedną – odpowiedział. – Tylko jedną. Pierwszy, niepewny krok. I rzeczywiście, to było podejrzane.

– Przypomnij mi. Co chciała zrobić madame X?

– Chcesz po prostu, żebym powiedział to na głos.

– Dziwna sprawa, ale za każdym razem jest to coraz śmieszniejsze.

Berger zwalczył uśmiech, pokręcił głową i zamknął plecak, do którego włożył grube teczki. Kiedy spojrzał na Deer, w jego oczach nie było ani śladu uśmiechu.

– Ty byłaś pierwsza w piwnicy. Jak myślisz, ile tam było krwi?

Uśmiech Deer zgasł.

– Bardzo dużo – odparła. – Kiedy tam byliśmy, twierdziłam, że Ellen żyje.  
Nie wiem, czy była to tylko próba pocieszenia ciebie lub nas.

– A gdybyś miała oszacować?

– Nie wiem. Dwa litry?

– Według wstępnych ustaleń koronera nie więcej niż trzydzieści mililitrów. Twoje pierwsze zadanie to praca domowa. Po co ktoś miałby nafaszerować Ellen Saviger środkami przeciwzakrzepowymi?

Deer pokiwała głową. Miała zmarszczone brwi.

– A moje drugie zadanie?

– Możesz je wykonać od razu, na komputerze. W którym szpitalu leży Ekman?

– Ekman?

– Imię też by się przydało.

## 4

### Niedziela, dwudziesty piąty października, godz. 21:54

BERGER POKONAŁ w deszczu całą drogę od szpitala Söder. Dziwnie dobrze mu to zrobiło, jakby podczas tego spaceru zmył z siebie wszystkie brudy. Posępna i ciemna jesienna noc zmagala się z delikatnie oświetloną łagodnością dzielnicy Östermalm, a oczyszczenie nastąpiło gdzieś pomiędzy jednym a drugim, w jakiejś sferze napięcia między nimi. Kiedy był u szczytu Bondegatan i tylko kilka kroków dzieliło go od skrętu w Ploggatan, naprawdę czuł się tak, jakby dostał szansę na zaczęcie wszystkiego od nowa.

Zwykle miał zupełnie inne odczucia, kiedy wchodził do windy i pozwalał jej się zawieźć na czwarte piętro. Zwłaszcza ostatnio. Od ponad dwóch lat. Czy określenie „ostatnio” naprawdę tu pasowało?

Drzwi jak zwykle obwieszczają, że lokatorami są „Lindström & Berger”. To, że ten napis nadal tam tkwił, nie wynikało z apatii. Po prostu czułby się jeszcze bardziej beznadziejnie, otwierając drzwi, na których widnieje tylko nazwisko Berger. A więc tabliczka została, a on przekonywał sam siebie, że to aktywne działanie.

Wkroczył w dolinę cienia śmierci. Stał w przedpokoju, na chodniku, i cały ociekał wodą. Wyraźnie czuł strugi spływające po twarzy, karku, uszach, a potem niżej, co sprawiało ból. Czuł się tak, jakby cały był jednym wielkim płaczącym okiem.

Zanim poszedł do łazienki, mokry ziąb zdążył się porządnie wgryźć



w ciało. Zdjął mokre ubrania i wrzucił je do wanny. Nawet slipy były przemoczone. W końcu stanął nagi przed lustrem i froterował się do sucha.

Przelotnie się uśmiechnął. „Froterował”. Jeszcze jedno słowo, które uruchomiłoby klasowe kompleksy Deer. Tak jakby pochodzili z różnych warstw społecznych.

Potem zobaczył swoje odbicie w lustrze. Uśmiech zniknął. Cisza odbijała się wyjątkowo silnym echem w mieszkaniu, w którym tak często dało się słyszeć poranne i wieczorne kłótnie zmęczonych sąsiadów.

Zgarnął pocztę i plecak z podłogi w przedpokoju, wziął sobie nowe slipy i znów na siebie spojrzął. Czuł, że nie może tego uniknąć. Tym razem, w półmroku przedpokoju, widok był bardziej przyjazny, na tyle, żeby mógł się w nim zagłębić. To był błąd, którego zawsze żałował. Obejmujące całą sylwetkę lustro ukazało potarganą postać o brązowych włosach, ze śladami zarostu i tendencją do siwienia na brodzie i włosach, na szczęście bez pierwszych oznak łysienia. Jeśli nie liczyć wypukłości – początku brzuszka, a raczej brzucha piwnego – to długie, bezwłose, niespełna czterdziestoletnie męskie ciało było względnie nienaruszone. Z jednym wyjątkiem. Wychodził na jaw przy dokładniejszych oględzinach. W lewym przedramieniu znajdowało się wgłębienie. Kiedy przesunął palcami po brzegach szerokiego na pięć centymetrów krateru, miejsce było tak samo pozbawione czucia jak zawsze. Martwy fragment ciała. Niedotykalny. A jednak wydawał się jakby inny. Mokry?

Zbliżył się do lustra, żeby pokonać półmrok. Kiedy był już wystarczająco blisko, zobaczył, że z krateru cieknie krew, niczym rozżarzona do czerwoności lawa po boku wulkanu. Po krótkiej, pełnej przerażenia chwili zorientował się, że krew płynie z palców. Bandaż na prawej dłoni przeciekał. Zerwał go, białymi częściami wytarł uparcie krwawiące kostki i powiódł wzrokiem po lewym ramieniu. Na nadgarstku znajdował się skórzany pasek

i jego rolex oyster perpetual datejust z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku. Z osiemnastokaratowego złota.

Spojrzał na niego, zdjął, bezskutecznie próbował odczytać czas. Po raz drugi tego dnia zapomniał zabezpieczyć go przed wilgocią.

Poszedł do sypialni, postawił plecak przy łóżku, odłożył pocztę na biurko, włączył lampkę i skierował światło na zegarek. Przez chwilę wydawało mu się, że pod szkiełkiem dostrzega krople, ale kiedy wytarł tarczę slipami, zrozumiał, że to złudzenie. Woda była tylko na zewnątrz. Odetchnął.

Na honorowym miejscu na biurku – tuż obok ramki na zdjęcie, odwróconej tak, że widać było tylko jej jasnoniebieską tylną stronę – stało prostokątne drewniane pudełko. Otworzył je. W środku było sześć przegródek wyłożonych aksamitem. W czterech znajdowały się zegarki. Włożył rolex do jednej z wolnych przegródek, pogłaskał wszystkie pięć zegarków i zamknął wieko kłamrą pokrytą złotym chromem. W tym momencie wreszcie wróciło oczyszczające uczucie, że dostał szansę na zaczęcie wszystkiego od nowa.

Właściwie nie miało to racjonalnego uzasadnienia. Wprost przeciwnie – Allan skuteczniej niż kiedykolwiek zamknął tę drogę. Nawet spotkanie z Christofferem Ekmanem w szpitalu Söder nie napawało nadzieją.

Berger włożył slipy, irytująco wilgotne po wytarciu zegarka, i znalazł się z powrotem w ponurej sali szpitalnej. Nie rozpoznałby Ekmana, gdyby nie skrępowane ręce sterczące pod dziwnym kątem. Jego twarz była w zasadzie obca – ot, jeden z wielu kolegów z oddziału antyterrorystycznego – kiedy jednak podszedł bliżej, a Ekman otworzył oczy, rozpoznał tęczę o dziwnym jasnozielonym kolorze. Przywitali się, porozmawiali krótko i uprzejmie, niemal oficjalnie. Tymczasem Berger zauważył, że rany są niżej, niż mu się wydawało na zalanej wodą werandzie – prawie przy zgięciu rąk. Przez kontury kołdry szybko wyliczył wzrost Ekmana i doszedł do wniosku,

że ma nie więcej niż metr siedemdziesiąt pięć.

Pierwszy antyterrorysta, który wchodzi przez wyważone drzwi, z reguły ma uniesioną broń. Żadnej latarki świecącej przez ramię, latarka jest dalej. W chwili kiedy wdzierają się do środka, obie dłonie są na pistolecie, ramiona zgięte pod kątem prostym, z reguły kawałek od ciała i skierowane w bok. Ostrza musiały zatem wylecieć po obu stronach uniesionego pistoletu Ekmana. Tuż nad nim. Rozmawiając z Ekmanem, jakby mechanicznie, jednocześnie myślał o tym, że średni wzrost policjanta z brygady antyterrorystycznej można oszacować na mniej więcej metr osiemdziesiąt pięć, może trochę więcej. Gdyby Ekman tyle mierzył, ostrza z całą pewnością przeleciałyby pod zgiętymi ramionami.

Ta myśl była jak ziarno rzucone w powietrze. Spadło na ziemię, kiedy Berger wyszedł ze szpitala, a zostało nawodnione i odżywione podczas celowo pełnej zakrętów wędrówki po mokrych bocznych uliczkach dzielnicy Söder. Aż wreszcie – przy biurku w sypialni przy Ploggatan – rozkwitło w pełni.

Jaka była pierwsza oznaka możliwej pomyłki, której byłem świadkiem? – zastanawiał się Sam Berger.

Podczas ich spotkania Christoffer Ekman powiedział jedną wartą zapamiętania rzecz. Pod sam koniec, kiedy zdążył już wstać. Ekman spojrzał na niego jasnozielonymi oczyma i wyszeptał:

– To jest czyste zło. Musicie dorwać tego skurwiela.

Klisza. Ale prawdziwa. Jak to nieco zbyt często bywa z kliszami.

Naprawdę musieli go dorwać. Ale jak?

Zaczynając od nowa.

Berger podszedł do łóżka i się położył. Oparł poduszkę o ścianę, nakrył się kołdrą, odwrócił i pochylił, żeby sięgnąć do plecaka. Wyciągnął z niego trzy grube teczki. Odłożył tę z napisem „Ellen Saviger”, a dwie pozostałe

położył sobie na udach. Na tej po lewej widniał napis „Jonna Eriksson”, na tej po prawej – „Julia Almström”.

Zacząć od początku. Spojrzeć świeżym okiem. Znaleźć podobne minimalne błędy. Miejsca, w których wykonanie nie do końca dorównywało ambicjom.

Gdyby do domu jako pierwszy wszedł ktoś jego wzrostu, noże przeleciałyby mu pod ramionami. Ich as o tym nie pomyślał. Berger wyczuł nagle pęknięcie w jego perfekcjonizmie.

W duchu zawsze nazywał ich sprawcę „asem”.

Zacząć od nowa. Odłożył „Jonnę Eriksson” i otworzył „Julię Almström”. Pierwszą.

A potem zasnął.

Kiedy po niewiadomym czasie obudził go huk uderzającej o podłogę „Julii Almström”, nadal był w dziwnym, wirującym uniwersum, w którym bombastyczna fasada szkoły na Östermalmie mieszała się z brzęczącymi, tłustymi łańcuchami i zachodzącymi na siebie kołami zębatymi. W tym uniwersum van czekający przy Kommendörsgatan w niejasny sposób zmienił się w spocony męski tors, nad którym, niczym cherubiny, unosili się dwaj jedenastoletni chłopcy. W jego śnie rysopis – narysowana twarz, co do której zgodziło się dwóch niezależnych świadków – nagle ożył i powoli, równie przerażająco jak podczas ostatnich trzech tygodni, otwierał usta, coraz szerzej i szerzej, aż w końcu były nedorzeczenie wielkie. Akurat w chwili, kiedy w ustach jak zwykle ukazał się rząd zębów zbliżający się do jego bicepsa, rysunek połączył się z nowym, dwie twarze stały się jedną, a rysy były kompletnie wykrzywione, przypominały czaszkę, potem wspólny rząd zębów zaczął się poruszać, gryźć, żuć surowe mięso, aż w końcu twarze się rozpląnęły i zastąpiło je wiadro moczu i kału – bulgoczących, gotujących się, występujących z brzegów. Nagle była już

tylko goła ściana w kolorze betonu z brązową plamą, która w miarę jak rosła, robiła się coraz bardziej czerwona. W końcu jaskrawoczerwona plama pokrywała całą ścianę. Obudził go głuchy dźwięk teczki upadającej na podłogę.

Gówniany sen, zdążył pomyśleć. Otworzył oczy i patrzył w pustkę. Albo, co gorsza, zaglądał w głąb siebie i tam ją znajdował.

Na myśl o cherubinach czuł ten sam niesmak co zwykle. Nie powinno ich tam być. To był sen o pracy, typowe przetworzenie tego, co się działo za dnia. Przez lata miał wiele takich snów i zawsze były podobne. Bliźniaków z całą pewnością nie powinno tam być.

A jednak to nie one zostały mu w głowie. Lampka na biurku i lampka na łóżku były zapalone, jakby zasnął w pół zdania. Przechylił się nad krawędzią łóżka. Zawartość teczki Julii Almström była rozrzucona po podłodze – zdjęcia notatek, samoprzylepnych karteczek, paragonów, wycinków prasowych... Ale nie tego szukał. Chwycił plecak, podniósł i zaczął w nim grzebać. W końcu wyjął bardzo mały foliowy woreczek. Odrzucił plecak na bok i wstał. Kiedy szedł do biurka, materiały ze śledztwa kleiły mu się do stóp.

Na biurku majestatycznie stało samotne pudełko na zegarki. Otworzył pokrytą złotym chromem klamrę, popatrzył na pięć czasomierzy i pogładził pustą przegródkę. Nie potrafił skupić wzroku, wszystko było jeszcze zamglone po niedawnym śnie. Chwycił dwie wyłożone aksamitem ścianki i podciągnął. Cały zestaw zegarków podjechał do góry i ukazała się dolna komora. Było tam kilka foliowych woreczków, każdy opatrzony etykietą. Berger wysunął szufladę z biurka, wyjął z niej arkusz malutkich etykiet, na jednej koślawymi literami zapisał „Ellen Saviger”, oderwał i przykleił na małym woreczku z plecaka. Obejrzał go pod światło i rozpoznał kółko zębate. Miało najwyżej centymetr średnicy. Poprawił kolejność pozostałych

woreczków. Na jednej z etykiet widać było napis „Jonna Eriksson”, na innej „Julia Almström”. Nowy woreczek położył obok nich.

Przez chwilę stał nieruchomo. Instynktowne odczucia, które jeszcze nie były gotowymi myślami, krążyły wokół niego przez jakiś czas, aż w końcu jedno z nich opadło i zapuściło korzenie. Popędził z powrotem do łóżka, wyciągnął rękę po teczkę z napisem „Ellen Savinger” i otworzył. Pochylony, rozłożył zdjęcia policyjnego fotografa z domu w Märsta. Piwniczna komórka, wiadro z rozlaną zawartością, plama krwi, która nie była tak duża, jak ją zapamiętał. Liczne zakamarki. I niewiele ponad to. Stuknął ręką w zdjęcia i pochylił głowę. Znieruchomiał. Prawa dłoń spoczęła na fotografiach z miejsca zbrodni jak zdychający krab; kostki nadal trochę krwawiły. Nagle spłynęło na niego coś innego. Wsunął rękę do plecaka i wyjął telefon komórkowy. Usiadł na skraju łóżka i nieporadnym klikaniem zaczął obsługiwać elektroniczną bestię. W końcu na wyświetlaczu pojawiły się zdjęcia.

Bliźniaki były centrum wszystkiego. Gwiazda Polarna. *The still point of the turning world*. Wszystko wychodziło od nich. Już miał przeniknąć do kręcącego się świata, ale nagle się zatrzymał. Żeby złapać kurs. Marcus i Oscar w zagłębieniu porośniętym podbiałem. Mieli tu około ośmiu lat. Dookoła panował spokój – dziwny spokój w oku cyklonu. Może ich obecność była jego próbą zatrzymania czasu. Powstrzymania ciągłych obrotów.

Ale czas istniał. Istniał chaos. Po drugiej stronie Gwiazdy Polarnej był obracający się świat. Jedyne, co mamy.

Przeszedł do ostatnich zdjęć. Na samym końcu było kilka fotografii, które zrobił na werandzie w Märsta – przedstawiały karetkę, policyjne furgonetki, blokady. Na chwilę znieruchomiał, poczuł, jak marszczy mu się czoło, a potem zaczął przeglądać od końca. Był z powrotem w piwnicy.

Nie pamiętał, żeby robił aż tyle zdjęć. Światło było znacznie gorsze niż na profesjonalnie oświetlonych kadrach policyjnego fotografa. Mówiąc wprost, zdjęcia były fatalne. Przeglądał je w kółko. Kilka razy się zatrzymał przy tych, na których widniała ściana, a plama krwi sięgała coraz niżej. Robił zbliżenia palcami, jak nauczyła go Deer. Wracał do „stałego punktu”. Marcus i Oscar. Paryż. Nie mógł po prostu ich pominąć, bez względu na to, o czym myślał, to było niemożliwe. W końcu mimo wszystko przeciągnął palcem po ekranie i wyświetlił następne zdjęcie – pierwsze z wnętrza domu.

Nic mu nie mówiło. Przedstawiało kawałek ściany oświetlony co najmniej trzema latarkami. W dolnym rogu, na powierzchni pięćdziesięciu centymetrów kwadratowych, beton był odrobinę jaśniejszy. Przeglądał dalej, aż dotarł do zdjęć z celi. Wybrał takie, na którym plama krwi zsunęła się prawie całkowicie poza prawy dolny róg. Znowu skorzystał z funkcji zoom i przybliżył betonową ścianę tak bardzo, jak tylko się dało.

Jak zwykle wzbraniał się przed spoglądaniem na zegarek w komórce. Uważał, że do wskazywania czasu służą zegarki mechaniczne – takie było prawo natury. Wyjął swój rolex z pudełka. Wpół do czwartej – środek godziny wilka. Czuł ulgę, że udało mu się zasnąć bez zwyczajowej wieczornej szklaneczki whisky – mógł prowadzić samochód i jedynym czynnikiem ryzyka było niewyspanie. No, może jeszcze mógłby stracić przyczepność na mokrej nawierzchni.

Wykopał skrzynkę z narzędziami z okropnie zagraconej szafy w przedpokoju, wrzucił kilka narzędzi do plecaka i wyszedł z mieszkania.

Jedną z nielicznych zalet tytułu inspektora kryminalnego był samochód służbowy. Jedną z licznych wad było to, że nie przysługiwało mu miejsce w garażu. Kiedy w nieustępliwym deszczu dotarł do auta zaparkowanego w zaułku Bondegatan, zobaczył, że co najmniej trzy żółte mandaty rozpuściły się i spłynęły z kratki wentylacyjnej pod maskę.

Zawsze dziwnie się jechało przez Sztokholm bez ruchu ulicznego – ostatni raz tak szybko wyjechał na autostradę prowadzącą na północ, kiedy był w mundurze. Pozwolił sobie na szybką jazdę. Przejechał przez Märsta i znalazł się na peryferiach. Rozległe lasy Upplandii były coraz bliżej.

Na wszelki wypadek zatrzymał się na ostatnim parkingu dla mieszkańców – za nim zaczynała się już bardziej wiejska sceneria. Szedł w ulewie, z plecakiem na ramieniu i ani przez chwilę nie myślał o parasolu – policjanci nie mają parasoli, koniec, kropka. Nie spotkawszy po drodze ani żywej duszy, w końcu w słabym świetle latarni dostrzegł trzy ruiny domków na sąsiedniej posesji. Wydawało mu się nawet, że dostrzega porowatość zbutwiałego drewna.

Już przy furtce rozciągnięta była niebiesko-biała taśma. Wziął rozpęd i przeskoczył – poszło zdumiewająco bezboleśnie.

Weranda była ledwo widoczna. Berger znów się tam znalazł – za plecami prących do przodu antyterrorystów, czując za sobą dziwnie pochlipujący oddech Deer. Dom powoli wyłaniał się zza nocnej kurtyny deszczu. Podszedł do najniższego stopnia schodów na werandę i zaczął się przeciskać przez gęstą biało-niebieską pajęczynę. Kiedy wsunął wytrych do zamka, księżyc nagle przebił się przez niewidzialną szczelinę w ciemnym niebie i brudnobiałej werandzie nadał lodowatobłękitną barwę.

To nagłe światło sprawiło, że Berger uskoczył w bok, ale kiedy otworzył drzwi i przycupnął obok, uderzyło go tylko jedno. Smutek.

Smutek na myśl o tym, co się tam działo przez prawie trzy tygodnie. Dla przerażonej piętnastoletniej dziewczyny, która nie skrzywdziłaby nawet muchy, musiało to być jak trzy lata. A później przewieziono ją w nieznane miejsce, gdzie musiała pogłębić kontakty z piekłem.

Smutek podążył za wiązką światła latarki, które minęło rozbrojoną wyrzutnię noży w przedpokoju. Przybrał na sile w salonie, stał się jeszcze



bardziej namacalny w sypialni, a kiedy Berger zbliżył się do płataniny niebiesko-białych taśm nad dziurą pomiędzy lodówką a piekarnikiem, rozrywał mu umysł na strzępy.

Poświecił do wnętrza otworu, dojrzał słaby kontur schodów, zszedł. Krążył labiryntem piwnicznych korytarzy. Światło latarki błędziło po ścianach. Na jednej z nich, na wysokości wzroku, widniała plama krwi. Zerknął na kostki prawej dłoni. Deszcz rozcieńczył krew, nadając jej jasnoczerwoną barwę. Berger nie rozumiał, dlaczego rany nie chcą się zasklepić.

Pochylił się przed wyrąbanym wejściem. Dziura była teraz większa. Założył, że to ze względu na Robina – z całą pewnością najlepszego, ale i najgrubszego technika. Nie mógł powstrzymać krótkiego sardonicznego uśmiešku, kiedy znacznie zwinniej niż poprzednio wchodził do środka. Pył, który się na niego posypał, przypomniał o przeszłości.

Znów się znalazł w celi. Czuł to samo co wcześniej, kiedy był tu z Deer. Ale tym razem nie mogła go przytulić.

Po raz kolejny miał wrażenie, że ściany wykrzykują swój ból po wszystkim, czego doświadczyły. Musiał odpędzić te myśli, i to w czysto fizycznym sensie. Mocno potrząsał głową, dopóki nie pozostał w niej tylko smutek, który zdążył nią zawładnąć niczym toksoplazmoza. Pasożyty w korze mózgowej.

Robaki w głowie.

W końcu udało mu się odpowiednio wyważyć krąg światła. Powiódł nim w kierunku plamy, wzdłuż podłogi i dalszej ściany. Kierował światło od podłogi w górę, zbliżył się, obejrzał betonową ścianę po obu stronach plamy, popatrzył na dwie zmurszałe podpory ciągnące się od podłogi aż po sufit, kilka metrów od ściany.

Ellen Saverger siedziała tu jak w klatce o niewidzialnych ścianach.

Nieruchomo. Krwawiła w tym samym miejscu o różnych porach. Przerwał oględziny ścian i podszedł do podpór. Tworzyły ramy niewidzialnej klatki – razem ze ścianą formowały sześcian o boku liczącym niewiele ponad dwa metry. Przesunął palcami po hakach – były umieszczone na trzech poziomach, prawie niewidoczne, najwyższy znajdował się na wysokości oczu. Berger podszedł z powrotem do ściany, postawił plecak na podłodze, otworzył, wyjął dłuto i przyłożył do dobrze oświetlonego punktu na ścianie.

Chyba się nie mylił? Przecież, tak samo jak na ścianie przy wyrąbanym wejściu, na betonie również dało się zauważyć jaśniejsze plamy.

To z ich powodu przyszedł w to miejsce w samym środku godziny wilka.

Sięgnął po młotek. Musiał się porządnie wyciągnąć, żeby włożyć rękę do plecaka, drugą cały czas trzymając w miejscu dłuto. Potem uderzył.

Po kilku centymetrach miał ochotę dać za wygraną. Trudno było się przebić, beton był twardy jak kamień, co drugie uderzenie skutkowało odrzutem, jakby wbijał dłuto w kamień. W końcu jednak coś się pojawiło. Zagięty kawałek metalu, który wyglądał na wbity głębiej w ścianę. Berger pokonał opór ramion i drażył dalej. I dalej.

Minęło prawie pół godziny, kiedy w końcu uwolnił przedmiot. Był wykonany z grubego metalu – Berger rozpoznał w nim pętlę do mocowania.

Odłożył młotek i dłuto, chwycił ją i zaczął ciągnąć, najmocniej, jak potrafił. Przez chwilę trzymał obie stopy na ścianie i odpychał się z całej siły. Pętla ani drgnęła. Tkwiła w miejscu jak kamień.

Berger wziął do ręki młotek i poobtłukiwał ścianę dookoła. Obluzowało się więcej betonu. Nie ulegało wątpliwości, że ściana się zmieniała na głębokości dziesięciu centymetrów, tam, gdzie była wkręcona pętla. Może cała ściana była wklęsła?

Poświecił pół metra pod dziurą, z której wystawała pętla. Tylko sokole oko mogło rozpoznać, że tam również kolor jest inny. Zrobił kilka obrotów

ramionami i mocno rozciągnął mięśnie szyi, aż porządnie strzyknęło. I z powrotem przystąpił do pracy.

Czas mijał. Nie miał pojęcia, w jakim tempie, ale powoli, powoli, ociekając potem, odkrywał pętle, jedną po drugiej, aż było ich sześć – trzy po każdej stronie plamy. Plamy złożonej z kilku warstw krwi.

Berger przerwał. Mięśnie bolały go, jakby właśnie zrozumiały, na jaki wysiłek zostały narażone. Podszedł do podpór i po raz kolejny dotknął palcami haków w zbutwiałym drewnie. Tkwiły na tej samej wysokości co wmurowane pętle.

Nie mógł sobie tego wyobrazić. Czy wcześniej była tu ściana, którą wsunięto do środka, stawiając grubszy mur? Czy stojący za tym wszystkim as dołożył do ściany dodatkowe dziesięć centymetrów, żeby ukryć solidnie przykręcone pętle? Czy wykonywał tę katorzniczo-precyzyjną robotę, kiedy do tej samej ściany była przypięta piętnastoletnia Ellen Saviger? Dzień po dniu krwawiła na ścianę, znacząc upływ czasu niczym słoje drewna. Ale przecież nie miała za sobą ściany. Jeśli między pętlami w ścianie a dwiema drewnianymi belkami przeciągnięto jakieś łańcuchy, to ściana na początku niewoli musiała się znajdować prawie dziesięć centymetrów dalej. Krew nie mogła dzień po dniu spływać po ścianie, która jeszcze nie istniała.

Możliwe, że jego umysł nie był w najlepszej formie – zarówno brak snu, jak i wykańczająca praca fizyczna zrobiły swoje – ale odkrył coś, co wyglądało jak prawdziwy paradoks. Coś jak figury niemożliwe Eschera, schody prowadzące donikąd, ręka rysowana przez rękę, którą sama rysuje.

A może i nie. Kolor był inny tylko w miejscach, w których tkwiły pętle. Może as wwiерcił się tylko w drugą ścianę, żeby przytwierdzić te swoje cholerne pętle. Może był na tyle biegły w technice budowlanej, że wiedział, iż za ścianą jest kolejna, bardziej wytrzymała.

Może ukryte pętle były tam tylko po to, żeby je zapakować. Jak prezent.

Jak paczkę. Wewnątrz innej paczki.

Chodziło o to, żeby sami ustalili ich zastosowanie. As znowu brylował. Chciał pokazać swoją inteligencję. Chciał być podziwiany. Ale przez kogo, do cholery?

Berger poczuł się zmęczony. Zrobił kilka zdjęć. Po raz ostatni spróbował wyobrazić sobie cały scenariusz. Nie potrafił, obrazy mu się wymykały. Miał nadzieję, że da radę wrócić samochodem do domu i nie będzie musiał jechać po mokrej jezdni na szpitalny oddział ratunkowy.

Zaczął się zastanawiać, jak długo już przebywa w tej pozbawionej okien piwnicy. Zanim spojrzał na zegarek, zdążył się zaniepokoić, że nastał już świt i sąsiedzi zaczęli się kręcić po okolicy.

Za dziesięć siódma.

Czas nie był jego sprzymierzeńcem.

Przeszedł przez dziurę w ścianie, wdrapał się po schodach, wyszedł na werandę i wziął kilka głębokich wdechów. Nadal panował mrok. Na jego szczęście późną jesienią poranki były ciemne. Poza tym uparty deszcz, który padał równie mocno co przedtem, trzymał w domach wszystkie okoliczne ranne ptaszki.

Berger stał na werandzie i patrzył na furtkę. Przez krótką chwilę zobaczył przed oczami znacznie jaśniejszy obraz – karetka, policyjne furgonetki, ogrodzenie, gapie... Wziął ostatni głęboki, napęczniony wilgocią oddech i opuścił wzrok na dłonie spoczywające na poręczu werandy. Jego spojrzenie powędrowało do kostek prawej dłoni.

Wyglądało na to, że rany się zasklepiły.

## 5

### **Poniedziałek, dwudziesty szósty października, godz. 7:26**

PORANEK WYDAWAŁ SIĘ mroczniejszy niż zwykle nie tylko dlatego, że był poniedziałek. Jesień rozkręciła się na całego. Kiedy inspektor Desiré Rosenkvist, drżąc, wystukiwała kod dostępu na komisariat, miała wrażenie, że jest środek nocy. Ale przynajmniej przestało padać. Właściwie nie padało, odkąd wyjechała z domu, odstawiła Lykke do przedszkola i, jak zwykle przygnieciona rozmaitymi wyrzutami sumienia, wsiadła do zdecydowanie nieprzyjaznego środowiska starego auta. Kiedy po mistrzowsku ominęła poranne korki i wyjechała na Nynäsvägen, droga była prawie sucha.

Berger był jednak mokry.

Przywitała się ospale z pozostałymi dwoma członkami grupy i, niczym nastawiony na szukanie celu robot, skierowała się w róg biura zajęty przez Bergera. I przez nią.

Wyglądał jak zmokły pies, po prostu patrzył przed siebie. Przywitali się zdawkowo, usiadła, jak zwykle plecami do niego, i zaczęła stukać w klawisze komputera. Odwróciła monitor mocno w bok, ale nie miała wrażenia, że Berger jest zainteresowany tym, co robi.

Naprawdę patrzył w pustkę. To był jego sposób na przysypianie. Nikt nie zauważał różnicy między turbodrzemką a intensywną koncentracją. Pytanie brzmiało, czy on sam ją zauważał... Był w takim wieku, że miał za sobą zasadniczą służbę wojskową, a tam w bardzo dużym stopniu chodziło o to,

by wyglądać na przytomnego, chociaż tak naprawdę się spało.

Zwróciła się w jego stronę:

– Ruchy chmury deszczowej – powiedziała.

Jej słowa były na tyle enigmatyczne, że wybudziły Bergera z drzemki. Odwrócił się do niej. Deer mówiła dalej:

– Mikrometeorologia, proszę, oto słowo dopasowane do twojej klasy społecznej, Sam.

– Wywodzimy się z tej samej klasy, Deer. Co robisz?

– Jesienne załamanie pogody. Trwa dłużej, niż możemy to ogarnąć. Kompletnie nieprzewidywalne. Dziś rano u nas chwilowo zelżało, a zła pogoda przeniosła się nad Norrlandię. Przyjrzyj się godzinom na tej mapie.

Berger obserwował ekran komputera. Duża animowana burzowa chmura sunęła coraz wyżej, a zegar wskazywał czas. Płynął bardzo szybko. O szóstej zero zero spod chmury zaczęła się wyłaniać mapa. Wydawało mu się, że rozpoznaje okolicę. Deer wcisnęła pauzę.

– Skogås – oznajmiła i wskazała mapę. – Tam mieszkam.

Chmura przesunęła się dalej na północ i zobaczyli znajome kontury Sztokholmu. Kiedy cała centralna część miasta była widoczna, Deer znów zatrzymała obraz i wskazała punkt na ekranie.

– A tam mieszkasz ty. Ploggatan na górnym Södermalmie. Tam przestało padać mniej więcej dwadzieścia po ósmej.

Chmura wciąż sunęła na północ. Kiedy zegar wskazywał szóstą pięćdziesiąt cztery, Deer zatrzymała po raz trzeci.

– Nadążasz? – spytała.

Berger skinął głową, mimowolnie zafascynowany.

Kiedy ciężka chmura pojechała dalej, na komputerowej mapie pojawiła się nazwa Märsta.

Deer odwróciła się do Bergera, wlepiła w niego wzrok i powiedziała:

– Skoro jesteś taki przemoczony, Sam, to znaczy, że niedawno byłeś dość daleko na północy.

– Zajmij się lepiej swoją robotą, kobieto.

Kiedy się odwrócił wraz z krzesłem, nie mógł powstrzymać uśmiechu. Spojrzał na nadgarstek. Po raz trzeci w ciągu doby zapomniał uchronić rolex przed zalaniem – tym razem naprawdę wyglądał, jakby do środka dostała się woda. Po raz pierwszy od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego. Złowieszcza warstewka pary pokrywała wewnętrzną stronę szkiełka – miejsce, w którym znajdowały się wskazówki.

Chwilowo czas nie istniał.

Berger wyjął z szuflady papierową chusteczkę i położył na niej zegarek. Potem opuścił lampkę i skierował jej światło na tarczę. Miał nadzieję, że ciepło wystarczy.

Z największą niechęcią spojrział na zegarek w komórce. Zerknął przez ramię na Deer. Siedziała zatopiona w fotografiach z domu w Märsta, jakby to na niego polowała. Berger pokręcił głową i wyświetlił zdjęcia w komórce. Bliźniaki – Marcus i Oscar. Wszystko zawsze musiało się zaczynać od nich. Od Marcusa i Oscara Babineaux. I rozżarzonej pustki, która rosła w nim za każdym razem. Dotarł do końca zbioru, ominął starsze zdjęcia – z domu, z piwnicy, z werandy – i skupił się na najnowszych.

Odwrócił się i postukał Deer w ramię. Obróciła się natychmiast, jakby tylko na to czekała.

Bez słowa podał jej telefon. Zerknęła i wzięła go do ręki. Wprawnym ruchem przybliżyła zatopione w ścianie pętle mocujące. Berger ją obserwował, patrzył, jak przybywa jej zmarszczek na czole. Poprzeglądała chwilę, oddała telefon i zapytała:

– Co to takiego?

– Pętle – odparł Berger. – Głęboko w ścianie.

– Jakiś mechanizm?

– Nie wiem. Może.

– Musimy powiedzieć Robinowi.

– Przyjdzie tu. Spotkamy się z nim o wpół do dziewiątej.

Deer przez chwilę kiwała głową. W końcu powiedziała:

– Poranne spotkanie odwołane?

– Tu prawie nic nie ma – odparł Berger i rozłożył ręce. – A przynajmniej my nie mamy nic nowego do powiedzenia.

– To jest nowe. – Deer skinęła głową w stronę telefonu.

– Dopiero kiedy Robin się z tym zapozna.

O ósmej powinno się odbyć spotkanie, nazywane przez nich porannym, ale wszystko, co wiedzieli, zostało już powiedziane na popołudniowym spotkaniu poprzedniego dnia. Poza tym większość była w terenie. Trzy osoby chodziły od drzwi do drzwi w Märsta – ich połączone mamrotanie słychać było aż na komisariacie. Strzała – mamrocząc równie głośno – siedziała w pokoju medialnym i szczegółowo studiowała wiadomości, a dwóch współpracowników składało powtórny wizytę nielicznym świadkom i wracało do nieszczęsnych rodziców Ellen Saviger. Tylko Maja i Samir byli na miejscu. Maja jako koordynatorka, a Samir miał na celowniku agenta nieruchomości.

Berger zadzwonił do Märsta. Jego trzech piechurzy właśnie zaangażowali swoich ludzi. Pukanie do drzwi, rozpoczęte poprzedniego dnia, posuwało się naprzód. Coraz dalej od miejsca zbrodni, coraz zimniej.

– Żadnych oznak aktywności w domu? – zapytał Berger. Deer posłała mu krzywe spojrzenie.

Obok stanął Samir, który próbował zamaskować swój młody wiek coraz dłuższą hipsterską brodą. Przeglądając papiery, oznajmił:

– Wygląda na to, że ten śliski agent usunął adres mailowy.



– Niech zgadnę – odparł Berger. – Hotmail?

– To on jeszcze istnieje? – zapytał Samir, wyczesując z brody drobinki banana. Podał dokument Bergerowi.

Ten przekazał go Deer, która z kolei zaniósła papier Mai. Można to było nazwać feedbackiem.

– Zbadaj to od początku do końca – zwrócił się Berger do Samira. – Prawdopodobieństwo, że na drugim końcu coś będzie, jest oczywiście minimalne.

– Bez kipiącego entuzjazmem kierownika nie dalibyśmy sobie rady – rzucił głucho Samir i wrócił na swoje miejsce.

Trudno było stwierdzić, ile czasu minęło, zanim ewidentnie otyły mężczyzna w eleganckim trzyczęściowym garniturze pojawił się na peryferiach ich open space’u. Garnitur miał poza tym subtelny odcień fioletu, więc dwaj towarzysze mężczyzny niknęli w bezbarwnym tle. Berger wstał i wyszedł mu na spotkanie.

– Cześć – powiedział i podał mu rękę. – Miło zobaczyć, że oczyściłeś ubranie z brudu piwnicy.

Robin uścisnął wyciągniętą dłoń i wskazał na jego kolano.

– Ty z kolei masz go na sobie dziwnie dużo jak na kogoś, kto nie był tam od dwudziestu czterech godzin.

– Otaczają mnie domorośli detektywi – zajęczał Berger i wskazał ręką sąsiedni korytarz.

Za Robinem przyszło troje gości – do pochodu dołączyła Deer. Berger wprowadził wszystkich do kompletnie sterylnej sali spotkań. Usiedli przy nieciekawym stole.

– Virę już znasz – powiedział Robin i wskazał towarzyszącą mu kobietę, która wyglądała, jakby miała najwyżej dwadzieścia cztery lata i ani dnia więcej.

Vira po lekarsku skinęła głową, co natychmiast dodało jej dekadę.

– A więc patolog Höög wysłał jedną ze swoich asystentek – stwierdził chłodno Berger.

– Z tego prostego powodu, że nie mamy zbyt wiele do powiedzenia – odparła Vira jeszcze chłodniej. – Według naszej oceny najstarsza krew ma osiemnaście dni, a najnowsza cztery. W sumie jest jej niewiele ponad trzydzieści mililitrów. Ale w całym domu znajduje się DNA dwóch osób. Dużo krwi Ellen Saviger. Mało krwi Sama Bergera. Jak tam rana?

Berger spojrzał na kostki prawej dłoni.

– A toksykologia?

– Co?

– Skoro już macie DNA, musieliście oczywiście przeprowadzić też analizę toksykologiczną. Szukać narkotyków w poszczególnych warstwach krwi. Ustalić chronologię, linię czasową obrazującą ewentualne podanie narkotyków albo trucizn.

Vira po raz pierwszy sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, co powiedzieć.

– Zrób to jeszcze raz, jak trzeba – powiedział Berger. – A kim jest twój mały przyjaciel, Robinie?

– To Cary – rzekł Robin. – Technik dźwięku. Ale z nim zaczekamy. Bo im dłużej się przyglądam twojej świeżo wysuszonej osobie, tym większą mam pewność, że nie wiemy wszystkiego. Miałem zamiar złożyć sprawozdanie ekipie techników, ale już nie mogę tego zrobić. Spędziłeś noc w tej piwnicy, Sam? Jak szaman dotarłeś do prawdy przez sen? Nawiązałeś bliski kontakt z bezdomnymi duchami?

W odpowiedzi Berger po prostu pokazał telefon komórkowy. Elegancki technik spojrzał i zmarszczył nos.

– O kurwa – powiedział.

Człowiek, który nigdy nie przeklinał.

– Już dobrze – rzekł Berger i położył dłoń na jego szerokim ramieniu. – Nawet wybitnym technikom kryminalnym może się przydarzyć niedbalstwo graniczące z niedopełnieniem obowiązków służbowych.

Dało się zauważyć, że Robin miał na końcu języka całą galerię ciętych ripost. Za to, że się pohamował, Berger był gotów przyznać mu złotą gwiazdkę.

– Dokąd cię to zaprowadziło? – zapytał tylko Robin.

– Do tych samych różnic koloru co przy sekretnym wejściu.

– Niedobrze – odparł Robin. – Zrobię to jeszcze raz, jak trzeba.

– Cieszy mnie to – odparł Berger bez radości w głosie. – Bądź tak miły i daj mi coś jeszcze.

Robin ukrył okazałą twarz w równie okazałych dłoniach. Nie był to gest rozpaczny – w jego przypadku bardzo *out of character* – raczej namysłu.

– To zmienia sens śladów na podporach – powiedział w końcu. – Musimy to przemyśleć od początku. Muszą być nowsze, niż wykazały to nasze pierwsze oględziny. Prawdopodobnie zostały umyślnie postarzone. Podejrzewam, że stanowią całość ze zręcznie zamaskowanymi pętlami do mocowania. A jeśli za ścianą była druga, solidniejsza, to dziwne, że cała krew wylądowała na tej nowej, skoro tej dziewczyny nawet tam nie było, kiedy ukrywano pętle. To paradoks.

– Co jeszcze? – spytał Berger.

Robin przyglądał mu się przez chwilę i w końcu powiedział:

– Na podłodze były znaki.

– Znaki?

– Trochę mniejsze przy ścianie i trochę większe ponad metr od ściany.

Robin rozejrzał się dookoła, jakby czekał na nagłe oświecenie.

– Nie – odezwała się Deer. Miała wytrzeszczone oczy.

- Tak – odparł Robin i posłał jej spojrzenie pełne uznania.
- Na betonowej podłodze? Paznokcie?
- Obawiam się, że tak. Ślady paznokci u rąk przy ścianie i paznokci u nóg kawałek dalej. Ale żadnych śladów keratyny.
- Keratyny? – odezwał się Berger.
- Tak – potwierdziła Vira i znów po lekarsku skinęła głową. – Białka o wysokiej zawartości siarki, które jest budulcem włosów, paznokci i rogów.
- Rogów? – zawołał Berger. – W tej cholernej piwnicy powinno być zatrzęsienie rogów i siarki.
- Poodkurzał – odparł spokojnie Robin. – Tak jak w całym domu, naprawdę sprawnym odkurzaczem.
- Takim, który daje się namierzyć? – zapytał Berger.
- To możliwe – odpowiedział Robin. – Na rynku jest kilka przenośnych precyzyjnych odkurzaczy. Odezwę się w tej sprawie.
- Dobrze – oznajmił Berger. – Co dalej?
- Mechanizm z nożami w przedpokoju – kontynuował Robin. – Można go określić jako podwójną kuszę z linką. Subtelny mechanizm na dwa pozbawione rękojeści ostrza. Mają szczególny punkt ciężkości. Kiedy normalnie rzuca się nożem, wykonuje on ruch rotacyjny w drodze do celu. Nawet jeśli w tym przypadku do wspomnianego celu było nie więcej niż kilka metrów, potrzebne jest specjalne wyważenie, żeby noże leciały prosto. A te są specjalnie wyważone.
- Domowa robota? – zapytał Berger.
- Robin pokiwał i pokręcił głową. Jednocześnie.
- Według mojej oceny tak.
- Ale dlaczego nie użył strzał? – zapytała Deer. – Z kuszy albo z łuku. Przecież one mają za zadanie lecieć prosto. Zamiast tego majstrował przy czymś, co nie zostało tak pomyślane. Dlaczego?

– Bo noże są bardziej przerażające – odparł Berger. – Bo po raz kolejny chce zabłysnąć.

– Trudno mi teraz ocenić te ostrza – przyznał Robin. – Nie bardzo wiem, co to takiego i czy mają jakieś naturalne zastosowanie. Może nawet są domowej roboty. Także i o tym będziemy musieli porozmawiać później.

– A wiadro z kupą? – spytał Berger.

– Prawdziwa mieszanka fekalii i uryny. Tak samo jak w przypadku analizy krwi, Narodowe Centrum Kryminalistyczne, bo tak się elegancko nazywamy od pierwszego stycznia, współpracuje z Krajową Agencją Medycyny Sądowej. Vira?

– Chleb i woda – odparła Vira.

– To też jakieś fachowe terminy? – zapytał. – Jak keratyna?

– Poza tym margaryna – ciągnęła niezrażona Vira. – Woda, chleb i margaryna. Różne rodzaje chleba: zarówno biały, jak i bardziej bogaty w błonnik. Żadnego mięsa, żadnych warzyw, sera, śladów innych płynów oprócz wody. Analiza trwa.

– Choć analiza toksykologiczna ma wyższy priorytet – oznajmił Berger.

Vira umilkła. Robin nadal się nie odzywał.

– A Cary? – kontynuował Berger.

– Jeden z najlepszych techników dźwięku w Szwecji. Mimo swojego przezroczystego wyglądu – odparł Robin. – Ma nowe informacje na temat głosu.

– Mówimy o głosie Liny Vikström? – odezwała się Deer. – Tej, która zadzwoniła z informacją, że Ellen przebywa w Märsta?

– Zgadza się – potwierdził Robin. – Cary?

Ledwo widoczny technik odchrząknął.

– Przeanalizowałem nagranie na wszystkie możliwe sposoby, mikrosekwencja po mikrosekwencji, wykorzystałem też kilka bardziej

eksperymentalnych metod. Niestety, muszę przyznać, że jeszcze nie skończyłem, choć pracowałem całą noc. Głos został przepuszczony przez tyle filtrów, że trudno było stwierdzić, czy to w ogóle ludzki głos.

– A jest ludzki?

– Wszystko na to wskazuje. Choć nie było łatwo wydobyć pierwotnego brzmienia. Potrzebuję jeszcze około jednego dnia, żeby...

– Nie – przerwał Berger. – Musimy się na czymś oprzeć.

– Jeszcze nie mogę stwierdzić...

– Teraz. Dzięki.

– Okej – odparł Cary i pochylił się do przodu. – Jeszcze nie udało mi się zidentyfikować mówiącego, głos jest zbyt słaby, żeby wychwycić indywidualne cechy. Prawdopodobnie mamy płęć, ale powtarzam...

– Mężczyzna? – przerwał Berger. – Mężczyzna, który dzwoni i udaje kobietę?

– Nie – odparł Cary. – To mówi kobieta.

Berger zamarł, a wraz z nim cała reszta. Czas płynął. Spojrzenia wszystkich utkwione były w Bergerze. W końcu się odezwał.

– Mam rozumieć, że to domysł?

– Prawdopodobieństwo, że tak jest, wynosi dziewięćdziesiąt siedem i cztery dziesiąte procenta – oznajmił Cary.

Berger wstał i wyszedł z pokoju.

Minęła jeszcze chwila, a potem zapanował chaos. Kiedy sytuacja wróciła do normy, Robin skierował się ku wyjściu, z Virą i Carym na tyłach.

Deer została w sali. Po trzydziestu sekundach westchnęła głęboko i wstała.

Kiedy znalazła się w open spacie, Berger siedział na swoim miejscu i znowu wpatrywał się w pustkę. Ostrożnie podeszła, usiadła na swoim krześle i odwróciła je ku niemu. Nie była w stanie pochwycić jego spojrzenia. Ten stan trwał tak długo, że w końcu po prostu zapytała:

– Czy nasz sprawca jest kobietą?

Berger spojrzał na nią wzrokiem pozbawionym wyrazu.

– Ma współniczkę? – podsunęła.

Z najwyższą niechęcią Berger wyszedł ze stuporu.

– To może być aktorka – wymamrotał. – Albo ktoś z ulicy, komu złożył ofertę nie do odrzucenia.

– W takim razie prawdopodobnie go widziała – odparła Deer.

Odwrócił twarz w jej stronę. Zmarszczył brwi i patrzył jej w oczy, trochę zbyt długo.

– Widziała – powiedział.

Potem znów wyciągnął telefon i zapatrzył się na wyświetlacz. Zdjęcia. Gwiazda Polarna. Marcus i Oscar. Zdjęcia z domu. Piwnica. Piekielna komórka. I to, co się działo zaraz potem. Na górze, na werandzie. Naprawdę rześkie powietrze. Berger i Deer blisko siebie. Prawie przestało padać. To wtedy ogarnęło go dziwne, przelotne uczucie, które pozostawiło po sobie brzmiającą echem pustkę.

Co to było za uczucie?

Coś, co zobaczył?

Deer patrzyła na niego. Przeglądał zdjęcia i przybliżał je palcami, jakby przez całe życie nie robił nic innego. W końcu pochylił głowę nad telefonem, jakby był ekstremalnym krótkowidzem. Potem się podniósł. Stał przez chwilę. Chwycił plecak. I z widocznym rozkojarzeniem skierował się do wyjścia.

– Dokąd idziesz? – krzyknęła Deer z braku lepszego pomysłu.

– Do dentysty – odparł Berger i się odwrócił. – Gdyby pojawił się Allan, powiedz, że wypadła mi nagła wizyta u dentysty.

– No bez jaj! – wybuchnęła Deer.

– Dentysta... – wymamrotał Berger i ruszył dalej. – Tak jest. Jestem

u dentysty.

– Zamierzasz chociaż wrócić na popołudniowe spotkanie? – zapytała Deer głuchym głosem, zwiastującym rezygnację z wszelkich prób porozumienia.

Odpowiedziały jej plecy Bergera:

– W najlepszym razie wrócę na popołudniowe spotkanie ze znacznie ostrzejszymi zębami.



## 6

**Poniedziałek, dwudziesty szósty października, godz. 9:28**

TO, ŻE W PAKIECIE nie dostawało się miejsca w garażu, nie było jedyną wadą samochodu służbowego. Kolejną były fotele. Nie wykonano ich ze skóry, choćby najbardziej sztucznej. Pod luźnym, ale szybko schnącym materiałem było jakieś wyjątkowo chłonne wypełnienie. To, co na zewnątrz wyglądało na suche, w środku było kompletnie przemoczone. Innymi słowy: wreszcie wysuszone ubrania Bergera wróciły do stanu, który można było uznać za normalny.

Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Berger z determinacją grzał przez miasto, aż do niespodziewanego wolnego miejsca parkingowego tuż przed bramą domu przy Ploggatan. Choć winda po raz pierwszy od pół roku stała na parterze, zdecydował się na schody i, zdumiewająco sprawnie pokonując po dwa stopnie naraz, dotarł na trzecie piętro. Udało mu się nawet zignorować potrójny ból fantomowy, który czuł zawsze na widok napisu „Lindström & Berger” na drzwiach. Po wejściu do środka rzucił okiem na wannę, widoczną za szeroko otwartymi drzwiami łazienki. Zobaczył, że wczorajsze przemoczone ubrania podjęły już decyzję, czy wyschnąć, czy zbutwieć, po czym wszedł do ogarniętej chaosem sypialni. Był to chaos godziny wilka, stop-klatka z wpół do czwartej w nocy – zawartość teczki Julii Almström była porozrzucana po podłodze, a papiery z „Jonny Eriksson” i „Ellen Saviger” mieszały się ze sobą na pościelonej części stanowczo za

dużego podwójnego łóżka. Berger wysunął szufladę biurka i wyjął z niej lupę. Pozbierał teczki, położył je blisko siebie na skraju łóżka, przykucnął i wyciągnął telefon.

Szybko przerzucał zdjęcia, aż dotarł do tych z werandy. Trzy, w zasadzie identyczne. Właśnie wyszli z koszmarnej piwnicy, każde wrażenie było jak nowe, niewyrobione. Wyniesiono rannego Ekmana, karetka odjechała, a ostatnie ślady jego krwi spłynęły z kratki na werandzie. Deer przylgnęła do niego mocniej, świeżość powietrza po deszczu była niesamowita – mieszanka ozonu i zarodników, uwolnionych przez wodę z głębi ziemi.

I właśnie wtedy. To uczucie. Tak ulotne.

Czyżby to było takie proste? Tak cholernie banalne?

Przyjrzał się pierwszej fotografii. Rozedrganej, bo trzymał telefon w krwawiącej prawej dłoni, a lewa była spocona od rękawiczki.

Przy ogrodzeniach stały dwie policyjne furgonetki – mimowolne ruchy dłoni sprawiły, że niebieskie światła przesunęły się w bok i utworzyły nieregularne fale. Przy radiowozach tłoczyli się kamerzyści, dźwiękowcy i reporterzy, a także około dwudziestu obserwatorów pozbawionych rysów twarzy. Zdjęcie drugie wyglądało znacznie lepiej – niebieskie światła były punktami i dało się rozpoznać przynajmniej jednego reportera z telewizji. Berger ostrożnie przybliżał i eksponował każdą twarz po kolei – najpierw ludzi z mediów, możliwych do zidentyfikowania, a następnie zwyczajnych gapiów. Kiedy na małym ekranie trwała parada twarzy, on sam starał się wyczulić na siebie i reakcje własnego ciała. Czy to uczucie się powtórzy? – myślał.

Po pięciu, sześciu twarzach pojawiła się ta właściwa, przyćmiona, ale wyraźna. Kobieta.

Miała włosy w kolorze blond i jakieś trzydzieści pięć lat. Jej twarz, w połowie odwróconą, uchwycono w chwili, kiedy rzucała spojrzenie przez

ramię. Profil był w miarę wyraźny, widać było zadarty nos i całą resztę. Głowa wystawała ponad rząd widzów przed nią, a jeśli chodzi o strój, można było rozpoznać jedynie kołnierz jasnego płaszcza przeciwdeszczowego, być może beżowego.

Dotarł do trzeciego, ostatniego zdjęcia z werandy i przybliżył je kciukiem i palcem wskazującym. Teraz kobieta wyglądała, jakby patrzyła prosto na jego uniesiony telefon. Mężczyźni przed nią się rozstąpili i było widać więcej. Płaszcz miał raczej kolor brudnej bieli, a kobieta sprawiała wrażenie, jakby stała na szeroko rozstawionych nogach w dziwnie skrzywionej pozycji. Dopiero kiedy zrobił jeszcze większe zbliżenie i zdjęcie zaczęło się roztopiać na oderwane od siebie piksele, zobaczył, że między jej nogami stoi rower.

Podrapał się po głowie i wsłuchał się w siebie.

Silne przeczucie, nie poruszenie intelektu, ale na pewno przeczucie. Tak, to właśnie ją widział. To przez nią tam w altanie nawiedziło go silne, choć ulotne wrażenie. To ona sprawiła, że instynktownie wyjął telefon i zaczął robić zdjęcia.

Położył komórkę na łóżku, obok trzech teczek, i zaczął myśleć o tym, jak przekonać ich ekspertkę od komputerów, Strzałę, do podjęcia dwóch wcześniejszych śledztw tak, żeby Allan się nie dowiedział. Otworzył środkową teczkę – z napisem „Jonna Eriksson” – i zaczął gorączkowo szukać zdjęć. Wiedział, że gdzieś tam są fotografie z zimowego lasu. W końcu je znalazł. Trzy, jedna obok drugiej. Zdjęcie z gazety było średniej jakości, okropnie rozmazane, ale za niebiesko-białą taśmą stał wyraźnie widoczny tłum.

Berger podniósł lupę i przyłożył ją do zdjęcia z gazety. Instynkt go nie zawiódł – było zbyt kiepskie. Nie na nim to zobaczył. Kiedy jednak spojrzął na środkowe, policyjne zdjęcie, stało się to, na co czekał. Lupa powiększyła wizerunek roweru. Głowę kobiety zakrywała pokaźna futrzana czapa, a dolna

część twarzy była owinięta grubym szalikiem. Nos był jednak widoczny – trochę zaczerwieniony, ale zadarty pod tym samym kątem.

Rzucił teczkę na bok i zgarnął tę z napisem „Julia Almström”. Tam było więcej fotografii i panował nieco większy chaos. Grupa motocyklistów, ogrodzenia, gapie. Lupa znów się przydała. Kurwa mać, zaklął w duchu Berger. Ależ tak!

Jak, do jasnej cholery, mogłem tego nie zauważyć? – myślał.

Nogi już dawno mu zdrętwiały. Kiedy wstał, piekły jak przypalane ogniem. Miał to gdzieś. Sfotografował zdjęcia komórką, wysłał trzy maile, zadzwonił do dwóch osób. Z początku zataczał się po sypialni, próbując pobudzić krążenie. Pierwsza rozmowa przebiegła następująco:

– Strzała? Jesteś jeszcze w pokoju medialnym? Dobrze. Dostałaś mail.

Druga, w czasie kiedy zbiegał po schodach z przepelnionym plecakiem, brzmiała:

– Deer? Przesuń spotkanie na jedenastą. Tak, za niecałą godzinę. Spróbuj sprowadzić tyle osób, ile się da. Ale cokolwiek zrobisz, nie zapraszaj Allana.

Za niecałą godzinę? Nie miał pojęcia, która jest godzina, odpowiadał twierdząco na kolejne pytanie Deer tylko po to, żeby przyśpieszyć cały proces. Dopiero po wszystkim, kiedy wsiadł do samochodu i rzucił okiem na nadgarstek, zdał sobie sprawę, że nie ma zegarka. To się zdarzało wyjątkowo rzadko.

Kiedy jednak wszedł do pokoju zwanego medialnym i dalej, do open space’u, zobaczył zegarek z absurdalnie dalekiej odległości. Fosforyzował pod wciąż zapaloną lampką na biurku. Deer dzieliła, rządziła i robiła miejsce wokół białej tablicy. Samir wyciągał krzesła, a w pomieszczeniu co jakiś czas pojawiał się kolejny gliniarz z Märsta. Berger odłączył się całkowicie od świata zewnętrznego, zignorował podkręconą, choć cichą aktywność i popatrzył na swój rolex leżący na papierowej chusteczce. Skroplonej pary

za szkiełkiem było raczej więcej, pokrywała ponad połowę tarczy. Czy przypadkiem nie miał...? Przetrzepał plecak i wyjął lupę. Wysunął szufladę i wyciągnął z niej otwieracz do kopert zegarków – specjalne szczypce, którymi podważył tylną pokrywę. Po otwarciu przyłożył lupę do wnętrza zegarka i patrzył. Widok idealnie skoordynowanej konstelacji współdziałających kółek zębatach zawsze drastycznie obniżał mu puls. To najbliżej *perpetuum mobile* – wiecznie ruchomej maszyny – jak udało się dojść człowiekowi. Odwieczna fascynacja samonakręcającym się mechanizmem. Tylko przez noszenie zegarka na ręce i ruszanie nim w ciągu dnia właściciel daje mu całą potrzebną energię. Taki zegarek pozostaje mechanizmem doskonałym, jakkolwiek szybko rozwijałaby się elektronika. Ludzka siła innowacji nigdy nie była bliżej życia.

A jednocześnie jego tykanie wydawało się kompletnie puste.

Nagle coś dopełniło ten dźwięk. Jeszcze zanim podniósł wzrok, domyślił się, że to chrząknięcie. I na długo zanim spojrzał w jej brązowe oczy, wiedział, że Deer ma wszystko gotowe. Ostrożnie odwrócił zegarek. Kropelki się powiększyły i przemieściły, ale górna jedna trzecia tarczy była w dalszym ciągu nienaruszona – wskazówki pokazywały jedenastą. Punkt.

Deer naprawdę ściągnęła wszystkich na „popołudniowe spotkanie” o jedenastej. Berger wyciągnął szyję i wsunął obnażony mechanizm, który niestrudzenie tykał dalej, pod rozgrzewające światło lampy. Schował lupę i otwieracz do plecaka, wziął teczkę i podszedł do białej tablicy.

Nie zaszyciwszy grupy ani jednym spojrzeniem, przyczepił magnesami do tablicy trzy zdjęcia. Rozpoczął:

– Oficjalne stanowisko w tym śledztwie było takie, że porwanie Ellen Saverger to odosobniony przypadek. Allan chciał się uwolnić od spekulacji i potrafię go zrozumieć. Tym niemniej niektórzy z was wiedzą, że mam inne zdanie. Wszystko zostało zbyt idealnie, zbyt profesjonalnie przygotowane jak

na coś, czego wcześniej nie wypróbowano. Wydawało mi się, że znalazłem dwie możliwe poprzedniczki wśród zaginionych, ale nie ma jakichkolwiek dowodów ani sensownych poszlak. Nic oprócz tego, że chodzi o piętnastoletnie dziewczyny, które niespodziewanie zniknęły. Dopiero po jakimś czasie znaleziono wystarczające dowody, żeby twierdzić, że zarówno Julia Almström z Västerås, jak i Jonna Eriksson z Kristinehamn miały tajny plan – uciekły z chłopakami, którzy w taki czy inny sposób chcieli się rozpuścić w powietrzu. Po około miesięcznym śledztwie uznano, że obie zniknęły dobrowolnie, być może zmieniły tożsamość i wyjechały z kraju. *Cases closed.*

– Ale w przypadku Ellen nie mamy z czymś takim do czynienia – odezwał się Samir.

– Coś się wydarzyło – oznajmił Berger. – Coś, co skłoniło go do zmiany metody.

– Allan nie cierpi takich niekonkretnych rzeczy – powiedziała Deer. – Rozumiem, że znalazłeś coś, co sprawiło, że odważyłeś się upublicznić swoje tajne, nieoficjalne śledztwo. Co to takiego? Ostrzejsze zęby?

I jeszcze to spojrzenie.

Berger nie mógł powstrzymać uśmiechu. Szelma Deer. Wskazał jedno ze zdjęć na tablicy.

– Tutaj, *dear* Deer, jesteśmy my na werandzie przed piekielnym domem w Märsta tuż po akcji. Pamiętasz?

– Robiłeś wtedy zdjęcia? Po co?

– Bo miałem przecucie. Nie prosź, żebym to wyjaśniał. Intuicja to nic innego jak skoncentrowane doświadczenie.

– Stare chińskie przysłowie – skwitowała Deer beznamiętnym tonem.

– Zaczniemy od tego – oznajmił Berger i wskazał niewyraźne zdjęcie, na którym dało się zauważyć kilka motocykli i skórzanych kurtek. – Tydzień

przed tym, jak to zdjęcie zostało zrobione, piętnastoletnia Julia Almström zniknęła ze swojego domu w Malmabergu w północno-wschodnim Västerås. Był siedemnasty marca półtora roku temu. Ponieważ zniknięcie zauważono rankiem, uznano, że Julia uciekła z domu w nocy. Była taka możliwość, a poza tym po jakimś czasie znaleziono korespondencję z młodym mężczyzną twierdzącym, że chce uciec od przestępczej przeszłości do miejsca, „w którym nigdy nie przestaje świecić słońce”. Jeśli chodzi o ścisłość, tak jest w każdym miejscu na całej kuli ziemskiej, inaczej wszyscy byśmy poumierali.

– Czy ten chłopak został zidentyfikowany? – zapytał ktoś.

– Nie – odparł Berger. – Były przesłanki pozwalające sądzić, że niedługo przedtem uciekł z więzienia, a wśród niedawno wypuszczonych na wolność było co najmniej ośmiu, którzy przepadli bez wieści... co się dość często zdarza. Obecnie łatwo kupić fałszywe dokumenty. Ergo: idealnie wybrana persona.

– Persona? – spytała Deer.

– Właśnie tak – odparł Berger i ją wskazał. – Właśnie z takim wyczuciem czasu powinien zadawać pytania wytrenowany pomocnik.

– Odczep się – odparła spokojnie Deer, jakby była do tego przyzwyczajona. – Co masz na myśli, mówiąc „persona”?

– Że ten młody przestępca to postać, maska. Że w ogóle nie istniał. Że cała wymiana maili była upozorowana. Chodziło o dramaturgię, a to wszystko, jak możemy stwierdzić z perspektywy czasu, przypomina rozmowę, która wczoraj zaprowadziła nas do domu w Märsta, rozmowę z tak zwaną Liną Wikström. Stojącą tutaj.

Mówiąc to, energicznie zaznaczył czerwonym markerem fragment rozmazanego zdjęcia, na którym niebagatelną rolę odgrywał gang motocyklowy.

Rozejrzał się. Nigdy wcześniej nie widział tylu zmarszczonych czoł w jednym pokoju.

– Ale... – odezwała się w końcu Deer. Widać było, że opadła jej szczęka.

– Akcja w lokalnym klubie motocyklowym w Västerås – wyjaśnił Berger.

– Tydzień po zniknięciu Julii Almström, zanim wymiana maili wyszła na jaw. Są przesłanki przemawiające za tym, że klub motocyklowy zawierał transakcje na „świeże mięsko”. Pod wieloma względami akcja była udana: na miejscu udało się zastać duży zapas kokainy, dwie nieletnie Ukrainki, różne skradzione przedmioty warte trzy miliony... ale Julii Almström nie było. Wśród gapiów na zewnątrz była za to ta kobieta. Blondynka z zadartym nosem, około trzydziestopięcioletnia, na rowerze.

Zagęszczenie zmarszczek w pokoju się utrzymało, ale teraz miały inny kierunek. Berger wskazał następne zdjęcie.

– Przewińmy do przodu o niecały rok. Teraz jesteśmy w gęstych lasach Värmlandii. Luty tego roku, lasy między Kristinehamn i Karlskogą, może nie najgęstsze. Ale: piętnastoletnia Jonna Eriksson, zamieszkała w Kristinehamn, kilka dni wcześniej zaginęła. Ponieważ w tym samym czasie zaginął jej chłopak, Simon Lundberg, śledztwo toczy się na pół gwizdka. Żadne z nich nie jest świętoszkiem. To dwoje młodych ludzi wychowanych w rodzinach zastępczych, którzy już wcześniej mieli skłonność do uciekania z domu i wracania z podkulonym ogonem. Nagle jednak wybucha alarm w związku z odkryciem świeżo wykopanego grobu tuż na granicy Värmlandii i Örebro, w nowym okręgu policyjnym Bergslagen. W ciągu następnej doby policjanci z tych regionów nie odmówią sobie zrzucania odpowiedzialności na siebie nawzajem, choć od ponad miesiąca należą do tego samego okręgu. Wszystko zmienia się w policyjną katastrofę, kiedy z pokrytego śniegiem grobu zostają wykopane szczątki łoszaka, zastrzelonego przez kłusownika rok wcześniej.

Berger zrobił pauzę i patrzył na podwładnych. Po chwili mówił dalej:



– Jeśli chodzi o tajemnicę służbową, policja była najwyraźniej dziurawa jak sito, bo na miejscu znaleźli się przedstawiciele lokalnej prasy z co najmniej dwóch miast. Na zdjęciach prasowych i policyjnych widać, że stoi tam więcej gapiów, niż było ich wczoraj przed południem na pokrytych mokrym śniegiem przedmieściach Märsta. Widzicie?

Widzieli. Choć nie wiedzieli do końca co.

Berger uniósł marker i zrobił na zdjęciu grubą czerwoną obwódkę.

– Fotografia policyjna – ciągnął. – Zwróćcie uwagę na rower. Fakt, osoba ta na głowie ma kawał futrzanej czapy, a dół twarzy jest zasłonięty przez grubą szal, ale niech mnie diabli porwą, jeśli to nie jest ta sama kobieta. Rok później. Sto sześćdziesiąt kilometrów od Västerås. Z rowerem pośrodku zaśnieżonego lasu.

Na twarzy Deer nie było już ani jednej zmarszczki, kiedy Berger wskazał trzecie zdjęcie i powiedział:

– No to wracamy na werandę domu w Märsta, zaraz po wczorajszej akcji. Stoi tu mniej więcej trzydziestopięcioletnia blondynka z zadartym nosem i rowerem. – Marker znów poszedł w ruch i wokół jednej z postaci pojawiła się kolejna czerwona obwódka. Potem Berger odłożył go na bok i pokręcił głową. – Wykluczyłem kobiety – powiedział. – Było dla mnie oczywiste, że ten drań to mężczyzna, samotny, nieprzystosowany osobnik, który nie utrzymuje kontaktów z ludźmi, a zwłaszcza z płcią przeciwną. Wydaje mi się, że jest tu pewien starszy kolega, który lubi powtarzać, że zdrowo jest czasem wyrzucić swoje uprzedzenia do góry nogami.

– Już go tu nie ma – dobiegł z korytarza donośny męski głos.

Berger bez wahania odwzajemnił jego spojrzenie, które nawet z tak daleka wyglądało na wyjątkowo surowe.

– Jest w Europie – kontynuował Allan. – W Europolu, cokolwiek ma tam do roboty.

– Allanie – powiedział Berger chłodnym tonem. – Miło, że jesteś.

– Nie przeszkadzaj sobie – odparł Allan, z pozoru wygodnie oparty o filar.

– Resztą zajmiemy się później.

Berger wziął głęboki oddech i już miał kontynuować, kiedy odezwała się Deer:

– Czy to było takie proste? Tak cholernie banalne? Powrót na miejsce zbrodni?

– Może – odparł Berger, spoglądając w stronę filaru. – Ale zabawię się trochę w Allana: nie wyciągajmy pochopnych wniosków.

– Jak ten, że kobieta z rowerem miałyby być pierwszą seryjną morderczynią w historii Szwecji? – rzucił wesoło Samir.

– Nie wiemy, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim – odparł Berger i rzucił kose spojrzenie swojemu najbardziej zarośniętemu podwładnemu. – Ale musimy ją znaleźć. Tak jak mówiłem, sądzę, że to ona dzwoniła i wcieliła się w rolę Liny Vikström. Dzięki temu mogła być na miejscu we właściwym czasie. Prawdopodobnie wodziła policję za nos także w pozostałych dwóch przypadkach, bo chciała być na miejscu i patrzeć. Tym niemniej, wówczas dwukrotnie wskazała im niewłaściwe miejsce: klub motocyklowy w Västerås i grób łośia w Värmlandii. Tym razem poprowadziła nas dobrze, ale tylko w połowie. Tak, że okazało się to wyjątkowo frustrujące. I to tylko po to, by skompromitować policjantów. Choć mechanizm z ostrzami to coś całkiem nowego. Julia i Jonna z całą pewnością już nie żyją, ale Ellen wciąż żyje, jestem o tym przekonany. Coś się zmieniło i zastanawiam się co.

– Od czego zaczniemy? – spytała Deer.

– Jak szef uważa? – zapytał Berger.

Allan zrobił przyzwalający, zapraszający gest, ale jego twarz mówiła coś zupełnie innego.

– Już ruszyłem ostro do przodu – powiedział w końcu Berger. – Wysłałem

zdjęcia Robinowi, żeby jego technicy maksymalnie je oczyścili i ujawnili jej rzeczywisty wygląd, a my przepuścimy ją przez wszystkie istniejące programy do rozpoznawania twarzy. Może być też więcej zdjęć, fragmentów wiadomości. To właśnie tu do akcji wkracza rączka Strzała.

Surowa kobieta koło czterdziestki odchrząknęła i ostrym tonem odparła:

– Mów mi Sylvia.

– Mogę ci mówić Hera, Gaja albo Maryja Dziewica, bylebyś tylko coś dla mnie miała.

– Może Freja – podsunęła Deer łagodnym tonem.

Berger posłał jej naprawdę mroczne spojrzenie. Jakby był jednookim bóstwem.

– Udało mi się ustalić następujące rzeczy – zaczęła chłodno Strzała. – Nazwiska kilku fotografów prasowych, którzy byli obecni w trzech miejscach zbrodni, a mówię tak, bo kłusownictwo także jest zbrodnią. Mam też wszystkie fotografie policyjne z tych miejsc. I wreszcie, udało mi się skłonić dwie obecne na miejscu stacje telewizyjne z Märsta, żeby nie usuwały plików z filmami, które im zostały. Krąży też pogłoska, że przy klubie motocyklowym w Västerås była ekipa telewizyjna, ale nakręconego materiału nie wyemitowano. Nie zdążyłam tego sprawdzić.

– Doskonale – stwierdził Berger. – Działaj dalej, Strzało. A wy, ekipo z Märsta, wróćcie tam i pukajcie do drzwi ze zdjęciami w rękach. Jak znam ekipę Robina, niedługo ich jakość będzie lepsza.

– Ale w takim razie będziemy musieli upublicznić je w mediach, prawda?  
– zapytała Deer.

Berger popatrzył na nią i odparł:

– To jedna z najdelikatniejszych kwestii, w jakiej kiedykolwiek miałem podjąć decyzję. – Powiódł wzrokiem po bezzmarszczkowym audytorium i kontynuował: – Naszym jedynym zadaniem jest znalezienie Ellen Saviger

tak szybko jak to możliwe. Kiedy tu rozmawiamy, ona gdzieś tam cierpi piekielne męki. Każde nasze słowo i każdy krok muszą pomieścić ból tej niewinnej dziewczyny. Wszystko rozbija się o czas.

Wskazał zdjęcie uśmiechniętej Ellen Saviger. Cała grupa widziała ten uśmiech każdego dnia, od trzech tygodni – był trochę powściągliwy, a jednocześnie wyrażał bezgraniczną wiarę w przyszłość.

Obok portretu były umieszczone zdjęcia ubrań, które Ellen miała na sobie w chwili zaginięcia, w tym eleganckiej, trochę zbyt letniej sukienki w duże kwiaty.

– Prawdopodobnie – powiedział – szybciej znaleźlibyśmy kobietę z rowerem, gdyby wszystkie media jednocześnie opublikowały jej zdjęcie. Ale w ten sposób także byśmy ją ostrzegli. Nie chcę ryzykować powtórki z Märsta. Teraz mamy tę przewagę, że wiemy coś, czego ona nie wie. Musi tak zostać jak najdłużej. Dopóki mamy nad nią choćby najdrobniejszą przewagę, musimy to wykorzystać.

Urwał, ale wyraźnie było widać, że jeszcze nie skończył.

Wskazał dwa rysopisy Erika Johanssona i umieścił obok nich powiększony portret kobiety z rowerem.

– W tej chwili to najlepsze zdjęcie, jakie mamy. Ich wzajemne powiązanie jest niejasne. Ona istnieje. Czy istnieje on, tego wciąż jeszcze nie wiadomo. –

Kolejna pauza. Po chwili mówił dalej: – Liczy się tylko jedno. Musimy ją złapać.

Wydawało się, że to jeszcze nie koniec. Członkowie grupy, podnosząc się z krzeseł, zastygli w pół ruchu i wbili wzrok w Bergera.

Ten spojrział na filar w korytarzu i, głośno i wyraźnie, oznajmił:

– No i, dobrzy ludzie, oczywiście nie powinno się używać tego określenia na „s”, ale ścigamy tu seryjnego mordercę.

Kiedy członkowie grupy zaczęli się rozchodzić, rozbrzmiał donośny

baryton:

– Moje biuro – oznajmił Allan, nie odrywając wzroku od Bergera.  
Można się było tego spodziewać.

# 7

## Poniedziałek, dwudziesty szósty października, godz. 11:34

CHOĆ GABINETY szefów prawie zawsze są bezosobowe, Allan starał się pobić wszelkie rekordy. Ani jednej książki z prawdziwego zdarzenia na półce – tylko nieoznakowane teczki i segregatory z wojskowymi skrótami na pożółkłych etykietach. Ani jednego zdjęcia na biurku, ani jednego przedmiotu, którego pojawienie się mogłoby być poprzedzone choćby najbardziej niewyraźną refleksją na temat dekoracji. Nie było żadnego dyplomu na ścianie, kija golfowego, haczyka wędkarskiego, żadnej przypinki klubu piłkarskiego czy instrukcji obsługi kosiarki.

– No i? – powiedział Allan i posłał w jego stronę groźne spojrzenie.

– Zrobiłem dokładnie to, co mi kazałeś – odparł Berger. – Co do słowa. Nic nie mówiłem bez dowodów. Jeżeli kobieta z rowerem nie jest dowodem na to, że te trzy sprawy się ze sobą łączą, to nie ma czegoś takiego jak dowód.

– A potem użyłeś określenia zaczynającego się na „s”.

– W rozmowie ze współpracownikami, nie z mediami. Tajemnica służbowa obowiązuje ich w takim samym stopniu jak nas.

– Ale mają mniej do stracenia.

– Nie jestem pewien, czy mam tak wiele do stracenia – odparł Berger. – Stylowy tytuł inspektora kryminalnego?

– Życie – odparł Allan.

– Moje życie? I to mówi człowiek, dla którego centrum świata jest to pozbawione duszy biuro?

– A jak wygląda twoje miejsce pracy?

– Nie mam ścian, które mógłbym udekorować.

– Ale masz zdjęcie w ramce. Naprawdę przytulny ten twój kącik. Czy to Łuk Triumfalny? *L'Arc de Triomphe*?

– Przestań – powiedział Berger.

– Oni już nie są częścią twojego życia. Nie ma ich. Twoje życie toczy się teraz tutaj. I tylko tutaj. Nie chcesz tego stracić.

– Co ty mi próbujesz powiedzieć, Allan?

– Jak wiadomo, niedługo idę na emeryturę. Liczę na to, że ty zajmiesz moje miejsce. Naprawdę masz wiele do stracenia. Nie powinieneś być używać tego określenia na „s”. Zrobiłeś to, więc w ciągu najbliższych dni przeczytamy o tym w gazetach.

– Trzy zaginione piętnastolatki – powiedział Berger. – Dwie z nich zaginęły ponad rok temu. Gwarantuję ci, że to jest seryjny morderca, który z jakichś powodów wyspecjalizował się w piętnastoletnich dziewczynach.

Allan uważnie mu się przyglądał. Potem się odwrócił i wyszarpnął jakiś dokument ze stosu na stole.

– Noże – oznajmił i zilustrował to trudnym do zinterpretowania gestem. – Robin twierdzi, że są domowej roboty. W Narodowym Centrum Kryminalistycznym, naszym kochanym NCK, trwa właśnie coś nietypowego, a mianowicie badania metalurgiczne. Odlewanie żeliwa w domu zdarza się na tyle rzadko, że taki czy inny element tego procesu da się pewnie wyśledzić.

– Może też samą umiejętność – odparł Berger. – Skąd, do cholery, można wiedzieć, jak odlać nóż, żeby leciał prosto. Trzeba mieć pojęcie o technice.

– To również jest przedmiotem badań. Robin naprawdę aktywnie działa,

ma całą listę opatrzoną tytułem: „Zrobione jeszcze raz, jak trzeba”. Coś ci to mówi?

– Nie – odparł spokojnie Berger.

– Lista jest następująca: noże, mechanizm-pułapka, pętle do mocowania, nowa ściana, odkurzacz, labirynt.

– Żadnych badań toksykologicznych?

– Jeszcze nie dotarłem do raportu Krajowej Agencji Medycyny Sądowej. Najpierw, jeśli szanownemu panu to odpowiada, chciałbym omówić listę Robina, krok po kroku. I muszę powiedzieć, że podpunkt drugi, mechanizm-pułapka, brzmi ironicznie. Jak myślisz, Sam?

– Nie mam pojęcia – odparł Berger. – A labirynt?

– A więc to cię interesuje? – odparł wyniośle Allan. – Cierpliwości, lecimy po kolei. A więc mechanizm-pułapka.

Telefon Bergera był na tyle taktowny, żeby akurat w tej chwili zadziałać jak budzik. Choć właściwie ktoś dzwonił. Bez zbytniego pośpiechu Berger wyciągnął komórkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i przekrzykując sygnał, który brzmiał jak ryk zarzynanej świni, oznajmił:

– Powinienem odebrać.

Histeryczne chrząkania trwały, a on patrzył na Allana. W końcu Allan odpowiedział niecierpliwym, ale twierdzącym gestem. Berger odebrał, przedstawił się i przez resztę rozmowy nic nie mówił. Potem po prostu wstał, włożył telefon do wewnętrznej kieszeni i oznajmił:

– Później to dokończymy, Allan.

Berger starał się robić wrażenie spokojnego. Na korytarzu szedł powoli, dopóki nie był pewien, że nie widać go z biura Allana. Wtedy przyśpieszył.

Rzucił się po schodach i biegł korytarzami. Po kolejnych kilku schodach i korytarzach dotarł do anonimowych drzwi i szarpnął klamkę.

Na ograniczonej powierzchni, wypełnionej nagimi biurkami



i obramowanej regałami, w pewnej odległości od siebie siedziało trzech mężczyzn. Wszyscy podnieśli wzrok, kiedy Berger wpadł do środka, ale w ich oczach nie było nic, co można by uznać za zainteresowanie. Popędził dalej, za regały, i spostrzegł rząd drzwi. Otworzył pierwsze z lewej. Zobaczył prawdziwy park komputerowy i surową kobietę około czterdziestki. Kiedy się do niego odwróciła, wyglądała mniej surowo niż zwykle. Jej rzadkie włosy mysiego koloru stały dęba.

– Strzała – wydyszał Berger.

– Samcze – rzuciła tylko.

– *Talk to me* – odparł Berger.

– Västerås – oznajmiła i zrobiła nieokreślony gest w kierunku najbliższego ekranu. – Klub motocyklowy. Lokalna telewizja rzeczywiście tam była, ale materiał przegrał z wiadomością sportową. Chyba hokej. Materiał się nie zachował, ale operator znalazł dysk zapasowy. Jest na nim trochę surowych filmów.

– Mówiłaś, że masz coś do pokazania – odparł krótko Berger.

Strzała spojrzała na niego w niezbyt przyjemny sposób. Potem nacisnęła lewy przycisk myszy i na ekranie pojawił się rozedrgany obraz.

Na początku rzucała się w oczy zimowa sceneria, a w niej kilku lekko otyłych mężczyzn w skórzanych kamizelkach, przyciśniętych do ziemi przez policjantów – na każdego przypadało co najmniej dwóch. Ze środkowego spośród pięciu ledwo widocznych budynków wyprowadzano młodą, bladą, niedożywną dziewczynkę owiniętą kocem. Kiedy się zbliżała do obiektywu, Strzała powiedziała:

– Oksana Chavanska, lat czternaście. Później dostała azyl w Szwecji. Podobno mieszka w Falun, ma nową tożsamość, chodzi do szwedzkiej szkoły. Ale patrz teraz.

Kamera się odwróciła, przejechała po twarzach ludzi po drugiej stronie

blokady i skupiła się na młodym człowieku, który próbował zatrzymać kogoś, z kim mógłby porozmawiać. Po wyjątkowo nieudanej próbie rozmowy z dowódcą policji, który rezolutnie wpychał mu mikrofon w usta, dziennikarz odwrócił się w stronę tłumu ciekawskich, wyraźnie grając na zwłokę. Kiedy ludzie, jeden po drugim, zaczęli gadać od rzeczy do zaślinionego mikrofonu, Strzała przyśpieszyła, ale wtedy zniknął dźwięk. W końcu kamera znów zrobiła obrót i w kadrze znalazł się rower.

Na ekranie pojawiło się zbliżenie koła. Strzała przywróciła normalną prędkość nagrania. Dźwięk powrócił. Reporter miał neurotyczny głos.

– Jak się pani tu znalazła? – zapytał.

Kamerzysta nadal próbował ustawić ostrość na kole. W końcu mu się udało i kamera podjechała do góry.

To była ona. Kobieta z rowerem. Sam widok jej twarzy w ruchu miał w sobie coś wyjątkowego. Jakby dopiero teraz stała się prawdziwa.

Na jej twarzy rzeczywiście wiele się działo. Można było pomyśleć, że za ruchami mięśni kryje się jakiś wyjątkowo złożony proces decyzyjny. Ciało było już w drodze, gotowe do powrotu. Nagle jednak język niewerbalny nabral in nego charakteru i kobieta odpowiedziała:

– Po prostu przejeżdżałam obok.

Zaskakująco niski głos, pomyślał Berger i przyjrzał się jej twarzy.

– Co pani o tym sądzi? – rozbrzmiał gorączkowy głos reportera.

– O czym konkretnie powinnam coś sądzić?

– O ataku policji na gang motocyklowy.

Kobieta wskazała przez ramię reportera i odparła:

– Zdaje się, że uwolnili kogoś, kto był porwany. No to chyba dobrze.

Ku swojemu zdziwieniu Berger pomyślał: tak, ciebie na pewno chcę mieć w pokoju przesłuchań.

– Dziękuję – oznajmił reporter, najwyraźniej szczerze. – Jak się pani

nazywa?

Berger poczuł dreszcz. Obserwował.

Znów mięśnie twarzy. Podobny schemat ruchu. W końcu odpowiedziała:

– Nathalie Fredén, ale chyba nie pokaże pan w telewizji takiego gówna?

– Pauza – zarządził natychmiast Berger.

Kątem oka dostrzegł, że twarz Strzały przybliżyła się do ekranu o jakieś dziesięć centymetrów. Tak jak jego.

– Co powiesz? – zapytał.

– O czym? – odparła, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Co to było?

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Co ona właśnie powiedziała?

Berger musiał przyznać, że Strzała to nie Deer. Była niezwykle biegła, gdy chodziło o prace archiwistyczne, ale z analizą było już gorzej. Cenił Strzałę – chodzili razem do szkoły policyjnej – i tylko ona miała odwagę nazywać go Samcem. Była gwiazdą, gdy chodziło o komputery i wyszukiwanie informacji, w swoim fachu odznaczała się niebywałą wprost szybkością, ale nagle zatęsknił za spojrzeniem Deer.

Mikrometeorologia – pomyślał i wybuchnął śmiechem.

Strzała przyglądała mu się sceptycznie. Powiedział:

– Odpowiedź brzmiała: „Nathalie Fredén, ale chyba nie pokaże pan w telewizji takiego gówna?”. Co to miało być?

Strzała kilka razy gwałtownie zamrugała:

– Pewnie chcesz wiedzieć, czy znalazłam jakąś Nathalie Fredén?

– Oczywiście. Niedługo. Ale najpierw to.

Spostrzegł, że napina jej się kark.

– Wygląda, jakby się zastanawiała przed podaniem nazwiska – powiedziała w końcu. – Zastanowiła się, zanim udzieliła odpowiedzi.

– I podała nazwisko, które być może nie jest prawdziwe. Ale potem?

– Okej – odparła Strzała. – Podaje nazwisko, a potem bardzo szybko dodaje, że takie gówno nie powinno zostać wyemitowane w telewizji. Coś w tym stylu.

– A dlaczego?

– Nie wiem. Dlaczego?

– Bo chce mieć pewność, że to się nie pojawi w telewizji. Ale jednocześnie decyduje się podać nazwisko. Komu?

– Nie przesadzaj – odparła Strzała. – Skoro się przedstawiła, może to trafić do materiału jako podpis. Na dole, w ramce. Materiał nie został wyemitowany, zamiast niego puścili hokej, ale nie mogła tego wiedzieć. Jeśli nie chciała, żeby nazwisko trafiło do telewizji, mogła go nie podawać.

– Masz rację – przyznał Berger z namysłem. – To niewątpliwie ryzykowny ruch. Podanie nazwiska mogło jednak być świadomą decyzją. Dlaczego? – Odpowiedziało mu tylko milczenie. – Dobrze, to pytanie odłożymy na później. A więc namierzyłaś kobietę o nietypowym nazwisku Nathalie Fredén?

– Nie ma ich wiele w Szwecji. Tu jest Västerås. Chcesz od niego zacząć, potraktować je jako punkt początkowy? Uznać, że ona zaczyna tu, a potem rozszerza pole działania?

– Nie wiem – przyznał Berger. – Nie jest nawet pewne, czy Julia Almström jest pierwszą ofiarą. Czy w Västerås jest jakaś Nathalie Fredén?

– Nie – odparła Strzała. – Tylko w Sztokholmie.

– Jedna?

– Trzy. Pierwsza to noworodek z Farsta. Druga chodzi do czwartej klasy szkoły podstawowej w Alvik. Trzecia ma trzydzieści sześć lat i mieszka na Odenplan.

– Jasna cholera. Coś jeszcze?

– Raczej nie. Nie zdążyłam. Na jej temat nie mamy zbyt wielu informacji. Mieszkanie przy jakiejś Vidargatan. Powinniśmy je objąć obserwacją?

– Natychmiast. I prześlij mi mailem wszystko, co masz. Jej dowód? Prawo jazdy? Numer ewidencyjny?

– Prześlę wszystko. Ale *none of the above*, bo nic z tego jeszcze nie mam.

– Musimy rozpocząć poszukiwania na szeroką skalę – oznajmił Berger i wyszedł.

Po kilku sekundach wsunął głowę z powrotem do jej boksu i dodał:

– Dziękuję.

\*\*\*

Czas przybrał dwie formy. Najpierw wszystko rozgrywało się z nieprawdopodobną, zawrotną, wręcz niemożliwą do ogarnięcia prędkością. Berger stał przy wiekowej tablicy i próbował wszystko streścić, a coraz liczniejsza grupa kursowała tam i z powrotem z informacjami. Starał się, jak mógł – przyczepiał magnesami karteczki, rysował kreski i strzałki.

Nie mieli dowodu osobistego, prawa jazdy i żadnych nowych zdjęć. Mieli za to numer ewidencyjny powiązany z mieszkaniem przy Vidargatan. I plan mieszkania.

– Chyba jest niezbyt cyfrowa – powiedziała Deer. – Nie ma profilu na Facebooku, Twitterze ani Instagramie, przynajmniej pod swoim nazwiskiem. Żadnego adresu mailowego, który można by było znaleźć od ręki. Nie ma też bloga ani strony internetowej.

– To możliwe w dzisiejszych czasach? – zdziwił się Berger.

Samir podszedł do nich i podrapał się po brodzie.

– Zeznania podatkowe – powiedział i zamachał papierami.

– No i? – odparł Berger. – Mamy pracodawcę?

– Nie, w zeznaniach są tylko małe kwoty z ostatnich czterech lat. Wcześniejszych deklaracji nie ma.

– Drobne kwoty?

– Z różnych źródeł. Nigdy nie jest to więcej niż dziesięć tysięcy koron. Próbowałem się skontaktować z kilkoma zleceniodawcami, ale jeszcze nie odpowiedzieli.

– Co to za zlecenia?

– Nie wiadomo. Pewnie prace biurowe. Może sprzątanie. Nie da się stwierdzić. To agencje pracy tymczasowej.

– Mów dalej – polecił Berger i przyczepił zeznania podatkowe do tablicy. Patrzył na nie, wpatrywał się w pedantyczny podpis, który bez trudu dało się odczytać jako Nathalie Fredén.

– Raport z Vidargatan – rozległ się głos zza jego pleców.

Berger się odwrócił i zobaczył młodego funkcjonariusza policji kryminalnej. Jego imię wyleciało mu z głowy.

– Okej, no i?

– W mieszkaniu nie ma nikogo – powiedział młodzieniec, a Berger wciąż próbował sobie przypomnieć, jak się nazywa.

– Tylko mi nie mów, że jakiś dureń zadzwonił do drzwi.

– Podśluch zewnętrzny *et cetera*. Obserwacja na miejscu, przed domem, w systemie zmianowym. Zdjęcia wchodzących i wychodzących.

– Dzięki – odparł Berger, a kiedy młodzieniec wychodził, dodał: – Dzięki, Raymond.

Odwrócił się do tablicy i zaczął myśleć o dwóch sprawach. Po pierwsze, co w tym wypadku oznaczało *et cetera*, a po drugie, gdzie właściwie leży Vidargatan. Stał i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Po jakimś czasie się odwrócił.

– Niech to szlag! – ryknął w przestrzeń. – Mamy numer ewidencyjny, na pewno można zdobyć więcej. I szybciej. Skoro nie pracuje, jakim cudem stać ją na mieszkanie na Odenplan? Co z kontami bankowymi? Dlaczego zaczęła

zarabiać pieniądze dopiero po trzydziestce? Czy była w jakichś ośrodkach? Szpitalach psychiatrycznych? Siedziała w więzieniu? Dajcie mi coś!

– Ma czystą kartotekę – dobiegł skądś głos Deer. – Ale to już wiesz.

Nagle pojawiła się u jego boku Maja, postawna i dostojna, i typowym dla siebie pryncypialnym tonem oznajmiła:

– Deklarowany stan cywilny Nathalie Fredén to panna. Urodziła się trzydzieści sześć lat temu w Umeå. Rodzice, John i Erica, nie żyją. Namierzyłam za to jej podstawówkę, szkołę Mariehem. Właśnie wygrzebują wszystko, co mają, włącznie ze zdjęciem klasowym. Wygląda na to, że chodziła tam tylko trzy lata.

– I jak miałyby nam pomóc jakieś pieprzone zdjęcie z trzeciej klasy podstawówki? – wrzasnął Berger.

Deer stanęła koło Mai, przez co wyglądała na jeszcze mniejszą niż zwykle.

– Teraz mówisz jak Allan – stwierdziła i posłała mu złowieszcze spojrzenie.

Spojrzał na nią i wziął kilka głębokich oddechów przez nos.

– Oddech jogiczny – odezwała się Deer.

– Rozumiem – powiedział w końcu Berger. – Sprawdźmy, czy to rzeczywiście ona.

– W biografii Nathalie Fredén są wyraźne dziury – oznajmiła spokojnie Maja. – Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli chociaż potwierdzić, że to ta sama osoba. Albo jeszcze lepiej: że to nie ona.

– Dobrze – potwierdził Berger. – Przepraszam. Kontynuujcie.

Maja wróciła na miejsce, Samir podszedł i stanął obok Deer. Wyglądał, jakby czekał na swoją kolej, więc głos zabrała Deer:

– Być może mam profil na Facebooku. Należący do niejakiej N. Freden, bez akcentu nad „e”. Żadnych wpisów i żadnych znajomych. Widocznie

konto jest zdezaktywowane. Ale przy rejestracji podano numer telefonu i adres mailowy. Zadzwoiłam, ale nie ma takiego numeru.

– Mimo wszystko sprawdźcie go – polecił Berger. – A adres mailowy?

– Przekazałam go technikom.

– Dobra robota, Deer. Szukaj dalej. Samir?

– Pierwsza rozmowa z agencją pracy tymczasowej, w której Nathalie Fredén była zatrudniona trzy lata temu. Figuruje w ich rejestrach, ale nikt jej nie pamięta. Wypożyczono ją jako pracownicę biurową nieistniejącej już wypożyczalni samochodów z Ulvsundy.

– Hm – mruknął Berger. – Wyraźne dziury w biografii Nathalie Fredén robią się coraz wyraźniejsze. Pracujcie dalej. Znajdźcie byłych pracowników tej wypożyczalni.

Samir obrócił się na pięcie i wrócił do swojego stanowiska.

Zapadła nagła cisza. Berger obserwował tablicę. A zwłaszcza widoczne na niej luki.

– Może nie przebywała zbyt długo w Szwecji – powiedziała Deer.

Już zapomniał, że tam stała.

– Może – odparł.

– Choć z drugiej strony ma szwedzki numer komórki i była w kraju przez ostatnie...

– ...trzy lata – dokończył Berger.

– Ale wcześniej mogło jej nie być.

– Możliwe.

Nagle znów pojawiła się Maja. Bez słowa wyciągnęła rękę z kartką. Widniało na niej wyblakłe zdjęcie – twarz prawdopodobnie wycięta z tłumy. Bardzo młoda twarz.

– Trochę zadarty nos – stwierdziła Deer.

– I blond włosy – dodała Maja. – To może być ona.



– Trzecia klasa – powiedział Berger. – Ile ma się wtedy lat? Dziewięć? Dziesięć? Co to dojrzewanie robi z ludźmi... Niektórzy wyglądają prawie tak samo jak przedtem, inni zmieniają się nie do poznania. A jak to jest z Nathalie Fredén?

Cała trójka patrzyła na tablicę – Berger umieścił zdjęcie klasowe pomiędzy dwiema najostrzejszymi fotografiami twarzy kobiety z rowerem.

– Może być – powiedziała w końcu Deer.

– Dobre podsumowanie – stwierdził Berger. – Może być i nic więcej. Kompletnie bez znaczenia. Ani prawda, ani fałsz. Szkoda, że dziewięcioletnia Nathalie Fredén nie została adoptowana z Biafry.

– Z Biafry? – odezwała się Deer.

Berger po raz pierwszy od bardzo dawna spojrzął w okno. Znow zaczęło padać – twarde, ciężkie krople tłukły o szyby. To właśnie był moment, w którym czas przybrał drugą formę. Szybkość ustąpiła miejsca powolności. Ani jedna z możliwych dróg nie wiodła dalej, wszystko dreptało w miejscu. Stało się jasne, że wszyscy pracodawcy Nathalie Fredén to agencje pracy tymczasowej i że jej kariera zawodowa w Szwecji rozpoczęła się cztery lata wcześniej. Nie mogli jednak uzyskać bardziej szczegółowych informacji z żadnej z firm, bo nie nawiązywały one osobistych kontaktów ze zleceniobiorcami, co wynikało z charakteru ich działalności. Nie udało się też ustalić nic więcej na temat adresu mailowego „N. Freden” i zlikwidowanej wypożyczalni samochodów w Ulvsundzie. Nie namierzono kont bankowych ani niczego takiego. Nie udało się też znaleźć ani jednej osoby, która spotkałaby Nathalie Fredén chociaż raz w ciągu jej trzydziestosześcioletniego życia. Nie było żadnych kolegów z klasy, sąsiadów, współpracowników, przyjaciół.

W końcu Berger miał tego dosyć. Kiedy wychodził z biura, usłyszał ostrożne pytanie Deer:

– Dentysta?

Odwrócił się, wykonał gest w kierunku tablicy i odparł:

– Możesz tak na mnie mówić, proszę bardzo. W końcu mamy tu pełno dziur.

## 8

**Poniedziałek, dwudziesty szósty października, godz. 18:47**

JUŻ OD DAWNA panował zmrok, a deszcz nie przestawał padać.

Przy zapomnianej bocznej uliczce świeciły dwie latarnie. Obie dyndały na przewodach, które wyglądały na śmiertelnie niebezpieczne i ciągnęły się od fasady do fasady. W nieustannie zmieniających się plamach światła wieczór ukazywał swój prawdziwy charakter. Poza szczątkowym światłem nie dało się zobaczyć, jak mocna jest ulewa, ale także w ciemności można ją było wyczuć i usłyszeć. Deszcz wygrywał rozmaite tony na dachach samochodów zaparkowanych przy kikucie ulicy. Kiedy jednak nadjechało granatowe volvo, musiał się zdobyć na dodatkowy wysiłek. Odgłosy deszczu zostały zakłócone przez heavy metal. Dwaj mężczyźni w samochodzie nie byli więc przygotowani na pukanie.

Berger widział wyraźnie, jak ich palce błędzą wzdłuż rzędów guzików szczelnie zapiętych kurtek. Z drugiej strony doskonale ich rozumiał, bo sam się nasiedział w samochodach patrolowych, i tym, co najgłębiej wryło mu się w pamięć, nie była nuda, głód ani pełny pęcherz, ani nawet zapachy – tylko zimno.

– Musicie przyciszyć – powiedział przez opuszczoną szybę. – Słyszać was na chodniku.

– Sam – odparł krótko starszy z nich i z pełną determinacją powolnością sięgnął do pokrętła.

– Jakież oznaki życia? – spytał Berger.

– Czy widzę to, co widzę? – odparł mężczyzna. – Masz pojęcie, jak śmiesznie wygląda gliniarz z parasolem?

– Jakież oznaki życia? – powtórzył Berger spod parasola.

– Dalibyśmy znać.

– Sfotografowaliście wszystkich wchodzących i wychodzących?

Na potwierdzenie młodszy mężczyzna siedzący na fotelu pasażera uniósł nieproporcjonalnie duży aparat.

– Dużo ludzi? – ciągnął Berger.

– Nie bardzo – odparł starszy. – Kilkanaście osób, odkąd zaczęliśmy zmianę.

– Da się też zajrzeć do domu – powiedział młodszy i wskazał kierunek. – Widać ich przez okna klatki schodowej.

Berger skinął głową.

– Jeżeli się tu pojawi w ciągu najbliższych trzydziestu minut, nic nie róbcie i nie zgłaszajcie tego – polecił. – Nie spuszczaście jej z oka, kiedy będzie na klatce, ale nie interweniujcie, dopóki nie uznacie sytuacji za krytyczną. Zrozumiano?

– To znaczy, że ty...

– Zrozumiano?

– Zrozumiano.

Kiedy przecinał Vidargatan, jego parasol rozpadł się na wietrze. Zostawił resztki na chodniku, podszedł do niepozornej bramy, wystukał kod, wszedł po schodach i stanął przed drzwiami, jak dotąd nietkniętymi.

To była świadoma policyjna decyzja, podjęta przez Allana: nie wchodzić do mieszkania, w którym może być pułapka. Albo przynajmniej alarm. Albo kamery. Ryzyko, że takie najście zaalarmuje Nathalie Fredén, oceniano jako duże. To zaś mogło sprawić, że zniknie i, tak jak jej tożsamość, nie pozostawi

po sobie śladu.

Berger wpatrywał się w płytki podłogowe na klatce schodowej. Widać było na nich mokre ślady. Wokół jego stóp zaczęła się już formować niewielka kałuża. Wiedział, że te ślady utrzymają się dobrą chwilę.

Innymi słowy, wszystko przemawiało za tym, żeby nie wchodzić do środka.

Także to, że słowa Allana nie brzmiały już jak żart. Zdawał sobie sprawę, że jeśli w jakikolwiek sposób ostrzeże Nathalie Fredén, to naprawdę zostanie wylany z pracy.

Mimo to wyciągnął wytrych.

I włożył go do zamka.

Obejrzał szczelinę między drzwiami a futryną, kawałek po kawałku. Nie zauważył niczego typowego, żadnych włosów ani wepchniętych kawałków papieru, niczego, co w oczywisty sposób mogłoby go powstrzymać przed wejściem.

Po raz ostatni się namyślił. Głęboko.

Nawet jeśli wszystkie zewnętrzne kontrole temu przeczyły, istniało mikroskopijne prawdopodobieństwo, że Ellen Saviger jest za drzwiami. Cały jego organizm protestował przeciwko dalszemu czekaniu.

Zostawił wytrych w zamku, podszedł do okna i wyjrzał. Wszystko się zgadzało – zobaczył policyjny samochód. Podniósł rękę, a w odpowiedzi młodszy policjant uniósł duży aparat. Berger się cofnął. Fragmenty słabego ulicznego światła odbijały się w czarnych strużkach, z których każda chciała spłynąć na Vidargatan jako pierwsza.

Znów był na deszczu. Stał za resztką domu – drewniana ściana za jego plecami była tak zbutwiała, że aż rozmiękła. Policjanci, jeden po drugim, znikali w deszczu, pochłonięci przez szarość. Przyśpieszył. Słyszał za sobą sapliwy oddech Deer. Piekielny dom był niewidoczny.

Całkiem możliwe, że piekło czekało również za tymi zwyczajnymi drzwiami.

Musiał się na to przygotować. Psychiczenie, fizycznie i jako policjant. Ta refleksja przyszła nagle. Przez długi czas pędził tak szybko, że nie dostrzegał niczego dookoła.

Spojrzał na dłoń spoczywającą na wytrychu. Choć w zasadzie już nie spoczywała. Poruszała się. Jakby tylko częściowo należała do niego. Jego dłoń była małym gryzoniem, królikiem tuż po urodzeniu, różowym i drżącym, już gotowym na żywot zwierzyny.

Rany na kostkach prawej dłoni znów się otworzyły. On sam był otwarty na otoczenie.

Deszcz tłukł o czarną jak węgiel szybę.

Światło z wyłącznikiem czasowym zgasło. Klatka schodowa zmieniła charakter. Jeszcze przed chwilą tak swojska, pogrążyła się w ciemnościach zupełnie innego rodzaju. Berger znalazł się w zupełnie innej rzeczywistości – w świecie rządzonej przez mrok. Pomyślał, że wszelkie światło jest ułudą, pocieszającą, kłamliwą powłoką, która pozwala żyć, osiągnąć dorosłość. On sam był teraz w innej erze, w której nadal rządzą barbarzyńcy; w erze, do której nie wkroczyła jeszcze iluzja cywilizacji.

To był świat w stanie surowym.

Nie dało się go opuścić.

W ciemności zobaczył świecący na czerwono włącznik światła. Był tylko kilka metrów dalej, pozornie łatwo dostępny. Wystarczyło wyjąć wytrych z zamka, zapalić światło i wrócić na Vidargatan. Za rogiem, w sztucznym świetle Odenplan, kłębił się tłum ludzi. Wiedział, że to zaledwie pół minuty drogi.

A jednak czuł, że jest inaczej. Byli raczej po drugiej stronie wszechświata. Miliardy lat świetlnych od niego.

On zaś znajdował się tutaj. Uwięziony w ciemności. Zaczarowany przez ciemność.

Usłyszał kliknięcie – wytrych zadziałał. Wyjął pistolet, uniósł latarkę i otworzył drzwi.

Poczuł ciąg powietrza – jakby ciśnienie w środku było znacznie niższe niż na zewnątrz. W mieszkaniu panował kompletny mrok.

Poświecił, nasłuchiwał. Żadnego dźwięku, nie dało się też nic zobaczyć. Żadnego zapachu. Ani pułapki. Dziwna pustka. Dwa pokoje i kuchnia. Przeszedł się po nich. Zajrzał do łazienki. Mieszkanie było wysprzątane, spartańskie. W toalecie nie zauważył żadnych plam. Brakowało szczoteczki do zębów. Kuchnia była równie czysta, ale w zlewie stał kubek z zaschniętymi resztkami kawy. Zmywarka była pusta. Teraz sypialnia. Łóżko przykryte prześcieradłem. Brak kołdry i narzuty. O tej porze roku kołdra z całą pewnością była potrzebna. Na koniec salon. Na płaskim telewizorze nie było kurzu. Pilot leżał na swoim miejscu na półce RTV. Wieża stereo miała już swoje lata. Odtwarzacz płyt kompaktowych. Kiedy przestano je produkować? – zastanowił się. Skórzana kanapa była twarda, niewysiedziana. Powąchał dwie poduszki i mocno zwinięty koc. Pachniały raczej zakładem produkcyjnym niż człowiekiem. Książki na półce były standardowe do granic absurdu – przewodniki turystyczne, światowe bestsellery, nic, co mogłoby zdradzić osobisty gust.

Kiedy już obejrzał wszystkie pomieszczenia, zaczął przesuwać wiązkę światła po ścianach. Szukał dwóch rzeczy: oznak alarmów lub kamer i zmian koloru. Nic takiego nie znalazł. Przynajmniej w przyćmionym świetle latarki. Wszystko wyglądało aż nazbyt normalnie. Filiżanka w zlewie była jedyną oznaką ludzkiej obecności.

Niepokoilo go to. Świadczyło o ascezie, ta z kolei świadczyła o fiksacji, zadaniu do wykonania, zadaniu ważniejszym niż życie. Nawet nie chodziło

o to, że życie trwało, a ten ktoś był zajęty planowaniem. Po prostu nie było żadnego życia. Przynajmniej w tym miejscu.

Wyjął z kieszeni plan. Chodząc po mieszkaniu, próbował zidentyfikować wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne ściany. Szybko mu się to udało. Jeżeli Nathalie Fredén nie zaanektowała któregoś z sąsiednich mieszkań, nie było tu ukrytych przestrzeni. Żadnych labiryntów.

Włożył jednorazowe rękawiczki i wrócił do łazienki. Przeciągnął dłonią po listwach i zebrał sporo kurzu. Jeszcze raz zajrzał za zasłonkę prysznicową, która skrywała wannę. Prysznic wisiał na wysokości, która pozwalała najwyżej na umycie klatki piersiowej. Nie było szamponu ani balsamu pod prysznic. I znowu: brakowało szczoteczki do zębów.

Nie można nie mieć w mieszkaniu szczoteczki do zębów. Jeżeli jej nie ma, to znaczy, że lokator wyjechał i ją zabrał albo mieszka gdzie indziej. Z reguły u partnera.

Niech to szlag, pomyślał nagle. Uświadomił sobie, że jest jeszcze jedno miejsce.

Może nawet z partnerem...

Miał dość. Nie było nic więcej do odkrycia. Żadnych ukrytych zakamarków. Niczego, czego nie dałoby się zauważyć z zewnątrz. A przynajmniej niczego, co dałoby się zdobyć, korzystając z nieobecności lokatora.

Siadł przy stole w kuchni, skąd miał widok na dwie strony – na korytarz i drzwi wejściowe oraz na okno z widokiem na dziedziniec. Ledwo widoczna osika, smagana wiatrem, wymachiwała gałęziami, na których widniały nieliczne już pożółkłe liście. Stukot deszczu zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Berger postawił latarkę tak, że świeciła w sufit, i położył przed sobą służbowy pistolet. Przeciągnął palcem po równej powierzchni drewnianego stołu i powąchał. W końcu poczuł zapach – własnej rękawiczki. Nic więcej.



Siedział pod parasolem słabego światła latarki. Może się zastanawiał. A może tylko marnował czas. Choć raz za razem spoglądał na swój rolex, nie był pewien, ile czasu minęło. Mimo że naprawdę próbował, nie potrafił odczytać godziny – tarcza była niemal zupełnie pokryta wilgocią.

Właściwie nie zareagował na kroki na klatce schodowej. Prawdopodobieństwo, że to Nathalie Fredén, było zerowe. Wyniosła się. Cały ten szajs był daremny.

Chciało mu się płakać.

Żałował, że nie pamięta, jak to się robi.

Piętnastoletnia Ellen Saviger przepadła.

Ten ktoś był tuż obok. Berger wyobraził sobie, jak mija drzwi i wchodzi na kolejne piętro. Było to jak nadzieja, która nagle się pojawia i równie szybko znika, natychmiast zapomniana i pozostawiająca po sobie tylko wybrzmiewającą echem pustkę.

Ale jego wyobrażenia odbiegała od rzeczywistości.

Kiedy rozległ się dźwięk klucza w zamku, myślami był gdzie indziej.

Nagle usłyszał, że drzwi się otwierają, i ledwo zdążył zgasić latarkę. Jakaś postać, mroczniejsza niż sam mrok, weszła do środka, a po kilku sekundach włączyła ostre światło. Jego zdolność widzenia w ciemności zniknęła jak nożem uciął.

Kobieta miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy w kolorze brudnej bieli. Zajrzała do kuchni, jakby coś przeczynała. Kiedy odwróciła się lekko w bok, wyraźnie było widać jej zadarty nos.

Berger chwycił pistolet i krzyknął:

– Nathalie Fredén! Ręce za głowę!

Wzdrygnęła się. Choć, tak jakby, nie do końca. Nigdy nie potrafił porządnie przeanalizować tego wrażenia.

Kiedy założyła ręce za głowę, wyciągnął telefon komórkowy i zrobił

zdjęcie. Sam nie bardzo wiedział dlaczego.

– Kim pan jest? – zapytała niespodziewanie niskim głosem.

– Dentystą – odparł Berger.

W tej samej chwili do mieszkania wpadli policjanci z uniesioną bronią. Młodszy powalił Nathalie Fredén na ziemię. Starszy ją przeszukał.

Berger widział wszystko w lustrzanym odbiciu. Patrzył na szybę. Dźwięki ucichły, nie słyszał ani sylaby z okrzyków policjantów w przedpokoju. Otaczał go za to dziwny szum. To szumiała osika na wewnętrznym dziedzińcu. Przyjrzał się niezbyt licznym liściom. Drżały. Drżały gorączkowo wśród wiatru i deszczu, a ich szumiąca pieśń sączyła mu się do uszu.

Jakby chciał tam przeniknąć ktoś z innej epoki.

Odwrócił głowę i spojrzał na to, co się działo w mieszkaniu. Wrócił z pustkowi. Po głowie kołatało mu się jedno słowo. *Mikrometeorologia*. Z podłogi spoglądały na niego błyszczące oczy Nathalie Fredén.

– Ale pani jest sucha – powiedział.

## 9

BIEGNA DŁUGO, najpierw coraz bardziej opustoszałą drogą z przystanku autobusowego, a potem przez łąkę. Nedorzecznie wysoka trawa rzednie, aż w końcu zaczynają dostrzegać połyskującą wodę. On traci dech w piersiach, kiedy spostrzega, że łopoczące złote włosy nie oddalają się już tak szybko.

Ich właściciel się odwraca, włosy odzyskują pierwotne ułożenie i nagle pada na nie światło, tak mocne, że cała postać zdaje się otoczona gigantyczną aureolą. To sprawia, że twarz jest jeszcze bardziej niezwykła. Ta twarz nigdy nie przestała go zdumiewać i nigdy nie przestanie.

Stają naprzeciwko siebie i szybko się obejmują, są zdyszani. On robi skłon za kolana, nie może zaczerpnąć powietrza, ale ma piętnaście lat, więc szybko udaje mu się uspokoić oddech. Kiedy znów podnosi wzrok i całe pole widzenia nie jest wypełnione zielenią, dostrzega, jak złotowłosey znikają w zagajniku na skraju plaży. Wie, że tam jest hangar na łódzie – zielonobrunatny, brzydki, absolutnie fantastyczny.

Potykać się, rusza w tamtą stronę. Słyszy dobiegające z oddali pokrzykiwania mew, czuje, jak woń rześkiego morskiego powietrza łączy się z zapachem traw. Jest w tym drobna domieszka zgnilizny.

Dociera do zagajnika, przedziera się przez gęstszą roślinność i w końcu widzi przed sobą duży hangar na łódzie. Sięga prawie do morza i właśnie na tym jego końcu znajdują się drzwi, za którymi znikają falujące złote włosy. On idzie w drugą stronę i wspina się po zawsze śliskim kamieniu, żeby

*zajrzeć przez okienko – umieszczone tak wysoko, bo hangar stoi na małych palach.*

*Ma kłopot ze znalezieniem podparcia pod stopy. Mech się ześlizguje, a nogi razem z nim. W końcu udaje mu się utrzymać. Wreszcie staje nieruchomo.*

*Ma trudności z zajrzeniem do środka. W hangarze jest kompletnie ciemno, a szyba jest bardzo brudna. Nie widzi zupełnie nic. A jednak nie daje za wygraną. Spoconą dłonią, powoli, ale wytrwale przeciera szybę. W końcu jest na tyle czysta, że może zajrzeć do hangaru.*

*A wtedy czas się zatrzymuje.*

*Naprawdę się zatrzymuje.*

||

# 10

**Poniedziałek, dwudziesty szósty października, godz. 22:06**

BERGER WSZEDŁ do środka. Drzwi zamknęły się za jego plecami. Wszystko było klinicznie czyste. Pleciona tapeta na ścianach mówiła równie niewiele co pusty stół z brzożową okleiną. Na stoliku kawowym stało nieokreślone urządzenie. W pokoju nie było okien, a jedynie dwa krzesła. Jedno było puste.

Na drugim siedziała Nathalie Fredén.

Miała na sobie ten sam prosty, lekko sportowy strój co w mieszkaniu przy Vidargatan, oprócz płaszcza przeciwdeszczowego. Jej jasnoniebieskie oczy śledziły go przez całą drogę od drzwi do drugiego krzesła. Usiadł i jej się przyglądał. Od ich poprzedniego spotkania minęło zaledwie pół godziny. Od tego czasu w sprawę włączono prokuratora, który wszczął postępowanie przygotowawcze.

Berger bez słowa wyjął z plecaka kilka przedmiotów – trzy grube teczki, laptop i telefon komórkowy. Otworzył jedną z teczek i przeglądając różne papiery, oznajmił:

– Wiem, że jest pani swego rodzaju zagadką i w zwykłych okolicznościach być może wzbudziłoby to moje zainteresowanie. Teraz jednak mam panią gdzieś. Liczy się tylko to.

Położył przed nią zdjęcie. Przedstawiało piętnastoletnią Ellen Saviger z uśmiechem, który wyrażał bezgraniczną wiarę w przyszłość.

Obserwował ją. Oglądając zdjęcie, Nathalie Fredén nie okazywała żadnych emocji. Na jej twarzy, wcześniej tak wyrazistej, nie działo się kompletnie nic.

– Tylko to – podkreślił.

Nathalie Fredén nadal patrzyła na zdjęcie.

– Dobrze zrozumiałem? – kontynuował Berger. – Postanowiła pani zrezygnować z adwokata?

– Nie wiem nawet, dlaczego tu jestem – powiedziała wolno Fredén swoim niskim głosem. – A tym bardziej, dlaczego miałabym potrzebować adwokata.

– Czyli odpowiedź brzmi „tak”?

– Tak.

Berger wziął głęboki oddech i odwrócił się do urządzenia na stoliku.

– Czerwona lampka – oznajmił i wskazał ją ręką. – Kiedy się zapali, rozpocznie się rejestracja dźwięku i obrazu. Wszystko będzie oficjalne i zostanie zapisane. Lampka jest teraz zgaszona. Czy jest coś, co chciałaby pani powiedzieć mnie i tylko mnie, zanim zrobimy to formalnie?

– Że pański telefon nagrywa – odparła Nathalie Fredén.

Telefon Bergera leżał do góry nogami na stole. Nie świecił się, nie wydawał żadnego dźwięku. Berger lekko się uśmiechnął i włączył urządzenie nagrywające. Czerwona lampka się zapaliła.

Podał datę. Powiedział, gdzie się znajdują. Wymienił obecnych. Potem oznajmił:

– Nathalie Fredén, jest pani oskarżona przede wszystkim o zatajanie informacji na temat uprowadzonej piętnastoletniej Ellen Saviger. Czy rozumie pani, czego dotyczą nasze podejrzenia?

– Tak. Ale nie rozumiem, co mam z tym wspólnego.

Berger położył przed nią trzy fotografie. Dwie były powiększonymi i obrobionymi zdjęciami, które zrobił komórką na werandzie w Märsta.

Trzecia była fotografią z gazety, niedawno znalezioną przez Strzałę. Jeszcze wyraźniej było na niej widać Nathalie Fredén. Dało się nawet odczytać markę roweru – Rex.

– Czy to pani?

– Na to wygląda – odparła spokojnie Nathalie Fredén.

– Wie pani, gdzie to jest?

– Nie bardzo. Dużo jeżdżę na rowerze. Wygląda, jakby padało.

– Dużo pani jeździ na rowerze?

– Tak. Lubię to.

– Trzydzieści kilometrów do Märsta w deszczu?

– Märsta? Okej, w takim razie już wiem, gdzie to jest. Była tam policja.

I prasa. To zdjęcie z gazety, prawda?

– Co pani tam robiła?

– Jeździłam na rowerze. Niedzielną wycieczka na północ.

– I co się wydarzyło?

– Zobaczyłam mrugające niebieskie światła i za nimi pojechałam.

– Zdarzało się to już wcześniej?

– Co?

– Że widziała pani niebieskie światła i za nimi jechała?

– Tak, bywało od czasu do czasu. Kiedy się jeździ tyle co ja...

– Na przykład kiedy?

– Nie mam pojęcia. Od czasu do czasu.

– Na przykład tutaj?

Berger pokazał trzy zdjęcia przedstawiające zimowy las między Karlską a Kristinehamn. W centralnej części każdego znajdowała się Nathalie Fredén z rowerem.

– Wygląda na to, że jest zima – powiedziała spokojnie.

Berger po raz pierwszy dokładnie jej się przyjrzał. Gdyby wcześniej sobie



wmawiał, że pójdzie łatwo – a wcale tego nie robił – w tym momencie nie miałyby już żadnych złudzeń. Prostej, powierzchownej drogi nie było, musiał drążyć głębiej.

Popatrzył w jej niebieskie oczy i próbował się zorientować, kim ona tak naprawdę jest. Albo kłamstwo przychodziło jej wyjątkowo łatwo i zawsze miała pod ręką wymówkę, albo była niewiarygodnie naiwna. Wyjątkowo trudno było stwierdzić, która z tych możliwości jest prawdziwa.

Zadecydowała pewna myśl. Pojawiła się już wcześniej, ale dopiero teraz ubrał ją w słowa. Nathalie Fredén już od dwóch lat – odkąd zdradziła swoje nazwisko reporterowi – przygotowywała się do tego, aby wylądować tutaj, dokładnie w tym miejscu. Myśl brzmiała: ona jest tu, gdzie chce być. Ale dlaczego?

W innym świecie pomyślałby też, że jest piękna. Kiedy jednak zrozumiał, że nie będzie łatwo i że należy drążyć głębiej, aby do czegoś dojść, przyszło mu do głowy, że musi ją lepiej poznać. To była jedyna szansa.

– Tak – odparł. – Zima.

– Nie wiem, co to takiego – odparła. – Kiedy jeżdżę na rowerze, dzieje się tyle niespodziewanych rzeczy. To cały urok.

– Długich wycieczek rowerowych?

– Tak. Mogą trwać tygodniami. Jeżdżę po całym kraju.

– Bez planu?

– W dużej mierze bez. Staram się być wolnym człowiekiem.

– Wolnym człowiekiem.

– Tak. Nie sądzę, żeby był pan tak cyniczny, na jakiego wygląda, kiedy to mówi.

– Dlaczego?

– Widać to w pańskich oczach.

– Czyli uważa się pani za wolnego człowieka?

– Wszyscy podlegamy wielu prawom, także prawom natury. Nikt nie może być całkowicie wolny. Ale można szukać wolności. To dużo trudniejsze niż bycie cynikiem. Cynizm jest najprostszym rozwiązaniem.

– Wiele praw... Finanse też?

– Też.

– Nie ma pani żadnych udokumentowanych dochodów, żadnych szwedzkich kont bankowych. Jak pani finansuje swoje wolne życie?

– Nie jest drogie. W przeciwnym razie nie byłabym wolna. A rower dostałam od mojego eks.

– Mieszkanie w dzielnicy Vasastan jest drogie.

– Spadek po dziadku od strony matki.

– Jak się nazywał?

– Arvid Hammarström.

– A pani rodzice?

– John i Erica Fredénowie.

– Erica, z domu Hammarström?

– Tak. Ale...

– Gdzie się pani urodziła?

– W Umeå.

– Do której szkoły podstawowej pani chodziła?

– Do Mariehem, zdaje się. Ale skąd to zainteresowanie mną? Czy nie liczyło się tylko to? – odparła i wskazała zdjęcie Ellen Saviger.

W tym geście było coś, co go zaalarmowało. Nonszalancja, obojętność, zwał jak zwał. Na dwie sekundy zamknął oczy. Wziął się w garść. Na tyle, na ile się dało. Coraz mocniej czuł tykanie zegara. Jakby jego nadgarstek płonął. W końcu, tak powściągliwie, jak tylko potrafił, powiedział:

– Ona nie jest „tylko tym”. Jest dziewczyną, która ma całe życie przed sobą. Spędziła prawie trzy tygodnie w tym przeklętym domu w Märsta,

w piwnicy z piekła rodem, w której doświadczyła całej masy niewyobrażalnego paskudztwa. Wyszedłem stamtąd i zobaczyłem panią. Pół roku wcześniej, w Kristianstad, kiedy policja badała sprawę innej piętnastoletniej dziewczyny, rzekomo zakopanej w lesie, również tam pani była. No i wreszcie stoi pani... o tutaj, przed klubem motocyklowym w Västerås, rok wcześniej, przy okazji sprawy jeszcze jednej piętnastolatki, która miała się znajdować w środku, jak jagnię rzucone na pastwę drapieżnikom. Jak to, do cholery, możliwe, że była pani we wszystkich tych trzech miejscach?

Miała przed sobą zdjęcia. Wszystkie karty zostały wyłożone na stół. A wśród nich ta jedyna – karta, na którą postawił wszystko. Czuł, że musi to przynieść jakiś rezultat, choćby zwykłą reakcją. Musi się przebić przez mur. Zrobić w nim choćby małą szczelinę.

Skupił na niej całą uwagę. Z jej rysów trudno było cokolwiek wyczytać. Zachowywała się całkiem neutralnie, ale mimo to na jej twarzy coś się działo. Widział już taką reakcję. Nie była zbyt powszechna w pokoju przesłuchań, ale kilka razy ją zaobserwował. Miała swoje wyodrębnione miejsce w katalogu zewnętrznych oznak, który udało mu się stworzyć dzięki doświadczeniu. Nie potrafił jej tylko zlokalizować.

Była daleka od Västerås i kamery telewizyjnej, która nieświadomie uchwyciła jej dwie decyzje. Wtedy na jej czole wiele się działo. Podjęła dwie konkretne decyzje. Pierwszą: żeby w ogóle porozmawiać z lokalną telewizją, i drugą: żeby się przedstawić.

Gdyby półtora roku wcześniej tego nie zrobiła, żadne z nich nie znalazłoby się w tym miejscu.

Tym razem reakcja była zdecydowanie słabsza, choć tak samo wymowna. Nie na czole, raczej pod oczami.

Jej czoło było zupełnie gładkie.

– Botoks? – zapytał przekornie Berger.

Nathalie Fredén spojrzała na niego. Po raz pierwszy nie odpowiedziała od razu. Nie zareagowała też w widoczny sposób.

– Czoło – powtórzył Berger i musnął palcem górną część jej twarzy. – W Västerås było znacznie bardziej wyraziste.

– W Västerås?

– Wie pani, o czym mówię. O wywiadzie dla lokalnej telewizji z Västerås. Wtedy, kiedy podjęła pani decyzję.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Oczywiście, że nie – odparł Berger i oparł się na krześle. – Czyli botoks? Do czego był pani potrzebny? Dlaczego chce pani być mniej wyrazista?

W odpowiedzi tylko pokręciła głową.

Berger czekał. Jaką reakcję dostrzegł? Zaczął przeglądać swój wewnętrzny rejestr. Które z jego słów wywołały tę reakcję? Kanonada informacji. Kiedy wystąpiła ta reakcja? Kiedy dokładnie?

W końcu znalazł odpowiednie miejsce w archiwum. To była reakcja świadcząca o tym, że naprawdę chciała skomentować coś, co powiedział. Musiała się powstrzymać. Skomentować? Nie, nie skomentować. Skorygować. Tak, dokładnie tak było. Powiedział coś, co chciała skorygować.

Miał ochotę natychmiast przerwać i sprawdzić nagranie wideo.

Dyskusję o botoksie rozpoczął tylko po to, żeby zyskać czas do namysłu. Mimo to Nathalie Fredén odpowiedziała:

– Pierwotnie botoks nie służył do wygładzania czoła.

– To chyba trucizna dla nerwów? – odparł niezrażony Berger.

– Rozcieńczona odmiana toksyny botulinowej. Jednej z najsilniejszych trucizn znanych ludzkości. Szczypta wystarczyłaby do zabicia wszystkich

mieszkańców Szwecji.

– I coś takiego rozpyła się w najlepsze centymetr od oczu?

– Początkowo botoks był używany do leczenia skurczów wywołanych uszkodzeniami mózgu.

Mówiła. Mówiła z własnej inicjatywy. Samo to było czymś nowym. Nie przerywał jej.

– Często również przy leczeniu migreny – kontynuowała.

Berger spojrzał na jej odmieniony wyraz twarzy.

– Migrena, naprawdę? Wstrzykiwała sobie pani w czoło botoks, żeby się pozbyć migreny?

– Tak.

– Hm – mruknął. – To była poważna migrena?

– Całkiem – odparła.

Berger znacząco spojrzał w obiektyw kamery w lewym górnym rogu pokoju. Deer pewnie już to wychwyciła. Opuścił głowę, Nathalie Fredén i on spotkali się wzrokiem.

– Co się nie zgadzało? – zapytał w końcu. – W tym, co powiedziałem.

– Jak to?

Westchnął i spróbował jeszcze raz. Ostatni, jak postanowił.

– Powiedziałem dużo na temat trzech miejsc, w których była pani wśród gapiów. Coś z tego się nie zgadzało. Co to było?

Kiedy patrzyła na niego bez słowa, a na jej czole wciąż nie było ani jednej zmarszczki, zaczął z hukiem kłaść na stole kolejne fotografie.

– Marzec ubiegłego roku, zaginiona piętnastoletnia dziewczyna, policja interweniuje w Västerås... bach, stoi pani tutaj. Luty tego roku, zaginiona piętnastoletnia dziewczyna, policja interweniuje w Kristinehamn... bach, stoi pani tutaj. Wczoraj rano, zaginiona piętnastoletnia dziewczyna, policja interweniuje w Märsta... bach, stoi pani tutaj. Jak to, do cholery, możliwe, że

była pani we wszystkich tych trzech miejscach?

– To przypadek – odparła Nathalie Fredén. – Jeżdżę rowerem po całym kraju. Taki mam tryb życia. Czasem jestem zmuszona pracować przez miesiąc tu czy tam i wykonuję proste prace biurowe. Poza tym jestem w ruchu. Czasem na coś wpadnę. Nic w tym dziwnego.

– Naprawdę pani nie rozumie, że to jest dziwne? Naprawdę dziwne? Jest pani niepełnosprawna intelektualnie? Przebywała pani w jakimś zakładzie?

– Uch – stęknęła z obrzydzeniem i odsunęła od siebie zdjęcia.

– Mówię poważnie – oznajmił Berger i chwycił ją za nadgarstki. – Nie ma pani w żadnych rejestrach, funkcjonuje pani poza obrębem społeczeństwa. Taki tryb życia jest typowy dla przestępcy, bezdomnego albo kogoś chorego psychicznie. To jest tylko persona.

– Co takiego?

– Persona. Maski. Udaje pani kogoś, kim nie jest.

– Pan nie rozumie – odparła i uwolniła ręce z uścisku. – Nie jest pan w stanie tego pojąć. Po prostu jestem wolnym człowiekiem i tyle. Tak właśnie żyję, jeżdżę na rowerze, w pełnej wolności. Nie mam kart kredytowych, internetu, telefonu komórkowego. Raz spróbowałam: kupiłam sobie komórkę i założyłam konto na Facebooku. Ale dałam sobie spokój. Po co mi to?

Najokropniejsze było to, że jej historia z każdą chwilą stawała się coraz bardziej wiarygodna. Po raz pierwszy w krytycznie nastawionym umyśle Bergera pojawiła się wątpliwość. Poważna migrena, ciągłe wycieczki rowerowe po całej Szwecji, prawdopodobnie czas spędzony w różnych zakładach psychiatrycznych, brak stałych dochodów, mieszkanie po dziadku, może nawet pudełko po butach pełne odziedziczonej gotówki, z której się utrzymywała. A na dokładkę obłąkańcze stwierdzenie „widać to w pańskich oczach”. Ogólnie rzecz biorąc, aspołeczna egzystencja z dala od ludzi.

Idealna asystentka.

Uległa pomocnica.

Niewolnica podporządkowana swojemu panu.

– Kim on jest? – wykrzyknął Berger i wstał. – Kim jest as, który trzyma panią w garści? Dla kogo jest pani gotowa załgać się na śmierć? Jak się nazywa ten pan i władca? Kto panią do mnie przysłał?

Za plecami Bergera otworzyły się drzwi. Do środka weszła Deer i rzeczowym tonem powiedziała mu półszepem do ucha:

– Masz ważny telefon, Sam.

Wyprowadziła go z pokoju przesłuchań przez jedno z dwojga drzwi i miękko je zamknęła. Znaleźli się w małym, dźwiękoszczelnym pokoju obserwacyjnym. Deer się odwróciła i krzyknęła do siedzącego przy komputerze Samira.

– Śledź jej każdy ruch! Jeśli zacnie przy czymś majstrować, wbiegnij do środka.

Następnie utkwiała w Bergerze najbardziej przenikliwe spojrzenie, pokręciła głową i się odsunęła. Za jej plecami stał Allan. Wyglądał, jakby same jego krzaczaste brwi mówiły: „A wyglądało tak obiecująco”.

Berger czuł się jak garnek, którego zawartość zaraz wykipi. Uchylił pokrywę i dobierając słowa, powiedział:

– Ty też widziałeś, dokąd to zmierza.

– Tak jest – odparł Allan. – I widziałem, że zaraz się zawali.

– Ona jest marionetką – oznajmił Berger. – Starannie wybraną jednostką o rozwalonej psychice, zdalnie sterowaną przez naszego asa. Skorupą oblekającą wolę kogoś innego. Została tu umieszczona nie bez powodu. On chce, żeby tu była. Czy w ogóle przeszła przez wykrywacz metali? Przecież może mieć w brzuchu całą pieprzoną bombę. Albo przynajmniej nadajnik czy sprzęt nagrywający.

– Sam w to nie wierzysz – odparł Allan.

– Zróbcie jej prześwietlenie – nalegał Berger. – Na wszelki wypadek.

Allan rzucił szybkie spojrzenie w kierunku Deer. Potwierdziła grymasem twarzy. Allan skinął głową i powiedział:

– Załatw to, Desiré.

– Wyłapałaś trzy punkty krytyczne, Deer? – wtrącił Berger.

– Mam botoks na migrenę – odparła, zerkając do notatek. – Moi ludzie już nad tym siedzą. To nie może być bardzo powszechna metoda terapeutyczna i musiała to zrobić w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy. Mam też jej reakcję, w chwili kiedy zdradziłeś nasze trzy miejsca zbrodni. Maja i Strzała to analizują, próbują znaleźć dokładny moment reakcji. Niewątpliwie chciała cię wtedy poprawić, prawda?

– Dobrze cię wyszkoliłem, Deer – stwierdził Berger.

– Gówno, a nie wyszkoliłeś. Powiedziałaś „trzy”? Trzeciego punktu krytycznego nie jestem pewna. Arvid Hammarström i spadek? Jeśli tak, to ten wątek także jest sprawdzany. Szkoła Mariehem się zgadza.

– Nie. Miałem na myśli rower. Znaleźliście go?

– Nie wiadomo. Skonfiskowaliśmy trzy damskie rowery marki Rex znalezione w okolicy. Nie miała przy sobie kluczy, a wszystkie rowery były przypięte. Próbujemy zdjąć odciski palców, a poza tym trwa porównywanie ich z fotografiami.

– Dobrze – odparł Berger. – Dostała rower w prezencie od swojego eks. Rex od eks. Przy odrobinie szczęścia powinno nam się udać znaleźć tego eksa. A przy nieco większym szczęściu może się okazać, że to właśnie on jest człowiekiem, którego szukamy.

– Sprawcą? – zawołała Deer.

– Poszukajcie numeru ramy. W najlepszym wypadku uda nam się ustalić, gdzie i kiedy został kupiony rower. I przez kogo.



– Skończyliście już marudzić? – zapytał Allan, choć nie było to pytanie. – Desiré, zawieź Fredén do szpitala, zróbcie szybkie prześwietlenie całego ciała i tak kompletne badanie, jak to tylko możliwe. Test na obecność narkotyków, sprawdzenie przyjmowanych leków i tak dalej. Pamiętajcie o koniecznych środkach bezpieczeństwa. I natychmiast przywieźcie ją z powrotem.

Deer skinęła głową.

– Muszę tylko zejść na dół i przygotować szpital – odparła i zniknęła za drugimi drzwiami.

Allan popatrzył na nie i pokręcił głową.

– Co to ma być, do cholery? – zapytał bez ogródek.

Berger z kolei spojrzął na Allana. Naprawdę wyglądał na zaintrygowanego. Czyżby do starego biurokraty wróciły choćby ślady policyjnego instynktu?

– Samir? – odezwał się Berger.

– Co? – odparł brodaty młodzieniec, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Najsilniejsze wrażenie z przesłuchania?

Samir podniósł wzrok.

– Właśnie na nią patrzę. I patrzyłem przez cały czas. Czy gdyby naprawdę była chora psychicznie, nie powinna mieć choć kilku drobnych tików?

– Gdybyś tylko wiedział, ile istnieje rodzajów zaburzeń.

– Wiem – odparł Samir i wskazał ekran. – Ale tu nic nie ma. Żadnego niespokojnego wnętrza.

Zebrali się wokół ekranu, przykucnęli. Nathalie Fredén siedziała przy stole w zupełnym bezruchu. Nic się nie poruszało. Równie dobrze mogła to być stop-klatka.

– Moje rzeczy nie wzbudziły żadnej ciekawości? – zapytał Berger.

– Kompletnie żadnej. Nawet się nie poruszyła.

– Już samo to oznacza według mnie chorobę psychiczną – oznajmił Allan.  
– Czy pod tą cienką społeczną warstwą, przez którą wystarczy się przebić, nie kryje się kompletna szajbuska? Czy nie na tę modłę zacząłeś w pokoju przesłuchań, zanim się zagotowałeś, Sam? Jeśli o mnie chodzi, możesz ją zdemolować. Obrąć, warstwa po warstwie, i zobaczyć, jak pusta jest w środku. Zastanawiam się, czy to nie ślepy trop. Psycholka, która zawsze staje w tłumie ciekawskich przy poważniejszych akcjach. Jeździ sobie po kraju z policyjnym radiem w pogotowiu i wybiera najciekawsze miejsca, żeby przyspieszyć sobie puls. Czy w ogóle sprawdziliście, na ilu policyjnych zdjęciach została uchwycona?

Berger wyprostował plecy i popatrzył na sufit małej kabiny.

– Na ilu? – powtórzył zupełnie innym tonem.

Allan i Samir popatrzyli na Bergera, każdy ze sceptycyzmem właściwym dla swojego wieku. W tej samej chwili zadzwonił jego telefon. Zabrzmiało to jak odgłos zarzynanej świni. Odebrał.

– Cześć – rozległ się ostry głos. – Mówi Sylvia.

– Strzała – odparł Berger. – Co macie?

– Maja i ja dokładnie obejrzałyśmy film. Chyba znalazłyśmy moment, w którym Fredén chciała cię poprawić.

– Słucham.

– To było dokładnie pod koniec twojej długiej wypowiedzi. Zaczynała się od: „Ona nie jest «tylko tym». Jest dziewczyną, która ma całe życie przed sobą”. Pamiętasz?

– Jak przez mgłę. Mów dalej.

– Potem kładziesz wszystkie zdjęcia na stole i ujawniasz pierwszą sprawę: Västerås.

– Ale to nie wtedy?

– Tu właśnie miałyśmy dylemat – odparła ostro Strzała. – Przez chwilę

myślałyśmy, że zareagowała tak w chwili, kiedy powiedziałeś o klubie motocyklowym w Västerås. Wspomniałeś o tym po raz pierwszy. Potem doszłyśmy do wniosku, że to było wtedy, kiedy wspomniałeś o jagnięciu na pastwie drapieżników. Pamiętasz to sformułowanie?

– Jako tako. To na nie zareagowała?

– Tak jak powiedziałam: przez chwilę miałyśmy takie wrażenie. Ale potem postanowiłeś efektownie podsumować. Cytuję: „jak to, do cholery, możliwe, że była pani we wszystkich tych trzech miejscach?”. I wtedy właśnie pojawiła się reakcja.

– **W ilu** – powiedział Berger i popatrzył w sufit.

– Tak. Kiedy się przyjrzałyśmy i porównałyśmy obraz ze wszystkich czterech kamer, doszłyśmy do wniosku, że to chyba ten moment.

– A dokładniej?

– Kiedy mówisz „wszystkich tych trzech miejscach”.

– Czyli?

– Kiedy podajesz liczbę. Trzy.

– *Yes* – odparł Berger i zacisnął pięść.

# 11

**Wtorek, dwudziesty siódmy października, godz. 1:26**

BERGER WSZEDŁ DO ŚRODKA. Drzwi się zamknęły. Nathalie Fredén patrzyła na niego. Bez słowa włączył sprzęt nagrywający. Zapaliła się czerwona lampka. Wypowiedział wszystkie konieczne formułki, a potem dodał:

– Przynajmniej mamy to z głowy.

– Rentgen – odparła Nathalie Fredén. – Po co?

– To dla pani bezpieczeństwa. Tak samo testy na obecność narkotyków. Jest pani czysta. Proszę mi powiedzieć, od kogo dostała pani rower?

– To było dawno temu. Chyba miał na imię Charles.

– A nie dostała go pani od swojego eks? Nie pamięta pani, jak się nazywał jej dawny partner?

– Mówiłam już, że to było dawno.

– Pani rex ma nie więcej niż trzy lata.

– Naprawdę chce pan rozmawiać o moim rowerze?

– Naprawdę chcę rozmawiać o panu i władcy, ale możemy zacząć z innej strony. Choć zapewniam, że wrócimy do tego. Mieszkała pani za granicą?

– Za granicą? Nie.

– Nigdy?

– Nigdy.

– W takim razie gdzie pani zniknęła po trzeciej klasie szkoły Mariehem

w Umeå? Wychowawca klasy twierdzi, że rodzina wyjechała za granicę.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Zgadza się, nic nie wskazuje na to, że tak było. Pani rodzice przez piętnaście kolejnych lat byli zameldowani pod tym samym adresem w lesie pod Umeå. Ale pani zniknęła ze spisów. Dokąd pani wywędrowała w wieku dziesięciu lat?

Nathalie Fredén umilkła i spojrzała Bergerowi w oczy, ale inaczej niż do tej pory. Podsunął powiększone zdjęcie przedstawiające ją w wieku dziesięciu lat i próbował wyczuć, co się zmieniło.

– Rozpoznaje się pani? – zapytał.

Nathalie Fredén odwróciła wzrok i utkwiała go w ścianie.

– Ten uśmiech – ciągnął Berger. – Można by pomyśleć, że życie stało przed panią otworem, prawda? Że wszystko było możliwe. Proszę spojrzeć na zdjęcia. Wiem, że pani pamięta, kim wtedy była. Dziesięć lat. Proszę popatrzeć na ten uśmiech. Była pani szczęśliwa. Wierzyła pani bezgranicznie w przyszłość?

– Nie wiem, czego pan ode mnie chce.

– Patrzę na ten uśmiech, nieproporcjonalnie duże przednie zęby, jak to w wieku dziesięciu lat, które wyglądają, jakby mówiły do reszty ciała: „Dogoń nas teraz”. Wiem, że ani pani, ani ja nie widzimy w tym uśmiechu bezgranicznej wiary w przyszłość. W nim jest coś innego. Co pani tu widzi?

Znowu zapadła cisza. Inna niż podczas poprzedniego przesłuchania. Kontynuował:

– Zanim tu wszedłem, dowiedziałem się, że personel szkoły Mariehem dotarł do starszej części archiwum, sprzed cyfryzacji. Po prostu przeszukali jakąś piwnicę w Västerbotten. Na pewno pani wie, co znaleźli. Nie było to potwierdzenie pobytu za granicą.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Oczywiście, że nie. Może powiem tak: w tamtym czasie w szkołach byli pedagodzy. A czasem zdarzał się nawet szkolny psycholog.

Nathalie Fredén wydawała się teraz inaczej obecna, jakby nagle zaczęła być tu i teraz, jakby zaliczyła twarde lądowanie we własnym ciele. Utkwiła w nim spojrzenie w sposób, którego nigdy wcześniej nie doświadczył. Stała się innym człowiekiem. Nic jednak nie powiedziała.

Berger opuścił wzrok na kartkę papieru i kontynuował:

– Są tu trzy wizyty u pedagoga, jedna po drugiej, a potem, zaledwie kilka dni po ostatniej, wizyta u psychologa szkolnego. W czerwcu, cztery dni przed końcem semestru letniego. Na semestr zimowy pani nie wraca, wychowawca twierdzi, że to z powodu wyjazdu zagranicznego. Co pani z tego pamięta?

– Zdradę.

To słowo padło tak nagle, było tak wyraźne, a kiedy je wypowiadała, patrzyła mu prosto w oczy. Przez chwilę wytrzymał jej spojrzenie, nie mógł oderwać wzroku. Poczł, że nagle dopadają go myśli o równowadze sił i niepodważalnej przewadze przesłuchującego. W końcu uciekł oczyma i ku swej wielkiej irytacji zabrał się do przerzucania papierów na biurku.

– Czyją zdradę? – zapytał, nie patrząc na nią.

Kiedy nie odpowiadała, mimo wszystko musiał to zrobić i ponownie przejąć inicjatywę. Ale jej spojrzenie było zbyt ostre, zbyt intensywne, jakby grzebała w najgłębszych zakamarkach jego wnętrza, choć nie miał pojęcia dlaczego. Musiał to przerwać, uciec wzrokiem w bok, potoczyć nim po ścianie. Nathalie Fredén mruknęła i mocno się odchyliła na krześle, jakby coś jej przyszło do głowy.

– Kto panią zdradził? – spróbował znowu, starając się złapać jej spojrzenie. Ale już nie patrzyła ani na niego, ani w ogóle na nic. Spoglądała wewnątrz siebie.

Spasował na chwilę. Nawiązali kontakt, silny i niezwykły, a potem go

stracili. Nie mógł tego teraz analizować, zgłębiać przyczyn, a milczenie nie wchodziło w grę. Dokonało się coś w rodzaju przełomu i Berger musiał znaleźć drogę powrotną.

– Psycholog szkolny, niejaki Hans-Ove Carlsson, nie żyje, ale pedagog tak. Wkrótce ją namierzemy i z nią porozmawiamy. Co nam powie, pani Nathalie?

Fredén ciężko westchnęła i nie odpowiadała.

Berger podsunął powiększone zdjęcie Nathalie Fredén, a obok umieścił drugie.

– Zdjęcie klasowe – wyjaśnił. – Pani radosny uśmiech w szerszym kontekście.

Nie było żadnej odpowiedzi.

– Zdjęcia zbiorowe zawsze są ciekawe – ciągnął. – Nawet tak konwencjonalne jak te klasowe. Czy można coś powiedzieć o relacjach w danej grupie? Czy jednostki są przypadkowo rozstawione przez zblazowanego fotografa, który kiedyś miał większe ambicje? A może zdjęcie odzwierciedla rzeczywiste stosunki?

Nadal nie było odpowiedzi, może tylko ślad pogardy w kącikach ust. Berger mówił więc dalej:

– Jest wokół pani niewielka pusta przestrzeń. Proszę spojrzeć. Wszyscy stoją tak blisko siebie, że dotykają co najmniej jednej osoby. Ale wydaje się, że nikt nie chce mieć kontaktu z panią.

Odpowiedziało mu to samo odwrócone, neutralne spojrzenie, choć tym razem z lekką nutką sceptycyzmu.

– Czyżby koledzy z klasy się panią brzydzili? – zapytał Berger łagodnym tonem.

W jej spojrzeniu coś się zapaliło. Powoli odwróciła wzrok w jego stronę. Zanim ich spojrzenia się spotkały, dodał:

– Miała pani dziesięć lat. Co takiego się wydarzyło, że inne dzieci się panią brzydziły?

Między jej przymkniętymi powiekami pojawiło się światełko, słabe i drżące, które na sekundę zastąpiło wszystkie dźwięki.

– Wie pan **doskonale**, co się stało – odparła ostro.

Berger poczuł przeszywający go dreszcz. Zdziwienia? Tak, z całą pewnością, ale nie tylko. Także coś nieprzyjemnego, przelotny, nieprzyjemny dreszcz. I jeszcze coś, co się utrzymało dłużej – wrażenie, że Nathalie Fredén wypowiada się z zupełnie innego poziomu niż on, że jest zupełnie gdzie indziej. Nie rozumiał, kim jest ta kobieta i co kombinuje – to zaś było tak nietypowe, że przez chwilę poczuł się bezradny.

Tak czy owak, miał kierunek działania, widział go jako linię, na której końcu znajdowała się Ellen Saviger. Ellen żyła i nic nie mogło go skłonić do przerwania tej linii.

– Myślę, że wiem – powiedział łagodnym tonem. – Czyli z tamtego czasu pamięta pani zdradę, dokładnie tak pani powiedziała. Zakładam, że zdrajcą było po prostu otoczenie, wszyscy, od rodziców po kolegów i nauczycieli. W tamtych czasach nie mówiło się zbyt wiele o mobbingu. Wielu ludzi starszego pokolenia traktowało go jak pożyteczną zaprawę przed dorosłym życiem. Ale pani nie potrafiła znieść, że koledzy z klasy się panią brzydzą, czuła się z tym tak źle, że wysyłano panią do pedagoga – raz, drugi, trzeci, aż w końcu potrzebna była pomoc psychologa szkolnego. On zaś załatwił pani miejsce w prywatnej klinice. Co to było za miejsce?

Kontakt z Nathalie Fredén się urwał. Wpatrywała się tylko w ścianę.

– Miała pani wtedy dziesięć lat – ciągnął Berger. – Wiele wskazuje na to, że spędziła tam pani dwadzieścia kolejnych. Potem nagle wypuszczono panią w nieznaną świat. Wszystko było nowe. Dorastała pani w zakładzie pracy chronionej i nie miała kontaktu ze światem zewnętrznym. Co pani czuła po



wyjściu stamtąd?

Fredén spojrzała na niego, ale w jej oczach nie było widać zbyt wiele. Milczała.

Berger kontynuował:

– W czasie pobytu zmarła pani mama. Dziadek zmarł mniej więcej wtedy, kiedy panią wypuszczono. Z braku innych spadkobierców zapisał pani nie tylko mieszkanie przy Vidargatan, ale i całkiem niezłą gotówkę.

– Przecież pan mówił, że nie mam konta w banku.

Odezwała się niespodziewanie. Berger w zasadzie zdążył już się pogodzić z tym, że nie otrzyma odpowiedzi. Odruchowo przycisnął ucho i liczył na szybkie informacje uzupełniające. Deer się ożywiła, w jego uchu natychmiast rozległ się jej głos.

– Karton po butach z kilkoma banknotami stukoronowymi, znaleziony pod deską podłogową w kuchni mieszkania przy Vidargatan.

– To prawda, konta nie ma – odparł Berger. – Wiem, że nie ufa pani bankom albo po prostu nie wie, jak to wszystko działa. Ale cieszę się, że próbuje mnie pani okłamać. To znaczy, że nadal pani nadąża.

– Poważnie? Ma pan taką słuchawkę w uchu? – zapytała i wskazała ją palcem.

Nigdy nie dotykaj ucha, upomniał się w duchu. Dlaczego to zrobił? Czyżby go podeszła w sposób, którego jeszcze nie dostrzegał? To było nieprzyjemne uczucie. Otrząsnął się z niego, tak jak prawie zawsze się otrząsał z prawie wszystkiego.

– Pieniądze już się skończyły – oznajmił. – W pudełku po butach jest już tylko kilka setek. Co pani zwykle robi, kiedy się kończą pieniądze?

– Pracuję. Imam się różnych gównianych prac tymczasowych. Ale już o tym rozmawialiśmy.

– Od roku pani nie pracuje. A wcześniej z całą pewnością nie pracowała

pani tyle, żeby się utrzymać przez cały rok.

– Zostało mi jeszcze trochę pieniędzy dziadka.

– Nie, aż tyle ich nie było. Skąd pani bierze środki? Jakim cudem płaci pani miesięczny czynsz w wysokości ponad dwóch tysięcy koron? Jest zawsze opłacany gotówką: wpłaty na konto w różnych częściach miasta. Czy to w ogóle pani płaci? A może ktoś inny? Ten człowiek, od którego dostała pani rower?

Pokręciła głową, nic więcej.

– Kto pani pomagał po wyjściu z kliniki? – spytał Berger. Nie odpowiedziała. – Czy był to Charles? – pytał dalej. – Ten, który został pani chłopakiem? I dał pani rower? Rex?

Odpowiedź nie nadchodziła. Za to w jego uchu rozległ się głos Deer.

– Trzyletni rex został właśnie zidentyfikowany po odciskach palców. Zgadza się ze zdjęciami. Jest numer ramy, ale nie ma jeszcze sprzedawcy ani kupca.

Berger poczuł, że delikatnie kiwa głową. Był wytrącony z równowagi, ale nie bardzo rozumiał przez co i dlaczego. Musiał dojść do końca swojej linii, ale coś mu przeszkadzało. Tym czymś była cała sytuacja. Nathalie Fredén reagowała nie na to, co trzeba, jakby nie żyła na tym samym świecie co on. Jakby w zupełnie odmienny sposób dochodziła do prawdy.

A może miała inną prawdę. Z innego, obłąkanego świata.

Bez większej nadziei zapytał:

– Czy przed rexem miała pani jakiś rower?

Z innego rodzaju błyskiem w oku Nathalie Fredén odparła:

– Zawsze jeździłam na rowerze.

Berger poczuł promyk nadziei. Kontynuował:

– W klinice też?

– Nie wiem, o jakiej klinice pan mówi.

– Kiedy miała pani dziesięć lat, rodzice panią zdradzili i umieścili w klinice. Czy wtedy miała pani rower?

– Nie wiem...

– Może to była jedyna zabawna rzecz w klinice? Jazda na rowerze? Dużo pani wtedy jeździła?

– Zawsze dużo jeździłam na rowerze.

– Jak zdobyła pani swój pierwszy rower po wyjściu z kliniki? Kupiła go pani?

– Tak, z pieniędzy dziadka.

– Co się stało z rowerem?

– Zajeździłam go.

– I wtedy pojawił się Charles i dał pani nowy?

– Chyba tak.

– Chyba?

– Nie pamiętam. Zdaje mi się, że tak było.

– Jak poznała pani Charlesa?

– Nie pamiętam. Jeżdżąc na rowerze.

– Tu w mieście? W Sztokholmie?

– Podjechał do mnie na światłach i powiedział, że mój rower wygląda na odrapany.

– Tak się zaczęła ta znajomość?

– Tak.

– Był dla pani miły?

– Dostałam rower...

– A poza tym?

– Nie wiem...

– Co robiliście razem? Oprócz jazdy na rowerze.

– Nie jeździliśmy razem.

– Ale wysyłał panią na małe wycieczki rowerowe, prawda? A czasem nie takie małe.

– Nie wiem...

– Czy utrzymywała pani z Charlesem kontakty seksualne?

– Nie wiem...

– Oczywiście, że pani wie. Uprawialiście seks?

– Tak...

– Jakiego rodzaju seks?

– Nie wiem... dość... ostry...

– To znaczy? Wiązał panią? Bił?

– Trochę...

– Trochę? Czy po wyjściu z kliniki była pani dziewicą?

Brak odpowiedzi. Berger kontynuował.

– Było tak, prawda? Nie wiedziała pani, co to jest seks. Myślała, że tak ma być. Że powinien panią bić. I pani rozkazywać. Tak było? Miał nad panią władzę.

Tym razem też nie odpowiedziała. Czyżby tracił z nią kontakt?

– Jak to było, kiedy po raz pierwszy pani rozkazywał?

– To znaczy?

Yes. Odpowiedź. Jakakolwiek odpowiedź. Pytał więc dalej:

– Czego od pani żądał?

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Mamy do wyboru dwie drogi. Dokładne omówienie wszystkiego, co robiliście w sypialni, a wtedy będzie pani musiała wspomnieć o każdym najdrobniejszym szczególe, nieważne jak intymnym czy krępującym. Albo rozmowę o tym, co kazał pani robić poza sypialnią. Co pani woli?

– Możemy porozmawiać o tym drugim.

– Dobrze – odparł Berger. – Czego zażądał na samym początku? Jeśli

pominąć seks.

– Żebym pojechała na rowerze w określone miejsce o podanym czasie.

– Mówił dlaczego?

– Powiedział, że tylko jeśli będę w pobliżu, trafię bez trudu. Miałam jechać za niebieskimi światłami.

– Mówił dlaczego?

– Nie.

– Pani się domyślała?

– Nie.

Berger odchylił się na krzesło i wziął głęboki oddech. W jego uchu w samą porę rozległ się głos Deer.

– Nie dotykaj teraz ucha, Sam. Jest tutaj ze mną Cary. Żebyś wiedział, o co toczy się gra.

Cary, pomyślał Berger. Kto to, do cholery, jest Cary?

– Technik dźwięku – uściślił męski głos. – Gruntowna analiza głosu wskazuje, że na dziewięćdziesiąt osiem procent to Nathalie Fredén, która wskazała dom w Märsta jako Lina Vikström.

Berger przez chwilę siedział w bezruchu, rozpracowywał konstrukcję tego zdania i przyswajał zawartą w nim informację. W końcu pomyślał: tak, Deer, rozumiem, o co toczy się gra.

– Pierwszy raz nie zdarzył się w Västerås, prawda? – zapytał.

Podsunał Fredén zdjęcie z klubu motocyklowego. Spojrzała na nie, ale się nie odzywała.

– Więcej niż trzy razy, prawda? – ciągnął Berger. – Więcej niż trzy porwane piętnastoletnie dziewczyny?

– Nie wiem nic o żadnych porwanych dziewczynach.

– Tak też myślałem. Podejrzewałem, że była pani tylko pustą skorupą, zdalnie sterowaną przez swojego pana. Ale teraz pani zmądrzała. Kiedy był

ten pierwszy raz?

– Nie orientuję się w czasie.

– Ale przed Västerås zdarzyło się to przynajmniej raz. Västerås było w marcu, półtora roku temu. Zimą, przy klubie motocyklowym. Przedstawiła się pani w telewizji. Pamięta pani?

– Tak.

– Ale to nie wtedy Charles po raz pierwszy kazał pani pojechać rowerem na wieś i stać przy taśmach policyjnych. Kiedy był ten pierwszy raz?

– Nie wiem. Latem.

– Latem. A gdzie?

– Nie pamiętam. Bliżej Sztokholmu.

– Proszę spróbować sobie przypomnieć. To ważne.

Nathalie Fredén zrobiła pauzę. Prawdziwą, jakby naprawdę chciała się zastanowić. W końcu odparła:

– W Sollentunie.

Berger usłyszał głos Deer:

– Natychmiast zaczynamy gruntowne sprawdzanie.

Wziął głęboki oddech.

– Może pani opowiedzieć, co się wtedy stało?

– Charles chciał, żebym pojechała tam na rowerze.

– Co dokładnie powiedział?

– Nie pamiętam.

– Myślę, że pani pamięta. Proszę spróbować. To był pierwszy raz. Nie zastanawiała się pani, po co to wszystko?

– Zastanawiałam się. Ale nie mogłam pytać.

– Tylko robiła pani to, co kazał Charles?

– Tak się umówiliśmy.

– Co takiego miała pani tam zrobić?

– Tylko stać i patrzeć.

– Gdzie konkretnie w Sollentunie?

– Były tam wysokie budynki, mnóstwo wysokich budynków. Na parkingu na dole mrugały niebieskie światła. Odgradzili teren. Tam stanęłam. Nie działało się zbyt wiele.

– Mnóstwo wysokich domów? Malmvägen? Stupvägen?

– Nie wiem, jak się nazywała ta ulica.

– Nie pamięta pani, którądy jeździła na rowerze? Wzdłuż torów kolejowych? Pod autostradą?

– To było ponad dwa lata temu.

– Przecież nie orientuje się pani w czasie.

– Tak, wzdłuż torów, pod autostradą, pod górkę. Potem w przeciwną stronę niż tory. Jedno rondo, drugie. A stamtąd już niedaleko.

– Stupvägen – stwierdził Berger. – Centrum Helenelund. Pod wieżowcami rzeczywiście jest parking.

– Do domów prowadziły schody.

– Kiedy to było? Pamięta pani coś więcej oprócz tego, że latem?

– Nie. Było ciepło.

Berger urwał. Pomyślał, że poszło zaskakująco dobrze. Jednak żar w oczach Nathalie Fredén wygasł. Miał jeszcze kilka chwil, a potem musiał zrobić pauzę.

– Jak ma na nazwisko Charles?

– Nie wiem. Jakoś zwyczajnie.

– Nazwisko kończy się na -son? Andersson? Johansson?

– Nie... raczej coś w rodzaju Bergströma.

– W rodzaju Bergströma? To znaczy coś jak Lundberg, Lindström, Berglund, Sandberg?

– Tak, chociaż to nie było żadne z tych...

Deer się ożywiła i zaczęła mu podpowiadać.

– Sjöberg? Forsberg? Åkerlund?

Nic.

– Bergman? Lundgren? Holmberg? Sandström?

Nie.

– Lindqvist? Engström? Eklund?

– Może – odparła Fredén. – Całkiem podobne.

– Które?

– To pierwsze.

– Lindqvist?

– Choć nie do końca...

– Lundqvist? Lindgren?

– Mówił, że na końcu jest „h”.

– „H”? Strömbergh? Lindbergh?

– Tak. To było to. Lindbergh. Z „h”.

Berger gwałtownie się odchylił na krześle i ciężko westchnął.

– Charles Lindbergh – powiedział z amerykańskim akcentem. – No proszę. Lucky Lindy. *The Spirit of St. Louis*. Czy kiedykolwiek widziała pani nazwisko tego Charlesa Lindbergha na piśmie? Widziała pani jego prawo jazdy albo dowód?

– Nie. Ale bardzo podkreślał to „h”.

– Wyobrażam sobie – odparł Berger. – Charles Lindbergh to był Amerykanin, który jako pierwszy przeleciał Atlantyk. Dokładnie w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku. Pani guru przywłaszczył sobie cudzą tożsamość. Zrobił to samo co pani z Liną Vikström.

– Słucham?

– Wiemy, że to pani zadzwoniła z informacją, że widziała Ellen Saviger w domu w Märsta. Wcieliła się pani w rolę sąsiadki, Liny Vikström, bo



wiedziała pani, że prawdziwa Lina Vikström wyjechała. Wie pani dużo więcej, niż udaje.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Oczywiście, że nie – odparł Berger.

Potem włączył telefon. Rozległ się kobiecy głos:

*Jestem pewna, że całkiem niedawno widziałam przez okno tę dziewczynę. Wiecie, którą... Choć nie jestem całkowicie pewna, że to była ona, ale miała na szyi taką... bo ja wiem... różową skórzaną opaskę z greckim przekrzywionym krzyżem. Nie wiem, czy to krzyż prawosławny, ale ona jest przecież naturalną blondynką, więc ni cholery nie może mieć greckich korzeni.*

Berger wcisnął klawisz i zapadła cisza.

Przez chwilę siedział w milczeniu i obserwował kobietę znaną jako Nathalie Fredén. Nie patrzyła mu w oczy. Próbował sprawić, żeby wszystkie informacje – to, co zostało powiedziane w pokoju przesłuchań, i to, o czym wiedział z innych źródeł – zaczęły do siebie pasować. Stworzyły jednolity obraz. Nie udawało mu się. Naprawdę mu się nie udawało.

– Zostało dowiedzione naukowo, że to pani głos – powiedział w końcu.

Nadal na niego nie patrzyła. Mówił dalej:

– A jednak osoba, która dzwoni na policję i mówi to wszystko, jest kimś zupełnie innym niż ta, którą mam teraz przed sobą. To mi każe przypuszczać, że teraz też odgrywa pani rolę. Udaje kogoś, kim nie jest.

Wciąż była odwrócona.

– Proszę na mnie patrzeć – powiedział spokojnie. – Chcę, żeby spojrzała mi pani w oczy.

Nadal nic.

– Teraz – powiedział. – Proszę to zrobić teraz.

Powoli odwróciła wzrok w jego stronę. W końcu spojrzał prosto w jej

niebieskie oczy. Doświadczenie podpowiadało mu, że spojrzeniem można coś ukryć, ale nie można skłamać. Co widział teraz? Coś neutralnego, pozornie niewzruszonego, a w każdym razie niedostępnego. To była zupełnie inna kobieta, niż się spodziewał. Inna niż ta, za którą chciała uchodzić.

Niż maska, która miała go zwieść.

– Zadzwoiła pani z informacją o domu w Märsta, kiedy Charlesa Lindbergha, znanego nam jako Erik Johansson, nie było tam już od dwóch dni. Dlaczego czekała pani z tym dwa dni?

– Erik Johansson?

– Dlaczego czekała pani dwa dni? Dlaczego miała pani stać przy policyjnych taśmach tamtego dnia w Märsta?

Brak odpowiedzi. Mina Nathalie Fredén świadczyła o tym, że na jej czole pojawiłaby się zmarszczka, gdyby nie przeszkodził w tym botoks.

– Jeżeli dzwoniąc na policję, nie czytała pani z kartki, oznacza to, że nie tylko wiedziała pani, iż Ellen Savinger była w tym domu, ale też miała pani dostęp do faktów, które znali tylko policjanci i sprawca. O różowym skórzanym pasku z krzyżem prawosławnym wiedzieliśmy tylko my. I as.

– As?

– Charles Lindbergh i Erik Johansson to tylko pseudonimy. Tak naprawdę nazywa się „as”. Wie pani o tym. Nie był dla pani miły. Proszę opowiedzieć.

– O czym mam opowiedzieć?

– Czy była pani w domu w Märsta? Widziała pani Ellen, uwięzioną i krwawiącą? Widziała pani, jak ściera paznokcie u rąk i nóg o lodowatą cementową podłogę? Torturowała ją pani?

– Nie! Nie wiem, o czym pan mówi.

– Tak! Cholernie dobrze pani wie, o czym mówię. Dostyc już tego pieprzenia. Torturowała ją pani?

– Proszę przestać.

– Proszę przestać? Proszę przestać?

– Sam – rozległ się spokojny głos w jego uchu.

Już dosyć, uznał Berger. Uspokoił się. Zaczął odczuwać upływ czasu, poczuł ostre bicie serca. Z każdym uderzeniem coraz bliżej śmierci, pomyślał.

Coraz bliżej.

– Proszę opowiedzieć o rozmowie telefonicznej – polecił łagodnym tonem.

– Do nikogo nie dzwoniłam – odparła.

– Nie rozumiemy się. My wiemy, że pani dzwoniła. Wiemy, że odegrała pani rolę, bardzo dramatycznie zresztą. Ja nie pytam. Proszę po prostu opowiedzieć o tej rozmowie.

Siedziała w milczeniu. Berger czekał, choć nie bardzo potrafił przewidzieć, co się stanie.

W końcu Nathalie Fredén się odezwała.

– Do nikogo nie dzwoniłam – powtórzyła.

Westchnął ciężko i wyjął z teczki dwa rysunki. Podsunął je w jej stronę. Jeden przedstawiał mężczyznę w furgonetce na Östermalmie. Drugi opierał się na zeznaniach okolicznego mieszkańca, który widział dziwną postać na skraju lasu w Märsta.

– Czy któryś z tych rysunków przypomina Charlesa?

Nathalie Fredén przyjrzała się obu rysunkom i pokręciła głową.

– Nie bardzo – odparła.

– Okej – powiedział Berger i zgarnął rysunki. – Teraz zrobimy przerwę. Jak tylko wyjdę z pokoju, przyjdzie tu rysownik i pomoże pani stworzyć portret Charlesa Lindbergha. Chcę, żeby zastanowiła się pani nad rozmową telefoniczną i nad wszystkim, co ma jakikolwiek związek z Lindberghiem.

Opuścił wzrok na nadgarstek.

W potężnym skupisku skroplonej pary pojawiła się szczelina. Było widać mniej więcej jedną trzecią lewego górnego rogu tarczy. Ale wskazówki pozostawały niewidoczne.

Czas w dalszym ciągu był niewiadomą.

## 12

**Wtorek, dwudziesty siódmy października, godz. 2:42**

WSZYSCY CHCIELI BYĆ jak najdalej od pokoju przesłuchań. Zebrali się przy biurku Bergera na samym skraju open space'u. Oprócz niego byli tam Deer, Allan i Samir. Berger, jakkolwiek wielką miał na to ochotę, nie mógł się skulić do pozycji embrionalnej i próbować zrozumieć, dlaczego wszystko wydaje się takie wynaturzone. Choć pasowałoby to do sytuacji.

Ciemność ozdabiały twarze, widoczne w słabej poświacie ekranów. Niewidzialny, choć jak najbardziej słyszalny deszcz tłukł o szyby. Był środek nocy.

Zbliżała się godzina wilka.

Samir przewijał film z pokoju przesłuchań. Już miał go włączyć, kiedy Berger położył dłoń na jego dłoni. Nie był jeszcze gotowy. Głos zabrała Deer:

– Udało nam się co nieco ustalić. Mamy wyniki analizy toksykologicznej z Krajowej Agencji Medycyny Sądowej. Krew Ellen Saviger zawierała bardzo dużą dawkę jak dotąd niezidentyfikowanej substancji rozrzedzającej.

– Zdaje się, że miałaś zadanie domowe, prawda?

– Wiem – westchnęła Deer. – Po co ktoś miałby faszerować Ellen środkiem rozcieńczającym krew. Jedyne odpowiedzi, jaka mi się nasuwa, brzmi: żeby obficie krwawiła...

– Obficie i długo – dodał Berger. – Kurwa. Coś jeszcze?

– Lista. Wciąż rośnie. Jeśli wziąć pod uwagę, jak trudno jest zaaplikować botoks w taki sposób, żeby zwalczał migreny, bierze się do tego zaskakująco wielu ludzi. A jeśli wziąć pod uwagę, że jest środek nocy, otrzymaliśmy zaskakująco wiele odpowiedzi.

– Odpowiedzi na co?

– Spis klientek w określonym przedziale wiekowym i czasowym. Prawdopodobnie outsource’owali pracowników z krajów, w których teraz jest dzień.

– Dobrze – odparł Berger. – Pytanie brzmi tylko, do czego nam się to przyda.

– To zasadnicze pytanie – zawołał Allan. – Czy nie komplikujemy wszystkiego bez potrzeby?

– To ślad – powiedziała Deer. – Musimy dojść do tego, kim jest Nathalie Fredén. Botoks się z tym wiąże. Migrena też.

– Ale to tak cholernie naciągane! – ryknął Allan. – Przecież doskonale wiadomo, na co patrzymy. Brzytwa Ockhama, do cholery! Trzeba odciąć całe martwe mięso. Najprostsze rozwiązanie jest najczęściej tym właściwym.

– Trudno mi tu dostrzec cokolwiek prostego – mruknął Berger.

– Przecież ona jest morderczynią! – wrzasnął Allan.

– Ostatnio mówiłeś, że to szajbuska, ślepa uliczka, psycholka – odparł Berger.

– A teraz się okazuje, że to fantastyczna aktorka. Która tylko gra szajbuskę. Zdarłeś z niej maskę, Sam. Powinieneś być dalej drążyć. Zadawać serie ciosów, jedną po drugiej. Poddałaby się.

– Gdyby padła, nie wydusiłbym z niej już nic więcej – stwierdził Berger. – Poza tym pod koniec niewiele brakowało. Teraz mamy jeszcze jedną szansę, jesteśmy przygotowani lepiej niż kiedykolwiek.

Allan wyprostował plecy i z całą mocą swojego barytonu oznajmił:

– Nie istnieje żaden cholerny Charles Lindbergh, wymyśliła go. Teraz siedzi tam w środku i zaśmiewa się w kułak. Ta zbrodnia nie jest jeszcze dokonana. Nie można powiedzieć, że ją popełniła. Ona nadal to robi. Zazwyczaj siedzi się z podejrzanym w pokoju przesłuchań już po tym, jak popełnił przestępstwo. Po fakcie. Ale teraz jest inaczej. To ekstremalny przypadek. Zbrodnia trwa, właśnie w tej chwili. Ty ją przesłuchujesz, a ona w najlepsze łamie prawo. Każda sekunda to przedłużenie zwyrodniałej satysfakcji seksualnej tej zdziry Fredén, jeszcze więcej cierpienia Ellen Saverig i kolejne splunięcie nam w twarz.

– Czyli to naprawdę pierwsza szwedzka seryjna morderczyni, jaką mamy w tym pokoju przesłuchań?

– Nazywaj to sobie jak, kurwa, chcesz. Wyjdź na dach i wrzaśnij „seryjny morderca” na całe Kungsholmen, mam to w dupie. Byłeś zbyt miękki, Sam.

– Poprzednim razem byłem zbyt narwany. Teraz jestem zbyt miękki. Jesteś szefem, którego trudno zadowolić.

– Idę do klopa – odparł Allan i odwrócił się na pięcie.

Szybko zniknął w mroku.

– Coś jest w tym, co powiedział – stwierdziła Deer.

– Wiem – mruknął Berger. – Masz coś jeszcze?

– Sprzedawcę rowerów. Strzała zdobyła spis numerów ram. Firma nazywa się Wiborg Detaljst AB. Nie mam pojęcia, co to za jedni. Anonimowa sprzedaż dwudziestego czwartego maja trzy lata temu.

– Hm, okej – odparł Berger. – Został sprzedany jako nowy?

– Tak. Od tamtego czasu nie ma żadnych śladów tego numeru.

– Coś mi to mówi. Wiborg?

– Czy to nie nazwa miasta w Danii? – spytała Deer.

Berger poczuł, że marszczy brwi.

– Zaczynaj, Samir – polecił.

Film z przesłuchania ruszył.

– Imię Charles pojawia się właściwie od razu – poinformował Samir i wskazał ekran.

– Wiele wymiarów Charlesa Lindbergha – oznajmił Berger. Po krótkiej pauzie kontynuował: – Kolejne przechwałki. Wymyślne. Wymiary: najpierw przeleciał Atlantyk. Miał syna, który został porwany i zamordowany. Prawdopodobnie na początku wojny był nazistą. Notorycznie niewierny. Porwany i zamordowany syn jest chyba najciekawszy.

– Nie sądzę, żeby to miało szczególnie duże znaczenie – stwierdziła Deer.  
– Kontynuuj.

Samir podrapał się po brodzie, z której wypadły jakieś niezidentyfikowane obiekty. Ciągnął dalej:

– Dzieciństwo. Było tu trochę dziwnych reakcji.

– Gdzie dokładnie? – spytał Berger.

– Tu – wskazał Samir. – „Zdrada”.

– Wzrok – odezwała się Deer. – Wlepia go w ciebie ze wszystkich sił, jakby chciała zaakcentować właśnie tę zdradę.

– W tym wypadku nie ma to zbyt wielkiego znaczenia – stwierdził Berger.

– Co sądzicie o reakcji na hipotezę mobbingową? O tam.

– Narastający brak zainteresowania – stwierdziła Deer. – Parzyło, a potem zrobiło się zimno.

– To było dziwne – oznajmił po prostu Berger.

Mógł powiedzieć o wiele więcej. Niestety, nie wiedział co.

– Było jeszcze jedno miejsce – rzekł Samir.

– Najdziwniejsze – dodała Deer.

Na filmie pokazało się zdjęcie klasowe, Berger wygłosił komentarz o wolnej przestrzeni wokół dziesięcioletniej Nathalie.

*Miała pani dziesięć lat. Co takiego się wydarzyło, że inne dzieci się panią*



brzydziły? – mówił z ekranu.

Fredén bardzo ostrym tonem odparła: *Wie pan doskonale, co się stało.*

Samir zatrzymał film.

– Ja nie wiem – powiedziała Deer. – Co to ma być?

– Tak jakbyś był tam w Umeå dwadzieścia pięć lat temu – odezwał się Samir.

– Co masz na myśli? – spytał Berger.

– Po prostu to się wydawało takie... osobiste.

– Zgadza się – odparł Berger. – Ale nigdy nie byłem w tym cholernym Umeå.

– Cała reszta też się nie zgadza – stwierdziła Deer. – To oznacza coś innego.

– Tak. I to mnie doprowadza do szału – oznajmił Berger.

Cała trójka przez chwilę wpatrywała się w zgasły ekran. W końcu Berger powiedział:

– Puść tę sekwencję jeszcze raz.

Samir posłuchał. Filmowy Berger powiedział:

*Miała pani dziesięć lat. Co takiego się wydarzyło, że inne dzieci się panią brzydziły?*

Nathalie ostrym tonem odparła:

*Wie pan doskonale, co się stało.*

Samir znów zatrzymał film.

– Kurwa – zaklął Berger i wziął głęboki wdech. – Dawaj dalej.

Mówił teraz z ekranu o powrocie do świata po dwudziestu latach w klinice. Potem poruszył temat spadku. Reakcja: *Przecież pan mówił, że nie mam konta w banku.*

– Jeżeli gra jakąś postać – odezwała się Deer – to właśnie wypadła z roli.

Film trwał.

– Przewiń dalej – polecił Berger.

Samir przewinął do momentu, w którym Deer położyła dłoń na dłoni Bergera. Film odzyskał normalną prędkość.

Nathalie Fredén powiedziała:

*Nie pamiętam. Bliżej Sztokholmu.*

Berger odparł:

*Proszę spróbować sobie przypomnieć. To ważne.*

Po wyjątkowo długiej pauzie Nathalie Fredén odpowiedziała:

*W Sollentunie.*

– Jak idzie z Sollentuną? – zapytał Berger, przekrzykując film.

– Jeszcze nic nie mamy – odparła Deer. – Strzała nad tym siedzi. Jeżeli zniknęła stamtąd piętnastoletnia dziewczyna, to ona ją znajdzie.

– Jeżeli tak było, to udało mi się tego nie zauważyć. Ta sprawa musiała być ukryta za czymś innym. Poszukajcie innych przestępstw popełnionych w centrum Helenelund latem dwa lata temu.

– Zaręczam, że to będą szeroko zakrojone poszukiwania. Ale muszę powiedzieć, że przede wszystkim zdziwiła mnie twoja wiedza na temat Sollentuny.

Deer wskazała ekran komputera. Berger akurat mówił: *Stupvägen. Centrum Helenelund. Pod wieżowcami rzeczywiście jest parking.*

Berger skinął głową.

– Dorastałem tam – powiedział.

Nagle zjawił się Allan, czuć było od niego dymem. Berger przypomniał sobie, jak niedawno myślał, że Allan pewnie nie wypalił w życiu ani jednego papierosa. Roześmiał się i poczuł, że zapach dymu jest zmieszany z wonią mokrej tkaniny. Allan bez wątplenia był nie w kłopot, lecz na jednym z policyjnych balkonów dla palących. Dosłownie ociekał wodą.

Berger spostrzegł, że wokół butów Allana formuje się kałuża, i nagle coś

przyszło mu do głowy. Coś zaskoczyło.

Kto wychodzi na deszcz, ten moknie.

Wyciągnął telefon komórkowy i wyświetlił ostatnie zdjęcie. Nathalie Fredén stała w świetle przed drzwiami swojego mieszkania przy Vidargatan. Wokół jej stóp było zupełnie sucho. Na płaszczu przeciwdeszczowym w kolorze brudnej bieli nie lśniła ani jedna kropla.

Był całkiem suchy.

Mikrometeorologia.

– Okej – powiedział i się podniósł. – Moja kolej na wyjście do klopa.

Opuścił open space, zbiegł po schodach i przemierzał opustoszałe korytarze. Po kilku kolejnych schodach i korytarzach przebiegł przez pokój medialny i szarpnął jedne z wewnętrznych drzwi.

Rzadkie włosy Strzały stały dęba. Spojrzała znad ekranów przekrwionymi oczyma i z nutą zdziwienia w głosie zapytała:

– Samiec? Nie jesteś w pokoju przesłuchań?

– Później się tym zajmiemy – oznajmił Berger i nagle się zawahał. Biurowy fotel koło Strzały był maksymalnie opuszczony. Leżały na nim kołdra i poduszka ze wzorem Kubusia Puchatka, a ze szczeliny pomiędzy jednym a drugim wystawała główka z rzadkimi włosami w mysim kolorze. Słyszając przytłumione posapywanie, Berger trochę przystopował.

– Moja córka Moira – oznajmiła Strzała z uśmiechem, którego Berger nigdy wcześniej nie widział. – Musiałam ją tu zabrać, bo mamy teraz tak cholernie dużo nadgodzin.

– Nawet nie wiedziałem, że jesteś mężatką – wyszeptał skołowany.

– A trzeba być? – odparła Strzała z krzywym uśmiechem. – Przecież ty i Freja nie braliście ślubu.

Berger popatrzył na spokojnie śpiące dziecko i nie mógł powstrzymać lekkiego uśmiechu. Kimkolwiek był ojciec, jego geny nie miały żadnych

szans. Moira była wykapaną Sylvią Andersson.

– Daj spokój! – zawołał. – Ile ona ma lat?

– Pięć – odparła Strzała. – Nie mów nic Allanowi.

– Jeśli zacznę wyjawiać różne rzeczy Allanowi, to możesz być pewna, że już za kilka sekund rozejdzie się zapach palonych włosów – oznajmił Berger i dodał: – Jest prześliczna, opiekuj się nią.

Strzała patrzyła na niego przez chwilę. Na jej twarzy pojawiło się coś, co można by uznać za wyraz empatii. Po chwili zniknął i zapytała:

– Czego chciałeś, Samcze?

– No właśnie, czego to ja chciałem... – odparł, nie mogąc oderwać wzroku od Moiry. – A, już wiem. Sprawdziłaś tę firmę, Wiborg Detaljist AB?

– Chyba Maja tym się zajmuje. Ale to, gdzie został kupiony ten rower, nie jest raczej aż tak ważne...

– Po prostu nazwa Wiborg brzmi jakoś znajomo. Tobie nic nie mówi?

Strzała wolno pokręciła głową.

– Możesz to potajemnie sprawdzić?

Na jej twarzy widać było teraz nieskrywaną niechęć.

– Co ustaliliśmy, kiedy pomogłam ci zdobyć materiały na temat Julii i Jonny?

– Że po raz ostatni robisz dla mnie coś, do czego nie jesteś uprawniona. Ale wiem, że nie tylko możesz mi pomóc, ale wręcz cię to ekscytuje.

– To ryzykowne...

– Zrób to. W razie czego wezmę wszystko na siebie.

Ostatni raz rzucił okiem na spokojnie śpiącą Moirę. Na dole, w opustoszałym policyjnym garażu, wsiadł do samochodu i ruszył przez czarne, skąpane w deszczu miasto. Dojechał do Vidargatan i zaparkował równolegle, najbliżej jak się dało. Nie chciał zmoknąć.

Zupełnie jakby to było możliwe.

Kiedy wszedł do środka, zegar wskazywał kilka minut po trzeciej. Zapalił światło i wszedł na schody. Drzwi były zabezpieczone taśmami policyjnymi. Patrzył na nie przez chwilę – nic nie świadczyło o tym, że ktoś przy nich majstrował, nie mówiąc już o odbezpieczeniu. Rozerwał je, wyważył drzwi, wszedł do środka, stanął w ciemności tuż za drzwiami i wciągnął powietrze.

Tak. Wyczuł to. Ktoś tu był. Ale to oczywiście nie wystarczyło.

Włączył latarkę i poświecił po ścianach małego przedpokoju. Teraz, kiedy wiedział, czego szuka, łatwo było to znaleźć. Chodziło o coś, czego nie było tu w czasie jego poprzedniej wizyty.

Z centymetrowej szczeliny tuż nad futryną drzwi do kuchni sączyło się coś, co można było określić jako świecący mrok. Tuż przy progu na podłodze w przedpokoju leżało kilka małych białych ziarenek. Berger przykucnął i sprawdził – rozpoznał środek do czyszczenia ścian. Podsunął stołek i na nim stanął. Zaczął grzebać w szczelinie.

Tak, z całą pewnością była tam kamera. Mikrokamera.

Zszedł ze stołka i ruszył do kuchni. Na dużej topoli na wewnętrznym dziedzińcu nie pozostał już żaden żółty liść, a mimo to szum zagłuszał dźwięki deszczu. Berger usiadł przy stole w kuchni i wyjrzał do przedpokoju. Nie chciało mu się wierzyć, że był w tym miejscu zaledwie kilka godzin wcześniej. Czuł się tak, jakby to było w innym życiu.

Okej. Musiał pomyśleć. Wreszcie pomyśleć. W spokoju.

I samotności, której tak naprawdę przez cały czas potrzebował.

Nathalie Fredén była sucha, kiedy się pojawiła w drzwiach. Nie mogła więc przyjść z ulicy. Była w domu. Siedziała gdzieś i czekała, aż policjanci – których widziała dzięki ukrytej kamerze – wejdą do mieszkania. Wtedy tam poszła, a funkcjonariusze siedzący w samochodzie zobaczyli ją w oknie klatki schodowej. Do tego momentu mogła być sama.

Nie mogła jednak zabrać kamery.

Zrobił to ktoś inny.

Ktoś, kto prawdopodobnie czekał wraz z nią w jednym z pozostałych mieszkań.

W którym z powodzeniem mogli mieć trzeciego gościa.

Ellen Saviger.

Ale dlaczego Nathalie Fredén miałyby się oddawać w ręce policji? Wchodzić prosto w pułapkę?

W skrócie: w jakim celu Charles, Erik czy as miałyby poświęcać swoją niewolnicę?

Poza tym to poświęcenie musiałyby być planowane od ponad dwóch lat.

Zdecydowanie coś się nie zgadzało.

Sam Berger nie potrafił połączyć tego wszystkiego w jedną całość.

Czyżby miał coś w rodzaju wybiórczej ślepoty? Czy znajdował się w martwym punkcie i nie potrafił dostrzec prawdy widocznej z każdej innej perspektywy?

Wstał z krzesła. Z latarką w ręku dotarł do drzwi. Wyszedł z powrotem na klatkę schodową. Znalazł przycisk, świecący na czerwono. Zszedł po schodach. Przystanął przed listą lokatorów. Zaczął czytać nazwiska. Żadne nie wydawało się ani znajome, ani niezajome. Patrzył na kilkanaście dość znanych szwedzkich nazwisk i wiedział, że jedno z nich skrywa mieszkanie, w którym Nathalie Fredén i as uwili sobie gniazdko. Zaledwie kilka metrów dalej, kilka godzin wcześniej.

Zdawał sobie sprawę, że gdyby kojarzył odrobinę szybciej, mieliby asa w małym pudełku.

Dosłownie.

Istniała oczywiście minimalna szansa, że wciąż jeszcze przebywał w jednym z mieszkań, kilka metrów od niego. Dokładnie w tej chwili. Nie

było to jednak zbyt prawdopodobne. Berger wiedział, że powinien zlecić przeszukanie wszystkich mieszkań, ale równie oczywiste było dla niego to, że w żadnym nie znaleźliby asa. Zostałby po nim tylko delikatny, lecz długo rozbrzmiewający szyderczy śmiech.

Dlaczego zostawił Nathalie Fredén na pastwę wilków?

Berger uniósł telefon i sfotografował listę lokatorów. Nagle telefon zaczął wydawać dźwięk rytualnie zarzynanej świni.

Berger szybko wyciszył sygnał i już był gotów odezwać się szeptem do Deer, która pewnie zaczęła podejrzewać, że nie poszedł jednak do klopa, kiedy zobaczył na wyświetlaczu nieznany numer, zaczynający się od 0915. Zanim uporał się z drzwiami i wypadł na Vidargatan, zdążył jeszcze zobaczyć, że jest dwadzieścia siedem po trzeciej. Godzina wilka. Deszcz w dalszym ciągu lał w najlepsze.

– Tak – powiedział do słuchawki i podniósł kołnierz marynarki. – Sam Berger.

– Przepraszam, że dzwonię o tak dziwnej porze – rozległ się głos, który Berger szybko zaklasyfikował jako żeński, szybki i należący do kogoś z Norrlandii.

– Kto mówi?

– Po prostu to pilne, a ja nigdy nie śpię dłużej niż do trzeciej rano.

– Z kim rozmawiam?

– No tak, przepraszam – odparł skrzypiący głos. – Nazywam się Britt-Marie Bengtsson. Dzwonię z Bastuträsk.

– Aha? – odparł niecierpliwie Berger. – Kto mówi, że to pilne?

– Policja z Umeå. O ile wiem, szukali mnie cały wieczór i całą noc. Dali mi numer pana posterunkowego Bergera.

Berger czuł, że coś powinno mu zaświtać. Nie zaświtało.

– Słucham – powiedział tylko.

– Pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku pięćdziesiątych pracowałam jako pedagog w szkole Mariehem.

– Aha – odparł Berger i poczuł, że w głowie zapala mu się żarówka.

– Rozumiem, że jesteście zainteresowani jedną z moich dawnych klientek?

– Tak, jeśli nazwiemy dziesięcioletnią dziewczynkę klientką.

– A jakie określenie pan posterunkowy preferuje? Pacjentka? Uczennica?

– Cokolwiek, tylko proszę nie nazywać mnie „panem posterunkowym”. Ten zwrot wyszedł z użycia na początku lat siedemdziesiątych.

– Mówi to co nieco na temat mojego wieku – odparła spokojnie Britt-Marie Bengtsson.

– Trudno się było z panią skontaktować – oznajmił Berger.

– Ponownie wyszłam za mąż, a na emeryturze przeprowadziłam się do Bastuträsk.

– Okej. Jak pani wie, chodzi o Nathalie Fredén, która pod koniec lat osiemdziesiątych chodziła do trzeciej klasy szkoły Mariehem.

– Tak. Biedna Nathalie – powiedziała Britt-Marie Bengtsson. – Przyszła do mnie, bo mocno się nad nią znęcano w klasie.

– Tak przypuszczałem – przyznał Berger. – Co się działo?

– Obawiam się, że pozostaje dla mnie zagadką, dlaczego niektórzy są wybierani na ofiary. Nathalie zgłosiła się do mnie z własnej inicjatywy. Na pewno nie czuła się dobrze. Widziałyśmy się kilka razy, ale nic z tego, co byłam w stanie zrobić, nie pomagało, sytuacja była coraz gorsza. Musiałam skorzystać pomocy Hansa-Owego.

– Szkolnego psychologa – rzekł Berger. – I wygląda na to, że on znalazł jej miejsce w klinice psychiatrycznej.

– Hans-Ove? – wykrzyknęła Britt-Marie Bengtsson. – A to dopiero. Z pewnością nie był najdelikatniejszym psychologiem w kraju...



– Czyli nic pani o tym nie wiedziała?

– Nie. I nie rozumiem, jak mogło do tego dojść. Choć wiadomo, nigdy nie ma gwarancji. Rzecz w tym, że jej mama pracowała w biurze pastora, a w tych czasach wiele spisów ludności było robionych ręcznie. Można w zasadzie powiedzieć, że to było przed erą komputerów. Przynajmniej w dużej mierze.

– Chwileczkę – Berger przystanął na chodniku. Deszcz smagał go z dużą siłą.

– Czekam – odparła posłusznie Britt-Marie.

– Proszę opowiedzieć własnymi słowami, co się stało.

– To było bardzo nieoficjalne. Dla dobra matki przyjęliśmy oficjalną wersję. Że mała Nathalie przeniosła się za granicę, do rodziny.

– Co pani chce powiedzieć? – zawołał Berger.

– Nathalie Fredén nie żyje – odparła Britt-Marie Bengtsson. – Tamtego lata popełniła samobójstwo.

# 13

**Wtorek, dwudziesty siódmy października, godz. 3:58**

Deer czekała na niego przed głównymi drzwiami komisariatu. Dochodziła czwarta rano, jej obecność była jak balsam dla duszy. Nic nie mówiła, ale spojrzenie jej brązowych oczu – które nie miały kompletnie nic wspólnego z sarną – było bardziej przenikliwe niż kiedykolwiek. Wyłuskała z kieszeni słuchawkę i wręcz z nadmierną troską przymocowała ją przy jego prawym uchu. Potem spojrzała mu w oczy, zaakceptowała być może nie do końca idealną sytuację i klepnęła go w policzek.

A potem poszła. Bez słowa.

Berger nie chciał przechodzić przez dyspozytornię. Chciał spotkać jedną, jedyną osobę. A ona nie istniała.

Stał w ciemnym korytarzu, zupełnie sam, przed nic niemówiącymi drzwiami. Jego ubranie ociekało wodą.

Wziął głęboki wdech, przeciągnął kartę, wystukał kod.

Nathalie Fredén nie była sama w pokoju przesłuchań. Przy ścianie stał ochroniarz, a za biurkiem siedziała kobieta z laptopem. Na widok Bergera kliknęła, a kiedy rozległ się świszczący dźwięk wysyłanego maila, zamknęła komputer, wstała, skinęła głową i wyszła z pokoju, a za nią ruszył ochroniarz.

Zapasowy laptop Bergera, stojący tyłem do Fredén, zadzwieczał. Berger otworzył nowy mail i usiadł. W załączniku znajdował się rysopis –

elektroniczny rysunek. Widniejąca na nim twarz wyglądała jak kompletnie bezpłciowa mieszanka dwóch starych podobizn Erika Johanssona. Berger rzucił okiem na aparat na bocznym stoliku i zauważył, że lampka świeci na czerwono. Obrócił komputer i usiadł.

– Czy naprawdę tak wygląda pani wersja Charlesa?

– To trudne – odparła Fredén.

– Zwłaszcza jeśli wszystko jest kłamstwem.

Popatrzyła na niego. W jej spojrzeniu nie było żadnego wyrazu.

– Może dłużej patrzyła pani na jego fiuta niż na twarz – dodał Berger, odwrócił z powrotem komputer i go zamknął.

– Co? – odparła Nathalie Fredén.

– Koniec przedstawienia. To był niezły teatr. Ale kurtyna już opadła.

Nathalie Fredén spoglądała na Bergera, on zaś zachodził w głowę, jakim cudem mógł się wcześniej nabierać na jej udawaną naiwność. To spojrzenie było czymś zupełnie innym.

– Jak to możliwe, że była pani zupełnie sucha, kiedy wczoraj wieczorem weszła do swojego mieszkania? Przecież lał deszcz.

– Byłam sucha?

– Jak wiór. Pani aktorstwo też jest drewniane. Sąsiedzi nie będą skakać ze szczęścia... Właśnie w tej chwili do ich drzwi dzwonią policjanci, żeby ustalić, w którym mieszkaniu się pani ukrywała, czekając. Zasadnicze pytanie brzmi jednak, czy była pani sama.

Patrzyła na niego. Nic nie mówiła. Nie podobało mu się jej spojrzenie.

– Co pani na to powie? – zapytał.

– Nie rozumiem. Przyszłam do domu. Zobaczyłam, że pan siedzi przy stole w mojej kuchni. Potem dwóch mężczyzn się na mnie rzuciło.

– Przyszła pani sucha. Z któregoś z mieszkań w tym samym budynku. Kto oglądał z panią zdjęcia z kamery w przedpokoju?

– Kamera? W moim mieszkaniu?

– Już jej nie ma. Charles ją zabrał. Potem poszedł do domu i dalej torturował Ellen.

– W moim mieszkaniu była kamera, a wy jej nie zauważyliście?

W tym momencie Berger dostrzegł lekki uśmiech w jej lewym kąciku ust.

Poczuł, że w jego wnętrzu wzbiera mrok. Czasami tak się działo. Nadchodził z samego dołu. Nauczył się nad nim panować, ale potrzebował absolutnej ciszy, musiał, jak to się kiedyś mówiło, „policzyć do dziesięciu”. Dawniej było inaczej. Potrafił się obudzić z pogruchotanymi kostkami dłoni i poluzowanymi zębami, a nawet z odgryzioną połową bicepsa.

Ta pieprzona zdzira bawiła się z nim od samego początku. Chciał bić. Mocno. Wytluc z niej życie.

Zamiast tego wkroczył w mrok. Odnalazł punkt zerowy. *The still point of the turning world*. Wrócił do niego. Zobaczył przed sobą Marcusa i Oscara. A nawet Freję. Przypomniawszy sobie samego siebie z czasów, kiedy był człowiekiem. Znow zapragnął się nim stać. Czerpał siłę właśnie stamtąd, z głębi.

Czas płynął. Berger czuł, jak spojrzenie kobiety wwierca się w jego opuszczoną głowę. Podniósł wzrok i z wystudiowanym spokojem zaczął mówić:

– Pewnego pięknego przedwiosennego dnia ćwierć wieku temu pewna mała dziewczynka weszła do stodoły w gospodarstwie rodziców. Wzięła widły i wcisnęła je między dwie klepki drewnianej podłogi, tak że stały na sztorc. Spokojnie i pewnie weszła po stromych schodach na strych. Nie spadła na siano, zanosząc się śmiechem. Zeskoczyła prosto na widły. Lekarze ustalili, że żyła jeszcze pół godziny.

Oczy Fredén nie poruszyły się ani o milimetr, na jej twarzy nie drgnął żaden mięsień.

Berger mówił dalej:

– To było w gospodarstwie pod Umeå, dziewczynka miała dziesięć lat i nazywała się Nathalie Fredén. Naprawdę nie chciała już dłużej żyć.

Znów opuścił wzrok, na podłogę, nisko, bardzo nisko. Wzbierał w nim szal, rozżarzony do czerwoności, rozżarzony do białości. Zerwał się z krzesła, chwycił laptop, usłyszał jego trzask między palcami, poczuł, jak rana na kostce prawej dłoni się otwiera, rzucił się całym tułowiem na biurko i ryknął, głosem, którego nie słyszał od lat:

– Kim ty, kurwa, właściwie jesteś?

Już na niego nie patrzyła. Jej spojrzenie było stabilne, ale skupione na innym punkcie. Słyszac uspokajający głos Deer, Berger wyszarpnął z ucha słuchawkę.

Wtedy się zorientował, że Nathalie Fredén patrzy na czerwoną lampkę. Na krótką chwilę ich spojrzenia się spotkały. Powietrze między nimi było zakażone. Tańczyły w nim demony.

Gwałtownie sięgnął prawą dłonią do kontaktu i go wyłączył. Krew trysnęła na ścianę. Czerwona lampka zgasła.

Nathalie Fredén nachyliła się do niego i syknęła:

– Wierz mi, nie chcesz wiedzieć, kim jestem.

Drzwi do dyspozytorni się otworzyły. Do środka wpadli Deer i Allan. Berger złapał komputer i cisnął nim o ścianę. Klawisze rozsypały się po pokoju jak deszcz liter.

– Zabierzcie to ścierwo do celi – wrzasnął Berger. – Pełna izolacja, żadnego kontaktu z kimkolwiek. Już!

Wybiegł na zewnątrz. Przy swoim biurku opadł ciężko na krzesło. Siedział cicho w ciemnościach. Patrzył pustym wzrokiem przed siebie.

Wkrótce poczuł, że ktoś lekko położył mu dłoń na ramieniu. Najpierw poczuł irytację, ale po chwili ręka zjechała na jego serce, chwyciła je,

uspokoiła.

– Czuję to samo co ty, Sam. Ona jest cholernie sprytna.

– Aż za bardzo, kurwa – wrzasnął Berger. – Pieprzona profesjonalistka.

Właśnie przez to mieliśmy ciągle pod górkę.

Wstał. Przez głowę przelatywały mu różne myśli i uczucia, bez żadnych słów.

– Zostań tutaj – polecił i wyszedł.

Pędził przez korytarze i zbiegał po schodach. Zadyszany przebiegł przez pokój medialny i otworzył drzwi do dziupli Strzały. Pięcioletnia Moira spała równie spokojnie co przed dwiema godzinami – wyglądało na to, że nie zmieniła pozycji na posłaniu przygotowanym na mocno odchylonym fotelu biurowym – ale jej matka wyglądała zupełnie inaczej. Błada, z rzadkimi, skołtunionymi włosami, sprawiała wrażenie, jakby długo na niego czekała.

– Ty łajzo – odezwała się.

– Wiborg Detaljst AB – powiedział. – Co to za cholerstwo?

– Nic... nic dobrego.

– Wiedziałem, że gdzieś już to słyszałem, w związku z jakimiś ciemnymi sprawkami. To Säpo?

– Nie wiem, czy to jest Säpo, ale to stamtąd ich agenci czerpią materiał. Mają wszystko. Dosłownie wszystko.

– Włącznie z rowerami przeciętnej marki Rex. Tajniacy Säpo, kurwa ich mać!

Strzała skinęła głową. Wyglądała na poruszoną.

– Kiedy tam weszłam tylnymi drzwiami, ujawniła się cała seria anomalii. Podejrzewam, że wynika to z faktu, że od pierwszego stycznia Säpo stała się samodzielną jednostką. Przez moment firewalle były słabe i mogłam wszystko prześledzić, cofając się w czasie.

– Jakie anomalie?

– Przede wszystkim lista – odparła głuchym tonem Strzała. – Wystarczyło kilka kliknięć. Takich, które najpewniej oznaczają koniec mojej kariery. Albo coś jeszcze gorszego...

– No dalej, Strzała. Jaka lista?

– Dane agentów. Podzielone na „zasoby zewnętrzne” i „zasoby wewnętrzne”.

– Co, do diabła? – krzyknął Berger. – Mają listę? Co to za pieprzony cyrk?

– Kurwa, myślę, że byłam wystarczająco dobrze ukryta – jęknęła Strzała i spojrzała z przerażeniem na śpiącą córkę. – Musiałam być. Nie mogły pozostać żadne ślady. Nie mogły.

Berger wypuścił powietrze. Rozejrzał się. Nic nie widział. Nawet Moiry śpiącej w odchylonym fotelu. Z całą pewnością nie dostrzegł, że otworzyła oczy i patrzyła na niego jak na senną marę.

– Okej – powiedział. – Okej, spokojnie, Strzała. Weź kilka głębokich oddechów i takie tam różne. Musimy zrobić jak najlepszy użytek z tej sytuacji. Masz tę cholerną listę botoksową?

– Co? O czym ty mówisz?

– O botoksie. I liście klientek, które go sobie wstrzykiwały na migrenę. To jedno nie może być sfalszowane. Twarz. Brak zmarszczek na czole. Tego się nie da udawać.

– Okej. Mam ją tutaj. O co ci chodzi?

– Porównaj tę listę z listą agentów.

– No tak – odparła Strzała. Na jej twarz wróciły śladowe ilości kolorów. Zaczęła stukać w klawisze, a potem gwałtownie wypuściła klawiaturę. Odwróciła się do niego.

– Co to ma być, Samcze? Czy Nathalie Fredén jest z Säpo? Jest agentką?

– Nie wiem – odparł Berger. – Nie mam pieprzonego pojęcia.

Przez chwilę na siebie patrzyli. Nagle komputer wydał dźwięk. Strzała

szybko się odwróciła i jeszcze przez chwilę stukała w klawisze.

– Mam jedno nazwisko – powiedziała słabym głosem. – Z „zasobów wewnętrznych”. Zaczęła leczyć chroniczną migrenę botoksem w klinice Eriksberg w kwietniu półtora roku temu. Ma trzydzieści siedem lat.

– Co to znaczy „zasoby wewnętrzne”? Jest gliną?

– Zewnętrzne to wszystko od najemników po kieszonkowców. Wewnętrzne to policjanci pod przykrywką. Ale w tym przypadku ona pracuje również nad wewnętrznymi.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Nad wewnętrznymi... dochodzeniami.

Berger poczuł, że spada. Nie było żadnej ochrony, żadnego stabilnego gruntu. Klaustrofobicznie mały pokój zaczął mu wirować przed oczami. Na samym skraju pola widzenia dostrzegł oczy Nathalie Fredén, wyraźnie skupione na czerwonej lampce. Widział, jak się ku niemu nachyla, i słyszał, jak syczy: *Wierz mi, nie chcesz wiedzieć, kim jestem.*

Wszystkie elementy układanki znalazły się na swoim miejscu. Prawie wszystkie.

– Okej – powiedział. – Jak ona się nazywa?

– Molly Blom. To aktorka.

– Jest tam jej adres?

– Sam...

– Czy jest tam jej adres?

– Stenbocksgatan cztery, Östermalm.

Berger wędrował tam i z powrotem po małym, cuchnącym ludźmi pokoiku Strzały. Ciężko oddychał, próbował się skupić. Nie bardzo mu to wychodziło. Mimo wszystko powiedział:

– Musisz zniszczyć każdy ślad, Strzało. Nic nie może do ciebie doprowadzić. Tu nie chodzi o ciebie, a ja nie wspomnę twojego nazwiska.



Zapomnij o tym wszystkim, weź się do jakiejś standardowej działalności. I zachowaj spokój.

– A o kogo niby chodzi, do cholery? – wybuchnęła Strzała.

– O mnie – odpowiedział Berger i wyszedł.

Zdażył jeszcze dostrzec badawcze spojrzenie pięcioletniej Moiry, rzucone z prowizorycznego posłania. Śledziło go, kiedy szedł ulicami Sztokholmu, których nie chciał przestać smagać deszcz. Jeszcze nie dało się zauważyć żadnych śladów świtu. Było równie ciemno co wcześniej, podczas tej wyjątkowej, niedorzecznie długiej nocy. Nocy Długich Noży.

Służbowy samochód ochlapywał od stóp do głów nielicznych nocnych przechodniów. Berger częściej patrzył we wsteczne lusterko niż przed siebie. Na razie nic nie widział.

Ale czuł, że tam są.

\*\*\*

Stenbocksgatan była zapomnianym kikutem ulicy pomiędzy Engelbrektsgatan a Eriksbergsgatan, tuż obok Humlegården. Zaparkował dwie przecznice dalej i szybko znalazł numer cztery – budynek o dostojnej ceglanej fasadzie z wystającymi wykuszami. Same drzwi były jednak niskie i niespecjalnie trudne do sforsowania. Chowając wytrych do kieszeni, rozejrzał się po ciemnej, skąpanej w deszczu uliczce.

Nic.

Mimo to zdawał sobie sprawę, że jego czas jest ograniczony.

Odpowiedzi. Musiał znaleźć odpowiedzi. Nie miał pewności, czy będzie w stanie sformułować choć jedno pytanie, ale odpowiedź rozpozna. Może to właśnie odpowiedź sformułuje pytanie. Potrzebował czegokolwiek, co mogłoby zadziałać jak choćby i najslabszy środek zaradczy. Czuł, że jego życie właśnie ulega zmianie.

Nie rozumiał tylko dlaczego.

Szybko znalazł nazwisko Blom w spisie przy drzwiach i ruszył biegiem po zadbanych schodach. Kiedy był na ostatnich stopniach, znów wyciągnął wytrych. Odwrócił się i spojrzał w dół. Zostawił za sobą spore mokre ślady.

Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, pomyślał, kiedy narzędzia poszły w ruch.

Od razu poczuł, że nie mieszka tu zwykły obywatel. Zamki – trzy, jeden nad drugim – były wyjątkowo trudne do sforsowania. Przez krótką chwilę miał obawy, że naprawdę mu się nie uda, po raz pierwszy w karierze. Jednak w końcu trzeci i ostatni zamek kliknął i drzwi stanęły otworem. Zamknął je za sobą, przekręcił wszystkie zamki i przez chwilę się nie ruszał. Patrzył na stos poczty u swoich stóp. Gazety z dwóch dni, nie więcej. Molly Blom była w domu przed dwoma dniami. Kilka kopert z okienkiem, nic osobistego. Umeblowanie nie było znacznie bogatsze niż to w mieszkaniu przy Vidargatan, ale tu panowała zupełnie inna atmosfera. Mieszkanie przy Vidargatan wydawało się wręcz opuszczone, przy Stenbocksgatan panowała domowa, niemal przytulna atmosfera. Lokatorka dobrze się tu czuła, o ile w ogóle gdziekolwiek na świecie mogła się dobrze czuć.

Nie był pewien, skąd się wzięło to wrażenie, ale postanowił je zaakceptować. Akceptował wszystkie wrażenia i wnioski, jeśli uważał, że mogłyby się stać bronią w ciągu najbliższych, z pewnością niezbyt przyjemnych dni.

Kuchnia robiła wrażenie świeżo odnowionej i to niekoniecznie przez najtańszą ekipę, a do tego była oczywiście sterylnie czysta. Otworzył lodówkę – znalazł w niej tylko duży zapas napojów proteinowych i połówki owoców owinięte w folię.

To właśnie były główne wrażenia, jakie mu towarzyszyły, kiedy spacerował po tym dwupokojowym mieszkaniu: porządek, czystość, staranność, absolutna kontrola.

W dużym pokoju stała śnieżnobiała sofa. Przejechał dłonią po przyjemnym, z całą pewnością luksusowym materiale.

Ktoś, kto się odważa na zakup takiej sofy, musi mieć pewność, że sam będzie biały jak śnieg. Przynajmniej z zewnątrz. I prawdopodobnie nie przyjmuje zbyt wielu gości. A jeśli już, to wybranych, równie czystych, równie odpowiednich. Jeżeli ma kochanków, to równie „zadbanych”.

Łazienka była wypucowana, włącznie z ewidentnie luksusowym prysznicem, a wszystko miało delikatny, wyrafinowany zapach perfum. Na komodzie w jasnej i świeżej sypialni stało kilka fotografii w ramkach. Podnosił jedną po drugiej. Pierwsza przedstawiała trzy osoby w kostiumach kąpielowych w takie same paski. Między dwojgiem promiennych dorosłych, niewątpliwie z wyższej klasy średniej, stała chuda dziewczynka w wieku dziesięciu lat – tyle samo miała Nathalie Fredén, kiedy odebrała sobie życie. Kilka cech łączyło ją z dziewczynką ze zdjęcia klasowego zrobionego w szkole Mariehem w Umeå. Na przykład zadarty nos. Trzy pozostałe zdjęcia przedstawiały dorosłą Molly Blom, uprawiającą różne sporty – i zawsze samą. Na jednym biegła w maratonie, na dwóch miała na sobie sprzęt do wspinaczki. Na jednym z tych wspinaczkowych wisiała na linie przy stromej skalnej ścianie i z radosnym uśmiechem machała do obiektywu.

W pokoju przesłuchań ani razu nie widział jej uśmiechniętej. Dopiero teraz naprawdę dotarło do niego, jak bardzo jest piękna.

Z trzaskiem odstawił zdjęcie na komodę. Po jaką cholere trzymać w sypialni swoje zdjęcia? – pomyślał.

Wrócił do salonu i pomyślał, że wizerunek Molly Blom się wyklarował. Pieprzone Säpo. Obiło mu się o uszy coś na temat tych grup. Półzewewnętrznych elit, które równie dobrze można by wystawić przeciwko skorumpowanym policjantom co międzynarodowym mafiozom. Używano ich tylko wtedy, kiedy sytuacja naprawdę tego wymagała.

Teraz najwyraźniej tak było.

Ze wszystkich ludzi na świecie wystawiono ich akurat przeciwko Samowi Bergerowi.

Salon przechodził w wykusz. Stało w nim biurko. Podszedł do niego. Było równie wysprzątane co reszta mieszkania. Żadnego komputera. Kilka długopisów, sześć bloczków samoprzylepnych karteczek w różnych kolorach. Przez chwilę na nie patrzył. Potem się odwrócił i omiół wzrokiem salon.

Nad białą jak śnieg sofą wisiało szerokie na dwa metry dzieło sztuki – fantastyczne zdjęcie grupy wspinaczkowej w drodze na zaśnieżony szczyt. Widać było tylko ich czarne sylwetki, ujęte z oddali na tle wielobarwnego, zapierającego dech w piersiach zachodu słońca, którego odbicie widać było na śniegu. Poza wyjątkowym pięknem fotografii Berger był pod wrażeniem jej grubości – odstawała od ściany na ponad dziesięć centymetrów.

Akurat w chwili kiedy w jego głowie pojawiła się nieunikniona myśl o tragarzach, którzy musieli się nadźwigać, usłyszał trzask drzwi na Stenbocksgatan. Delikatny, jakby ktoś próbował go ukryć. Berger ciężko westchnął i zaczął gorączkowo szukać czegoś innego, czegokolwiek.

Koło kanapy, pod stołem, zobaczył na wpół zmiętą samoprzylepną karteczkę. Była różowa. Podbiegł do niej, podniósł i zobaczył odręcznie napisany tekst. Szybko go przeczytał i zastanawiał się dwie sekundy – więcej czasu nie miał.

Wystarczyło go jednak na zaciśnięcie prawej pięści – tak mocno, że rana szeroko się otworzyła.

Zaraz potem usłyszał kroki na schodach.

Było tam trzech mężczyzn, najwyżej.

Wyciągnął z kieszeni woreczek na dowody, najmniejszy rozmiar, wcisnął do środka karteczkę i opuścił dzinsy. Musiał użyć trochę siły, żeby wepchnąć

sobie woreczek w odbytu. Słyszał dźwięk forsowanych zamków, jednego po drugim. Ledwo zdążył z powrotem zapiąć spodnie, kiedy wpadli do środka.

Z rozmysłem zaplamił sofę krwią z poranionych kostek, a na koniec wytarł o nią zakrwawioną dłoń. Potem rzucili się na niego. Dostał w splot słoneczny, z bólu zaparło mu dech w piersiach, pochylił się i przydzwonił jednemu z główki w krocze. Napastnik poleciał z jękiem do tyłu i gruchnął kością ogonową o futrynę. Berger wstał, a kiedy wreszcie udało mu się odzyskać oddech, z tyłu padł kolejny cios – tchórzliwe uderzenie w nerkę, za które się zrewanżował wściekłym kopniakiem do tyłu. Trafił powietrze i stracił równowagę. Kiedy upadał, dzikim obrotowym kopniakiem udało mu się przynajmniej dosięgnąć coś twardego, a drugi napastnik odkuśtykał na jednej nodze. Pierwszy oderwał się od futryny, popędził na leżącego Bergera i postawił na eleganckie przyduszenie mu twarzy nogą. Berger się przeturlał, chwycił go za prawą nogę i wymierzył potężny cios pięścią w goleń. I ten napastnik odkuśtykał tak samo jak pierwszy. Berger stanął na nogi, rzucił się na niego, zdecydował się na klasyczne wykręcenie ręki do tyłu, szarpnął i usłyszał, jak po mieszkaniu rozchodzi się ból i okrzyk, który brzmiał jak „Roy!” i był nieco płaczliwy.

Mignęła mu przed oczami dłoń z dużym, tanim zegarkiem do nurkowania i strzykawką. Po chwili poczuł ukłucie w szyję. Pole widzenia dziwnie mu się zawężyło. Tuż przed tym, jak jego świadomość się wyłączyła, zdążył jeszcze zobaczyć wzór z plamek krwi na eleganckiej białej sofie.

# 14

**Wtorek, dwudziesty siódmy października, godz. 14:37**

JESZCZE PRZED OTWARCIEM oczu Berger wiedział, że siedzi w pokoju przesłuchań.

Wzrok jest najbardziej oczywistym zmysłem. Zaraz po obudzeniu ludzie otwierają oczy, mają to we krwi. Świeżo rozbudzona świadomość rzadko jest na tyle wyostrzona, aby zahamować tę reakcję.

Teraz jednak to się udało.

Berger był przytomny od kilku minut i próbował zebrać tyle informacji, ile tylko mógł bez otwierania oczu. Wszystko go bolało, ale nie był tym specjalnie zainteresowany.

Po pierwsze: siedział. Nieprzytomnego posadzono go na twardym krześle, ręce spoczywały na podpórkach, prawdopodobnie metalowych. Dopiero po chwili poczuł, że są do nich przypięte skórzanymi paskami zaciśniętymi na nadgarstkach. Krzesło było na tyle stabilne, że można było podejrzewać, iż jest przytwierdzone do podłogi. W nozdrza wdzierał się słaby zapach piwnicy.

Wszystko wirowało. Cały świat wirował.

Tuż przed tym, jak synapsy w jego mózgu odzyskały równowagę, przeszła go mroząca krew w żyłach myśl, że as dostał go w swoje ręce.

Że siedzi w piwnicy w oczekiwaniu na ciężkie tortury.

A na ścianie przed sobą ma zmasakrowane zwłoki Ellen Saviger.

Potem jednak wszystko sobie przypomniał.

Ostatnią myślą, jaką miał, zanim zdecydował się otworzyć oczy, było to, że w pokoju jest jeszcze ktoś i że ten ktoś na pewno uważnie go obserwuje.

– Molly Blom – powiedział, odczekał trzy sekundy i otworzył oczy.

Rzeczywiście siedziała naprzeciwko niego. Zobaczył te same jasne włosy, ten sam zadarty nos, te same niebieskie oczy, ale zupełnie inne spojrzenie.

– Sam Berger – odpowiedziała, świdrując go wzrokiem.

Kobieta, która siedziała z nim w pokoju przesłuchań jako Nathalie Fredén towarzyszyła mu teraz w zupełnie innym pokoju przesłuchań. Czy w ogóle byli na komisariacie?

– Igła w szyję? – zapytał. – Poważnie?

– Podobno biłeś się jak recydywista – powiedziała spokojnie Molly Blom.

– I chciałeś zdemolować mój dom. Co byłoby odpowiednie? Reprimenda?

– Odpowiednie? Może refleksja nad tym, co może spowodować świadome wprowadzanie w błąd w śledztwie w sprawie seryjnego mordercy?

– Nieźle to ująłeś – stwierdziła chłodno Molly Blom.

– Gdybyście nie wprowadzili w obieg przynęty, można by było wykorzystać ten czas na uratowanie Ellen Saviger.

– A jak myślisz: dlaczego wprowadziliśmy w obieg przynętę? – odparła Molly Blom.

Berger wpatrywał się w nią tak intensywnie, że w polu widzenia nie miał nic innego, reszta pojawiła się dopiero teraz – kiedy poczuł, że musi się zastanowić. Zauważył stolik, niepokojąco podobny do tego, który stał w jego pokoju przesłuchań – zgadzało się nawet urządzenie z czerwoną lampką.

Była zapalona.

Widział swoje nadgarstki – rzeczywiście związane skórzanymi pasami – a dalej stół. Stół, którego nie mógł dosięgnąć. Na stole – oprócz jego zegarka, laptopa, kilku teczek i rozmaitych notatek – były dwie odwrócone

ramki, w tym jedna błękitna, oraz pudełko. Prostokątne, z klamrą pokrytą złotym chromem.

Pudełko na zegarki.

Uśmiechnął się ponuro i zapytał:

– Oko za oko?

Molly Blom się nie uśmiechnęła. Nie odpowiedziała. Berger kontynuował:

– Byłem w twoim domu, dlatego ty przyszedłaś do mojego?

– Pochlapałaś mi sofę krwią. Dlaczego to zrobiłaś?

– Bo była tak paskudnie biała. Trzeba ją było zasyfić.

– Hm.

– A przecież sama jesteś czarna jak smoła. I należysz do tajnych „wewnętrznych zasobów” Säpo. Szlag by to trafił. Włamałaś się do mojego domu i w nim myszkowałaś.

– Ale w odróżnieniu od ciebie niczego nie zdemolowałam.

Berger nadal myślał o niej jako o Nathalie Fredén. Uznał, że musi z tym skończyć. Poza wyglądem, między Nathalie Fredén a Molly Blom było bardzo niewiele podobieństw. Równowaga sił była zupełnie inna.

– Zdemolowałaś mi życie – odparł. – To chyba gorsze niż poplamiona sofa.

– Ale nie gorsze niż zbrukana i zdemolowana piętnastolatka.

– No i co by to miało znaczyć?

– Wszystko, rzecz jasna. Wszystko, co się z tym wiąże. Ale myślę, że nie chcesz od tego zaczynać, Sam. Myślę, że chcesz zacząć od drugiej strony. „Choć zapewniam, że wrócimy do tego”.

– Agenci zawsze pożyczają sformułowania od innych – odparł Berger – bo brak im własnej tożsamości. Teraz pokazałaś, że potrafisz pożyczać je ode mnie. Ładnie. Ale gdzie jest twoja tożsamość, Nathalie Fredén?

– Jesteś w dobrej formie jak na kogoś, kto jeszcze przed chwilą był



nieprzytomny – powiedziała Molly Blom. – Ładnie. Ale nie martw się, zawroty głowy mogą uderzyć w każdej chwili. A twoje powieki są cienkie.

– Co?

– „Co?” jest dobre. „Co?” to dobra próba zyskania dodatkowego czasu do namysłu. Zwłaszcza jeśli się spodziewałeś, że udzielę długiej odpowiedzi. Dostałeś tyle czasu, ile potrzebowałeś, Sam?

– Nie. Mów dalej.

– Twoje powieki są nie tylko cienkie, ale również demaskujące. Mierzyłam twoją aktywność: trwała trzy minuty i osiem sekund. Zdażyłeś się zorientować, gdzie jesteś?

– Tak – odparł Berger. – Na pustkowiach.

– W pewnym sensie tak – odparła Molly Blom. – Nic już nie jest oficjalne. Znajdujemy się teraz w innym miejscu. W innym czasie. Ale to wiedziałeś, jeszcze zanim otworzyłeś oczy.

– Jest pewna grupa ludzi, ba, cała pieprzona policja, która z pewnością właśnie zaczyna za mną tęsknić.

– Tęsknota to bardzo wartościujące słowo, Sam. Jesteś pewien, że Allan Gudmundsson i Desiré Rosenkvist za tobą tęsknią?

– Allan pewnie nie tęskni. Ale Deer tak.

Molly Blom wybuchnęła śmiechem i odparła:

– Inspektor, którą ciągle poniżasz? Myślisz, że patrzy tęsknie tymi swoimi sarnimi oczyma?

– Już dosyć tego – oznajmił Berger i zaczął szarpać pasy. – Zabawne, bardzo udany dowcip, ale teraz musimy złapać pierdolonego mordercę. Uwolnij mnie.

– Mhm – odparła Molly Blom. – Już cię uwalniam. Już skończyłam żartować.

Jej spojrzenie było mroczniejsze niż kiedykolwiek.

Berger postanowił milczeć. Wydawało się to prostsze niż jakiegokolwiek słowa.

– Tak – powiedziała w końcu. – Naprawdę musimy złapać mordercę. Najszybciej jak to możliwe. Czyli za pośrednictwem ciebie, Sam. Bardzo uważnie ci się przyglądaliśmy, odkąd wygrzebałeś materiały w sprawie Julii Almström i Jonny Eriksson.

– Ale przecież to było zaledwie przed kilkoma tygodniami, do jasnej cholery! – wykrzyknął Berger. – A ty wydurniałaś się na rowerze w Sollentunie ponad dwa lata temu!

– Nigdy nie byłam w Sollentunie – odparła Blom. – Tak tylko powiedziałam.

– Ale dlaczego?

– Bo tam wszystko się zaczęło. Musiałam ustalić, co dokładnie wiesz na ten temat. Przeanalizować twoje reakcje.

– Ale przecież ja nic nie wiem.

– Bardzo szybko namierzyłeś centrum Helenelund, Stupvägen. Jakbyś już wcześniej o tym wiedział.

– Znam centrum Helenelund – odparł Berger. – Wychowywałem się w tych okolicach.

– Nie tylko to jest interesujące – odparła Blom, przeglądając papiery.

– Co się tam wydarzyło? – zapytał Berger. – W lecie ponad dwa lata temu.

– W kwietniu tamtego roku grupa irackich rebeliantów przekroczyła granicę z Syrią i wdała się w wojnę domową. Wtedy zaczęli używać nazwy Islamskie Państwo w Iraku i Lewancie.

– ISIS – powiedział zdumiony Berger.

– Albo Państwo Islamskie, jak ich teraz nazywamy. Albo Da'isz, choć tej nazwy nienawidzą. Młodzi sunnici już we wcześniejszej fazie wojny próbowali pokonać syryjskiego dyktatora Baszara al-Assada. Uważało się ich

wtedy przede wszystkim za naiwnych bojowników o wolność. Jednak wraz z powstaniem Państwa Islamskiego stało się jasne, że ci młodzi ludzie zjeżdżali tam jako dżihadyści, i pojawiły się pierwsze przesłanki, że Państwo Islamskie werbuje członków w Szwecji. Jedną z takich przesłanek dało się zaobserwować w centrum Helenelund, u rodziny Pachachich. Dwudziestoletni mężczyzna, Jazid Pachachi, urodzony w Szwecji syn sunnickich Irakijczyków, dołączył do Państwa Islamskiego jako jeden z pierwszych potwierdzonych przypadków. Wydawało się też, że w jego ślady poszła piętnastoletnia siostra, Aisza. Jednak zinfiltrowaliśmy środowisko sąsiadów i udało nam się ustalić, że Aisza Pachachi zaginęła, tu w Szwecji. Rodzice byli załamani nieoczekiwaną radykalizacją syna i wstąpieniem przez niego do armii. Jak można się spodziewać, zniknięcie córki pozostało w cieniu tych wydarzeń. Wszystko jednak wskazuje na to, że zaginęła w piątek siódmego czerwca dwa i pół roku temu, po ostatnim dniu roku szkolnego. Po prostu nie wróciła do domu.

– Ale kiedy się zorientowaliście, było już za późno?

– Tak, o wiele za późno. Przez kilka tygodni sądziliśmy, że jest w Syrii i urodziła dziecko jakiemuś potworowi z Państwa Islamskiego. Potem zmarnowaliśmy o wiele za dużo czasu na hipotezę, że chodzi o zabójstwo honorowe. Teraz jednak jestem pewna, że Aisza Pachachi była pierwszą ofiarą tego seryjnego mordercy.

– W takim razie dlaczego, do jasnej cholery, nie przekazaliście tego nam, prawdziwej policji kryminalnej?

– Bo następna ofiara też była muzułmanką.

– Kurwa mać.

– Kurdyjska rodzina Berwarich z Vivalli w regionie Örebro. Pod koniec listopada tego samego roku ich córka, Nefel Berwari, lat piętnaście, zniknęła bez śladu. Jednak ci rodzice również nie zgłosili zaginięcia, wyciszyli całą

sprawę i próbowali ją rozwiązać we własnym gronie. Wszystko wskazuje na to, że w grę wchodził honor rodziny. Vivalla już wtedy była islamskim centrum kraju. O Nefel Berwari usłyszeliśmy przy okazji infiltrowania okolic meczetu w mieście Örebro. Dopiero wtedy wróciliśmy do centrum Helenelund i Aiszy Pachachi i zaczęliśmy podejrzewać, że mamy do czynienia z tym samym sprawcą. Seryjnym porwaczem albo seryjnym mordercą. A może jednym i drugim.

– Który był albo...

– ...rasistą, albo muzułmaninem, zgadza się. Mogły to być jakieś wewnętrzne sprawy, coś związanego z honorem lub islamem, albo też działanie skrajnej prawicy: samotny obłąkany mężczyzna z laserem albo coś bardziej zorganizowanego. W obu przypadkach policja bezpieczeństwa miała powód do utajnienia śledztwa.

– Niecałe pół roku między Aiszą a Nefel – oznajmił Berger. – Julia Almström z Västerås cztery miesiące później. Dobre tempo, narastające. Potem mamy roczną przerwę i Jonnę Eriksson z Kristinehamn. A po ośmiu miesiącach Ellen Saviger. Czy seryjni mordercy zazwyczaj nie przyśpieszają, kiedy zabijanie wejdzie im w nawyk?

– Może przeoczyliśmy jakieś ofiary – odparła Molly Blom.

Berger urwał i maksymalnie się odchylił na fotelu. Obserwował kobietę po przeciwnej stronie stołu. Miała inny strój – dopasowaną białą sportową koszulkę, czarne spodnie, które można było uznać za dresowe, oraz trampki w dość intensywnym odcieniu różu.

Była zupełnie innym człowiekiem.

W znacznie większym stopniu przypominała kobietę ze zdjęć wspinaczkowych w jej mieszkaniu.

Wstrzymał się jednak z uwagą na ten temat.

– Tak sądzicie? – zapytał. – Myślicie, że są jeszcze jakieś nieodkryte

ofiary?

– Tak. I dlatego tu siedzisz, Sam.

Berger wybuchnął śmiechem i odparł:

– A już myślałem, że to zaczyna przypominać naprawdę owocną rozmowę dwojga zdolnych funkcjonariuszy. Ale oczywiście to zbyt piękne, żeby było prawdziwe...

– Twój wkład w rozmowę był jak dotąd nikły. Ale zaraz to zmienimy. Przyjmijmy pewne wstępne założenie. Będziemy udawać, że po raz pierwszy usłyszałeś o Aiszy Pachachi i Nefel Berwari. Gdyby tak było, jakie wyciągnąłbyś wnioski, Sam?

Berger spojrzał głęboko w niebieskie oczy Molly Blom, dał sobie sporo czasu na zastanowienie i odparł:

– Aż do czasu Ellen Saviger starano się ukryć zaginięcie dziewczyn. Bardzo możliwe, że naprawdę są kolejne ofiary: to przecież czysty przypadek, że wpadliście na trop Nefel Berwari i mogliście zauważyć powtarzalność. Ja nie znałem żadnej z nich, i pod tym względem twoje „wstępne założenie” jest prawdziwe, a mimo to doszedłem do wniosku, że to robota seryjnego mordercy. Ale to, co wiedzieliście wy, że ofiar było pięć, z pewnością kazało wam myśleć o dwóch seriach. Do czasu Ellen zbrodnie musiały zostać utrzymane w tajemnicy. Nasz as z jakiegoś powodu zaczął mordować piętnastoletnie dziewczyny. Nie wiemy dlaczego, ale mocno rzuca się w oczy, że te morderstwa miały pozostać niezauważone. Możliwe, że coś go łączy z prastarą kulturą patriarchy i honoru, ale bardziej prawdopodobne jest to, że dla niego był to po prostu dobry sposób na ukrycie tego, co robił, bo czyż najbardziej udane przestępstwa to nie zawsze te, o których nikt nie wie. Możliwe wręcz, że możemy potraktować biedne Aiszę Pachachi i Nefel Berwari jako trening. Następne kroki są trudniejsze. Nasz as zdał sobie sprawę, że zniknięcie dziewczyny imigrantki nie skutkuje szumem

medialnym: według stereotypu oznacza to zabójstwo honorowe, a z takimi tematami nie dają sobie rady nawet brukowce. Jeśli zaś znika piętnastolatka stuprocentowo szwedzkiego pochodzenia, robi się kocioł. Opinii publicznej łatwiej to ogarnąć. A jednocześnie jest to trudniejsze do ukrycia. Jak w ogóle ukryć zaginięcie piętnastoletniej Szwedki? Można sprawić, że wygląda to na ucieczkę z domu. Tak właśnie się stało w przypadku Julii Almström. Znaleźliście tego młodzieńca, który z nią mailował? Tego, który siedział w więzieniu i chciał wyjechać za granicę?

– Nie – odparła Molly Bloom. – On nie istnieje.

– Pół roku przerwy między Aiszą a Nefel. Niecałe cztery miesiące do sprawy Julii. Logiczne przyśpieszenie. Ale później?

– Prawie rok do zaginięcia Jonny Eriksson, wiem. To się nie zgadza. Co jest pomiędzy?

– A skąd mogę wiedzieć? Dotarłem do Julii i Jonny, to wszystko. Ale teraz już wiem, że Julia i klub motocyklowy z Västerås to była zbrodnia. Zbrodnia ze strony Säpo. Sprzeniewierzyliście się waszej dotychczasowej strategii. Czy zdaliście sobie sprawę, że to początek nowej fazy, dobrze przygotowany? Dlaczego pojawiłaś się na rowerze akurat wtedy? O co, do cholery, chodziło z tym rowerem? Dlaczego rozmawiałaś z telewizją? Dlaczego podałaś nazwisko Nathalie Fredén, swojego dziwnego alter ego? Widziałem, że się zawahałaś: na twoim wówczas jeszcze nie całkiem gładkim czole pojawiły się zmarszczki.

Berger obserwował jej czoło. Rzeczywiście niewiele się tam działo. Tym więcej jednak działo się na twarzy. Tak jakby cały system odzwierciedlania uczuć przesunął się w dół, w kierunku policzków. W końcu się odezwała.

– Musisz mieć teraz niezły mętlik w głowie, Sam. Przecież niedawno włamałeś się do mnie do domu i dostałeś tęgą lanie od moich ludzi. A mimo to zachowujesz się, jakbyś siedział po tej samej stronie stołu co ja. Czyżbyś

właśnie zadał pięć pytań?

– Odpowiedz przynajmniej na jedno – odparł Berger.

– Nathalie Fredén to wypróbowana tożsamość, z której korzystałam od czasu do czasu jako tajna agentka. Ty ją spaliłeś.

– Mam nadzieję, że na zawsze.

– Jest spalona tylko w kontekście policyjnym, a zarówno Allan Gudmundsson, jak i Desiré Rosenkvist wiedzą, na czym polega prawdziwa lojalność. Oboje są lojalni wobec policji. Ty nie, Sam.

– Ale dlaczego posłużyłaś się tą tożsamością w tamtym miejscu i czasie? W Västerås?

– Morderca celowo wyprowadził nas w pole, wysyłając nas do klubu motocyklowego. Wykorzystaliśmy rower, który zarekwirowałam trochę wcześniej w związku z inną sprawą, włożyliśmy go do bagażnika, pojechaliśmy do Västerås i staraliśmy się, żebym wyglądała jak najmniej policyjnie. Morderca mógł się znajdować na miejscu, byłam tam po prostu po to, żeby przeprowadzić zwiad. Ale wtedy pojawił się ten reporter i musiałam podjąć szybką decyzję. Czy jeśli morderca zobaczy mnie w telewizji i w taki czy inny sposób się mną zainteresuje, będzie to miało jakieś plusy? Podanie mojego fałszywego nazwiska i ryzykowanie, że spalę przeciwioną tożsamość, nie było oczywistym wyborem, ale uznałam, że plusy przeważają nad minusami.

– Oberwało ci się za to?

Molly Blom wybuchnęła śmiechem.

– Nie jestem tobą, Sam. Nie myl nas.

– To przecież żadne ryzyko...

– I przede wszystkim: pamiętaj, że nie wolno mnie nie doceniać.

Molly Blom wbiła w niego przenikliwe spojrzenie. Berger postanowił, że już zawsze będzie się z nią liczył.

– Deer wie, że tu jestem? – zapytał.

Przyjrzała mu się, tym razem w inny sposób. Może trochę bardziej męski. Choć pewnie nie było to właściwe słowo.

– Przecież ja tu jestem, prawda? – odparła.

– Tak, wypuszczona na wolność. Ale czy ona wie, że tu jestem? I gdzie właściwie jest to „tu”? Czy w ogóle przebywam teraz na komisariacie? I co to za cholerne skórzane pasy? Co to ma być, jakieś pieprzone Guantánamo?

– Spokojnie – powiedziała, patrząc mu w oczy.

Co dziwne, naprawdę stał się spokojny. Albo przynajmniej spokojniejszy. Ciekawość wygrała z gniewem. Zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek był bardziej zaciekawiony.

Gdzie się, do cholery, znajdował?

Kim, do cholery, była ta kobieta?

I co, do cholery, miało się zaraz wydarzyć?

– Powiedz przynajmniej, że masz na to pozwolenie. Że jesteś szwedzką policjantką.

– Wszystko odbywa się za zgodą przełożonych. Spokojna głowa. Pamiętasz, jak mówiłam, że wrócę do punktu wyjścia?

– Jestem funkcjonariuszem policji kryminalnej – odparł. – Mam dobrą pamięć.

– Co pamiętasz?

– Powiedziałem: „Zdemolowałaś mi życie. To chyba gorsze niż poplamiona sofa”. Ty odpowiedziałaś: „Ale nie gorsze niż zbrukana i zdemolowana piętnastolatka”. A więc Säpo podejrzewa mnie o... no właśnie. O co?

Molly Blom zmarszczyła brwi. Jej czoło pozostało gładkie.

– Chodzi o oś czasu – oznajmiła.

– Oś czasu?



– Kiedy dokładnie zabrałeś materiały dotyczące Julii Almström i Jonny Eriksson lokalnym policjantom?

Berger milczał. Zastanawiał się. Produkował nieme myśli. Próbował ułożyć sobie wszystko w głowie.

– Jeśli nie pamiętasz, to ci powiem – ciągnęła Molly Blom. – Ellen Saviger została zabrana ze szkoły na Östermalmie siódmego października, trzy tygodnie temu. Ale ty, Sam, wziąłeś materiały trzeciego października. Jakbyś już wtedy wiedział, że zostanie porwana.

Berger siedział w zupełnym bezruchu. Molly Blom mówiła dalej:

– Nie rozumiem tego, Sam. Jakim cudem wiedziałeś z wyprzedzeniem, że Ellen zostanie porwana?

Nadal milczał. Obserwowała go. Uważnie.

Jej oczy się zmieniły. Dziwne było nie tylko to, że zdradziła mu tak wiele informacji, choć wcześniej wbiła mu strzykawkę w szyję, ale też to, że jej spojrzenie nie było nienawistne. Raczej pytające.

Po głębszym namyśle doszedł do wniosku, że wszystko jest bardzo dziwne.

– Naprawdę jesteś aktorką?

Wyglądała na rozczarowaną.

Po chwili wzięła głęboki wdech i powiedziała:

– Cztery dni przed tym, jak Ellen Saviger została porwana, w największej tajemnicy zabrałeś materiały ze śledztwa w sprawie Julii Almström i Jonny Eriksson policji w dwóch różnych okręgach, Mitt i Bergslagen. Czy naprawdę nie rozumiesz, że coś takiego jest w oczywisty sposób bardziej podejrzane niż stanie przy policyjnych taśmach z rowerem między nogami?

– To nieprawda – odparł.

Pokój zaczął wirować. Albo środki nasenne, które mu wstrzyknięto,

jeszcze nie opuściły jego organizmu, albo prawda do niego dotarła. Zrozumiał, dlaczego się znalazł w tym miejscu.

Nie z powodu przekroczenia uprawnień przez policję.

To było coś znacznie gorszego.

– Nieprawda? – odparła Molly Blom.

– Reorganizacja – oznajmił Berger, czując, jak wszystko wokół się kręci.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Chaos w związku z nowym rokiem – wyjaśnił Berger. Pokój nie przestawał wirować. Poczł, że ogarnia go fala mdłości.

– Sępo się usamodzielniała, a cała reszta została włączona do policji. No i co?

– Masz trochę wody?

– Nie – odparła spokojnie Molly Blom. – Po prostu mów dalej.

– Sprawa Julii Almström nie była prowadzona przez okręg Mitt – wyjaśnił Berger. – Wydarzenia w klubie motocyklowym w Västerås miały miejsce przed reorganizacją. Zajmowała się tym policja z Västmanlandii. Nieco ponad miesiąc po reorganizacji powierzono tę sprawę policji z nowego okręgu Bergslagen.

– I udaje ci się powiedzieć to wszystko, mimo że cały pokój wiruje?

– Skąd wiesz?

– Widzę to po tobie. Do czego zmierzasz?

– Do tego, że na początku października dość łatwo dało się zabrać materiały, nie zostawiając śladów. Wtedy wciąż jeszcze panował chaos po reorganizacji.

– Tyle że ty zostawiłeś po sobie ślady – odparła Molly Blom. – I nie sądzę, że byłeś sam.

– Byłem sam – powiedział Berger niespodziewanie ostrym tonem.

– Wrócimy do tej kwestii – oznajmiła Molly Blom i zlustrowała go

wzrokiem. – W każdym razie znaleźliśmy ślady. Materiały zostały zabrane cztery dni przed zaginięciem Ellen Saviger.

– Nie – zaprotestował Berger i pokój naprawdę przestał wirować. – Nie zostawiłem żadnych śladów, w każdym razie takich pozwalających ustalić datę. Tam panował chaos, wszystko poszło dość łatwo. Jeżeli są tam ślady świadczące przeciwko mnie, to znaczy, że ktoś je podłożył.

– Podłożył?

– Tak. Ja nie zostawiłem po sobie żadnych śladów. I zabrałem akta pięć dni po zaginięciu Ellen Saviger, w poniedziałek dwunastego października. Wcześniej cały weekend pracowałem nad szukaniem podobieństw. Innych zaginionych piętnastolatek.

– Cały weekend? – zawołała Blom z wyraźną, nieprzyjemną ironią. – Całe dwa dni?

– Więcej nie zdążyłem. Udało mi się namierzyć dwie nowe ofiary. Gdybym miał trochę więcej czasu, znalazłbym też Aiszę Pachachi i Nefel Berwari, mimo waszego cholernego zaciemniania sprawy. To zresztą ty, Nathalie Fredén, podsunęłaś mi myśl, że jest ich więcej. Kiedy tak gwałtownie zareagowałaś na moje słowa o „trzech miejscach”.

– Dajmy sobie spokój z tym dziwacznym kłamstwem – powiedziała Molly Blom. – Sugeruje ono, że ktoś, kto miał dostęp do wszystkich policyjnych materiałów, jakiś policjant, miałby przesunąć twoje włamanie do regionalnej policji na czas sprzed zniknięcia Ellen Saviger. To zbyt kretyńskie jak na coś przemyślanego, więc zaliczam je do kategorii wariackich odlotów. Bo tak naprawdę wcale nie w tym rzecz, Sam. Jak doskonale wiesz, chodzi przede wszystkim o to.

Molly Blom położyła dłoń na jego pudełku z zegarkami. Powoli odsunęła haczyk zabezpieczający pokrytą złotym chromem kłamrę, otworzyła pokrywę, odsłaniając wyłożone aksamitem przegródki, i oznajmiła:

– Tu leżą aż cztery zegarki marek Jaeger-LeCoultre, Rolex i IWC, wszystkie z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Piąty powinien być na twoim nadgarstku, ale wtedy nie moglibyśmy przymocować ci ręk paskami. Leży przed tobą.

Berger popatrzył na rolexa model Oyster Perpetual Datejust leżącego na stoliku. Drobne krople przemieściły się w taki sposób, że widział tylko środek tarczy i dwie wskazówki, wychylone w różnych kierunkach. Nie miał możliwości stwierdzić, jak długo był nieprzytomny.

Molly Blom popatrzyła na niego i powiedziała:

– W bardziej tradycyjnym wewnętrznym śledztwie można by uznać za nader interesujące, że łączna wartość tych wszystkich zegarków przekracza pół miliona.

– To spadek – odparł Berger. – Po moim dziadku ze strony matki. Nazywał się Arvid Hammarström.

– Miło słyszeć, że nie straciłeś poczucia humoru – odparła Blom głosem bez wyrazu. – To oznacza, że została nam jeszcze energia na kolejne przesłuchania. Które będą wyglądały zupełnie inaczej, obiecuję. Ale, jak już powiedziałam, twoje nieprawdopodobnie drogie zegarki byłyby interesujące tylko wówczas, gdyby to był tradycyjny przypadek. A przecież nie jest. Nie ma w nim nic tradycyjnego.

– Znam się na zegarkach – oznajmił Berger i chwycił metalowe podparcia częściowo unieruchomionymi dłońmi.

– Znasz się na zegarkach?

– Kupuję zepsute i je naprawiam.

– I myślisz, że twoje nędzne hobby mnie interesuje? Myślisz, że dlatego gadam o twoich zegarkach?

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Zajmujesz się tym – powiedziała Blom, chwyciła dwie ścianki

wyłożonych aksamitem przegródek i pociągnęła w górę.

W niewielkiej kieszonce pod zegarkami ukazało się kłębowisko maleńkich foliowych woreczków zasuwanych na zamek strunowy. Molly Blom uniosła pierwszy z nich i przeczytała napis na przyklejonej etykiecie.

– „Ellen Saviger”. No proszę. Co to znaczy?

Berger milczał. Ale jego oddech był wyraźnie słyszalny.

– Wy tłumaczenie przemawiające na twoją korzyść jest takie, że znalazłeś to coś w domu w Märsta i zachowałeś dla siebie. Zerkniemy, co to takiego?

Rozsunęła mały zamek i wysypała zawartość na stół, między dwie odwrócone ramki do zdjęć. Było to małe kółko zębate o średnicy nieprzekraczającej centymetra.

– Gdzie to znalazłeś? – zapytała.

Berger nadal milczał. Już dawno nie czuł, żeby jego komórki mózgowe pracowały tak intensywnie.

– Okej – odezwała się Molly po chwili. – Można by to uznać za tradycyjną manię wielkości rutynowanego inspektora policji kryminalnej. „Znajdę coś, czego nikt inny nie znajdzie, rozwiążę sprawę szybciej, niż może na to pozwolić oficjalne śledztwo”. To byłoby oczywiście uchybienie zawodowe, ale nie najgorszego sortu. My jednak mamy coś takiego.

Wyciągnęła kolejne dwa woreczki. Z daleka wyglądały tak samo, nawet drobne literki zapisane długopisem sprawiały wrażenie identycznych.

Molly Blom rozłożyła przedmioty tak, że trzy woreczki leżały obok siebie, ten otwarty i opisany „Ellen Saviger” był po prawej, a kółko zębate z przodu. Podniosła środkowy woreczek, rozszerzyła i powiedziała:

– Jonna Eriksson.

Wysypała na stół podobne maleńkie kółko zębate. Bez słowa powtórzyła czynności z ostatnim woreczkiem, opatrzonym nazwiskiem Julii Almström. Wypadło z niego kolejne kółko zębate, tym razem trochę większe.

– Jeżeli ukradłeś kółko Ellen z domu w Märsta, skąd pochodzą pozostałe dwa?

Milczenie Bergera zdawało się odbijać echem od ścian, przenikliwe jak nagle uruchomiony alarm samochodowy.

Blom mówiła dalej:

– Tak czy inaczej, przed Ellen Saviger nie było zwłok ani miejsca zbrodni. Były dwie nieudane próby znalezienia Julii i Jonny: klub motocyklowy w Västerås i grób łosia w Kristinehamn, ale okazało się, że te miejsca nie mają związku z żadną z tych zbrodni. Zapytam raz jeszcze: skąd pochodzą te kółka?

Milczenie Bergera wkroczyło w nową fazę, która wyglądała na końcową, więc Molly Blom powiedziała:

– Jeszcze nie skończyliśmy. Będzie tego więcej. Jesteś gotów na więcej, Sam?

Podniosła ze stołu rolex Bergera i umieściła obok pozostałych zegarków w pudełku. Spojrzała nań znacząco.

– Tu jest sześć przegródek. Ale tylko pięć zegarków. Pusta przegródka robi smętne wrażenie.

Pochyliła się i wyjęła z torebki pęk starych papierów. Wyrównała je, stukając o stół i powiedziała:

– Każdy zegarek tej klasy ma indywidualną gwarancję. Teraz policzę gwarancje: jedna, dwie, trzy, cztery, pięć... sześć. Chwileczkę, coś się nie zgadza. Zegarków jest tylko pięć. Policzę jeszcze raz. Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć, sześć.

– Przestań – powiedział Berger.

– Dwa rolexy – kontynuowała niewzruszenie Molly Blom, przeglądając sfatygowane gwarancje. – Dwa iwc. Jeden jaeger-lecoultre. I jeden patek philippe, no proszę. Gdzie jest twój zegarek marki Patek Philippe, Sam?

– Został skradziony.

– W twojej kolekcji wygląda na perłę w koronie. To... co tu jest napisane? Patek Philippe 2508 Calatrava. Dziś skonsultowaliśmy się z człowiekiem, który uchodzi za najlepszego zegarmistrza w Szwecji. Nie chciał nawet wycenić takiego zegarka. Powiedział, że jest bezcenny.

Blom urwała i popatrzyła na Bergera. Naprawdę wyglądał żałośnie. Po chwili kontynuowała:

– Mówisz poważnie? Ten bezcenny zegarek został skradziony, a ty nie zgłosiłeś kradzieży policji?

– Taki zegarek musi być objęty specjalnym ubezpieczeniem – oznajmił Berger głucho. – Nie stać mnie na nie. I wiem bardzo dobrze, co policja robi ze zgłoszeniami o kradzieży. Praktycznie nic.

– Niby jak i gdzie został skradziony?

– Dwa lata temu. Na siłowni.

– Może dwa i pół? W czerwcu dwa lata temu?

– Tak, coś w tym stylu.

Blom przez chwilę kiwała głową. Potem powiedziała:

– Zegarmistrz, o którym wspomniałam, może i nie chciał oszacować twojego zaginionego zegarka Patek Philippe 2508 Calatrava, ale zrobił kilka innych pożytecznych rzeczy. Między innymi zidentyfikował te trzy kółka zębate. Jest bardzo prawdopodobne, że to elementy zegarka Patek Philippe 2508 Calatrava.

# 15

**Wtorek, dwudziesty siódmy października, godz. 16:24**

MOLLY BLOM weszła do pokoju, w którym siedziało dwóch mężczyzn wpatrzonych w ekrany. Skinęli jej głowami, jakby chcieli potwierdzić, że wszystko jest pod kontrolą.

– Nie będzie mnie godzinę – oznajmiła. – Najwyżej półtorej.

Mężczyzna siedzący najbliżej ściany rzucił okiem na duży, tani zegarek do nurkowania, który miał na nadgarstku.

– A Berger? – zapytał.

– Dajcie mu odpocząć – odparła Blom. – Roy, zabierz go do celi.

Otworzyła drugie drzwi w małym pokoju i wyszła na nijaki korytarz. Po długim marszu dotarła do windy, która minimalnie się różniła od reszty beżowej ściany. Przeciągnęła kartę przez czytnik, wystukała sześciocyfrowy kod i winda ruszyła w górę.

Molly Blom przejrzała się w zaszyfionym lustrze. Uczestniczyła w wielu akcjach jako tajna agentka, odegrała wiele ról. W jednym wymiarze ta należała do najłatwiejszych. Podeszła bliżej, popatrzyła swojemu odbiciu w oczy i pomyślała, że na samym ich dniu dostrzega drugi wymiar. Ten, który mówił jej, że to najtrudniejsza rola, jaką kiedykolwiek odgrywała.

Winda wjechała na parter, P. Pod P nie było już żadnego przycisku.

Wysiadła i znalazła się na ze wszech miar zwyczajnej klatce schodowej. Za drzwiami, przez kurtyny deszczu, dało się dostrzec Bergsgatan. Poszła



jednak w przeciwną stronę, na wewnętrzny dziedziniec, na którym stało kilkanaście zaparkowanych samochodów. Nacisnęła kluczyk. Zapiszczał ciemny van – mercedes vito. Blom wskoczyła do środka i podniosła siedzenie pasażera. W schowku pod spodem leżała torba na ramię. Otworzyła ją i pogrzebała w środku. Wyjęła brązową kopertę i telefon komórkowy. Włączyła go. Ustawiła timer na godzinę. Manewrując niezgrabnym vanem na ciasnym dziedzińcu, wyjechała, zanim jeszcze elektroniczna brama zdążyła się całkowicie otworzyć. Skierowała się w stronę Norr Mälarstrand, wjechała na okropne rondo na Lindhagensplan, a potem na most Traneberg. Dalej jechała długą Bergslagsvägen w kierunku Brommaplan. W końcu skręciła na Vinstę – jedną z najbardziej ponurych dzielnic przemysłowych Sztokholmu. Znalazła miejsce parkingowe przed niepozorną, na pierwszy rzut oka rozpadającą się fasadą z brudnoszarym szyldem, który oznajmiał, że w budynku urzęduje firma Wiborg Detaljist AB.

Nie zdążyła nawet porządnie zmoknąć, kiedy weszła do czegoś, co miało przypominać recepcję. Na oszklonych półkach leżały próbki produktów – pojedyncze, trudne do zidentyfikowania zakurzone części rur z metkami, na których widniały absurdalne ceny. Ogólnie rzecz biorąc, recepcja robiła naprawdę nieprzyjemne wrażenie, wzmocnione dodatkowo przez fakt, że od opryskliwego recepcjonisty zalatywało metanolem. Na widok Blom wskazał kciukiem drzwi za sobą. Zamek zaburczał i mogła wejść do środka.

Na pierwszy rzut oka lokal przemysłowy wywoływał podobne wrażenia co recepcja. Wyglądał jak połączenie magazynu i zakładu produkcyjnego. W środku było trzech mężczyzn przy komputerach. Tylko najbardziej wyszkolone oko byłoby w stanie wypatrzeć ich wśród starych ciężkich puszek z lat dziewięćdziesiątych. Jeden z nich wstał i wyszedł jej na spotkanie.

– Gotowe? – zapytała.

Mężczyzna w granatowym kombinezonie miał koło czterdziestki. Przytomne spojrzenie niebieskich oczu bardzo się wyróżniało na tle jego niepozornej powierzchowności. Skinął głową i powiedział:

– Zaliczka zapłacona, towar przygotowany do dostawy. Bez paragonu?

– Tak, tym razem bez paragonu – potwierdziła Blom.

Mężczyzna spokojnie skinął głową, jakby nic nie było w stanie go zaskoczyć, i podszedł do stolika. Wyciągnął pakunek z szuflady i go jej podał. Ona z kolei podała mu brązową kopertę. Wziął ją i schował do tej samej szuflady.

– Dzięki, Olle – powiedziała, ale on był już z powrotem przy komputerze.

Wróciła tą samą drogą, lecz na Lindhagensplan wjechała w Drottningholmsvägen, przecięła Kungsholmen, przejechała przez most Barnhus, dotarła do końca Tegnégatan i po krótkiej chwili znalazła się na małym kikutku ulicy łączącym Engelbrektsgatan z Eriksbergsgatan.

Zaparkowała równolegle i poszła do drzwi pod numerem czwartym. Kilkoma susami pokonała schody, otworzyła wszystkie zamki, weszła do środka i wciągnęła w płuca panującą w mieszkaniu atmosferę. Wszystko wydawało się zbrukane. Jakby w powietrzu nadal wisiły cząsteczki brudnej bijatyki. Weszła do salonu i spojrzała na swoją kiedyś tak śnieżnobiałą sofę.

Cztery z sześciu poduszek były zabrudzone, podobnie jak jeden podłokietnik. Były tam plamy z uszkodzonych kostek Bergera – jakkolwiek to możliwe, że krwawiły tak obficie. Musiało to wymagać dużej wewnętrznej siły.

Berger musiał ekstremalnie mocno zaciskać pięść.

Molly Blom pokręciła głową. Nie była pewna, czy powinna wymienić sofę. Czuła jednak, że nie może mieszkać w tym domu, dopóki stoi w nim to coś.

Poszła do kuchni, otworzyła lodówkę, wyjęła dwa napoje proteinowe. Od

razu je wypła i zagryzła połówką jabłka, którą wyłuskała z folii.

Zrobiła szybki przegląd mieszkania. Chętnie gruntownie by je sprawdziła, ale pamiętała, co powiedziała zewnętrznym pracownikom z sali monitoringu. „Nie będzie mnie godzinę. Najwyżej półtorej”. Wiedziała, że musi się udać. Nie cierpiała, kiedy było inaczej. Jej udawało się wszystko. Ostatnimi czasy.

Kuchnia. Okej, żadnych rzucających się w oczy dziwnych rzeczy. Ani w lodówce, ani w szafkach, na ladzie czy w śmieciach. Naprawdę się śpieszył. Sposób, w jaki poplamiał kanapę, nie wskazywał na zaplanowane działanie. Oczywiście mógł to zrobić podczas bójki z Kentem i Royem, ale instynkt mówił jej jednoznacznie, że Berger w gniewie i stresie tak mocno zacisnął pięść, że rany na kostkach znowu się otworzyły. Kiedy to poczuł i zauważył, jak biała jest sofa, pokusa stała się zbyt silna. Okej, mogła w to uwierzyć. Nie był człowiekiem, który doceniał w życiu piękno. Kiedy zobaczył sofę, zareagował odruchowo. Wychodził z założenia, że białe rzeczy należy plamić.

Sypialnia. Szybko. Tak, zdjęcia na komodzie są inaczej ustawione. Podnosił albo przynajmniej przestawił jej fotografie wspinaczkowe. Co sobie wtedy myślał? Wcześniej uważał ją za wrak człowieka – bo chciała, żeby widział w niej Nathalie Fredén – a tutaj skonfrontował to wyobrażenie z kontrolowaną osobowością. Z alpinistką. Przeciwnieństwem kogoś, kto już nad sobą nie panuje.

Zapewne tak zareagował. Na jego oczach zmieniła się z kobiety, która nie ma już kontroli, w taką, która kontroluje wszystko. W nim zaszła odwrotna zmiana. Wszystko, co myślał na temat przesłuchiwanej, zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni.

Musiał się zdziwić, że wyciągnął z niej aż tyle, kiedy sam był przesłuchiwany. Jednak naprawdę musiała zdradzić mu informacje na temat Aiszy Pachachi i Nefel Berwari.

W przeciwnym razie to wszystko nie miałoby sensu. Nie mógłby wyciągnąć żadnych wniosków. Na nic by jej się nie przydał.

A naprawdę go potrzebowała.

Jak dokładnie ustalił jej prawdziwą tożsamość, wciąż pozostawało zagadką. A jednocześnie obietnicą. Obietnicą, że to człowiek, który wie, co robi. Czy wiedział to również wtedy, kiedy na swój niechlujny sposób przechadzał się po jej mieszkaniu? A może spanikował? Czy wiedział, że są na jego tropie? Wiedział, że jest śledzony?

Wszystko wskazywało na to, że tak. W każdym razie ślady krwi świadczyły o tym, że się śpieszył. Szukał najważniejszego, gorączkowo próbował znaleźć to, co kluczowe. Czując nóż na gardle, próbował wszystko przemyśleć.

Dokładnie tak, jak to zaplanowała.

Najprawdopodobniej wziął do ręki zdjęcie, na którym wisiała na linie przy stromej skalnej ścianie – było najbardziej przestawione – a potem wrócił do salonu. Obrócił się w lewo i zauważył wykusz z biurkiem. Co mógł tam dostrzec?

Oczywiście brak komputera. Kilka długopisów. Sześć różnokolorowych bloczków z samoprzylepnymi karteczkami. Czy naprawdę udało mu się wyciągnąć z tego jakieś wnioski? Jeżeli tak, to był bystry.

Odwróciła się i spojrzała na wielką, imponującą fotografię grupy wspinaczy wchodzących na szczyt zaśnieżonej góry. Przyglądała się ich czarnym sylwetkom na tle wielobarwnego zachodu słońca. Stał tutaj? – zastanawiała się. Poszedł tędy, do wykuszu, a potem się obrócił?

Silny, przenikliwy dzwonek wyrwał ją z zamyślenia. Wyciągnęła komórkę z torby na ramię. Minęła godzina. Został jeszcze jeden przystanek.

Choć ruch w centrum miasta zaczynał już gęstnieć, udało jej się w miarę szybko dotrzeć z powrotem na Kungsholmen. Zaparkowała na starym

dobrym dzielnicy i wyciągnęła paczkę z Wiborg Detaljist AB. Otworzyła. Wewnątrz było coś, co przypominało zwyczajny biały smartfon, ale po włączeniu ekran wyglądał zupełnie inaczej. Skinęła głową i wyjechała na Bergsgatan. Podeszła do komisariatu, weszła głównym wejściem od strony Polhemsgatan, otworzyła kodem szereg drzwi i znalazła się w siedzibie Säpo. Po kilku kolejnych kodach, kartach i odciskach palców trafiła do kierownictwa poszczególnych pododdziałów. Wreszcie dotarła we właściwe miejsce – do działu wywiadu i, jak wynikało z tabliczki na drzwiach, gabinetu jego szefa, Steena. Zapukała. Po dobrej chwili zza drzwi dobiegł ospały sygnał, świadczący o tym, że drzwi zostały otwarte od wewnątrz.

Weszła do gabinetu. Za biurkiem siedział siwy mężczyzna w wieku powyżej sześćdziesiątki. Dobrze się trzymał. Nasunął okulary do czytania na czoło i utkwiał w niej spojrzenie.

– No, no, no – odezwał się. – Proszę, proszę. Panna Blom. Jak poszło?

– Zgłaszam się zgodnie z umową – odparła Molly Blom oficjalnym tonem. – Przesłuchania przebiegają planowo.

– Berger przyznał się do udziału?

– Nie. Ale obraz jest coraz wyraźniejszy.

– Taki, jak się spodziewaliśmy?

– W dużej mierze.

– Że też tak dawno zasadzona roślina może wydać owoce – rzekł Steen. – To może nam dać do myślenia.

– Berger mimo wszystko jest policjantem. Dlatego musimy zabezpieczać wszystko podwójnie.

– Tak jak się umawialiśmy – odparł Steen. – Nic nie pójdzie do prokuratora, dopóki nie będziemy bezpieczni.

– Możliwe, Augustie, że zapominasz o jednym.

– Co by to miało być?

– Ellen Saviger.

August Steen zrobił zdziwioną minę.

– Co?

– Ellen Saviger – powtórzyła niewzruszona Molly Blom.

– Nie rozumiem, o czym teraz mówisz – odparł Steen.

– O zaginionej piętnastolatce – uściśliła Blom neutralnym tonem.

– Ach. No tak. Oczywiście. Trop islamski już się chyba niestety zatarł, prawda?

– Tak jest. Ale Ellen nadal żyje.

– Jest przynajmniej piątą ofiarą – oznajmił August Steen. – To jasne, że nie żyje.

– Nie możemy tego zakładać. Wręcz przeciwnie: wszystko przemawia za tym, że trzeba się śpieszyć.

– To jest sprawa dla policji kryminalnej. Odkąd ślad islamski zniknął, a cała sprawa przerodziła się w przedmiot dochodzenia wewnętrznego, my jesteśmy tylko wynajętą siłą. Z konkretnym celem: zbadać, w jaki sposób jest w to zaangażowany Berger.

– Z drugiej strony wyprowadziliśmy policję kryminalną w pole – odparła Molly Blom. – Musieli się opierać na fałszywych założeniach.

– Co prawda ślad islamski zatonął, ale wewnętrzne śledztwo jest na fali. My jesteśmy na fali. Jeżeli skłonimy Sama Bergera do przyznania, że brał w tym udział, to wszystkie wcześniejsze zatajenia wyparują. Wyjdziemy na bohaterów. Zwłaszcza ty, Molly.

– A Ellen Saviger?

– Nie żyje – odparł Steen. – Ale jest ostatnią ofiarą.

– Nie wiemy tego.

– Wiem, że dałabyś się za to pokroić, Molly – oznajmił Steen innym tonem. – Wiem, że już od czasu trzeciej ofiary próbujesz namierzyć

mordercę. I że cały ten projekt z rowerem jest twoim ukochanym dzieckiem. To była sprytna, choć w moim przekonaniu nieco zbyt powolna, długofalowa, wręcz naciągana metoda przyciągnięcia uwagi sprawcy, ale okazało się, że to wyrafinowana pułapka. W końcu cię znalazł. I teraz tu jesteś, Molly. Ziarno wykiełkowało, znalazłaś to, czego szukałaś. Ponieważ jesteś częścią zasobów wewnętrznych, nie skąpiesz się w blasku chwały, ale wewnętrznie, dla nas, będziesz bohaterką. W każdym razie Berger nie stanowi zagrożenia dla systemu demokratycznego kraju, dla wolności i praw obywateli i dla bezpieczeństwa narodowego.

– W takim razie proszę o pozwolenie na jak najszybsze zakończenie tego projektu.

– Prośba przyjęta. Dziękuję za raport ustny. W tym okresie zmian jesteś mi potrzebna do innych zadań, takich, które naprawdę się wiążą z zagrożeniem systemu demokratycznego *et cetera*.

Molly Blom opuściła gabinet szefa i ruszyła przed siebie korytarzem. Nie była do końca zadowolona z tonu głosu Augusta Steena. Była w nim obojętność na los Ellen Saviger, niepasująca do pełnego profesjonalizmu, jaki był znakiem rozpoznawczym szefa.

Kiedy podeszła do windy, stał tam człowiek, którego jako tako kojarzyła. Skinęli sobie głowami. Kiedy winda nadjechała, pytająco wskazał przycisk P. Skinęła głową. Wcisnął P. Winda ruszyła w dół. Wysiedli na P, mężczyzna skierował się do wyjścia. Molly Blom się nie ruszyła, wiązała sznurowadło, czekała, aż zniknie jej z pola widzenia. Potem weszła z powrotem do windy, przeciągnęła kartę przez czytnik i wystukała sześciocyfrowy kod – winda ruszyła w dół.

Na dole długo wędrowała beżowym korytarzem, dopóki nie zobaczyła wyróżniających się na jednorodnym tle drzwi. Weszła do środka. Dwaj wyrośnięci mężczyźni nie wpatrywali się już w monitory. Jeden jadł banana,

a drugi przysypiał.

Skinęła głową temu z bananem i krzyknęła:

– Roy, pobudka!

Śpioch podskoczył przy komputerze i uderzył o ścianę zegarkiem do nurkowania.

– Idźcie po niego – poleciała.

Wyszli.

Molly Blom usiadła na jednym z krzeseł i wyjęła z torebki biały smartfon. Przez chwilę na niego patrzyła. W końcu zajęła się kalibracją, a po wszystkim wstała, wzięła głęboki oddech i pomyślała: Już czas.

Naprawdę był już czas.



## 16

*CZAS SIĘ ZATRZYMAŁ. Naprawdę się zatrzymał.*

*Balansuje na kamieniu, jego stopy się ślizgają, ale spoconą dłonią powoli, lecz zdecydowanie przeciera brudną szybę i może zajrzeć do środka.*

*Drzwi się otwierają. Wiązka światła przecina mrok panujący w hangarze na łodzie. Omiata powierzchnię i wnika w głąb. Mija silniki i kamizelki ratunkowe, boje i zardzewiałe kotwice, przenika przez pętle lin i sznurów, chwyta grube łańcuchy, koła zębate i przewody, które nie są już przypadkowo rozrzucone po starym hangarze, lecz się zazębiają.*

*Nic z tego nie ma jednak żadnego znaczenia. Wszystko inne znika, kiedy nagle się okazuje, na co padła wąska strużka światła. To twarz.*

*Twarz dziewczyny.*

*Wydaje się oślepiąca dużą plamą wiosennego światła. Kręci głową tam i z powrotem, odsuwa się. Przez długi czas wygląda, jakby straciła wzrok. W końcu szeroko otwiera oczy. Zwraca je w stronę drzwi. W tej samej chwili w plamę światła wchodzi on. Jego jasna czupryna sama zdaje się lśnić. Przekręca się na bok, światło pada pod kątem na jego twarz, tak że wydaje się jeszcze bardziej kanciasta i kostropata niż zwykle. Sięga do drzwi i zaczyna je zamykać.*

*Stojąc na kamieniu, widzi dziewczynę w zwięzającej się plamie światła. Przepętnia ją coś, czego on nie potrafi zrozumieć. Czy to jest szczęście? Pożądanie? Czy może... strach?*

*Dziewczyna odwraca głowę z powrotem i widzi go przez okno. Ich spojrzenia się stykają. Nastaje chwila dziwnego kontaktu. Jej oczy się zmieniają, czegoś od niego chce, a on nie rozumie, co to takiego, jest zbyt młody, niedojrzały, niegotowy, żeby zrozumieć, ale otwiera szeroko oczy i nagle dostrzega taśmę na jej ustach, widzi, że naciska na nią językiem i że coś spada po jej czole. Dopiero kiedy kropla dociera do oka, zdaje sobie sprawę, że to krew, kropla krwi, która spływa od nasady włosów. I dopiero kiedy oko jest całkiem czerwone, słyszy rozdzierający krzyk, który dobiega zza taśmy. Traci równowagę i w momencie, w którym blondyn całkiem zamyka drzwi i do hangaru powraca mrok, spada z kamienia.*

*Staje na nogach. Rozdzierający krzyk rozbrzmiewa nadal. Nie może powiedzieć, że uderzył się w głowę albo skręcił kostkę, po prostu ucieka.*

*Tak szybko, jak go nogi poniosą.*

*Kiedy przyśpiesza w wysokiej, sięgającej piersi trawie, krzyk gwałtownie się urywa.*

# 17

**Wtorek, dwudziesty siódmy października, godz. 18:10**

BERGER ZERWAŁ SIĘ z twardej pryczy do pozycji siedzącej. Nie miał pojęcia, co go obudziło. Może był to sen, wspomnienie, jakaś wiadomość z głębin podświadomości. Po namyśle doszedł do wniosku, że mogli to być po prostu dwaj mężczyźni, którzy stali w jego celi i szarpali go za ręce. Kiedy postawili go na nogi, z jego ust wciąż dobywały się posapywania rodem ze świata snów. Kiedy ciągnęli go ponurym korytarzem, nadal nie mógł skupić na niczym wzroku. Gdy zaś przypinali go do metalowego krzesła w pokoju przesłuchań, w dalszym ciągu miał trudności ze skupieniem uwagi na Molly Blom. Siedziała na swoim miejscu, trzymała łokcie na stole i patrzyła mu głęboko w oczy. Spojrzał na stół, próbując nie tylko skupić wzrok, ale też sprawdzić, czy coś się zmieniło. Okazało się, że tak. Spojrzał na swój rolex. Skroplona para wodna prawie zniknęła z tarczy, wskazówki informowały, że dochodzi wpół do siódmej; nie wiedział tylko, czy rano, czy wieczorem. Spod jednej z licznych teczek wystawał telefon komórkowy – biały smartfon, którego wcześniej nie widział. Już miał to skomentować, kiedy Blom odwróciła jedną z dwóch ramek i ze zdjęcia spojrzały na niego twarze dwóch radosnych chłopców. Nad ich głowami wznosił się Łuk Triumfalny.

*Paryski L'Arc de Triomphe.*

– Marcus i Oscar – oznajmiła Molly Blom.

– Ale co... – zaczął oszołomiony Berger.

– Zdjęcie zostało zabrane z twojego biurka, tu na komisariacie – przerwała Blom. – Są na nim twoi synowie, bliźniacy Marcus i Oscar. Kiedy ich ostatnio widziałeś?

– W dupie mam takie pytania, nie będę odpowiadał.

– To nic w porównaniu z tym, na co naraziłeś mnie.

– Nie ciebie, tylko Nathalie Fredén. Ty nie jesteś Nathalie Fredén. Poza tym tamto miało cel.

– A to według ciebie nie ma celu? – odparła Blom.

– Ma: posadzić akurat mnie za przestępstwo, którego nie popełniłem. Mnie, człowieka, który ścigał tego asa dłużej niż ktokolwiek inny.

– I tu się mylisz. Obiecywałam ci, że to przesłuchanie będzie zupełnie inne. Dotrzymam słowa, Sam. Nawet nie próbuj sabotować i utrudniać. To z góry przegrana walka. Rozumiesz?

– Bo w dyspozytorni siedzi dwóch twoich ludzi z „zasobów zewnętrznych”? Bo nie muszą się trzymać przepisów jak my? Co chcesz, żeby ze mną zrobili? Podtapiali mnie? Naprawdę jeden z nich ma na imię Roy? A drugi pewnie Roger?

Blom popatrzyła na Bergera z rozczarowaniem. W końcu pokręciła głową i powiedziała:

– Zaczynamy od początku. Kiedy ostatnio widziałeś Marcusa i Oscara?

– Jakim cudem to może mieć jakiegokolwiek znaczenie?

– Kiedy?

– Spierdalaj.

– Kiedy mieli mniej więcej tyle lat?

Blom podsunęła mu wydruk zdjęcia. Wykonanego jego komórką. Przedstawiało początek wszystkiego. Stały punkt, Gwiazdę Polarną, *the still point of the turning world*.

– Nasi technicy ustalili, że to bez wątplenia najczęściej odwiedzane

miejsce w twoim telefonie – oznajmiła. – Wygląda na to, że wciąż do niego wracasz.

– No bez jaj – powiedział Berger.

Nie miał już w sobie energii na złość. Czuł się beznadziejnie pokonany. Bezbronny. Jednocześnie czuł, że coś się w nim rozpoczęło. Jakiś proces. Proces, który miał związek z różową samoprzylepną karteczką.

– Zimowe ubrania, powiedziałabym – ciągnęła Blom. – Zimowe ubrania, chociaż to zagłębienie z podbiałem wygląda wiosennie. Co mówi nam *Almanach Starego Farmera*? Że trzeba długo się pocić z nastaniem wiosny i długo marznąć z nastaniem jesieni? Obstawiałabym drugą połowę kwietnia. Którego roku?

Berger nadal milczał.

Blom z całej siły uderzyła pięścią w stół, posłała Bergerowi groźne spojrzenie i wrzasnęła:

– Nie będziesz mi teraz stawał okoniem, ty przeciętny gliniarzyno! Ellen Saverger kończy się czas.

– Gdybym to ja był mordercą – wymamrotał zdziwiony Berger – dlaczego miałbym się tym przejmować?

– Odpowiadaj na moje pytania. To wszystko, co masz robić. Odpowiadaj na pytania najszybciej, jak się da. Nie mów nic innego.

Zastanawiał się, który raz z kolei odniósł wrażenie, że to pierwszy przebłysk prawdziwej Molly Blom.

– Wiesz doskonale, kiedy zostały zrobione te zdjęcia – wymamrotał. – W telefonie jest to podane co do minuty, wystarczy przeczytać.

Podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie. Nie zmieniło się ani odrobinę.

– Jeżeli naprawdę chcesz uratować Ellen – ciągnął, zmuszając się do tego, aby nie odwracać wzroku – to dlaczego poświęciłaś tyle czasu na opóźnianie mojego przesłuchania w tej tajemniczej, popieprzonej roli Nathalie Fredén?

Żeby sprawdzić, co wiem? Mogłaś to zrobić w ten sposób, przy pomocy standardowych tortur zadanych przez twoje „zasoby zewnętrzne”, poszłoby znacznie szybciej. Nie, to nie tak. Jesteś na samym szczycie „wewnętrznych”, jesteś ich ostrym wierzchołkiem, konkretnie drugim co do ostrości, jaki te pajace kiedykolwiek miały. I to nie dla mnie grałaś w tę grę. Wcale nie myślisz, że jestem winny. To inna gra. Jaka?

Oczy Blom płonęły. Z całej siły zacisnęła pięść i spojrzała w bok, a następnie na jedną z mikrokamer pod sufitem. Po dwóch sekundach człowiek zwany Royem otworzył drzwi i na nią popatrzył. Nozdrza mu drgały. Pokręciła głową. Rozczarowany Roy wrócił do dyspozytorni.

– Następnym razem dam mu wolną rękę – oznajmiła Blom, siląc się na spokój. – Jesteś gotów na udzielanie precyzyjnych odpowiedzi?

Berger spojrzał jej w oczy. Wyglądały teraz zupełnie inaczej. Próbował przynajmniej w zarysie zrozumieć, co się stało. Wydarzyło się coś całkowicie poza jego kontrolą, co najwyraźniej nie miało też związku z Royem. Skinął głową.

– Kiedy ostatnio widziałeś swoich synów? – spytała Blom.

– Tak jak powiedziałaś – zgodził się Berger. – To zdjęcie jest z kwietnia dwa lata temu, dwa i pół roku temu. Miesiąc później as odebrał ich ze szkoły, trzy tygodnie przed końcem semestru. Byli w drugiej klasie. Mieli wtedy osiem lat, teraz mają jedenaście.

– Zakładam, że rozumiesz, jak dużo informacji mieści się w twojej odpowiedzi, Sam?

Wykonał krnąbrny gest głową, ale się nie odzywał.

– Naprawdę nazywasz swoją byłą żonę asem? Tak samo jak naszego porywacza?

– Bo jest asem. W spódnicy. I dzięki Bogu nigdy nie byliśmy małżeństwem.

– Pociuszające, że przynajmniej nie nazywasz jej dziwką – odparła Blom.  
– Zrobiłeś z biednej Desiré Rosenkvist swoją madonnę, swoją małą Deer.

Zanim Berger zdążył odpowiedzieć, Blom odwróciła drugą ramkę, tę błękitną, i pokazała Bergerowi zdjęcie jego byłej konkubiny. To było imponujące zdjęcie z plaży w Fort Lauderdale na Florydzie. Nadal nie był w stanie na nie patrzeć. W jego domu zawsze stało obrócone tyłem na biurku. Odwrócił wzrok odrobinę za późno.

– To jest as numer dwa – oznajmiła Molly Blom. – Freja Lindström, żyliście ze sobą jedenaście lat. W tym czasie przyszły na świat wasze dzieci: Oscar i Marcus. Freja nie wzięła z tobą ślubu przez jedenaście lat, ale kiedy poznała francuskiego biznesmena Jeana Babineaux, wyszła za niego już po sześciu miesiącach. Całą rodziną mieszkają teraz w Paryżu. Ona nazywa się Freja Babineaux, a twoi synowie Marcus i Oscar Babineaux. Czy to prawda, że się z nimi nie widziałeś od tego kwietniowego dnia przed dwoma laty? Kiedy ich zabrała i uciekła?

Oczy Bergera przez długi czas były zamknięte. Ale teraz je otworzył.

– Uciekła? – powtórzył.

– Na policji jest zgłoszenie z lotniska Arlanda – odparła Blom. – Jakiś atak na pracowników ochrony, którego się dopuścił Samuel Berger. Użyto pięści. Na pokładzie najbliższego samolotu do Paryża byli Freja, Marcus i Oscar Lindströmowie. Zaledwie miesiąc później nazywali się Freja, Marcus i Oscar Babineaux. Więc tak, nazwałabym to ucieczką.

– Nie – odparł głucho Berger. – Moje życie się wykoleiło, kiedy uciekła. Nie byłem w stanie się opiekować dwoma dzikimi ośmiolatkami. Oddałem jej prawo do opieki. Ale nie zrobiłbym tego, gdybym wiedział, że wywiezie ich za granicę. Kiedy się o tym dowiedziałem, popędziłem na Arlandę, żeby spróbować przemówić jej do rozumu.

– Zamiast tego zaatakowałeś personel kontroli bezpieczeństwa.

– Trudno to nazwać atakiem...

Berger znów zamknął oczy. Próbował się opanować. Nie miał jednak wolnych rąk, żeby zamaskować sytuację. Nic, czym mógłby otrzeć nieuniknione łzy.

Blom bez żadnych oporów kontynuowała:

– Twoja nienawiść do kobiet oczywiście nie zaczęła się w lutym prawie trzy lata temu, kiedy twoja partnerka cię zostawiła i zabrała bliźniaki. Freja miała okazję jej posmakować przez dobry kawałek czasu. Ty jednak wzniosłeś ją na zupełnie nowy poziom. Kiedy w maju, zupełnie legalnie, zabrała Marcusa i Oscara ze szkoły Sofia i poleciała z nimi do Paryża, twoja nienawiść do kobiet jeszcze się wzmogła. Po incydencie na lotnisku Arlanda zacząłeś nazywać swoją byłą asem i stałeś się naprawdę niebezpieczny. Niecały miesiąc później, siódmego czerwca, zaginęła piętnastoletnia Aisza Pachachi z dzielnicy Helenelund w Sollentunie, gdzie mieszkałeś jako dziecko. Stało się to w dniu zakończenia roku szkolnego, w którym nie miałeś okazji uczestniczyć, tego samego lata. Tylko raz w życiu byłeś na zakończeniu roku szkolnego: kiedy twoi synowie kończyli pierwszą klasę. Prawda, że doprowadzało cię to do szału?

Berger wciąż milczał i wpatrywał się w stół. Nie odwracając wzroku, Blom kontynuowała:

– Tego lata zacząłeś się mścić na płci żeńskiej, Sam. To ty nie chcesz dopuścić do tego, aby te piętnastoletnie dziewczyny stały się dorosłymi, zdradliwymi kobietami. Prowadzisz krucjatę przeciwko przyszłym złym kobietom, które kradną mężczyznom ich synów. Porywasz je, kiedy jeszcze nie mają szansy skrzywdzić żadnego mężczyzny. Wyładowujesz swój gniew na tych młodych istotach, a kiedy po porwaniu Ellen upubliczniłeś swoją działalność, postarałeś się, żebyś to ty odpowiadał za śledztwo. Dlatego po tak długim ukrywaniu swoich zbrodni postanowiłeś działać jawnie. To, że



przeniosłeś groteskowe określenie matki swoich dzieci, „as”, na mordercę, czyli na siebie, jest tak perwersyjne, że aż w pewnym sensie pikantne.

Po uciążliwej ciszy Berger w końcu podniósł na nią wzrok. Z jego oczu płynęły łzy.

– Kocham swoje dzieci – oznajmił. – Chcę je odzyskać.

– A one z pewnością chętnie wrócą do tatusia seryjnego mordercy – odparła brutalnie Blom.

W normalnej sytuacji Berger mógłby w kilka sekund otrzeć łzy i zacząć od nowa. Tym razem tak się nie dało. Teraz spływały po policzkach, jak u małej dziewczynki, i zasychały, jak u pacjenta zakładu psychiatrycznego.

Niemal słyszał te myśli. To było jak objawienie. Już od bardzo dawna nie widział siebie w tak wyraźnym świetle.

Molly Blom miała rację w stanowczo zbyt wielu kwestiach.

Właściwie we wszystkich oprócz kluczowej.

Wydawało się, że sama o tym wie. I karze go za coś innego. Za to, kim był.

– Wiesz, że tego nie zrobiłem – powiedział.

– Dlaczego w takim razie zabrałeś materiały w sprawie Julii Almström i Jonny Eriksson trzy dni przed porwaniem Ellen Saviger?

– To nieprawda...

– Powiem ci dlaczego – odparła Blom z naciskiem. – Bo chciałeś się pochwalić, wyjść na mądrzejszego, niż jesteś. Mogłeś spokojnie ujawnić informacje o Julii i Jonnie, niczym nie ryzykując. Desiré Rosenkvist i reszta byliby pod wrażeniem. Mogłeś zabłysnąć, a jednocześnie się zabezpieczyć w kwestii wcześniejszych morderstw. Postanowiłeś nie mówić o pierwszych dwóch ofiarach, Aiszy Pachachi i Nefel Berwari, natomiast ślady Julii i Jonny były już usunięte. Choć nie do końca...

Wskazała małe kółka zębate, które leżały na stole tuż obok foliowych

woreczków.

– Jeśli chodzi o Julię i Jonnę, nie było miejsc zbrodni – ciągnęła Molly Blom. – A jednak te małe kółka zębate z zegarka Patek Philippe 2508 Calatrava zostały znalezione w dwóch miejscach zbrodni. Nikt na całym świecie nie wie, gdzie Julia Almström i Jonna Eriksson były więzione i gdzie zostały zabite. Nikt oprócz mordercy. To nie są poszlaki, Sam, to są trofea. Te kółeczka są trofeami w rodzaju tych, które prawie zawsze zbierają seryjni mordercy. Naprawdę zwyrodniali seryjni mordercy. Ty jesteś takim zwyrodnialcem. Nie chcesz pozwolić kobietom dorosnąć. Jesteś asem. Tym asem.

Molly Blom urwała. Utkwiła wzrok w Samie Bergerze. Miała go w garści. Berger powoli pokiwał głową.

– Tak – powiedział. – To wygląda naprawdę cholernie źle.

– Poświęciłeś swój najlepszy zegarek – ciągnęła Blom. – Rozmontowałeś swoje oczko w głowie i zaczęłeś podkładać kółka zębate w miejscach, w których zamordowałeś te dziewczyny. Gdyby zginęło choć jedno, poświęciłbyś swój absolutnie ulubiony przedmiot. Wszystko po to, żeby podnieść stawkę. Ani jedno kółko zębate nie zostało znalezione przez policję, ani jedno miejsce zbrodni, ani jedne zwłoki. Składasz do kupy swój patek philippe 2508 calatrava. Wkrótce czas znów będzie płynął jak trzeba. Kiedy zabijesz wystarczająco dużo dziewczynek.

Berger oddychał ciężko. Po chwili, tak powściągliwie jak tylko mógł, powiedział:

– Powiem ci coś na temat kółek. Zaraz do tego wrócę. Ale najpierw musisz mi odpowiedzieć na jedno pytanie.

– Nie jesteś w sytuacji, w której miałbyś prawo do czegokolwiek, asie. Nie mówiąc już o zadawaniu pytań.

– Ale przecież nic tu się nie zgadza. Lina Vikström?

– Co?

– Zadzwońska na policję jako Lina Vikström z Märsta. Od Säpo dostała prawie idealny system maskowania dźwięku. Mówiała, że widziała Ellen Saverger w oknie domu pewnego odludka z sąsiedztwa. Mówiała, że na szyi miała różowy skórzany naszyjnik z prawosławnym krzyżem. Säpo miała pełny wgląd w materiały śledztwa, mieli to wszystko przed oczami, więc wzmianka o różowym kolorze nie powinna dziwić, ale dziwne jest to, że wiedziała, gdzie więziono Ellen. Szukaliśmy jej trzy tygodnie, sprawa miała najwyższy priorytet. Jakim cholernym cudem Säpo znalazła ją wcześniej niż my? I dlaczego nie chcieliście tam wejść? Dlaczego skierowaliście nas na trop Märsta?

Blom patrzyła na Bergera. Intensywnie się w niego wpatrywała.

– Świadomie ukryłeś wyraźny ślad – powiedziała.

– Do jasnej cholery! Nie zrobiłem tego.

– Oczywiście, że nie – odparła lodowato. – Sprawdziliście porządnie wynajmowane samochody? Wszystkie w promieniu mniej więcej dwustu kilometrów?

– Zaangażowałem do tego trzech ludzi – oznajmił Berger. – Mieli kilka opcji, ale nic wystarczająco poważnego. Mówi się, że co piąty samochód w okręgu sztokholmskim jest wynajmowany na fałszywe papiery. Bardzo trudno to ogarnąć.

– Ale daliście plamę. Na policję w Märsta przyszło zgłoszenie, że w jednej z ruin na posesji obok jest ukryty van. Pewna starsza pani, niejaka Asta Granström, natknęła się na niego podczas porannego spaceru z psem. Van został wynajęty wiosną na stacji Statoil w Gävle.

– O kurwa – zaklął Berger. – Tę panią znaleźliśmy.

– Zmarła, zanim zdążyliście do niej dotrzeć – odparła Blom. – Moja hipoteza jest taka, że to ty ją zabiłeś. Byłeś w Märsta. To ty wynajęłeś ten

van. Za dnia prowadziłeś śledztwo, a w nocy byłeś w Märsta. Torturowałeś Ellen. Poza tym zabiłeś starszą panią i sprawiłeś, że jej zgłoszenie nie poszło nigdzie dalej. Nie zostało dołączone do materiałów.

– Bo Säpo je wstrzymała! – wykrzyknął Berger. – Bo pozwoliliście mi pośrednio wyciec, przez Linę Vikström. Niech to szlag, udało wam się uciszyć gliniarza z Märsta? Ale nie mogliście zabić tej kobiety, do cholery. Nie pamiętam, żeby w materiałach było coś na temat zgonu starszej pani.

– Bo ty ją zabiłeś – odparła Blom. – I zamiotłeś to pod dywan.

– Nie wiem nawet, o czym mówisz, Molly. Kim ona była? Jak umarła?

– Nie mów do mnie Molly, ty świnió! Nie masz prawa wymawiać mojego imienia. Spróbuj teraz wyjaśnić obecność tych kółek zębatach z twojego najlepszego, najdroższego, ulubionego zegarka. O ile potrafisz.

Berger poczuł, że świat zawirował. Poczul piekący ból w każdej komórce nerwowej w całym ciele.

– Kółka zębate... – wysapał. – Jasna cholera. Kiedy zabrałem materiały w sprawie Julii Almström i Jonny Eriksson, pięć dni po zaginięciu Ellen, nie trzy dni przed, pomyślałem sobie, że lokalna policja raczej nie przeczesała mieszkań Julii i Jonny. To był chaotyczny czas, przed i po reorganizacji. Ustępująca regionalna policja z Västmanlandii niezbyt się przyłożyła do sprawy Julii, a nowa policja z Bergslagen właściwie pokpiła sprawę Jonny. Po prostu pojechałem do ich domów. Państwo Almströmowie z Malmabergu w północno-wschodniej części Västerås byli bardzo przyjaźni i kompletnie zdruzgotani. Pokój Julii wyglądał tak, jak go zostawiła. To tam, wciśnięte za listwę podłogową w garderobie, było pierwsze kółko. O, to.

Berger wskazał największe spośród małych kółek na stoliku.

– Wciśnięte za listwę podłogową? – powtórzyła Blom wyraźnie sceptycznym tonem.

– Potem była Jonna Eriksson – kontynuował Berger. – Przybrane dziecko

kontrowersyjnej rodziny z Kristinehamn. Do jej pokoju wprowadziła się już nowa dziewczyna. Tam również, w głębi regału, było kółko zębate. O, to. A kółko u Ellen znalazłem za jedną z tych podpór w piwnicy. Też było wciśnięte, pod jedną z nich.

– Najpierw znalazłeś kółka Julii i Jonny, a dopiero potem Ellen?

– Tak.

– Skąd, do cholery, wiedziałeś, że masz szukać akurat kółek zębatach?

Berger się odchylił i zamknął oczy. Po chwili powiedział:

– Bo wiem, kim on jest.

W chwili kiedy Berger rozpoczął zdanie, Blom wstała, huknęła pięścią w stół i całkowicie zagłuszyła jego głos, wrzeszcząc:

– Zamknij się i myśl, zanim kolejny raz skłamiesz! – Berger wlepił w nią wzrok, a ona mówiła dalej: – Teraz będziemy po prostu siedzieć i na siebie patrzeć, dopóki nie powiesz prawdy, ty gnoju. Może być nawet pół godziny, mam to gdzieś.

Znów usiadła i utkwiała w nim wzrok. Berger odwzajemnił spojrzenie. Gorączkowo próbował zrozumieć, co się dzieje. Rozumiał jedno: powinien milczeć.

Czas płynął. Pięć, dziesięć sekund całkowitego bezruchu. Po piętnastu sekundach Berger spostrzegł, jak Blom wsuwa rękę pod teczkę z materiałami ze śledztwa i sięga po biały telefon komórkowy. Widział, jak klika palcem i nie odwracając głowy, przesuwa wzrokiem po stoliku ze sprzętem nagrywającym. Czerwona lampka mrugnęła, ale świeciła nadal.

Molly Blom nachyliła się do niego i cicho powiedziała:

– Równo dwadzieścia sekund. Teraz słuchaj uważnie, nic nie mów. To nie jest telefon komórkowy. To pilot, który sprawia, że ostatnie dwadzieścia sekund zapętla się na jakiś czas. Nie możemy sobie pozwolić na więcej niż kilka minut, bo zauważą to w dyspozytorni. Nic z tego, co teraz mówimy, nie

jest nagrywane. Ale mamy mało czasu. Wiesz, kim jest morderca?

Berger przez dwie sekundy patrzył na nią dzikim wzrokiem. Więcej czasu nie było.

– Tak – odpowiedział. – Wydaje mi się, że dorastaliśmy razem.

– A te kółka zębate?

– On lubi zegary. Kocha je. Duże, w rodzaju tych wieżowych. Całkiem możliwe, że torturuje te dziewczyny za pomocą mechanizmów zegarowych. Doskonałych i niezawodnych.

– Ale przecież kółka z twojego zegarka są małe.

– Z jednej strony chce tylko pokazać światu, że chodzi o zegarki. Z drugiej, zostawia wam wskazówki, żebyście mnie aresztowali. Zrozumiałem to, kiedy znalazłem pierwsze kółko. To on ukradł mi zegarek. Teraz podkłada kółka, żeby mnie zrobić. Dlatego je pozbierałem i trzymałem z dala od śledztwa. To jego sposób na przygwożdżenie mnie.

– Wskazówki? – zapytała Blom.

– Przekazałaś mi je, kiedy cię przesłuchiwałem. Dwie rzeczy się wyróżniały na tle reszty. Okrzyk „Zdrada!” i komentarz „Wie pan doskonale, co się stało”. W tych momentach wypadłaś z roli Nathalie Fredén. Zacząłem łamać sobie głowę: ja cię zdradziłem? Jak, gdzie, kiedy? Przecież cię nie znam.

– Nie wygłupiaj się, Sam – odparła Molly Blom. – Wiesz doskonale, co się stało.

Wpatrzył się w nią, przytłoczony szumem liści osiki, i poczuł, że blednie.

– O kurwa!

– Zostałam policjantką ze względu na sprawiedliwość – oznajmiła Molly Blom. – Żeby to, co mnie się przytrafiło, nigdy nie spotkało nikogo innego. Szczególnie kobiety. Dziewczyny.

– Chodziłaś tam? Do szkoły Helenelund? Nie pamiętam cię.

– Byłam jedną klasę niżej. Twój pokrecony kumpel pewnego dnia mnie zgarnął. Przypiął mnie do swojego chorego mechanizmu. A ty mnie widziałeś. Widziałeś mnie przez okno, gnoju. I uciekłeś. Ty tchórzliwy asie.

Berger milczał. Nie mógł wykrztusić słowa.

– Twoja zdrada w tamtej chwili – powiedziała Molly Blom – do dziś odbiera mi mowę. Od tamtej sekundy nie zaufałam już nikomu na świecie.

– Kurwa!

– Nie zostało już wiele czasu. Tamci zaczynają się zastanawiać.

Berger czuł się ogłuszony szumem liści osiki. Mimo to wiedział, że jest pytanie, które z całą pewnością musi zadać. Więc zadał je:

– Zabrałem materiały pięć dni po zaginięciu Ellen Saviger. Skąd informacja, że zrobiłem to trzy dni wcześniej?

– To była moja szansa na zaatakowanie ciebie. Na dotarcie do punktu, w którym teraz jesteśmy.

– To ty zmieniłaś daty?

– Dzięki temu Säpo mogła wkroczyć jako służba wynajęta przez „wewnętrznych”. A ja mogłam się z tobą spotkać. We właściwych okolicznościach. Po wymierzeniu ci solidnej kary.

– Dlaczego chciałaś się ze mną spotkać we właściwych okolicznościach? Ty też wiesz, kto jest mordercą?

– Podejrzewam to od jakiegoś czasu. Nazywa się William Larsson.

– Tak – potwierdził Berger. – William Larsson. W dziewiątej klasie dołączył do nas. Jego twarz była zdeformowana, kostropata. Cierpiał na jakąś chorobę, chyba dziedziczny wariant zespołu Proteusza, to nie było do końca jasne. Wychowująca go samotnie matka musiała jeździć po całym kraju, bo wszędzie mu dokuczano. Także w szkole Helenelund. Dziewczyny nie były dla niego miłe.

– Piętnastoletnie dziewczyny – powiedziała Blom. – A jedną z nich byłam

ja.

– Uderzyłbym na alarm, gdybym go znalazł – oznajmił Berger. – Na pewno stałoby się to przedmiotem śledztwa. Ale jego już nie ma. William Larsson przestał istnieć. Musiałem go znaleźć, korzystając z tylnych drzwi.

– Ja też – odparła Blom. – Długo się tym zajmowałam, znacznie dłużej niż ty. Chciałam go znaleźć za wszelką cenę. Ale po dziewiątej klasie przestał istnieć. Zwykłym fartem udało mi się uwolnić z jego mechanizmu, zanim ten mnie rozerwał, ale nigdy nikomu o tym nie powiedziałam. Ani słowa. To było zbyt trudne, zżerały mnie strach i wstyd. A potem on zniknął. Szukałam wszędzie, ale po prostu odleciał. Jak Charles Lindbergh.

– W takim razie czy to na pewno on? To możliwe?

– Możliwe, jeśli przeszedł operację plastyczną za granicą. A teraz wrócił, odmieniony na zewnątrz, ale wewnętrznie zdeformowany bardziej niż kiedykolwiek. Wyglądający tak, że nikt by go nie poznał.

– Jeśli chciałaś mnie ukarać, rozumiem – oznajmił Berger. – Niczego w życiu nie żałowałem tak bardzo jak tego, że w tamtej chwili uciekłem, jak najdalej od ciebie i tego hangaru.

Blom patrzyła na niego. W końcu zapytała:

– Zabrałeś coś z mojego mieszkania, prawda?

Berger zaczął mocno mrugać. Po chwili otworzył usta i wyłuskał zwiniętą karteczkę, schowaną głęboko pomiędzy górnymi zębami a prawym policzkiem. Różowy, trochę wilgotny kawałek papieru.

Samoprzylepną karteczkę.

– Leżała u ciebie na podłodze – rzekł. – Koło kanapy.

Blom się nachyliła i przeczytała:

– *WL op. plast ArSaud?*

– Po tym zacząłem to i owo podejrzewać, jeśli chodzi o ciebie. WL to na pewno William Larsson. No i reszta: „op. plast ArSaud”? Operacja



plastyczna w Arabii Saudyjskiej?

– Tak – odparła Molly Blom. – Tamejsza chirurgia plastyczna stoi na najwyższym poziomie, co może się wydawać dziwne w kontekście wahhabizmu i społeczeństwa, w którym kobiety nie mogą prowadzić samochodów. Ale za zasłoną można wykonywać wiele operacji. Z drugiej strony, trudno cokolwiek ustalić, bo wszystko odbywa się nieoficjalnie. Stąd ten znak zapytania.

– Ale ty na pewno dotarłaś dalej. W przeciwnym razie nie sporządziłabyś takiej notatki.

– Pomyśl tylko, od czego to się zaczęło. Więcej omówić nie zdążymy. Podejrzewam, że w dyspozytorni już zaczynają się zastanawiać.

– Co teraz, do cholery? – spytał Berger.

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odparła Blom. – Jeszcze nie wiem, czy jesteś współnikiem Williama Larssona. Byliście sobie bardzo bliscy. Być może twój pan zdalnie tobą steruje. Byłeś jego jedynym prawdziwym kumplem. Ale teraz musimy skończyć. Nie ruszaj się.

Ponownie wsunęła dłoń pod teczkę. Tuż przed tym, jak kliknęła pilotem przebrany za biały smartfon, Sam Berger powiedział:

– Ja zostałem gliną, bo miałem wyrzuty sumienia.

Blom uśmiechnęła się ponuro, czerwona lampka urządzenia nagrywającego zamrugła. Molly Blom głośno i wyraźnie powiedziała:

– Okej, to na nic. Musimy zrobić przerwę.

# 18

**Wtorek, dwudziesty siódmy października, godz. 18:43**

MOLLY BLOM patrzyła, jak go wyprowadzają. Kiedy Roy i jego kolega Kent wyszli wraz z Samem Bergerem przez drugie drzwi, zaczęła się zastanawiać, co zniknęło wraz z nimi. Jej kariera?

Przyciągnęła fałszywy telefon do siebie i upuściła go do torebki z głęboką nadzieją, że zadziałał. Wszystko z Wiborg Detaljist AB zawsze działało. O to właśnie chodziło.

Spojrzała na swoją prawdziwą komórkę. Doba wywróciła się do góry nogami. Dochodziła siódma. Blom przypuszczała, że tej nocy także nie zaśnie. Z drugiej strony była do tego przyzwyczajona, tak ustawiła sobie życie. Nieregularność życia zawodowego kompensowała ze wszech miar kontrolowanym życiem prywatnym.

Teraz najważniejsze było to, aby uporządkować sytuację. Porządek, struktura. Odsłoniła się przed Bergerem, ale nie było zbyt prawdopodobne, że on pociągnie sprawę dalej – po pierwsze, sam miał sporo do ukrycia, a po drugie, siedział przecież za kratkami. Wydawało się, że wszystko spoczywa na jej barkach.

Nie, nie mogę tam się zapuszczać, pomyślała. Nie teraz. Nie mogę wpaść w tę pułapkę. Przynajmniej dopóki się nie okaże, jaki powinien być następny krok.

Tak, właśnie w tę pułapkę wpadła.

Życie. A przecież próbowała je zdusić. Zdusić wszystko. Próbowała udawać, że jest normalnie, jakby w jej przeszłości nie wydarzyło się nic godnego uwagi. I udawało się. Zakończenie szkoły, od dziewiątej klasy brak Williama Larssona, brak twardego Samuela Bergera – wcielenia zdrady. Wszystko szło dobrze – dobre oceny, dobre relacje w klasie, dobrzy rodzice, żadnych zgrzytów.

Nie wiedziała, dokąd się przenieśli William i Sam. Po prostu zniknęli.

Siedziała w pokoju przesłuchań w najtajniejszych säpowskich zakamarkach komisariatu. Otworzyła komputer i zapatrzyła się w ekran. Poznała sprawę, przeczytała wszystkie materiały, oficjalne i nieoficjalne, i nie znalazła nic, czego by do tej pory nie wiedziała.

Za to z nieprzepartą siłą wróciła do niej przeszłość. Powiedziała Bergerowi prawdę: odkąd zwiął, nie potrafiła zaufać nikomu na świecie.

Był tylko jeden taki człowiek. Ze wszystkich ludzi na całym świecie mogła zaufać tylko sobie. Wszystko opierało się na barkach Molly Blom. Nikt inny nie mógł nic wniesić w jej życie. Nie miała niczego, na czym mogłaby się oprzeć.

Poza sobą.

Jej życie stało się cudem kontroli i samokontroli. Odgrywała rolę kogoś, komu się powiodło, i szło jej to tak dobrze, że uznała, iż ma prawdziwy talent aktorski. Już w dziewiątej klasie zaczęła występować na scenie, pewnie głównie po to, żeby trzymać na dystans swoje prawdziwe ja, a kiedy po liceum z głupia fant spróbowała się dostać do szkoły aktorskiej Dramaten, przyjęto ją, i to w rekordowo młodym wieku. Wystąpiła w kilku filmach krótkometrażowych, pracach studenckich. W ostatnim semestrze zagrała dwie spośród najważniejszych teatralnych ról kobiecych: Ofelię i Martę. Przepowiadano jej świetlaną przyszłość. A ona kochała teatr. Wtedy jednak zawładnęły nią inne siły. Granie ról już jej nie wystarczało, bo rezultat jej

pracy nie miał nic wspólnego ze sprawiedliwością. A właśnie sprawiedliwości pragnęła w życiu, konkretnej sprawiedliwości. Coraz wyraźniej rozumiała, kim chce zostać – chciała być policjantką. Chciała chronić świat przed wszelkiego typu Williamami Larssonami. Przed Samami Bergerami zresztą też.

Chciała chronić świat przed niesprawiedliwością.

Nie trzeba było wielu dni w szkole policyjnej, aby zrozumiała, że oferta nie do końca spełnia jej oczekiwania. Szkoła policyjna obiecywała coś bardzo praktycznego: umiejętność zatrzymywania podejrzanych, wsadzania za kratki bydłaków, ale gdy chodziło o meandry moralności, nie oferowała zbyt wiele.

Jednak po raz pierwszy od czasu hangaru nie odgrywała żadnej roli. Była policjantką. Została posterunkową, potem starszą posterunkową, chodziła na jeden kurs za drugim, rozpoczęła karierę inspektor kryminalnej. Docierały do niej sygnały, że jej przeszłość czyni ją atrakcyjną dla Säpo. Nie trwało długo, zanim została zwerbowana, osobiście przez Augusta Steena, i przerobiona na agentkę idealną. Miała wtedy za sobą dziesięć lat pracy. Nie ulegało wątpliwości, że to ją wykańczało.

W samotności przy stole płynął czas. Tak długo nie spała, tak długo odgrywała rolę Nathalie Fredén. Naprawdę ją to wykończyło. Nagle poczuła się tak, jakby czas ją dogonił i wbił w nią zęby. Zasnęła przed komputerem, głowa opadła jej na klawiaturę.

Znacznie później, kiedy czytała obszerny dokument, napisany przez jej śpiącą głowę, przez chwilę się zastanawiała, czy nie pochodzi on z najdalszych głębin jej podświadomości.

Nie miała pojęcia, jak długo spała, kiedy rozległ się ryk telefonu. Pograżona w półśnie pomyślała, że nie pamięta, by nastawiała budzik.

I rzeczywiście nie nastawiała.

Dzwonił telefon. Numer nieznany. Jak zawsze.

Wszystkie ważne rozmowy zaczynały się telefonem z nieznanego numeru.

*The story of her life.*

Obudziła się. Szybko jak zawsze. Zawsze gotowa.

– Jak tam? – zapytał głos, który rozpoznałaby wszędzie. Głos biegnący przez jej życie niczym czerwona linia. Jednocześnie było trochę niepokojące, że szef wywiadu Säpo dzwoni w środku nocy. Bo chyba był środek nocy?

– Idziemy w dobrym kierunku, August – odparła wyczekująco.

– Miło to słyszeć – odparł August Steen. – Możesz do mnie zajrzeć, Molly?

– Jesteś na komisariacie? – zawołała Blom.

– Na innych policyjnych frontach sporo się dzieje. Nie jestem tu z twojego powodu, jeśli tak pomyślałaś. Ale chętnie usłyszałbym sprawozdanie, jeśli nie żądam zbyt wiele.

– Już idę – odparła, wstała i pożałowała, że nie może zmarszczyć czoła.

Zatrzymała się i przez trzydzieści sekund myślała. Potem zapakowała wszystko ze stołu. Znieruchomiała z ręką w torbie. Jej uwagę przyciągnął fałszywy biały telefon. Wzięła go do ręki, obejrzała, włożyła do tylnej kieszeni czarnych dresów, zarzuciła torbę na ramię i wyszła przez dyspozytornię na korytarz. Kent siedział z nosem przy ekranie i oglądał filmy z przesłuchań.

– Gdzie Roy? – zapytała.

– Odlewa się – odparł Kent i zatrzymał film. – Nie chcieliśmy cię budzić.

– Okej. Powiedz mu, że robimy teraz ze dwie godziny przerwy. Ty też wyglądasz na padniętego.

Kent posłał jej szybkie spojrzenie, skinął głową i wrócił do filmów.

Molly Blom nie była ani trochę zadowolona z tego spojrzenia. Poszła korytarzem w prawo zamiast w lewo i wkrótce dotarła do innej windy. Zanim

dojechała na swoje piętro, sięgnęła do tylnej kieszeni, odsunęła jedną z płytek na suficie i umieściła tam fałszywy telefon. Wsunęła płytkę na swoje miejsce i już była na komisariacie. Wpisując kolejne kody, przesuwała się coraz bliżej absolutnego centrum władzy.

Teren kierownictwa wydawał się kompletnie pusty, dopóki nie skręciła za róg w ostatnim korytarzu. Wtedy zobaczyła postać wchodzącą do jednej z toalet. Zanim drzwi się zamknęły, zdążyła tylko zobaczyć nadgarstek z dużym zegarkiem do nurkowania.

Zbyt wiele elementów trafiło na swoje miejsce w zbyt szybkim tempie. Była rutynowaną agentką, przyzwyczajoną do podejmowania szybkich, improwizowanych decyzji. W jej głowie zaczęła się układać strategia. Była już w zasadzie gotowa, kiedy zapukała do drzwi z napisem „Steen – szef wydziału” i usłyszała ospały sygnał otwieranego zamka.

August Steen spojrzął znad komputera, jakby był z kamienia, kliknął przyciskiem myszy, nasunął na czoło okulary do czytania i się jej przyglądał. To ona przerwała ciszę.

– Jeśli wziąć pod uwagę, jak wiele się dzieje na innych policyjnych frontach, korytarze są dziwnie puste. Poza tym masz pastę do zębów w kąciku ust.

Steen odruchowo otarł lewy kącik.

– W prawym – powiedziała.

Zmarszczył nos i posłał jej ostre spojrzenie. Następnie wytarł prawy kącik ust.

Nie było tam pasty do zębów.

– Innymi słowy, przyjechałeś tu w wielkim pośpiechu – stwierdziła. – Dlaczego?

– Czuję, że musimy porozmawiać – odparł August Steen.

– O czym?

– O ostatnim przesłuchaniu. Ostro potraktowałaś Bergera.

– Myślałam, że o to właśnie chodzi.

– „A one z pewnością chętnie wrócą do tatusia seryjnego mordercy” było może lekką jazdą po bandzie...

– Nie przypędziłeś tu z Äppelviken o tej porze z powodu nieporadnego doboru słów.

– Święta racja, Molly – odparł Steen, uważnie jej się przyglądając. – Przypędziłem tu, bo nasze urządzenie do nagrywania wydaje się rozstrojone. Takie rzeczy rozstrajają również mnie. Może nawet bardziej. W końcu jesteśmy policją bezpieczeństwa. Jeżeli ktoś rozstraja nasz sprzęt, jest to z całą pewnością zagrożenie bezpieczeństwa państwa.

– Co masz na myśli?

– Muszę przyznać, że ta długa sekwencja spojrzeń pod koniec przesłuchania była pikantna. Absolutna cisza. Jak to ujęłaś? „Teraz będziemy po prostu siedzieć i na siebie patrzeć, dopóki nie powiesz prawdy, ty gnoju. Może być nawet pół godziny, mam to gdzieś”. Potem naprawdę siedzicie ponad dziesięć minut i po prostu się na siebie gapicie. Wreszcie kończysz stwierdzeniem: „Okej, to na nic. Musimy zrobić przerwę”. Naprawdę elegancko. Teraz będzie wiedział, że nasza cierpliwość nie zna granic.

– Dlaczego wyczuwam w twoim głosie ironię?

– Bo stało się to – odparł Steen i odwrócił ekran. Kliknął myszką i utkwiał spojrzenie w oświetlonej przez monitor twarzy Blom.

Zobaczyła przedłużającą się sekwencję, która przedstawiała ją i Bergera. Siedzieli i się w siebie wpatrywali. Po półtorej minuty obraz przeskoczył, a Berger i Blom zaczęli się zupełnie inaczej zachowywać, byli znacznie bardziej aktywni. Z komputera zaczęły dobiegać głosy.

Molly Blom mówiła: „a teraz wrócił, odmieniony na zewnątrz, ale wewnętrznie zdeformowany bardziej niż kiedykolwiek. Wyglądający tak, że

nikt by go nie poznał”.

Sam Berger odparł: „Jeśli chciałaś mnie ukarać, rozumiem. Niczego w życiu nie żałowałem tak bardzo jak tego, że w tamtej chwili uciekłem...”.

Film gwałtownie się urwał, Berger i Blom równie gwałtownie wrócili do wpatrywania się w siebie.

August Steen odwrócił z powrotem ekran, całkiem neutralnie popatrzył na Blom i powiedział:

– Próbuje to zrozumieć. Możesz mi wytłumaczyć, Molly?

Blom szybko oszacowała w głowie wagę informacji. Mimo wszystko to, co powiedziała, przemawiało na jej korzyść.

– To było bardzo dziwne – oznajmiła.

– Też tak sędzę. I sędzili tak również Kent i Roy, kiedy do mnie dzwoniли. Muszę wspominać, że spałem wtedy najgłębszym snem sprawiedliwego?

– Tak.

– Spałem wtedy najgłębszym snem sprawiedliwego.

– Przykro mi. Tak, po namyśle przypominam sobie, że Berger jeden raz złamał tę długą ciszę. Ale było tego więcej. Reszta się nie nagrała?

– Tak to wyglądało – odparł Steen i rozłożył ręce.

Blom skinęła głową i zmarszczyła brwi.

– Berger był wtedy kompletnie wykończony, naprawdę ostro go potraktowałam. Nagle zaczął opowiadać jakąś szemraną historyjkę o tym, jak podejrzewa, że jego była żona Freja w tajemnicy wróciła do Szwecji ze zmienionym wyglądem. Twierdził też, że jestem z nią w zмовie i dlatego chcę go ukarać. Jakaś historia o tym, że uciekł od rodziny podczas jednego z meczów piłkarskich bliźniaków i że żałował tego bardziej niż czegokolwiek innego w życiu. Reszty naprawdę nie ma? Potrzebowałabym pomocy w zrozumieniu tego, co się stało. Czy tracił nad sobą kontrolę, czy to była z jego strony jakaś gra? Ale jeśli sprzęt zaczął się zacinać, technicy muszą go



sprawdzić w najdrobniejszych szczegółach. Nie mów, że zmarnowałam ten czas.

– Szef informatyków, Anders Karlberg, właśnie go zabrał – odparł Steen.  
– Wydawał się w pełni z tobą zgadzać, zresztą nie po raz pierwszy. Nadal ze sobą jesteście?

– Co powiedział o komputerze?

– To wygląda na jakąś awarię techniczną. Niekoniecznie nadajnik zakłócający.

– Dobrze – powiedziała Blom. – Sporo się tam zagubiło. Głównie obłąkańcze głędzenie bardzo zmęczonego podejrzanego, ale mimo wszystko mogą tam być jakieś ważne rzeczy.

– Jestem o tym przekonany – stwierdził Steen, rzucając spojrzeniem w bok. – Wcześniej nie wydawał się szalony.

– Pewnie zniszczyłam go wzrokiem.

Steen zmarszczył czoło, skinął głową i zaczął bębnić palcami o biurko.

– Hm – mruknął. – To wcale nie wygląda dobrze.

– W zupełności się zgadzam – odparła Blom.

– Wydaje mi się dziwne, że Berger miałby ni z tego, ni z owego doświadczyć psychozy, a potem wrócić do gapienia się. Tym bardziej że pod koniec spokojnie mówisz, że „to na nic”.

– Nie sądzę, żeby to była akurat psychoza...

– Wcale nie jestem pewien, czy słyszymy tu człowieka niestabilnego psychicznie – stwierdził Steen. – Nie zadowala mnie twoje wyjaśnienie, Molly.

– Taka jest prawda – powiedziała Blom tak spokojnie, jak potrafiła. – To naprawdę nie moja wina, że technika zawiodła.

August Steen przez chwilę gładził się po starannie uczesanych siwych włosach, a w końcu skinął głową i odezwał się:

– Okej, w najbliższym czasie ta sekwencja będzie analizowana na wszystkie strony. Poza tym Karlberg twierdzi, że ich technikom być może uda się odzyskać resztę. Zaraz posadzę z nimi Kenta i Roya, niech pracują nad tym całą noc.

– Dołączę do nich – powiedziała Blom i wykonała ruch w kierunku drzwi.

– Nie – zaprotestował Steen i uniósł dłoń.

– Nie? – odparła Blom.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, Molly. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pojedziesz bezpośrednio do domu i się prześpisz. Przyjedź tu jutro o dziewiątej rano.

Spojrzała na niego i zrobiła najbardziej obrażoną minę, na jaką było ją stać.

– Co? – zawołała. – Myślisz, że jestem tak potwornie zmęczona? Wytrzymałam znacznie gorsze rzeczy.

– Wiem – odparł sztywno Steen. – Umówmy się, że tak zrobimy. Właśnie tak. Do domu, Molly. Hop do łóżka. Jutro punkt dziewiąta. Okej?

Zdecydowała się na odpowiednio gniewne wyjście z gabinetu i ze smutno opuszczonymi ramionami ruszyła korytarzem. Dopiero przy windzie uniosła je znowu.

Okej, pomyślała, próbując schłodzić emocje. Wiedziała, że nikt nie chce robić sobie wroga z Augusta Steena. Nieczęsto przeżywała takie nagromadzenie pasywno-agresywnych gróźb. Nagle z mrozącą krew w żyłach jasnością dotarło do niej, że tylko krok dzielił go od zajrzenia do jej torebki.

Odsunęła płytkę w suficie i wyłuskała aparat zagłuszający. Odwróciła się do lustra w windzie, spojrzała sobie głęboko w oczy i pomyślała: Czy to już koniec? Koniec mojej kariery? Kto potrzebuje wywalonego z roboty gliniarza?

Opuściła wzrok na fałszywy biały telefon. Jak to możliwe, że to cholerne ustrojstwo nie zadziało tak, jak powinno?

Winda zjechała w dół. Molly Blom wyszła na korytarz i przyjęła tę samą przygnębianą postawę. Minęła drzwi celi Bergera, drzwi do pokoju przesłuchań, skręciła i stanęła przy drzwiach do dyspozytorni.

Wzięła głęboki oddech, to było nieuniknione. Weszła.

Kenta i Roya rzeczywiście nie było. Nikt nie oglądał obrazów z kamer przemysłowych. Zabrali ze sobą prawie cały sprzęt. Przynajmniej miała odrobinę nadziei w związku z drastycznymi środkami, które w pośpiechu zaplanowała.

Złapała leżący w rogu opuszczony plecak Bergera i znów wyszła na korytarz. Potem wróciła, skręciła za róg i weszła do jego celi. Z głębokim westchnieniem wyciągnęła rękę z kartą w stronę czytnika.

Zza drzwi dobiegał sapliwy dźwięk.

Jakby śniły mu się koszmary.

## 19

**Środa, dwudziesty ósmy października, godz. 0:05**

BERGER LEŻAŁ na twardej pryczy w maleńkiej izolatce. Nie był sam. Wokół niego powstało prawdziwe zbiegowisko. Tamy się otworzyły, wspomnienia zaczęły się tłoczyć. Wszystko było rozmyte, a jednak bardzo wyraźne. Rozróżniał szczegóły twarzy, których nie było w jego świadomości od dziesięcioleci. Widział fryzury swoich pań z przedszkola. Plamy wątrobowe posuniętej w latach babci. Każdego zawodnika drużyny piłkarskiej U12. Tatę przy ławie stolarskiej i mamę przy kuchence – zrosniętych z pradawnymi rolami płciowymi, wśród których dorastał. Ze ścian tłumnie wychodzili kumple ze wszystkich klas, krewni, którzy już dawno wyemigrowali lub umarli, grupy kolegów otoczonych chmurami śniegu z górek, po których zjeżdżali na nartach, rząd zębów zbliżających się do jego bicepsa, grupka dziewczyn, z którymi się przespał tego samego dnia na Koh Phangan, i wreszcie ciemnoskóra dziewczyna z baru w Barcelonie, choć nawet nie zdawał sobie sprawy, że widział jej twarz. Kobiety z jego życia wciąż się pojawiały, przemykały mu przed oczami z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Nienawiść do kobiet? Sam Berger? Przecież je kochał, przynajmniej wtedy. Żadnej nienawiści do kobiet, myślał, próbując pochwycić uciekające spojrzenia. Nie ja. Ja nigdy. Potem ukazała mu się Freja. Freja Lindström. Ich pierwsze spotkanie, przyjęcie, na które przyszła ze sztywnym jak trup chłopakiem biznesmenem, natychmiastowe poczucie

wspólnoty, ten sam rehot z różnych dziwności życia. Identyczne poczucie humoru. Czy właśnie to podobieństwo jedenaście lat później przesądziło o śmierci ich związku? Chciał ją o to zapytać, kiedy przechodziła przez celę, raz za razem, w wiecznym zapętleniu, i na jego widok rzucała szybkie, przerażone spojrzenie przez ramię. To była wędrówka w stronę kontroli bezpieczeństwa na lotnisku Arlanda. Wtedy widział ją po raz ostatni. Został zatrzymany przy barierkach, trzeba było wezwać ochroniarzy, Freja skutecznie blokowała widok bliźniaków swoim ciałem i łagodnym głosem. Wtedy, tym ostatnim razem, słyszał, jak się śmieją, ale ich nie widział. Tylko mu mignęli. W celi rozróżniał jedynie ich dłonie w jej dłoniach, tam na lotnisku Arlanda. Nagle bliźniacy wyrosli ze swoich oddzielonych od reszty ciała rąk i ukazali się w coraz szybciej przemykającym mu przed oczami szeregu. Stosunek, który – wiedział to na pewno – zakończył się ich spółdzeniem, drżące od upału powietrze w dniu, w którym wystrzelił plemniki głębiej niż zwykle w drżące z rozkoszy ciało Frei. Siedzieli w wózku dla bliźniąt i tylko on, tylko tata Sam potrafił ich rozróżnić, nawet mama Freja często myliła imiona, ale tata Sam nigdy. Pływali w dmuchanych poduszkach w Adriatyku; łowili dorsze w morzu niedaleko Halmstad; przepytywali się z lekcji, udając, że grają w gry wideo; startowali w dziecięcej odmianie biegu Midnattsloppet, czekali na siebie nawzajem po drodze i dotarli do mety jednocześnie; śpiewali tak dziko i głośno, że sąsiedzi z Ploggatan w końcu złożyli formalny protest do spółdzielni mieszkaniowej; stali w zimowych ubraniach w zielonym zagłębieniu i zrywali podbiał; byli na lotnisku Arlanda, aż w końcu stali się tylko samodzielnymi rękoma w rękach ich mamy, która rzuciła w jego stronę przerażone spojrzenie przez ramię. Pozostałe kobiety z jego życia zebrały się wokół niej, a ich spojrzenia nie były już nieprzeniknione i umykające. Kiedy jednak postanowił je odwzajemnić, zaczęły pęcznieć jak balony, jedna po drugiej, aż w końcu

każda z nich bezgłośnie wybuchła i zniknęła. Na końcu była Deer, która też spęczniała i zniknęła. Tak samo jak spęczniała i zniknęła Freja.

Została już tylko jedna kobieta.

Sam biegł przez wysoką trawę, która sięgała mu do piersi. Ścigał kaskadę jasnych włosów, które wystawały nad trawę niczym gloria unosząca się nad zielonym morzem. Zabrakło mu tchu. W końcu dogonił glorię, długie jasne włosy się ułożyły, a William Larsson się odwrócił. Sam nigdy nie przestał i wiedział, że nigdy nie przestanie się dziwić na widok jego kostropatej twarzy, tych wszystkich kubistycznie wystających kości. Stali teraz oko w oko, szybko się objęli, zdyszani, nie mogąc złapać tchu. Nagle William znowu pognał przed siebie. Sam go nie gonił. Podszedł do kamienia. Kamień był śliski, ale udało mu się na nim utrzymać. Przetarł uświnioną szybę.

Wśród szumu liści osiki, który brzmiał coraz głośniejsze i głośniejsze, napotkał wzrok piętnastoletniej dziewczyny. Ich spojrzenia się zetknęły, aż nagle mała kropla krwi spłynęła z jej czoła do oka i zabarwiła je na czerwono. Oczywiście widział więcej wśród boi, skorodowanych kotwic, lin i sznurów. Widział cały niestrudzenie tykający mechanizm, który wcześniej oglądał aż nazbyt często, imponujący, fascynujący. Widział idealnie skoordynowaną konstelację współdziałających kółek zębatych, sprężyn, osi, czopów, trzpieni, kół balansu, zapadek i ciężarków.

Ale to nie było wszystko.

Pośrodku mechanizmu stała ona. Otaczały ją łańcuchy. Solidny zegar tykał nieubłaganie i pomału, pomału ją rozciągał.

Przez dziesięciolecia widział spojrzenie dziewczyny. Widział proszące spojrzenie Molly Blom. Obudził się.

Patrzył w oczy Molly Blom, które wcale nie były proszące.

Przykucnęła przy jego pryczy i mówiła:

– Wstawaj. Nie ma czasu.

Pomogła mu, nie potrafił ustać na nogach.

– Nie ma czasu? – powtórzył zaspanym głosem.

– Ręce na plecy – rozkazała.

Wykonał polecenie. Owinęła mu ręce opaską zaciskową, wyraźnie dała do zrozumienia, że w zakładanej na ramię kaburze ma pistolet gotowy do strzału, i wypchnęła go przez drzwi. W ciszy szli ponurym korytarzem. Kiedy dotarli do znajomych drzwi pokoju przesłuchań, minęła je. Skręcili za róg, minęli jeszcze jedne drzwi, najprawdopodobniej prowadzące do dyspozytorni.

– Gdzie my idziemy, do cholery? – wyszeptał.

Kiedy widział, jak wiele kamer zamontowanych jest przy suficie w korytarzu, zaczynał się zastanawiać, czy nie ma też mikrofonów.

Nie odpowiedziała, tylko prowadziła go prosto. Po zaskakująco długim marszu dotarli do ledwo widocznych drzwi windy. Ściągnęła ją w dół, przeciągnęła kartę przez czytnik, wystukała sześciocyfrowy kod.

Nadal nic nie mówiła.

Berger widział ich w głównym lustrze windy. Po raz pierwszy widział ich razem. Więzień i jego strażniczka. Molly i Sam. Berger i Blom. Wszystko zdawało się wypaczone.

– Zabierzesz mnie teraz do wydziału? – zapytał. – Każesz mi przebiec przed dwoma rzędami zdradzonych i oszukanych kolegów?

– Teraz nie ma tam chyba nawet Desiré Rosenkvist – powiedziała Blom, akurat w chwili kiedy drzwi się otworzyły, ukazując nocną ciemność, czarną jak smoła.

Przycisnęła świecący na czerwono guzik i klasyczna klatka schodowa ukazała się w bezwzględnym świetle jarzeniówki. Na wysokości wzroku, przez szczelinę okienną, Berger dostrzegł światła uliczne.

– Czy my w ogóle jesteśmy w Sztokholmie? – zapytał.

Szarpnęła go bez słowa i odciągnęła od drzwi. Otworzyła drugie, prowadzące na większy wewnętrzny dziedziniec, na którym stały zaparkowane samochody, między innymi ciemny van, mercedes vito. Zamrugał w deszczu. Berger usłyszał kliknięcie zamka. Przepchnęła go do środka przez siedzenie kierowcy, przeszedł nad skrzynią biegów i ręcznym hamulcem i spojrzął przez ramię na część bagażową. Leżało w niej kilka aluminiowych walizek. Molly Blom położyła tam swoją torbę na ramię, a obok jego plecak z laptopem, pudełkiem na zegarki, teczkami, fotografiami w ramkach. W jednej z kieszeni dostrzegł nawet telefon komórkowy. Ale jednej rzeczy mu brakowało. Odwrócił się i już miał o tym powiedzieć, kiedy zobaczył, że Molly Blom podaje mu jego zegarek, rolex oyster perpetual datejust. Skroplona para wodna zniknęła. Koperta wyglądała na zupełnie suchą. Wskazówki bardzo wyraźnie pokazywały osiemnaście minut po północy.

– Lubisz zegarki? – spytała i zadyndała roleksem w powietrzu. – Mechanizmy zegarowe?

– William mnie tego nauczył – odparł.

– Dlatego właśnie cię potrzebuję – oznajmiła, wsunęła mu zegarek do kieszeni marynarki i okręciła go dwiema sporymi opaskami zaciskowymi, tak że był przymocowany do siedzenia pasażera. Nie mógł się ruszyć z miejsca. Uruchomiła silnik, a kiedy wyjeżdżała z pochyłego miejsca parkingowego, powiedziała: – Potrzebuję cię, ale nie wiem, czy mogę na ciebie liczyć.

Elektroniczna bramka w ciasnym wyjeździe otworzyła się i samochód miękko wyjechał na opustoszałą nocną Bergsgatan. Nad nimi, niczym niewzruszony średniowieczny zamek, wznosił się sztokholmski komisariat.

– Jesteśmy w Sztokholmie – stwierdził.

Jechała szybko. Doceniał to.

– A Roy i Roger? – zapytał.



Tylko pokręciła głową.

Milczeli. Kolosalny oświetlony Strindberg na Tegnérunden spoglądał na nich ze swojego kamiennego bloku. Kilku wstawionych nocnych wędrowców bezskutecznie próbowało przejść na drugą stronę Tegnérgatan z deptaka przy Drottningatan. Molly Blom trąbieniem zepchnęła ich na stojak na rowery. Przecięli Sveavägen i skręcili w Birger Jarlsgatan. Nadal w milczeniu.

Udało mu się trzymać głębę na kłódkę nawet wtedy, kiedy Blom wykonała gwałtowny skręt w górę Erikbergsgatan. Chwilę później skinął głową przez okno i powiedział:

– Klinika Eriksberg.

Posłała mu szybkie spojrzenie i wzięła następny zakręt jeszcze gwałtowniej.

– Botoks – ciągnął Berger. – Nie musiałaś nic mówić. Dlaczego to zrobiłaś?

– Myślałam, że jesteś mądrzejszy – odparła Molly Blom.

– Z tą migreną to była prawda?

– Myślisz, że chcę mieć taką buźkę, gładką jak u niemowlaka? Tyle że to faktycznie pomaga.

Berger zmarszczył czoło, ale nic więcej nie powiedział. Nawet kiedy wjechali na mały kikut Stenbocksgatan i zaparkowali równolegle przed numerem czwartym, nie pisnął ani słowa. Ona wyskoczyła, a on, z konieczności, siedział dalej na swoim miejscu. Molly Blom obeszała samochód, otworzyła drzwi po stronie pasażera i patrzyła, jak siedzi przypięty do fotela. Wzięła do ręki nóż i spytała:

– Czy będę tego żałować do końca swoich dni?

– Z całą pewnością. Jeśli zamierzasz mnie zadźgać.

Westchnęła i rozcięła obie opaski. Jednak kiedy Berger wyszedł na chodnik przy Stenbocksgatan, ręce nadal miał związane za plecami.

Poprowadziła go przed sobą po schodach i zaczęła otwierać zamki.

– Żeby sobie z tym poradzić, naprawdę trzeba być dobrym – stwierdziła.

– Dzięki – odparł. – Długi trening.

Weszli do środka. Nacisnęła włącznik i po mieszkaniu rozlało się łagodne, uspokajające światło. Poszli do salonu. Elegancka biała sofa była cała w plamach. Rdzawych i brzydkich. Poczuł się jak kawał drania. Którym zresztą był. Poprowadziła go na tył, w stronę wykusza, i przysiadła na biurku, tak że miała widok na sofę.

– Tu byłeś – powiedziała i podniosła jeden z różnokolorowych bloczków karteczek samoprzylepnych. – Widziałeś je. Może już usłyszałeś, że przy drzwiach są Kent i Roy. Co się stało?

Berger westchnął i się zastanowił. Nad sofą wisiało gigantyczne zdjęcie wspinaczy.

– Myślałem o tym, jak grube jest to dzieło – wyjaśnił i skinął głową. – Jak musieli się nadźwigać tragarze, kiedy je wnosili. Potem zobaczyłem karteczkę na podłodze i pomyślałem o twoich sześciu bloczkach karteczek w różnych kolorach. Podniosłem ją, przeczytałem, wyjąłem woreczek na dowody, ten najmniejszy, i wsadziłem go sobie w tyłek.

– Stylowo. Wiesz, ile kosztowała ta sofa?

Poszedł za nią w stronę fotografii i odparł:

– Pewnie dlatego chciałem ją zabrudzić.

– Hm – mruknęła.

Byli przy sofie. Wskazał podłogę.

– Tam leżała karteczka – powiedział.

Wyjęła z kieszeni zwiniętą, wciąż jeszcze trochę wilgotną różową karteczkę, rozwinęła ją i oznajmiła:

– W takim razie najlepiej będzie, jeśli ją odwiesimy na miejsce.

Wsunęła rękę za pokazną fotografię. Rozległo się delikatne kliknięcie

i fotografia otworzyła się pośrodku – niewidoczna do tej pory szczelina biegła pionowo wzdłuż pokrytej śniegiem góry. Blom odeszła kawałek i się pochyliła. Odsunęła prawą połowę w prawo, a lewą w lewo. Fotografia zrobiła się dwukrotnie szersza, miała około czterech metrów, a w jej centrum ukazały się bardzo szczegółowe policyjne materiały ze śledztwa. Zdjęcia, notatki, paragony, blankiety, wyciągi z rejestrów, kopie zaświadczeń, bilety lotnicze oraz – przede wszystkim – zatręśnienie samoprzylepnych karteczek we wszystkich możliwych kolorach.

Molly Blom przyczepiła magnesem brakującą karteczkę.

– Cały czas próbuję nie myśleć o tym, gdzie ona była – powiedziała.

Berger patrzył na gigantyczny schemat. Czuł, że jego oczy są wielkie jak spodki.

– Jasna cholera – zawołał. – Ty naprawdę jesteś szalona.

– Nadal uważasz, że ścigałeś tego asa dłużej niż ktokolwiek inny? – zapytała Blom, poprawiając różne karteczki.

Berger podszedł bliżej, przesunął się w lewo i znalazł swoje zdjęcie z początku dziewiątej klasy. Uderzyło go, jak niewinne miał spojrzenie. Wtedy jeszcze nie widział dziewczyny torturowanej przez szalonego kolegę w zatęchłym hangarze. I nie uciekł stamtąd z podkulonym ogonem. I świadomie nie wyparł całego tego wydarzenia.

Powiedział:

– Kto stawia sobie w sypialni własne zdjęcia? Kto dobiera tylko te przedstawiające sporty ekstremalne? Kto ma tak poważną migrenę, że może ją wyleczyć tylko botoks? Kto ma w lodówce tylko napoje proteinowe i owoce owinięte w folię? Tylko maniak. *Control freak*.

– Nie maniak – odparła spokojnie i wskazała jedno ze zdjęć blisko środka. Przedstawiało młodą Molly Blom, stojącą w mundurze na podium. – Nie maniak, tylko ktoś pewny swego. Jestem od ciebie o rok młodsza i zostałam

policjantką dwa lata przed tobą. Miałam już wtedy dyplom aktorki. Ty bujałeś się po Azji Południowo-Wschodniej i pobierałeś nauki na uniwersytecie. Co to było? Filozofia?

– Myślałem, że to mi da odpowiedź na wszystkie zagadki życia – odparł Berger, przyglądając się fotografii piętnastoletniego Williama Larssona. Jego twarz naprawdę była mocno zdeformowana.

– Po dziewiątej klasie zniknął bez śladu – powiedziała Blom i skinęła głową.

– Co mamy zrobić? – zapytał Berger.

– Tu są luki – wyjaśniła Blom, wskazując tablicę – i ty pomożesz mi je wypełnić.

– A mimo to straciliśmy cholerną masę czasu na tę maskaradę. Czasu, którego Ellen Saviger nie ma.

Wtedy nastąpiło uderzenie. Całe napięcie, które wyczuwał w jej twarzy, odkąd zabrała go z celi, skumulowało się w czysty gniew. Przycisnęła go do ściany.

– Teraz posłuchaj mnie uważnie, ty gnoju! – wrzasnęła. – Przed chwilą oboje przyznaliśmy, że prowadziliśmy nielegalne równoległe śledztwa. Oboje przyznaliśmy, że już wiemy, kto jest mordercą. I że w przeszłości nasze losy były splecione. Oboje jesteśmy załatwieni na cacy. Rozumiesz? Możesz to pomieścić w tym swoim przeciętnym gliniarskim mózgu?

Berger poczuł, że beczynnienie się na nią gapi.

– Twoje urządzenie zapętłające miało to ukryć – powiedział w końcu.

– Miało jakąś usterkę, sama nie wiem. Część naszej tajnej rozmowy się przedostała, a teraz pracują w pocie czoła nad odzyskaniem reszty. Rozumiesz, co to oznacza?

– Niech to szlag.

Przez chwilę milczeli, obserwując się nawzajem. W końcu Berger

powiedział:

– W mojej sytuacji to nie zmienia zbyt wiele. I tak nie może być o wiele gorzej. Już jestem podejrzany o bycie seryjnym mordercą. W twoim przypadku wszystko wygląda inaczej.

Blom posadziła go na poplamionej sofie i zaczęła chodzić po mieszkaniu. Berger widział, jak w jej głowie rodzi się plan. Jak rozważa za i przeciw. Jak formuje się w niej decyzja, która zmieni resztę jej życia.

– Już z własnej inicjatywy uwolniłaś mnie z aresztu – powiedział. – Zabrałaś mnie tutaj i pokazałaś swoje tajne śledztwo. Już podjęłaś decyzję. Złamałaś więcej przepisów niż ja.

Wypuściła powietrze. Wlepiała w niego wzrok. Obwiniła go o wszystko co złe w jej kontrolowanym życiu. A on czuł, że słusznie. Czuł też, jak przygniata go coś ciężkiego. Czuł się tak, jakby wszystkie rysy jego twarzy opadły.

Dostrzegła to. Cofnęła się.

Skulił się, opadł na kolana z rękoma związanymi za plecami. Opuścił twarz w kierunku kolan. Wcisnął ją w kolana.

Usłyszała, jak jęczy. Pochyliła się.

– O, Boże – wysapał. – Jak myślisz, ile ich jest?

– My mamy pięć – odparła. – Myślę, że w sumie jest osiem.

– Siedem piętnastoletnich dziewczyn – powiedział. – Żadna z nich nie musiałaby cierpieć, gdybym nie był takim tchórzem. Gdybym ruszył ci z pomocą, William Larsson zostałby ujęty. Nie wróciłby teraz i nie zostałby seryjnym mordercą. Tak, to ten pieprzony tchórz Sam Berger go stworzył.

– Chyba od zawsze zdawałeś sobie z tego sprawę?

Jęczał jeszcze chwilę. Molly Blom wielkim nakładem sił się przełamała i wyciągnęła do niego dłoń – wylądowała na jego ramieniu. Przez chwilę siedzieli nieruchomo. W końcu powiedziała:

– Myślę tak samo. Ja też byłam tchórzliwa. Uwolniłam się, ale nic nikomu nie powiedziałam. Kompletnie nikomu. Żyłam z tym sama przez te wszystkie lata.

Berger pociągnął nosem.

– To z kolei była moja wina – odparł.

– Tak – potwierdziła Blom. – Ale ja też mogłam go powstrzymać.

– Jasna cholera. A teraz trzeba się śpieszyć?

– Nie wiem, jak daleko zaszli z plikami z pokoju przesłuchań. Mój szef, August Steen, ostentacyjnie mi nie ufa, a Kent i Roy może już wchodzi po schodach.

– Znowu – oznajmił i wstał. – Nie, do diabła.

Molly Blom też wstała, wyprężyła się i odparła:

– Przynajmniej jedno jest jasne. Ta tablica nie może tu zostać.

– Ale ona waży tonę.

– Tak właśnie miała wyglądać.

Berger przypatrywał się Blom. Odwzajemniła jego spojrzenie. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

– Okej – powiedział w końcu Berger. – William Larsson rozsiewa tropy, żebym to ja poszedł siedzieć za jego okropieństwa. Ale czy wie, że depczesz mu po piętach?

– Nic na to nie wskazuje. Nie.

– Tak.

– Tak?

– Ile masz wzrostu?

Zawahała się i utkwiała w nim wzrok.

– Metr sześćdziesiąt dziewięć – powiedziała w końcu.

– Tak – powtórzył. – Pułapka.

– Co?

– Noże w domu w Märsta. Nie były dopasowane do antyterrorysty przeciętnego wzrostu ani nawet do niskiego, takiego jak Ekman. Ustawiono je z myślą o szacowanym przeciętnym wzroście kobiety. Albo konkretnie o twoim, Molly. Jeśli mi wolno wymawiać twoje imię...

Gdyby to było możliwe, naprawdę zmarszczyłaby czoło. Zastanowiła się.

– Okej – odparła i wyjęła ostrze. Znowu było widać jej wewnętrzną walkę. W końcu westchnęła i rozcięła opaskę za jego plecami.

Ich spojrzenia się spotkały. Berger wykonał gest w kierunku tablicy.

– Czyli to nie waży tony?

– Nie – odparła. – Kiedy się tu wprowadziłam, wniosłam to z pomocą jednej osoby.

Skinął głową i zaczął odsuwać poplamioną kanapę. Potem wskazał różową karteczkę z napisem *WL op. plast ArSaud*.

– Tylko nie mów, że zostawiłaś ją specjalnie – rzekł.

Molly Blom przeszła na drugą stronę tablicy i odparła:

– Nigdy się tego nie dowiesz.

Powoli zamknęła swoją połowę tablicy. Berger zrobił to samo. To, co wisiało na ścianie, było niczym innym, jak ogromną fotografią grupki ludzi wspinających się na zaśnieżoną górę. Razem powoli zdjęli fotografię ze ściany. Naprawdę nie była szczególnie ciężka. Raczej przypominała styropian, może balsę. Wynieśli ją do przedpokoju. Blom otworzyła drzwi i zobaczyli jesienną noc. Pokrzykiwanie na klatce schodowej w środku nocy nie byłoby dobrym pomysłem. Berger zachował więc dla siebie wszystko, co chciał powiedzieć. Blom zamknęła drzwi na klucz, znieśli tablicę po schodach, otworzyli wszystkie konieczne zamki, załadowali tablicę do samochodu, zanim zdążyła za bardzo zmoknąć, i wskoczyli do środka.

Przez chwilę siedzieli nieruchomo. Słabe światło latarni spływało po szybie, rozchodziło się w różnych kierunkach, znikało, odradzało się

ponownie.

Berger wziął głęboki oddech i popatrzył na Blom. W końcu jej wzrok uwolnił się od gry światła na szybie i spojrzała mu w oczy.

– Nie tylko próbowaliśmy złamać się nawzajem, każde w swojej sali przesłuchań – powiedział w końcu. – Nasza przeszłość sprawia, że jesteśmy dla siebie wyjątkowo nieodpowiedni. Naprawdę z całą powagą twierdzisz, że powinniśmy współpracować?

Wydawało się, że po raz pierwszy spojrzała mu w oczy bez odgrywania żadnej roli. W końcu uciekła wzrokiem i wykonała zniecierpliwiony gest.

– To jedyna szansa – powiedziała do przedniej szyby.

– Naprawdę nie sądzisz, że moglibyśmy to wyjaśnić i się cofnąć? Zrobić z tego prawdziwe policyjne śledztwo?

Molly Blom odczekała chwilę i odparła:

– Oboje dopuściliśmy się nadużycia zaufania. Poproszą nas o natychmiastowe złożenie legitymacji i broni służbowej. Zostaniemy wykopani, a nasze dochodzenie przejmie ekipa niezbyt zaangażowanych przeciętniaków. To nie pomoże Ellen Saviger.

– Masz na myśli Allana?

– Mam na myśli Allana i mam na myśli Augusta. Ich obu. August ma to w dupie, dla niego Säpo to bezpieczeństwo państwa i nic innego. Chodzi mu tylko o to, żeby mnie wsadzić. Poglądy Allana na tę sprawę znasz lepiej ode mnie. Dał się złapać na stary dobry socjaldemokratyczny koncept, wedle którego Szwecja nie ma żadnych seryjnych morderców ani nawet żadnych morderców z głową na karku. Jego chęć wiary w szwedzką niewinność uczyni z Williama nieporadnego, niedorozwiniętego kidnapera, który robi coś takiego po raz pierwszy. Ty może nie zostaniesz zwolniony jak ja, ale raczej nie powierzą ci żadnych zadań dla zaufanych ludzi. Może powierzą ci stanowisko archiwisty? Młodszego policyjnego archiwisty?



– Czyli proponujesz, żebyśmy... zostali wolnymi strzelcami?

– Nie brzmi to jak melodia przyszłości? – zapytała Molly Blom.

Nawet jeśli nie po raz pierwszy zobaczył ją uśmiechniętą i nawet jeśli jej uśmiech był posępny, to jednak uśmiechała się do niego. Odpowiedział uśmiechem, pewnie równie posępnym.

– Okej – odezwał się w końcu. – Zakładam, że zorganizowałaś nam jakąś sprytną säpowską kryjówkę. Jakieś stylowe gniazdko CIA, coś *off the grid*?

– Niestety, one są bardzo skrupulatnie kontrolowane.

– Uciekamy, nie mając pojęcia dokąd? Twierdziłaś, że to ja udaję mądrzejszego, niż jestem?

– Wystarczająco trudno było dotrzeć do punktu, w którym teraz jesteśmy – odparła nabzdyczona. – Zatrzymamy się w jakimś motelu.

Ich spojrzenia się spotkały, mierzyli się wzrokiem. Oboje niewątpliwie myśleli o tym samym, ale nie chcieli powiedzieć tego na głos.

Berger przez chwilę pocierał czoło, aż w końcu doszedł do wniosku, że wypadło na niego.

– Jasne, że możemy się zatrzymać w motelu – powiedział. – Pewnie, że możemy tak zrobić. – Blom tylko na niego patrzyła, jęknął więc i mówił dalej: – Albo od razu pojedziemy tam, gdzie jest William...

Spojrzenie Molly Blom nie zmieniło charakteru. Było identyczne. Nie zamierzała mu tego ułatwiać.

– Hangar na łodzie – wykrztusił.

Nie przestawała się w niego wpatrywać. Mówił dalej:

– Przecież po Märsta sytuacja uległa zmianie. On już wie, że go ścigamy. Czy cała nasza tajemna wiedza na temat tej sprawy nie podpowiada nam, że on siedzi wraz z Ellen w tym hangarze?

Molly Blom w końcu odwróciła od niego wzrok. Patrzyła w dal, daleko za Stenbocksgatan. W końcu się odezwała:

– Nigdy tam nie wrócę – oznajmiła.

Berger odczekał chwilę, a potem kontynuował:

– Oboje dobrą chwilę podejrzewaliśmy Williama Larssona. Oboje znamy miejsce bezpośrednio powiązane z naszymi podejrzeniami. Nie mów, że tam nie poszłaś.

Milczała, patrzyła w dal.

– Ja w każdym razie poszedłem – ciągnął Berger. – Było cicho, pusto i martwo, od wielu, wielu lat.

Powoli i niechętnie skinęła głową.

– Ja też tam poszłam. Było pusto.

– Wiesz coś o tym?

– Hangar wciąż stoi nad zatoką Ed. Jest ogrodzony, nietknięty, bo wciąż trwa sądowy spór między dwiema firmami, które roszczą sobie do niego prawa.

Berger popatrzył na nią i odparł:

– Czy w powrocie Williama do miejsca, w którym wszystko się zaczęło, nie kryłaby się obłąkańcza, perwersyjna logika? Poza tym, czy nie zaprosił tam nas obojga? Może czeka tam na nas z Ellen, rozpiętą w mechanizmie, w którym niegdyś trzymał ciebie?

Po raz kolejny przeszło ją tyle emocji, że było to widać wszędzie, tylko nie na czole, ukrytym za lewą dłonią.

– To postanowione – ciągnął Berger. – Jedziemy do hangaru zgarnąć Williama Larssona.

Patrzyła na niego odrobinę za długo, ale w końcu uruchomiła silnik. Wycieraczki zaczęły pracować. Ruszyła dalej Stenbockgatan, wyjechała na Engelbrektsgatan, a potem jechali wzdłuż Humlegården – panowała tam czerń. Byli już prawie na skrzyżowaniu z Birger Jarlsgatan, kiedy wjechała do połowy na chodnik i zahamowała. Poza pojedynczymi, z rzadka

przejeżdżającymi taksówkami, na ulicach wokół Stureplan nie było żadnego ruchu. Berger zrozumiał, wskazał skrzyżowanie.

– Prawdziwy Herkules na rozstaju dróg – oznajmił.

Blom odpowiedziała ponurym grymasem.

Berger rozwinął myśl:

– W lewo: na Kungsholmen i na komisariat, żeby wbrew wszystkiemu spróbować uniknąć wyrzucenia z pracy, przedstawiając prawdę szefom, którzy niechętnie ją przyjmują. W prawo: w stronę Sollentuny, hangaru na łodzie, Williama Larssona i Ellen Saviger. W stronę przerażającej wolności.

Patrzyła przez szybę. Wycieraczki szorowały po niej dziko. Z jednej strony była zupełnie czysta, z drugiej kompletnie nieprzenikniona. Molly Blom też widziała rozstaj dróg.

Niezwykłe wyraźny życiowy wybór.

– W lewo czy w prawo? – zapytał Berger. – Ostatnia szansa. Bezpieczny grunt czy... pustkowia?

Wrzuciła jedynkę i zjechała z chodnika.

Skreśliła w prawo i z piskiem opon ruszyła ulicą Birger Jarlsgatan na północ.

Na pustkowia.



POZBIERAŁ PODRĘCZNIKI i wrzucił je do plecaka, wznecając przy tym kurz z dywanów. Widział tylko szyje rodziców wiszące w kuchni, przed telewizorem, który wrzeszczał, że jakiś Bill Clinton wygrał wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych. Krzyknął szybkie „cześć”, przez sekundę widział ich uniesione ręce, a zaraz potem z trzaskiem zamknął drzwi i zobaczył, że rower jest pokryty warstwą pierwszego śniegu. Miał tylko osiem minut. Westchnął, otrząsnął rower, na ile się dało, i ześlizgnął się po ogrodowej ścieżce. Czuł, jak pod jego pośladkami topnieje śnieg. Kurde, pomyślał, to na pewno nie będzie dobrze wyglądało w budzie. Po drodze było naprawdę ślisko, na chodnikach stały pozostawione przez kierowców samochody. Kiedy przejeżdżał pod wiaduktem, usłyszał nad sobą stukot kół pociągu. Niedobrze, był naprawdę spóźniony. Wyjechał na Sollentunavägen i pruł po chodniku, skręcił w stronę szkoły, zatrzymał się przy stojaku i przypiął rower. Popędził przez opustoszały korytarz, a kiedy wbiegał po schodach, pokonując trzy stopnie naraz, słyszał bicie zegara. Drzwi do sali chemicznej właśnie się zamykały. Wsunął przemarznięte palce w szczelinę i w tej samej chwili kilka metrów dalej zobaczył odwróconą postać, kogoś, kto patrzył przez okno na sąsiedni budynek. Zanim przemknął do środka, zdążył zobaczyć tylko burzę długich jasnych włosów. Usiadł w jednej z ławek, obok Pii. Posłała mu uśmiech, który sprawił, że dzień dobrze się rozpoczął. Młody nauczyciel chemii, a jednocześnie wychowawca klasy, odchrząknął

*i powiedział: „Dziś do klasy przyjdzie nowy uczeń. To bardzo ważne, żebyście byli dla niego mili”. Anton krzyknął z ostatniej ławki: „Kurde, przecież zawsze jesteśmy mili, no co pan?” i posłał nauczycielowi typowy szeroki Antonowy uśmiech. Nauczyciel zmarszczył czoło i odparł: „Teraz to wyjątkowo ważne, żebyście byli mili. On ma... pewną ułomność”. Nie skończywszy zdania, wyszedł z sali, zostawił otwarte drzwi, a przez klasę przeszedł szmer. O czym on mówi? Jaką ułomność? Co to ma znaczyć? Po chwili nauczyciel wrócił. Towarzyszył mu chłopak o długich jasnych włosach. „To jest William” – rzekł głośno nauczyciel. I wszyscy nagle umilkli. W klasie zrobiło się tak cicho, że tykanie zegara brzmiało jak uderzenia kościelnego dzwonu. „Cześć” – powiedział William.*

*\*\*\**

*Molly miała przerwę. Nie przepadała za nimi. Podczas przerw dziewczyny, jeśli nie liczyć tych-które-były-pozą, dzieliły się na dwie grupy. Ona najchętniej spędzała czas z tymi, które szły do palarni, ale gdyby po powrocie do domu choć odrobinę śmierdziała dymem, mama by ją skrzyczała, a tego by nie zniosła. Nie po raz kolejny. Nie chciała też należeć do tych-które-były-pozą, kujonek, szkolnych ofiar i nielicznych odważnych, które miały w dupie całą tę społeczną grę – nie była na to wystarczająco silna. Ruszyła więc w stronę tej grupy co zwykle – skupionej wokół ławki tuż za drzwiami szkoły. Mimo że po raz pierwszy w tym roku spadł śnieg, cała ekipa była na dworze, bez okryć wierzchnich, jakby ich ciała były mądrzejsze od nich samych, jakby instynktownie wyczuły, że potrzebują tlenu, żeby przetrwać dzień. I może się ochłodzić. Dziewczyny głośno gadały, wygłupiały się, w sumie było bez sensu. Ale bogaty stary Lindy kupił jej nową komórkę i po chwili wszystkie nad nią wisiły. „To nokia 1011, z GSM-em” – oznajmiła Linda z dumą, która miała nie tylko imponować. Żadna z nich nie rozumiała tych słów, ale każda chciała potrzymać wspaniałą ciemnoszarą*

bryłę. Przechodziła z rąk do rąk, od Almy do Layli, do Evy do Salmy, aż w końcu trafiła do niej. Pomyślała, że musi wymyślić coś fajnego, a nie po prostu stać jak kołek. Uniosła telefon do ucha i powiedziała: „Halo, mówi Linda Bergting, chciałabym zamówić jakiegoś przystojniaka”. Zaczęły się śmiać, Maria krzyknęła: „Molly, ja pierdzielę!”. Linda wyrwała jej telefon z ręki i wrzasnęła: „Teraz cały pieprzony dzień będzie cuchnął twoim napalonym oddechem”. Wszystkie głośno się roześmiały, ale nagle spostrzegła, że Alma przestaje się śmiać i wytrzeszcza oczy. „Wow” – powiedziała tak cicho, że był to tylko ruch ust. Cała grupa ucichła i wszystkie dziewczyny, jedna po drugiej, odwracały się do drzwi. Chłopak o długich jasnych włosach zatrzymał się na chwilę i odwrócił do nich głowę. Była kanciasta i kostropata. Brodę miał wykrzywioną, z jednej strony czoła wybrzuszało się coś, co wyglądało jak róg, prawa kość policzkowa wystawała ku górze, a lewa ku dołowi. Odwrócił się i poszedł. „O shit” – powiedziała Linda, a telefon wypadł jej z ręki.

\*\*\*

Kiedy pioruńsko wczesnym rankiem uczniowie zebrali się w auli, od tych najbardziej cool wciąż było czuć alkohol. To była długa noc Świętej Łucji. Ale nie dla Sama. Był zaproszony, ale nie dał rady przyjść. Z niewieloma rzeczami dawał sobie ostatnio radę, większość miał w dupie. Skończył z piłką nożną, z gitarą, nawet z elektroniką. Wszystko go nudziło, łącznie z zakuwaniem. Nie miał nawet siły do dziewczyn – zdał sobie z tego sprawę, kiedy siedział koło Pii. Zresztą zbliżały się święta i perspektywa spędzenia ich z babcią, dziadkiem, mamą, tatą, bratem oraz całą tą sztuczną bliskość nie wydawały się zbyt kuszące. Dziewiątoklasiści siedzieli w pierwszym rzędzie i czekali na pochód. Kolejny pieprzony pochód Świętej Łucji, ze świecami, śpiewaniem pieśni i całym tym gównem. On chciał tylko spać. Kurtyna za sceną zaczęła się poruszać, pewnie dyrektor wychodził, żeby wygłosić kolejne

bezsensowne przemówienie. Jednak na scenie pojawił się Anton, jego kolega z klasy. Chwycił mikrofon, a w tym samym czasie kilka rzędów dalej nauczyciel chemii wstał z krzesła. Anton uśmiechnął się tym swoim typowym, szerokim, Antonowym uśmiechem i w auli rozbrzmiał jego głos: „Czekacie na pochód, cholerne wieśniaki, ale idzie tu prawdziwa Łucja”. Dwaj koledzy Antona – Micke i Freddan – wypchnęli Łucję przez kurtynę. Miała na sobie powiewającą białą szatę, a w koronie nad długimi jasnymi włosami zaczesanymi na twarz paliła się świeca. Nauczyciel chemii przepychał się coraz brutalniej w stronę sceny, a Anton z głośnym śmiechem odgarnął włosy z twarzy Łucji. Jej usta były zaklejone srebrną taśmą, a twarz była kanciasta i kostropata. Dało się zauważyć, że ręce Łucji są skrępowane z tyłu srebrną taśmą. Anton znów się uśmiechnął i powiedział do mikrofonu: „Śpiewaj, do cholery, nie wstydź się”. Kiedy nauczyciel chemii wgramolił się na scenę, Freddan zerwał Łucji taśmę z twarzy, a Anton podsunął mikrofon. W auli rozbrzmiały tylko długie pociągnięcia nosem. Nauczyciel chemii był już na miejscu. Odepchnął Antona, Mickego i Freddana i próbował zdjąć płonącą koronę, ale przykleiła się do jasnych włosów. Zdmuchnął płomień i próbował ją odczepić, lecz tylko bezskutecznie szarpał włosy, po których spływała stearyna. William głośno krzyczał, prosto do mikrofonu. Anton, Micke i Freddan ze śmiechem wybiegli bocznym wyjściem, a potem na korytarz. Sam poczuł, że robi mu się cholernie niedobrze.

\*\*\*

Sam usiadł na ławce na szkolnym dziedzińcu, włączył małe radio, które dostał pod choinkę i próbował nastawić nową stację. Wprawdzie życzył sobie discmana Sony i marzył o tym, jak będzie nosił ze sobą płyty kompaktowe i ich słuchał, ale rodzice dali mu radio. Udawał bardziej naburmuszonego, niż był, bo tak naprawdę uwielbiał słuchać radia. Obracał pokrętłem i wciąż mu się nie udawało. Nawet nie zauważył, że ktoś usiadł obok niego na ławce.



Odwrócił się dopiero, kiedy usłyszał chrząknięcie. Choć minął już miesiąc, wciąż nie przestawał się dziwić. I wiedział, że nigdy nie przestanie. Poza tym chyba nigdy nie widział kanciastej twarzy Williama z tak bliska. „Radio?” – zapytał William. „P4 zaczyna dziś nadawanie – wykrztusił Sam. – Ale nie bardzo wiem, na jakiej częstotliwości”. William pokiwał głową i spytał: „Lubisz technikę, co?”. Następnie coś mu podał. To było koło o prawie centymetrowej średnicy, a w środku według dziwnych schematów poruszały się liczne kółka zębate. Sam odruchowo odłożył radio na zaśnieżoną ławkę i przyjrzał się im z bliska. To było magiczne – widzieć, jak kółka się obracają w różnym tempie. „Co to jest?” – zapytał. „Zegarek kieszonkowy z początku dwudziestego wieku – odparł William. – Zdjąłem tylną pokrywę. Chcesz go potrzymać?”. Sam skinął głową. William ostrożnie położył zegarek w jego zeszywniałych z zimna dłoniach. „Amerykański – oznajmił. – Marki Elgin. Wszystkie inne najlepsze firmy produkujące zegarki są ze Szwajcarii”. Sam tylko się gapił. William dodał: „Mam ich dużo”. Sam zapytał: „Jakim cudem cię na to stać?”. William odparł: „Kupuję zepsute i je naprawiam. Trzeba tylko skumać, jak to działa”. „Super – odparł Sam. – A dlaczego akurat ja?”. William odpowiedział: „Słyszałem, że się interesujesz techniką, elektroniką”. „Skończyłem z tym” – odparł hardo. „Ale to tu było jeszcze przed elektroniką – oznajmił William. – Ten trzeba nakręcać co rano, o tutaj, ale są też samonakręcające się zegarki”. Sam podniósł wzrok znad hipnotycznie kręcących się kółek i po raz pierwszy spojrzął w oczy Williama, osadzone w kanciastej twarzy. „Okej – powiedział William i się cofnął. – Nie tylko dlatego ci to pokazałem”. „Okej. A dlaczego?”. „Bo nigdy mi nie dokuczałeś”. Sam przez chwilę siedział nieruchomo. A potem coś się stało. Nie wiedział, co to było. Coś wytrąciło mu z ręki zegarek, który odleciał kawałek, a w ręku zamiast niego znalazł się śnieg. Usłyszał chichot i zobaczył, jak kilka kółek toczy się po śniegu i w końcu w nim znika. Podniósł

wzrok i spostrzegł rozpraszającą się grupkę dziewczyn. Rozpoznał dziewczynę stojącą najbardziej z przodu, która prawdopodobnie rzuciła śnieżką. Była jedną z największych twardzielek w ósmej klasie, wydawało mu się, że ma na imię Linda. Zanim odbiegła, zawołała: „Może jeszcze obciągniesz temu potworowi?”. Pokręcił głową i zobaczył, jak William opada na kolana i szuka w śniegu zaginionych kółek. Spotkali się wzrokiem. W całym życiu nie widział tak mrocznego spojrzenia. Potem wspólnie przeszukiwali zasy.

\*\*\*

Molly siedziała samotnie na ławce przy drzwiach i próbowała szybko czytać podręcznik do geografii. Zapomniała o zapowiedzianym sprawdzianie. Próbowała ułożyć sobie w głowie zachodnie wybrzeże Afryki poniżej tajemniczej Sahary Zachodniej. Jak to było? Mauretania, Senegal, Gambia – Gambia jak gdyby wciśnięta w Senegal – a potem Gwinea Bissau, Gwinea, Sierra Leone i Liberia? Następnie Wybrzeże Kości Słoniowej, Ghana... nagle w książkę uderzyła śniegowa kulka i rozmasowała całą stronę. Molly podniosła wzrok i zobaczyła Lindę, pośpiesznie lepiącą kolejną śnieżkę. Włożyła książkę do torby i najszybciej jak potrafiła utoczyła kulkę. Rzuciła. Śnieżka minęła Lindę i trafiła stojącą za nią Marię. Maria krzyknęła i popędziła naprzód, żeby natrzeć Molly śniegiem, ale ona zdążyła już przykucnąć za ławką razem z Laylą. Alma zaatakowała Marię od tyłu, a Linda rzucała w Salmę dość marnymi śnieżkami. Potem po prostu zaczęły się śmiać. Nagle Eva zeszywniała i wskazała kierunek: „Patrzcie, czy to nie Samuel z dziewiątej? Sam Przystojniak?”. Zaczęły mówić jedna przez drugą, nakręcać się nawzajem. „Kurde, naprawdę siedzi koło niego ten potwór?”. „Co oni robią?”. „Czy on nie rozumie, że brzydota jest zaraźliwa?”. „To obrzydliwe – siedzieć tak blisko niego”. „Robić coś tuż przy jego twarzy”. „Ohydne jak cholera”. Kiedy się tam podkradły, było ich siedem. Molly poszła z nimi, lecz

trzymała się z tyłu, nie podobało jej się to wszystko. Ale Sam i William niczego nie zauważyli, gapili się na coś, co wyglądało jak pudełeczko ze snusem. Czyżby po prostu chcieli go spróbować po raz pierwszy? W końcu cała grupa była wystarczająco blisko, żeby ich trafić śnieżką. Wszyscy patrzyli na Lindę, w końcu to ona była kimś w rodzaju przywódczyni. Wolno i pieczołowicie ulepiła śniegową kulkę. Molly słyszała za sobą zduszony śmiech, sama też nie była niewiniątkiem. Kiedy śnieżka Lindy trafiła do celu i z pudełeczka wypadło coś, co wcale nie było snusem, a William i Sam rzucili się tego szukać, Molly zobaczyła nagle przed sobą pochód Świętej Łucji, przypomniała sobie, jak nauczyciel chemii po sprowadzeniu ze sceny Williama z pomocą pielęgniarki próbował ściągnąć mu koronę, aż w końcu musiał obciąć jego długie jasne włosy – powód do dumy. Całe kosmyki, spadające z jego zdeformowanej głowy. Wprawdzie najszybciej ze wszystkich dziewczyn uciekała z miejsca zdarzenia, ale w odróżnieniu od nich nie chciało jej się śmiać.

\*\*\*

Zima przeszła w wiosnę. Sam unikał Williama w szkole, ale kiedy nie było świadków, zdarzało się, że szedł do niego do domu. Włosy Williama zaczęły znów odrastać. Zamykali się w jego pokoju w mieszkaniu w centrum Helenelund. Mieszkał tam z mamą, która miała słodki zapach i nigdy nie wyglądała na zestresowaną. Sam zauważył znak na drzwiach pokoju Williama – cztery wgłębienia, niczym po kostkach dłoni – nigdy jednak o niego nie zapytał. William wyciągnął za to swoje zegarki. Przechowywał je zawsze po trzy, a spytany o to, odpowiedział: „The Ramans do everything in threes” i wyjaśnił, że to z powieści science fiction Arthura C. Clarke’a Rendezvous with Rama, a potem zaczął pokazywać swoje zbiory – było tam wszystko: od dużych zegarów ściennych po zegarek, który chyba był jego ulubionym, ring clock. Nie miał nic wspólnego z kręgami czy dzwonkami, był

to po prostu mikroskopijny zegarek umieszczony w pierścionku, pasującym na palec kobiety. William pokazywał też rysunki i zdjęcia czegoś zupełnie innego: gigantycznych zegarów wieżowych z dużymi łańcuchami i ciężkimi kołami zębatymi, sprężynami, osiami, czopami, trzpieniami, kołami balansu, zapadkami i ciężarkami. Kiedy William pokazywał zdjęcia ze środka zegara we włoskiej Cremonie – „największego średniowiecznego zegara na świecie” – jego oczy błyszczały. Oczy Sama pewnie też. Nagle William powiedział: „Śniegu już nie ma”. Sam zrobił chyba jakiś gest sugerujący brak zrozumienia, bo William dodał: „Chcesz się ze mną przejechać i zobaczyć jedną taką rzecz, którą zrobiłem?”. Sam nie był pewien, czy chce, żeby go widziano z Williamem, więc odpowiedział tylko niechętną miną. „Możesz jechać w pewnej odległości za mną” – powiedział William, jakby świetnie zrozumiał, o co mu chodziło. Odjechali – William pierwszy, na swoim gównianym rowerze z komicznie wysoką kierownicą, Sam dwieście metrów dalej na wyglansowanym crescencie, coraz bardziej zniechęconym. W końcu dojechali na miejsce. Rzucili rowery koło przystanku autobusowego, który najwyraźniej nikogo nie obchodził, pobiegli na podmokły teren porośnięty wysoką trawą i, chlupocząc, pędzili wzdłuż topól, dopóki ich oczom nie ukazał się mały budynek nad wodą. Był to hangar na łodzie, stojący wśród drzew, przy brzegu – zielonobrunatny, brzydki, absolutnie fantastyczny. William podszedł do niego i powiedział: „Jest opuszczony”. Sam odparł: „Jesteś tego pewien?”. William pokiwał głową i zszedł do drzwi nad samą wodą. Wszedł po dwóch stopniach, wyjął klucz, otworzył nim kłódkę i znaleźli się w środku. Hangar był zagracony starymi elementami wyposażenia – wszędzie walały się zardzewiałe silniki łodzi, zeszywniałe kamizelki ratunkowe, boje i zardzewiałe kotwice, ale oprócz tego przedmioty, które bez wątplenia wyglądały na nowsze. Łańcuchy. Koła zębate. Sprężyny. Osie. Czopy. Trzpienie. Koła balansu. Zapadki. Ciężarki. Ciekący olej. Cały

mechanizm tkwił na dwóch masywnych słupach, które z kolei tkwiły w podłodze hangaru i ciągnęły się aż do sufitu. Na podporach. I pośród całego tego rozgardiaszu była tarcza zegara. Kiedy przyjrzał się dokładniej, zobaczył, że wskazówka minutowa porusza się zgodnie z ruchem Słońca. Było kilka minut przed trzecią. William powiedział: „Poczekaj”. Czekał więc. Obaj czekali, z pozoru długo, ale tak naprawdę tylko dwie minuty. Kiedy zegar wybił trzecią, duży ciężarek opadł i zrobił okrągłe wgłębienie w drewnianej podłodze.

\*\*\*

Molly myślała o egzaminie. Podniosła wzrok na ostre wiosenne słońce i pomyślała, że został jeszcze rok. Tylko rok i dzieciństwo dobiegnie końca, dokładnie tutaj, na dużym szkolnym dziedzińcu. W marcu skończyła piętnaście lat i jej życie szło właściwym torem. W drodze do dorosłości. Zdążyła już kompletnie stracić zainteresowanie chłopakami ze szkoły. Chwilę się nad tym zastanawiała – prawdę powiedziawszy, dobrą chwilę – i doszła do wniosku, że mimo wszystko jest zainteresowana płcią przeciwną. Jasne, że w szkole znalazłyby się interesujące chłopaki – taki jeden Micke, taki jeden Alex, taki jeden Sam, taki jeden Svante – ale ogólnie rzecz biorąc, była nastawiona na przyszłość. Kusiło ją co innego. Może nie do końca polityka, ale w każdym razie kwestie społeczne. Niedawno uświadomiła sobie pewną rzecz: ludzie są bardzo różni i nie ma to większego znaczenia. Różnorodność jest dobra – to właśnie zainteresowanie tym, co nie za dobrze jest znane, stanowi warunek rozwoju człowieka. Podobno gdzieś na świecie trwały zakrojone na szeroką skalę badania genetyczne rasy ludzkiej i wciąż nie było jasne, czy można w ogóle używać terminu „rasa ludzka”, czy też raczej należy mówić o różnych rasach, z czym od zawsze mieliśmy do czynienia w ideologii rasistowskiej. Może coś takiego rzeczywiście było w toku: badania naukowe, które mogłyby pokazać, że wszyscy – całe pięć miliardów

ludzi – należą do dokładnie tej samej rasy, rasy ludzkiej, na przekór drobnym różnicom kulturowym i różnym kolorom skóry. Niesamowicie interesujące było to, że pewne rasy ludzi wyginęły. Jak one się nazywały? Neandertalczyki i ludzie jawajscy? Kiedyś wywędrowali z Afryki i zakładali cywilizacje albo przynajmniej plemiona, a potem zniknęli. Zostali całkowicie wytępieni, nie został po nich żaden ślad. Oprócz kości. W każdym razie ważne było to, że reszta należała do jednej grupy, bez względu na różnice. Właśnie w takich rozmyślaniach była pogrążona, kiedy duży szkolny dziedziniec przestał być pusty i w zasięgu jej wzroku znalazła się postać, którą ledwo można było zaliczyć do wspólnej ludzkiej rasy, o której tak marzyła. Zmusiła się do uśmiechu, kiedy William usiadł obok niej na ławce i powiedział: „Cześć! Chcesz coś zobaczyć?”.

\*\*\*

Przedlecie na opustoszałym wysypanym żwirem boisku wydaje się dziwnie bezwzględne – spokojne powietrze nasycone jest kurzem, słońce jest ostre i szczypiące. Po drugiej stronie boiska, przy przeciwległej bramce, Sam widzi grupę ludzi. To dziewczyny, wiele dziewczyn. Słyszy ich piskliwe głosy, ale nie potrafi rozpoznać słów. Pustka nad pylącym żwirem zdaje się odfiltrowywać wszystko, co przypomina język. On stał się kimś innym, czas też uległ zmianie. Ma wrażenie, jakby w zaledwie kilka tygodni postarzał się o dwa lata. Teraz unika tego rodzaju zbiegowisk. Czuje, że został odludkiem. Jednak w nieartykułowanych krzykach dziewczyn jest coś, co go przyciąga. Wbrew wszelkim instyktom rusza w ich stronę i rozpoznaje kolejne dziewczyny po plecach. Mają letnie stroje – sukienki, spódnice – a nieubłagane słońce sprawia, że ich długie włosy mieniają się wszystkimi kolorami. Wokół nich wiruje pył, a kiedy się lekko rozstępują, Sam dostrzega, że nie są same. Za nimi wznosi się głowa kogoś wyższego. Należy do Antona, znika za kurtyną dziewczyn, powraca, jest w ciągłym ruchu. Zasłona

*rozszerza się jeszcze mocniej i ukazuje postać przyciśniętą do słupka bramki, przywiązaną. Długie jasne włosy opadają jej na twarz niczym kolejna zasłona. Spodnie są ściągnięte, postać od pasa w dół jest naga. Sam gwałtownie się odwraca i odchodzi, zanim William zdąży go zobaczyć. W głowie, raz za razem, kołacze mu się tylko jedna maniackalna myśl: „Już niedługo wakacje. Już niedługo koniec całego tego gówna”.*

## 21

**Środa, dwudziesty ósmy października, godz. 1:53**

MIMO OPADÓW liście osiki szumiały. Nawet jeśli niektóre kępy wklęły od ulewy, to trawa i tak miała niemal wysokość człowieka. Co jakiś czas rozświeślały ją wiązki światła omiatających teren latarek. Gdyby ktoś widział tę scenę z góry, przypominałaby mu zabawę dwóch świecących ryb z niezbadanych morskich głębin.

Czy ktoś rzeczywiście widział ich z góry, pozostawało niejasne.

Nad trawą pojawiła się uniesiona dłoń. Berger przykucnął i podkradł się w tamtym kierunku. Palec wskazujący Blom był wymierzony w jedną z osik. W końcu Berger dostrzegł dużą kamerę.

– Wygląda na zabytek – wyszeptał.

– Kto wie... – odparła szeptem Blom i poprawiła kamizelkę kuloodporną. Posłała mu ostre spojrzenie, jakby badała jego stan psychiczny. Z pozorną niechęcią coś mu podała.

Dopiero kiedy z powrotem wyrwała przedmiot z jego wyciągniętej dłoni, zorientował się, że to pistolet.

– Nadal nie mogę wykluczyć, że jesteś w zмовie z Williamem – wyszeptała i wzięła go na celownik. – Może mnie tu przyprowadziłeś tylko po to, żeby jeszcze raz mnie przypiąć do tego cholernego zegara.

– Naprawdę tak ci się wydaje? – zapytał Berger.

Blom zmarszczyła nos i podała mu pistolet. Wziął go, zważył w dłoni,



pokiwał głową. Twarz Molly była mokra, włosy przetłuszczone, ale spojrzenie wyjątkowo bystre. Uniosła swój pistolet, latarkę i ruszyła przed siebie. W końcu była tylko wiązką drgającego światła, przedzierającą się przez trawę. Podążył za nią.

Niekiedy tracił ją z oczu, ale zawsze znów się pojawiała, jak żywe srebro znikające we wciąż niepożółkłej, nienaznaczonej jesienią trawie.

Z ciemności wyłonił się osikowy zagajnik. Berger poczuł lekko stęchły zapach otwartej wody. Zza zagajnika prześwitywał zielonobrunatny budynek.

Hangar na łodzie.

Nie powinien prześwitywać, zdążył jeszcze pomyśleć, zanim wpadł na Blom. Przycupnęła w trawie i zgasła latarkę.

– Zgaś – poleciała.

Posłuchał.

– Światło – wyszeptała i wskazała zagajnik przed nimi.

Berger wpatrywał się w niewyraźną sylwetkę hangaru, ale nie udało mu się zorientować, co właściwie widzi.

– Skąd pada? – zapytał.

– Nie wiem – odparła Blom szeptem. – Ale nie powinniśmy go teraz widzieć. Powinno być kompletnie czarno.

– Ze środka?

Tylko pokręciła głową i wyostrzyła wzrok.

Był środek nocy, druga połowa października, ciemno choć oko wykol. A przecież bez wątpienia na stary zielonobrunatny hangar padało jakieś światło, czyniąc go widocznym przez mały osikowy zagajnik. Świecił jak gdyby własnym wewnętrznym światłem.

Znajdowali się mniej więcej pięćdziesiąt metrów dalej. To była ostatnia szansa na zanurkowanie w wysokiej trawie. Zaledwie metr przed nimi trawa przechodziła w bardziej jałową skałę, a dalej zaczynał się zagajnik. Berger

uważnie obserwował poczynania Blom i musiał przyznać, że miała znacznie większe doświadczenie w terenie niż on. Wiedział, że podejmuje decyzję.

– Gra toczy się teraz o dużą stawkę – wyszeptała.

Skinął głową i zlustrował wzrokiem słabo widoczny hangar na łodzie. Było w nim coś, co sygnalizowało obecność, życie, może śmierć. Może ich śmierć. Wzdrygnął się.

– Musimy się rozdzielić – oznajmiła Blom. – Ja pójdę pierwsza, a ty za mną.

– Nie zapomnij o pułapkach – powiedział Berger. – Wiesz, że jest dobry w tych mechanicznych sprawach.

– Nie myślę o niczym innym – odparła mrocznym tonem i zniknęła w jeszcze większym mroku.

On też ruszył przed siebie i czuł, jak ciemność go pochłania.

Skręcił, oddalił się od wody, wszedł do zagajnika, cały czas miał zapaloną latarkę. Okrążył hangar, zbliżył się do tylnej części budynku. Dostrzegł krótkie słupy, na których spoczywał hangar. Zobaczył kamień. Ten sam śliski kamień. Zobaczył okno nad nim. Zdawało mu się nawet, że widzi dwudziestotrzyletnią płamę na szybie, tak brudnej, że wcale nie było łatwiej zajrzeć do środka. Wiedział, że musi zignorować emocje i podejść do sprawy racjonalnie. Fasada nie była oświetlona, a jednak zdawało się, że lśni własnym delikatnym światłem. Światło nie pochodziło też z wnętrza, za uświnioną szybą niewątpliwie było ciemniej.

Jeśli William Larsson wrócił do punktu wyjścia, to czekał w kompletnych ciemnościach. Może widział ich już od dłuższego czasu.

Może właśnie teraz na nich patrzył.

Aż do tej chwili Berger był nieobecny. Przełomowe wydarzenia ostatniej doby odkleiły go od teraźniejszości. Nic już nie wydawało mu się prawdziwe. Miał wrażenie, że się porusza w naprawdę chorym śnie. Jednak w tym

miejscu, w zagajniku koło budynku z dzieciństwa, wszystko zaczęło do niego wracać. Przebudził się. Zmrozone serce odtajało, puls drastycznie przyśpieszył. Berger poczuł, że ma dreszcze. Nagle całym sobą pojął, co tak naprawdę może się ukrywać za dziwnie świecącą fasadą.

Mogło to być prawdziwe piekło.

W ciemnościach przyjrzał się swojej drżącej dłoni. Poczuł, jak pot oddziela się od pozostałych płynów wydzielanych przez ciało. Kiedy jednak spojrzął na dłoń, czuł, że nie jest już tylko obserwatorem. Nie był oddzielony od drżącej części ciała. Zaangażował w te oględziny całą swoją determinację. Znowu stał się podmiotem.

Wszystko było wyłącznie w jego rękach, jakkolwiek mocno by drżały. Nie mógł teraz skorzystać z żadnej drogi na skróty. Wszystko zależało od tego, czy uda mu się opanować drżenie dłoni.

Wyostrenie, koncentracja. Bystre spojrzenie, pozwalające spojrzeć w oczy złu. Dłoń przestała drżeć.

Zatoczył szerokie koło wokół hangaru i zszedł na kamieniste wybrzeże. Od czarnej wody ciągnęło chłodem. Skierował światło latarki w dół i udało mu się uniknąć najbardziej śliskich kamieni. Zbliżył się do bocznej ściany hangaru od strony wody. Kilkanaście metrów w głębi lądu dostrzegł okno, nic więcej. Były za to krzywe schodki wiodące na pomost, wyrastały bezpośrednio z domu i wcinały się kawałek w głąb jeziora.

Berger podszedł bliżej hangaru. Dotarł już prawie na miejsce. Jego lewa dłoń kierowała latarkę w dół, w prawej spoczywał pistolet.

Był już przy schodach, kiedy na pomoście coś zachręściło. Wyraźny dźwięk przeszył noc, a potem nastąpiła cisza. Odbezpieczył broń, poświecił w górę na schodki, wszedł cichym, powolnym krokiem na górę, przywarł do ściany, czekał. Wziął głęboki oddech. Spojrzął szybko za róg.

Nikogo tam nie było. Na pomoście leżało tylko trochę morskich śmieci.

Po drugiej stronie domu nie było podobnych schodków, jedynie poręcz metrowej wysokości, a dwa metry niżej przybrzeżne kamienie.

Nikt tam nie zeskoczył – usłyszałby to. A więc drzwi.

Drzwi zaś były zamknięte.

Berger słyszał własny puls niczym gwałtownie przyśpieszające tykanie zegara. Wielkiego zegara z potężnym wahadłem.

Skręcił za róg, ostrożnie stanął na deskach pomostu. Zdawały się wytrzymałe, nie trzeszczały. Zrobił dwa kroki do drzwi. Przystanął. Nasłuchiwał.

Nic oprócz deszczu.

Okno w drzwiach miało kształt rombu i było znacznie ciemniejsze niż same drzwi.

Nagle znów rozległ się chrzęst. Tym razem jednak dochodził z hangaru. Nadszedł czas. Nie było już odwrotu.

Dźwięk nie dobiegał zza drzwi, lecz z dołu, z miejsca sąsiadującego z drzwiami. Był tam otwór. Pierwszym, co zobaczył, było szczególnego rodzaju połyskiwanie, które odruchowo próbował powiązać z którymś ze znanych rodzajów broni. Na próżno. Poczuł, że otwiera się luka w czasie – luka kompletnego zdezorientowania.

Po chwili uświadomił sobie, że to zęby – rząd obnażonych, ostrych zębów. Towarzyszyło mu dziwne, agresywne syczenie.

A potem zobaczył kolce.

Z dziury w ścianie wyszedł jeź. Jego kolce były nastroszone. Jeszcze raz zasyczał, a potem się odwrócił i z chrzęstem ruszył z powrotem do hangaru. Ze środka dobiegł krzyk, nie brzmiał jak ludzki.

Berger wyciągnął rękę w kierunku klamki. Była dziwnie zablokowana. Nacisnął. Drzwi okazały się zamknięte. Cofnął się o krok do poręczy i podniósł nogę, żeby wyważyć je kopniakiem. Wtedy się otworzyły.

Kątem oka widział, jak jego opuszczony pistolet się unosi. Widział wszystko niczym serię absurdalnych klatek filmu, miał wrażenie, że patrzy na poskręcaną wstążkę odbijającą się na tle mroku nieco bardziej intensywną czernią, aż w końcu widział już tylko glocka na wysokości piersi. Dopiero w następnej klatce zobaczył uniesioną nagą dłoń.

Molly nie opuściła jej nawet wtedy, kiedy on opuścił swój pistolet. Zamiast tego przywołała go do siebie gestem dłoni. Wszedł do hangaru. W powietrzu unosił się wyraźny zapach dziegciu. Podążył za śladem jej latarki i stanął w rogu w głębi. Leżały tam cztery małe jeże. Nieopodal dreptali zdenerwowani rodzice, syczeli i chrzęścili.

Roześmiał się. Był to nieplanowany śmiech ulgi.

– Nikogo tu nie ma – stwierdziła Molly Blom.

Zaczęli oświetlać latarkami resztę wnętrza hangaru. Oprócz starych pozostałości silników, boi i całkiem pokaźnej liczby puszek po piwie z różnych lat były tam dwie ławy stolarskie, dwa stoły, zmięta brezentowa płachta oraz liny i sznury pokryte różnymi odcieniami zieleni.

Największe wrażenie robiły jednak dwie podpory, stojące kawałek od ściany i wypełniające całą przestrzeń od podłogi po sufit. W ścianie graniczącej z pomostem tkwiło sześć pętli do mocowania w dwóch pionowych rzędach, po trzy w każdym. Oba rzędy formowały wyobrażony kwadrat – dwoma z czterech rogów były podpory.

Latarka Blom drgnęła, a krąg światła opadł.

– O Boże – powiedziała Molly.

Berger wszedł między podpory i oderwał wzrok od ściany. W przeciwnej, mniej więcej siedem metrów od niego, było okno. W oknie zaś dało się zauważyć wiekową tłustą plamę, która wcale nie ułatwiała wyglądanania na zewnątrz. Nagle ogarnęło go wielkie uczucie wstydu, które szybko ustąpiło miejsca bólowi. Słyszał trzask druzgotanego sumienia, czuł dokuczliwy ból.

Podeszła do niego. Trzymała coś w dłoni. Po chwili spostrzegł, że to włos. Długi jasny włos.

– Najgorsze jest to – powiedziała – że nie mogę stwierdzić, czy to mój, czy Williama.

\*\*\*

Siedzieli obok siebie na podłodze hangaru na łodzi i słyszeli chrzęst jeży. Czas dziwnie płynął. Drzewa szumiały bez przerwy. Jakby chciał do nich przeniknąć ktoś z innej epoki.

– Światło – oznajmił Berger. – Dlaczego wydawało się, że hangar jest oświetlony?

– Okazało się, że to nieważne – odparła Blom.

– Mimo to chciałbym wiedzieć, co tak świeciło.

– Prawdopodobnie farba fluorescencyjna. Pewnie bardzo stara. I pewnie położona tu przez samego Williama dwadzieścia trzy lata temu.

– Ale po co?

– Zdobył ten opuszczony hangar. Przerobił na swój. Po prostu chciał, żeby dało się go znaleźć w nocy. Już w tamtych czasach były dobre farby fluorescencyjne.

– Które trzymają się do dziś?

Nagle jeden z jeży dostał ataku – w narożniku się zakotłowało. Berger drgnął, wypuścił powietrze, wydostał się z kamizelki kuloodpornej i wstał. Podeszedł do pokrytego pajęczynami włącznika światła i pstryknął. Przy głównych drzwiach zapaliła się lampa.

– O kurczę – powiedział Berger. – Jest prąd.

Blom podniosła na niego nieobecne spojrzenie.

– Zdaje się, że uszło to uwadze którejś z procesujących się firm.

Ściągnęła kamizelkę kuloodporną.

– Musimy stąd spadać, najszybciej jak się da – dodała.

Berger przez chwilę kiwał głową. Potem zapytał:

– Naprawdę musimy?

Blom znieruchomiła i wlepiała w niego wzrok.

– Nie mamy dokąd jechać dzisiejszej nocy – kontynuował. – Jeśli tu zostaniemy, może nawet uda nam się trochę zdziałać. I trochę pomyśleć.

– Chcesz powiedzieć, że mam zostać w budynku, w którym byłam torturowana? W miejscu, w którym mnie tak bezwzględnie zdradziłeś?

– Chyba tak.

\*\*\*

Doprowadzenie wszystkiego do względnego porządku zajęło kilka godzin. Pracowali aż do świtu – odgarniali, układali, wieszali, porządkowali, naprawiali, a kiedy w końcu wnieśli do środka gigantyczny pakunek owinięty sztywnym wojskowym brezentem, było już tak jasno, że mogli zgasić światło. Oparli pakunek o obie podpory i, trochę padnięci, odsunęli ociekający wodą brezent. Powoli ukazała się fantastyczna fotografia grupy wspinaczy w drodze na zaśnieżoną górę. Wbili dwa gwoździe w podpory i ją powiesili. Rozłożyli boki i szerokość się podwoiła. Pełno tam było samoprzylepnych karteczek i innych papierów, które wbrew wszelkim przeciwnościom losu pozostały suche.

Blom podeszła do jednej z ław stolarskich i usiadła na w miarę wyczyszczonym krześle. Na ławie stały tylko butelki z napojami proteinowymi. Zaczęła wypakowywać rzeczy z jednej z toreb podróżnych, wyciągać kable i podłączać swój komputer do rozmaitych pudełek. Berger spytał:

– To torby Säpo?

– To awaryjny zestaw agenta. Mam go zawsze w samochodzie.

– A ryzyko? Naprawdę jest bezpieczny? Nie da się go namierzyć?

– Wyjęłam kartę SIM z twojego telefonu, więc powinniśmy być

bezpieczni. To mój odporny na namierzenie sprzęt z całkiem przyzwoitym łączem 4G.

– Ale i tak nie uda nam się dostać do rejestrów i sieci wewnętrznych?

– W dużej mierze się uda. Sprzęt jest właśnie po to, żebyśmy mogła się tam dostać z nieznanymi miejscami i nie zostać zidentyfikowana. To jedna z zalet pracy pod przykrywką.

Berger skinął głową i po raz ostatni w skupieniu zlustrował wnętrze. Nadal było górniane i niewątpliwie ascetyczne, ale czuł, że ich plan może się udać.

– Podstawowe rzeczy? – zapytał. – Bieżąca woda, miejsca do spania, toaleta, lodówka, spiżarnia, żarcie?

– Bieżąca woda? – odparła Blom. – Kiedy tuż za drzwiami mamy jezioro?

– To morska zatoka – oznajmił Berger. – Słona woda.

– No tak, będziemy musieli załatwić kilka kanistrów słodkiej wody. I jakąś minilodówkę i kuchenkę mikrofalową. Śpiwory i żarcie. Przed południem się to skombinuje... Nie przeżywaj tak drobnostek.

– Kasa nie wydaje mi się drobnostką – stwierdził. – Nasze karty kredytowe są spalone.

Molly Blom jeszcze raz się pochyliła nad torbą podróżną. Wyłowiła z niej pokaźny plik banknotów pięćsetkoronowych.

– Kasa agenta – wyjaśniła. – Wypij teraz napój proteinowy. Przestań marudzić i zacznij pracować.



## 22

**Środa, dwudziesty ósmy października, godz. 12:14**

BERGER SPOJRZAŁ na jej nogi z fotela pasażera w vanie.

– Po co ci takie spodnie? – zapytał. – Jesteśmy w wojsku?

Skrzywiła się i skoncentrowała na prowadzeniu.

– Mówię poważnie. Nie widziałem, jak je kupowałaś.

– Ty robisz zakupy jak kobieta – odparła Blom. – A ja jak mężczyzna. Sam wybór gaci długo u ciebie trwał.

– To delikatna część ubioru.

Na Norrortsleden lał deszcz. Przejechali pod E18 na północ od jeziora Ullna i znaleźli się na wsi.

– Myślisz, że wystarczy zmienić tablice rejestracyjne? – zapytał Berger.

– Wiem, że krąży plotka o jakiejś eksperymentalnej metodzie odwracania GPS-u, ale wątpię, żeby w tej sytuacji się do tego uciekali. Nie stanowimy palącego zagrożenia systemowi demokratycznego Szwecji, praw i wolności obywateli czy bezpieczeństwa narodowego.

– Nie? – odparł Berger. – A to rozczarowanie.

Przez jakiś czas milczeli. Potem Berger zmienił temat.

– Jak myślisz, co się działo z Williamem w dziewiątej klasie? Rozpłynął się wtedy w powietrzu, zniknął z powierzchni ziemi.

– Myślę, że nasze wspólne hipotezy są słuszne – powiedziała Blom. – Na pewno ktoś mu pomógł.

– Przez całą podstawówkę był pozbawiony jakiegokolwiek pomocy – stwierdził Berger. – Razem z mamą przenosił się z jednego przedmieścia Sztokholmu na drugie, bo dokuczano mu tak bardzo, że musiał zmieniać szkoły. Nie masz dzieci, Molly, więc nie możesz sobie wyobrazić bólu matki, która wie, że jej dziecko jest prześladowane w każdym kolejnym miejscu. Która musi przez to prowadzić wędrowny tryb życia. I wie, że w nowym miejscu poprzednie piekło powróci.

– Masz wspomnienia związane z jego mamą? – spytała Blom.

– Nieliczne – odparł Berger. – Była dość zwariowana.

– Zwariowana?

– Nerwowa, ciągle coś robiła, nie mogła usiedzieć w miejscu. Dziwnie pachniała.

– Dziwnie?

– Jesteś moim psychologiem?

– Skup się. Jak to dziwnie? Okropnie?

– Nie, nie. Raczej smacznie. Słodko.

– Alkohol?

Berger znieruchomiał. Powoli pokiwał głową.

– Nie wiedziałem wtedy, co to alkohol. Ale pewnie musiało tak być.

– Zmarła jako alkoholiczka w ośrodku w Kista dwanaście lat temu – powiedziała Blom.

Berger ponownie pokiwał głową.

– Jest w tym jakaś szatańska logika – oznajmił.

– Pamiętasz, jak wyglądała? Widziałam jej zdjęcie z dowodu, ale niewiele więcej. Blondynka?

– Nie – odparł Berger. – Choć, z drugiej strony, taki prawdziwy blond to właściwie tylko element dzieciństwa. Skandynawskiego dzieciństwa. Potem włosy robią się brązowe. W dzieciństwie byłem blondynem. Ty pewnie też

byłaś blondynką.

– O co ci chodzi? – obruszyła się Blom. – Przecież jestem nią teraz.

– Z kilkumilimetrowymi odrostami.

Blom wykonała gwałtowny skręt w lewo. Opony zapiszczały tak przeraźliwie, że odpuściła. Åkersberga, która pojawiła się jak miraż, zniknęła, kiedy tylko wyjechali z powrotem na wieś.

– I ani śladu ojca? Nic nie pamiętasz?

– Poświęciłaś na to dwa lata – odparł Berger. – Ja miałem kilka godzin i nie ustaliłem nic więcej. William nigdy nie chciał mówić o ojcu.

– Już po porodzie jego mama, Stina Larsson, została zarejestrowana jako samotna matka. Nie ma żadnego ojca. Ani rodzeństwa.

– Czy mimo to możemy przypuszczać, że ojciec był blondynem? – zapytał Berger. – Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że jego mama była klasyczną brunetką.

W oddali piętrzyły się ponure czerwone mury więzienia Österåker, pofałdowane jak akordeon szalonego olbrzyma.

– Nadal nie chcesz powiedzieć, dlaczego tu jesteśmy? – zapytał Berger.

– To strzał – odparła Blom i podniosła wzrok.

– Czego szukasz?

– Kamer przemysłowych. Powinniśmy się odpowiednio wcześniej zatrzymać.

– Czyli mam siedzieć w burczącym wanie w zasięgu kamer i czekać?

– Tak jest – odparła Blom i się zatrzymała. – W aucie służącym do ucieczki z kicia.

\*\*\*

Pokój przesłuchań w więzieniu Österåker był taki sam jak wszystkie inne pokoje przesłuchań – kompletnie bez charakteru. Stolik, kamery, krzesła i nic więcej. Jednak, prawdę powiedziawszy, więzień w szarym stroju

przypominającym dresy, siedzący po przeciwnej stronie, też taki był. Miał nieco ponad czterdziestkę i gdyby nie siniaki na jego twarzy i ramionach, byłby zupełnie przezroczysty.

– Przypuszczam, że na reszcie ciała też są ślady – powiedziała Molly Blom.

– Zwyczajowe traktowanie pedofilów – odparł więzień, dotykając najświeższego sińca.

– Ale ty, Axelu Janssonie, jesteś nie tylko pedofilem, ale też mordercą?

– A ty, Evo Lindkvist, jesteś gliną, która zadaje kurewsko nieaktualne pytania. Gdyby nie to, że przeczytałaś wyrok, byłabyś zupełnie do niczego.

– Twoja strategia polegała na przyznaniu się do wszystkich przypadków napastowania seksualnego dzieci i konsekwentnemu wypieraniu się zabójstw. Żeby nie zostać za nie skazanym. Mordercy dzieci dostają dodatkowe lanie w tym przybytku.

– Nie jestem brutalem.

– Oczywiście, że nie, Axel. Sunisa Phetwiset była tajlandzką niewolnicą seksualną, własnością albańskiej mafii i niedawno ukończyła piętnaście lat. Nie doszło do żadnej przemocy.

– To przecież nawet nie była pedofilia. Nie groził za nią prokurator.

– W pozostałych udowodnionych przypadkach dziewczynki miały osiem, jedenaście, cztery i dwanaście lat. Cztery?

– To było w chwili słabości. Ale żadnej przemocy.

– Oczywiście, że nie, Axel. Opowiedz o wieczorze z Sunisą Phetwiset.

– Pewnie czytałaś materiały z postępowania przygotowawczego. Są tam wszystkie przesłuchania. Nie zmieniłem stanowiska w ani jednym punkcie.

– Mała Tajlandka została ci dostarczona do domu przez Albańczyków. Uprawialiście seks. Opuściła twoje mieszkanie piętnaście po jedenastej wieczorem.

– I dostała napiwek!

– Problemem są ślady krwi w twoim mieszkaniu, na klatce schodowej, w bagażniku twojego samochodu. Problemem są fragmenty skóry i krew pod twoimi paznokciami. Wszystko z DNA Sunisy Phetwiset.

– Nie ma ciała – oznajmił z oburzeniem Axel Jansson. – Przeszukiwano jezioro w wielu miejscach. Bez ciała nie ma morderstwa.

– Wiesz, że to nie jest takie proste.

– Co ty tu robisz, Evo Lindkvist? I kim ty, do cholery, jesteś?

– Spokojnie, Axel. Badam zupełnie inną sprawę, to nie ma z tobą nic wspólnego. Rozmawiając ze mną, nic nie ryzykujesz.

– Za każdym razem, kiedy gadam z gliną, ryzykuję życie.

Molly Blom wzięła głęboki oddech, pochyliła się nad stołem i wyszeptała:

– Nadal do ciebie nie dotarło, że jestem najlepszą i najbardziej niezasłużoną szansą, jaka ci się trafiła w całym twoim nędznym życiu?

Axel Jansson się cofnął. W końcu wyszeptał:

– Co ty gadasz?

– Że być może mordercą jest ktoś inny. Co zataiłeś w czasie przesłuchań?

– Nic. Wszystko naprawdę było tak, jak powiedziałem. Pieprzyliśmy się, a potem poszła. Nic więcej. Inny morderca?

– A krew w mieszkaniu i pod paznokciami?

– Pod paznokciami to nic dziwnego. Jechałem ostrzej, niż to przyznałem.

– A w mieszkaniu?

– Nie mam pojęcia. To były tylko zadrapania na tyłku. A krew znaleziono w ukrytych częściach mieszkania. Kilkadziesiąt mililitrów.

– Naprawdę sobie szkodzę, Axel, kiedy tak z tobą szepczę. Oni zaraz tu wejdą i przerwą nam rozmowę. Musisz mi dać coś więcej. W jaki sposób krew znalazła się w mieszkaniu? Byłeś tam cały czas aż do przyjazdu policji?

– Nie, minęły dwa dni.

Blom odchyliła się na krzesło i poczuła lekkie mdłości. Wzięła głęboki wdech i wstała.

Chociaż próbowała się nie odwracać, zobaczyła, jak Axel Jansson się kuli i przygotowuje na kolejną rundę chłostania pedofila.

Dała się wyprowadzić przez wykrywacze metalu i kraty, i wyszła na wolność. Popatrzyła w stalowoszare niebo nad Roslagen i poczuła na twarzy wielkie krople deszczu. Przez chwilę stała nieruchomo, jakby woda mogła zmyć brud z jej twarzy.

Wbrew sobie pomyślała o Axelu Janssonie i o wielkim nieszczęściu, jakim jest urodzić się z wykolejonym popędem. Potem pomyślała, że być może powinna się przyczynić do skrócenia jego wyroku. Myślała o czteroletnich dziewczynkach i doszła do wniosku, że chyba musi to przemyśleć raz jeszcze. Dotarła do vana. Był odwrócony, gotowy do ucieczki. Berger siedział na fotelu kierowcy, a silnik pracował na jałowym biegu.

Usiadła po stronie pasażera.

– Chyba mam jeszcze jedną ofiarę – powiedziała.

Berger ruszył.

– Jeżeli mamy to zrobić, nie możemy mieć przed sobą kolejnych tajemnic – odparł.

Blom poczuła, że kiwa głową.

– Piętnastoletnia tajlandzka ofiara handlu ludźmi, Sunisa Phetwiset, została zamordowana pomiędzy Julią Almström a Jonną Eriksson, dziewiątego października ubiegłego roku. Za to morderstwo skazano pedofila Axela Janssona. Ale nie sądzę, żeby był winny. Ciało nigdy nie odnaleziono. Ktoś go wrobił, żeby ukryć prawdziwego mordercę. Myślę, że William.

– I przyszło ci to do głowy dziś rano?

– Szukałam ofiar pomiędzy Julią a Jonną. Wcześniej nie skupiałam się na

tym wystarczająco mocno, nie przyszło mi do głowy, że mógł zamaskować morderstwo innym morderstwem. Teraz musimy odkryć, kto był pomiędzy Jonną a Ellen. Kim była przedostatnia ofiara. Wjedź do miasta. A co ty zrobiłeś dziś rano?

– Znalazłem siostrę matki – wymamrotał Berger, a kiedy skręcili na E18, mówił dalej: – Dasz radę opowiedzieć, jak to było, kiedy siedziałś w tym mechanizmie? Muszę wiedzieć, jak on działa.

Po twarzy Blom coś się prześlizgnęło, dało się to zauważyć na jej wygładzonym czole.

– Czas płynął. Widziałam to. Bałam się każdej półgodziny.

– Co się wtedy działo?

– Co pół godziny byłam rozciągana odrobinę mocniej, na ławie. Choć wydawało mi się, że może to regulować, jak mu się podoba.

Berger minął Arninge i zapytał:

– Miałaś wrażenie, że chce cię zabić?

– Wspaniałe pytania zadajesz.

Przez chwilę milczeli. Berger rzucił na nią okiem. Wyglądała na naburmuszoną i zamkniętą w sobie.

– Jak uciekłaś? – zapytał w końcu.

– Uwolniłam lewą dłoń z obręczy. A potem prawą i stopy.

– Stałaś wyprostowana, a łańcuchy rozciągały ci ręce i nogi?

– Nie – odparła Blom i zamknęła oczy. – Nogi nie. Tylko ręce. Stałam na podłodze, a nogi były do niej przytwierdzone i związane. Ramiona były rozciągane. A, jak wiadomo, rozrywana skóra zaczyna krwawić. Stałam tam osiem godzin. Myślę, że jeszcze godzina i skóra by nie wytrzymała. Ale Ellen Saviger zaginęła trzy tygodnie temu. Co on z nią robił przez tyle czasu?

– Na swój sposób daje ofiarom odpocząć – powiedział Berger. – Mogą

usiąść i dosięgnąć podłogi paznokciami. W domu w Märsta były ślady paznokci u rąk i u nóg.

– Na podłodze?

– Tak – odparł Berger. – Na betonowej podłodze.

Blom z grymasem na twarzy spojrzała przez boczną szybę.

\*\*\*

Milczeli, dopóki nie dotarli na Västerbroplan. Deszcz już wtedy właściwie przestał padać. Berger zaparkował w okolicy według wskazówek Blom. Na parkingu czekał jakiś człowiek. Miał nieco ponad czterdzieści lat, a worki pod jego oczami były większe i ciemniejsze, niż wskazywała na to reszta twarzy.

– Bertil Brandt – przedstawił się i wyciągnął do nich rękę.

– Eva Lindkvist – odpowiedziała Molly Blom i przyjrzała się badawczo Bergerowi, który odparł:

– Charles Lindbergh.

Potem długo tego żałował.

Ruszyli pod górę mostem Väster. Nie mówili wiele. Na szczycie stanęli i patrzyli na Sztokholm w ponurym szarym świetle.

– Wkrótce chyba znów się rozpada – stwierdził Brandt.

– Może i tak – odparła Blom.

Stali tam jakiś czas. Miasto było pokryte przerażającą szarością.

– Tamtej nocy padało – oznajmił w końcu Brandt.

– Jesteś tego pewien, Bertil?

– O, tak. Wiem wszystko o tamtej nocy.

– Bardzo niewiele rozcięło ogrodzenie...

Bertil Brandt uśmiechnął się słabo. W tym uśmiechu widać było zahartowanie. Sprawiał wrażenie człowieka, który przeżyje, ale już nigdy nie będzie sobą.



– To ogrodzenie postawili trzy lata temu. Ale tylko po tej stronie, wschodniej, od strony miasta. Może to dziwne, ale rozumiem, co sobie myśleli.

– Możesz to wyjaśnić? – spytała Blom.

– Ludzie tu przychodzą, zaślepieni, w samobójczej euforii. Wschodnia część tego mostu tradycyjnie kojarzy się z romantycznymi wyobrażeniami skoków ze świata gównianego w piękny, tu ma się u stóp cały Sztokholm. Z dwumetrowym ogrodzeniem cały ten romantyzm znika. Żeby się dostać na stronę zachodnią, trzeba przejść przez barierki i drogę, na której nocą panuje duży ruch. Romantyzm znika, zaślepienie ustępuje. Sny zostają zastąpione przez rzeczywistość, człowiek wraca na ziemię i widzi samego siebie we właściwym świetle. Cały wielki projekt staje się nieważny, nędzny. Realizują go tylko ci najbardziej zdeterminowani.

– Ale teraz ogrodzenie jest też po stronie zachodniej.

– I okazało się, że działa. Ludzie nadal przechodzą na drugą stronę, lecz znacznie rzadziej niż kiedyś. No i jest tak, jak mówisz: bardzo niewielu rozcięło ogrodzenie.

– Ale Emma to zrobiła – odparła Molly Blom. – Miała ze sobą naprawdę grube nożyce, które zresztą zostały na moście z jej odciskami palców.

– Tak – potwierdził Bertil Brandt. – Dokładnie wszystko przemyślała.

– Ale nikt nie widział samego skoku?

– I nie znaleziono zwłok. Myślę, że po prostu wypłynęła na otwarte morze. Tak jak chciała. Lubiała morze.

– Nie było żadnych świadków?

– Jeśli chodzi o sam akt, to nie. To się działo w Midsommar, noc była jasna, ale też pusta. Ci, którzy zostali w mieście, pewnie odpoczywali po nocy świętojańskiej. Ale są zeznania dwóch różnych świadków, którzy widzieli, jak szła tu na górę z nożycami w ręku, a w jej chodzie widać było

determinację. No i jest jeszcze kamera monitoringu.

– Kamera?

– Na Hornstull. Przyszła z tamtej strony. Tam też wyraźnie widać nożyce.

I jej twarz.

– Jak wyglądała?

– Jak wyglądała?

– Tak. Przecież wiesz wszystko na temat tamtej nocy.

Brandt wybuchnął śmiechem, bardzo ponurym, i pokręcił głową.

– Nie jesteś najbardziej delikatną policjantką, jaką spotkałem w tym czasie.

– Ale być może najbardziej mi się śpieszy.

– Emmie już się nie śpieszy. Ani mnie.

– Możliwe, że bardziej, niż ci się wydaje...

– Była napięta. Napięta do granic.

– Twarz?

– Filmy z monitoringu nie są zbyt dobrze oświetlone. Ale była blada i wyglądała na bardzo, bardzo napiętą. Moja mała...

Brandt umilkł. Blom czekała. Czuła ucisk w gardle.

Pewnej nocy dwadzieścia trzy lata wcześniej sama szła mostem Väster. Wtedy nie było żadnych ogrodzeń, a jedynie poręcz o wysokości metra z kawałkiem. Szła pod górę po stronie wschodniej, nagle się zatrzymała i poczuła, że sens nadal może powrócić do życia, którego pozbawił ją William Larsson. Nawet jeśli trzeba będzie na to poczekać.

– Strach – powiedział Brandt. – Strach przed bezsilnością.

– Bezsilnością wobec skłonności samobójczych?

– Byliśmy sobie tak bliscy. A potem się ode mnie oddaliła. Strasznie się na to patrzyło. Mama Emmy nie żyła. Zostaliśmy tylko ona i ja.

– Dlaczego się oddaliła?

– Nigdy nie udało mi się ustalić tego na pewno. Myślę, że w szkole działo się dużo złego, ale nie mówiła o tym, zamknęła się w sobie.

– To tę bezsilność miał pan na myśli?

– Tak – odparł mężczyzna. – Piekło prześladowania.

\*\*\*

Kilka minut później jechali na południe. Berger znów siedział za kierownicą. Wyjechał na Ringvägen i powiedział:

– Nie można sobie tego wyobrazić. Jak to jest mieć córkę, która z taką determinacją odbiera sobie życie.

– I się zatrzymuje. Tuż przed podjęciem tego kroku.

– Myślisz, że Emma Brandt była szóstą ofiarą Williama?

– Święto Midsommar tego roku – odparła Blom. – Pomiedzy Jonną Eriksson a Ellen Saviger. Tak właśnie myślę. W zasadzie wszyscy, którzy skaczą z mostu Väster, prędzej czy później zostają odnalezieni. Emma Brandt była wyjątkiem, jej ciało po prostu zniknęło. Cztery miesiące temu.

– Więc myślisz, że już mamy nasze siedem ofiar?

– Tak – odparła Molly Blom i popatrzyła na zatokę Årsta z mostu Skanstull. – To moje najmocniejsze kandydatki.

– Wydaje się dziwne, że William Larsson miałby się mścić na Emmie Brandt, która była ofiarą przemocy tak samo jak on.

– Jak ją znalazł? Skąd wiedział, że planuje się zabić? Nie chcę głosić żadnych prawd, po prostu szukam prawdopodobieństwa. W pozostałych przypadkach William wydawał się dobrze poinformowany. Aiszę Pachachi porwał w dniu egzaminu końcowego, a Ellen Saviger ostatniego dnia szkoły. Pozostawiał mnóstwo fałszywych śladów związanych z Sunisą Phetwiset, a Julię Almström udało mu się uprowadzić z domu w Västerås w środku nocy. Każde porwanie wydawało się poprzedzone porządnym researchem.

– No i nie ma żadnych dowodów – dodał Berger i z Nynäsvägen zjechał na Tyresövägen.

– Dokąd jedziemy? – zapytała w końcu Blom.

– Nie bądź taka ciekawska – odparł.

## 23

**Środa, dwudziesty ósmy października, godz. 15:13**

NAWET NIE ZWRÓCILI UWAGI, kiedy skręcili z Tyresövägen w Gudöbroleden. Lupinstigen była krótkim ukośnym odcinkiem łączącym Gudöbroleden z drogą na Vendelsö, która z kolei wiodła do zatoki Drev. Berger wjechał vanem na Lupinstigen i zaparkował przed Vendelsögården, ośrodkiem dla cierpiących na demencję. Blom zmarszczyła nos, ale nic nie powiedziała. Poszła tylko za nim na najwyższe piętro. Zapukała do nieoznakowanych drzwi. Nic się nie zadziało. W końcu, nie wiadomo skąd, wyszła pielęgniarzka i zapytała:

– Szukają państwo Alicii?

Berger przyjrzał się jej plakietce, którą miała na piersi, i powiedział:

– Dzień dobry, Miu. Zgadza się, szukamy Alicii Anger. Jest tutaj?

– Tak, na pewno – odparła Mia Arvidsson i otworzyła drzwi kluczem. – Nigdy nie wychodzi.

Berger zatrzymał drzwi, zanim się zatrzasnęły.

– Przydałby nam się krótki opis sytuacji – oznajmił.

– Policja? – pielęgniarzka uśmiechnęła się pod nosem. – Powodzenia.

– „Powodzenia” oznacza, że kiepsko z nią?

– Powiedzmy, że trzeba mieć trochę cierpliwości, żeby trafić na chwilę przytomności umysłu – odparła Mia Arvidsson i szeroko otworzyła drzwi. – Z drugiej strony, trzeba być przygotowanym.

Starsza pani siedziała w bujanym fotelu i nie była szczególnie stara, jedynie nieobecna. Czekali, aż pielęgniarka sobie pójdzie. Berger przedstawił siebie i Blom pobudzającymi wyobrażnię nazwiskami. Usiadł w fotelu naprzeciwko. Blom stanęła przy ścianie z rękoma sceptycznie skrzyżowanymi na piersi.

Po wszystkim Berger poczuł nieoczekiwaną fascynację tym, jak kreatywnie można używać języka, kiedy brakuje wszystkich hamulców. Rozumiał słowa wypowiedane przez starszą panią, ale konteksty były kompletnie niejasne. Tragiczne było to, że Alicia Anger, siostra matki Williama Larssona, miała nie więcej niż sześćdziesiąt sześć lat i była chora. Na alzheimera, jak podejrzewał. Spróbował znowu:

– Czy miała pani dobry kontakt ze swoją siostrą Stiną, kiedy była w ciąży? To było prawie czterdzieści lat temu.

– Drugi oddech co jakiś czas uderzał małe ziarenka prawdy dla małej Adelii. Kochana siostrzyczka, ta z brodą, mówi, że archiwiści jedzą jaja mrówek. Kwartalnie. Ty też, Gundersen, ciebie to też dotyczy.

– Gundersen?

– Ty też. Z tymi twoimi nogami jak u walkirii. Na których uciekasz. Byłeś odważny w walce, ale nie w życiu. Jak Anger.

– Anger? Pani mąż?

– On uciekł. Ode mnie. Zachowałam jego nazwisko tylko po to, żeby mu dopiec. Chyba przez to umarł.

Nagle zdania zaczęły się ze sobą łączyć. Czy to możliwe, że zbliżał się moment przytomności?

– Kiedy pani siostra Stina chodziła z brzuchem? Pamięta pani?

– W naszej rodzinie nie ma dzieci.

Berger na chwilę umilkł i zastanawiał się nad niuansami tej wypowiedzi. Wreszcie wziął się w garść i powiedział:

- William był wyjątkiem, prawda?
- Biedny William – powiedziała Alicia Anger, przestała się bujać i znów była w latach siedemdziesiątych. – Najlepszy argument za tym, że ród Larssonów nie powinien mieć dzieci. A ty uciekłeś na jego widok.
- Ja uciekłem?
- Sam o tym wiesz. Uciekłeś, jeszcze zanim go zobaczyłeś.
- Nigdy nie widziałem mojego syna? – zaryzykował Berger.
- Umarłbyś, gdybyś go zobaczył. Jego twarz...
- Kiedy mnie ostatni raz widziałaś?
- Teraz to jesteś bezczelny. Nigdy cię nie widziałam.
- Ale Stina o mnie opowiadała?
- Nie nazwałabym tego opowiadaniem. Wymiotowała. Rzygała.
- Co o mnie rzygała? Że jestem odważny w walce, ale nie w życiu?
- Tyle to się sama domyśliłam, dziękuję. Ty asie.
- As, pomyślał Berger i poczuł, że serce zaczyna mu mocniej bić.
- Co znaczy walka, Alicio?
- Byłeś wojownikiem, a ja słyszałam, że wojownicy często wypierają to, że są wojownikami.
- Gdzie wojowałem?
- Za pieniądze, ty asie.
- Gdzie? Wiesz gdzie, Alicio?
- Nie wiem. W jakimś cholernym arabskim kraju.
- Połowa lat siedemdziesiątych. Liban?
- Zamknij mordę, ty świni.
- A jak się nazywam, poza tym, że Gundersen?
- Sam nie wiesz? Nils. Memłała to imię, jak tylko zaczynała chlać. W tych kilku przypadkach, kiedy była trzeźwa, próbowała je zapomnieć.
- Dawniej miałem jaśniejsze włosy, prawda, Alicio?

– Jak zboże. I po prostu zwiąłeś. Jak, do cholery, mogłeś tak po prostu zwiąć?

– Dalej wojowałem. Czy potem wróciłem?

– Pierwsza walkiria śpiewa najpiękniej. Skagull, ta, która napełniła róg Odyna miodem. Hrist, Mist, Hildir, Göndul. Cholera, ależ te niewiasty potrafiły się bić. Czy pan, señor Cortado, słyszał o „czerwonej dziewczynce”?

– Nie – odparł osłupiały Berger.

– Ulster, Irlandia. *Ingen ruaidh*. Prowadziła wikingów w dziesiątym wieku. Obawiano się jej. Nie mów nic brodatej kobiecie, ale jestem czerwoną dziewczynką. Nazywaj mnie Ingen.

– Wiesz, czy William kiedykolwiek spotkał swojego ojca?

– Co jakiś czas piał kogut, Nils. Twoja krew się zwarzyła.

Kiedy Berger zamknął za nimi drzwi do pokoju „czerwonej dziewczynki” alias Alicii Anger, bujany fotel znów poszedł w ruch. On i Blom spotkali się wzrokiem. Przez chwilę szukali słów. Tak jakby używanie języka nie było już możliwe. W końcu Berger wykrztusił:

– Co myślisz?

– Naprawdę trudno powiedzieć – przyznała Blom. – To może być czyste starcze bredzenie. Ale chyba warto sprawdzić, czy istnieje jasnowłosy najemnik Nils Gundersen. Jak znalazłeś tę ciotkę?

– Znajdowała się na krańcu twojej tablicy rodowej Williama. To ty ją znalazłaś.

Blom zrobiła ponury grymas i zaczęła schodzić po schodach. Berger nie ruszył się z miejsca i patrzył za nią. Jej krok był dziwnie żywy. Widział, jak zeszła do okna, przy którym schody zakręcały. Widział, jak nagle przystanęła i gwałtownie odsunęła się od okna. Widział, jak na niego spojrzała i przywołała go skinieniem dłoni. W tym geście było jednak coś więcej.



Zrozumiał, że chciała powiedzieć: „Trzymaj się z dala od okna”.

To było duże okno z widokiem na tę krótką ulicę. Przywarł do niej, a ona wskazała Lupinstigen. Kiedy wjeżdżali pod Vendelsögården, zapamiętał wszystkie zaparkowane samochody. Coś się zmieniło. Stało tam nowe auto – grafitowe volvo, zwrócone w kierunku domu opieki. Padało coraz mocniej i choć Berger wyteżał wzrok, nie był w stanie zobaczyć, czy z przodu siedzi jedna osoba, czy dwie. Popatrzył na ich mercedesa vito, zaparkowanego tuż przed budynkiem, zaledwie kilkanaście metrów od volvo. Zrozumiał, że nie dadzą rady do niego podejść niezauważeni.

Czekali na wyraźniejszy znak. Po około minucie po stronie pasażera otworzyła się szyba i ktoś wyrzucił przez nią gumę do żucia. Berger nie wiedział, czy to tylko złudzenie, czy też naprawdę udało mu się zobaczyć nadgarstek.

Odniósł wrażenie, że tkwił na nim duży, tani zegarek do nurkowania.

Westchnął ciężko i się odwrócił. Blom już ruszyła przed siebie. Na tyłach budynku znaleźli wejście do kuchni, przeszli przez kilka posesji pomiędzy jednakowymi domami wielorodzinnymi, wyszli na drogę prowadzącą do Vendelsö, pobiegli na zachód w ulewnym deszczu, oddalając się od Lupinstigen, dotarli na parking, szybko go przeszukali i nie znaleźli żadnych kamer. Berger zlokalizował odpowiednio wiekowy samochód, odnalazł w sobie dawne zdolności i szybkim ruchem otworzył drzwi. Wsiedli, odczekali chwilę. Żaden sąsiad się nie pojawił, nikt nie zareagował. Pochylił się, wyrwał kable i je połączył. Silnik starego samochodu zaczął warczeć.

– Naprawdę lubiłam mojego vito – westchnęła Blom.

Berger wyjechał na drogę, na chwilę przystanął i ruszył w lewo, w kierunku zatoki. Oboje patrzyli w prawo i za zasłoną deszczu dostrzegli postać.

Bez dwóch zdań był to kolega Roya, Kent. Najwyraźniej stanął tak, żeby

nie było go widać z okna.

Zobaczyli, jak się odwraca i gorączkowo macha w kierunku Lupinstigen. Berger jeszcze raz westchnął i dodał gazu.

– I w dodatku wzięliśmy takiego grata – powiedziała Blom.

– Gdybyś potrafiła się włamać do bardziej nowoczesnego samochodu, moglibyśmy go wziąć – wytłumaczył Berger cierpliwie.

Skręcił w lewo w Vendelsö allé, a potem z piskiem opon wyjechał na szeroką drogę, w zasadzie przecinając rondo. Blom nie odrywała wzroku od lusterka wstecznego.

– Są coraz bliżej – oznajmiła.

– Ten złom ma przynajmniej w miarę dużą moc – stwierdził Berger, trzymając gaz do dechy.

Tym niemniej było jasne, że Roy i Kent zbliżali się swoim niewątpliwie podrasowanym grafitowym samochodem Säpo. Berger próbował myśleć. Byli na typowej drodze na przedmieściach. W jaki sposób myślał Roy? Czy naprawdę zamierzał ich zepchnąć z ruchliwej drogi? A może chciał do nich strzelać? Prawdopodobnie byłoby bezpieczniejsi na szerszych drogach i otwartym terenie, gdzie mogliby rozwinąć większą prędkość. Z drugiej strony, nie mieli szansy ich zgubić, volvo z całą pewnością miało dwukrotnie większą pojemność. Poza tym wkrótce zapewne dotrą posiłki. Coś trzeba było zrobić. I to szybko.

Berger rzucił okiem na Blom. Wydawało się, że myślała o tym samym. Gudöbroleden niedługo miała biec pod autostradą. Mogli wtedy wjechać pod górę, na większą Nynäsvägen i mieć nadzieję, że ruch będzie na tyle mały, iż uda im się uciec.

– W górę czy nie? – ryknął Berger.

– Nie – odparła Blom i wskazała w lewo.

Kawałek przed nimi wznosiło się kilka wieżowców – prawdopodobnie

było to centrum Haninge. Usłyszał odległy dźwięk pociągu dalekobieżnego, jadącego na południe kraju. Koło ronda przejechał na czerwonym świetle w kierunku Gamla Nynäsvägen. Za nimi rozpętał się lekki chaos drogowy i odległość między nimi a volvo zwiększyła się o jakieś sto metrów. To były ważne metry. Gwałtownie skręcił kierownicą i wjechał prosto pomiędzy wieżowce w centrum Haninge. Znalazł w zasadzie zapchany parking i zatrzymał się na ostatnim wolnym miejscu.

Blom skinęła głową i wyskoczyła z samochodu. Biegli pochyleni, chcieli być jak najdalej. Z daleka wyglądali na zwykłych przechodniów. Wbiegli pomiędzy wieżowce i zobaczyli grafitowe volvo przejeżdżające Gamla Nynäsvägen. Widzieli, jak kierowca gwałtownie hamuje i szuka możliwości, żeby zawrócić, ale pasy ruchu były oddzielone fragmentem trawy na wzniesieniu, na tyle wysokim, że nie można było na nie wjechać, nie demolując samochodu.

Blom nagle chwyciła go za rękę i przyśpieszyła. Przecięli Gamla Nynäsvägen wśród pisku klaksonów i wtedy zrozumiał, dlaczego wybiegła. Usłyszał też dźwięk pociągu w oddali. Teraz był inny, jakby jechał znacznie wolniej. Biegli bardziej opustoszałą ulicą i nagle, kilkaset metrów dalej zobaczyli kryte przejście nad drogą. To mogło oznaczać peron kolejowy. Wkrótce przez kurtynę deszczu dostrzegli smagane kroplami jezioro, a po drugiej stronie nasyp, peron, tory i ogrodzenie. Nie powinno być zbyt wysokie, choć drut kolczasty odstraszał. Odgłos pociągu przybierał na sile, w końcu na dalszy tor spokojnie wtoczył się pociąg kolei podmiejskiej. Blom zamierzyła się na ogrodzenie, chwyciła je pomiędzy kolcami drutu, wykonała pełny przewrót i wylądowała na nasypie. Była godzina szczytu i na peronie roiło się od podróżnych. Ludzie zaczęli się na nią gapić, ktoś zrobił zdjęcie komórką. Berger spojrzał pośpiesznie przez ramię i na drodze prowadzącej na dworzec zobaczył szybko zbliżające się grafitowe volvo. Instynktownie

popędził w stronę ogrodzenia, chwycił, miał gdzieś, że jeden kolec wbił mu się w lewą dłoń. Lokalny pociąg stanął na peronie, drzwi powoli się rozsunęły.

– Szybciej! – zza nasypu dobiegł krzyk Blom.

Dźwięk silnika volvo był już bardzo wyraźny, brzmiał jak głucho mruczenie. Podróżni sączyli się z wagonu na peron, potem inni wchodzili do środka. Berger stracił grunt pod nogami, stopy ześlizgnęły się po oczkach ogrodzenia. Blom chwyciła go za marynarkę i przeciągnęła na drugą stronę, tak że wpadł do wody. Volvo ich dogoniło, samochód zatrzymał się zaledwie kilka metrów za plecami Bergera, ale on był już po drugiej stronie. Wstał i pobiegł ile sił w nogach za Blom, która właśnie dopadła peronu. Drzwi pociągu zaczęły się zasuwać, Blom wskoczyła i przez zwężającą się szczelinę wyciągnęła rękę. Chwycił ją i dał się wciągnąć do środka, a w tej samej chwili drzwi ostatecznie się zamknęły i pociąg ruszył. Zdążyli jeszcze zobaczyć Roya, który z całej siły uderzył w ogrodzenie pięścią. Całe ramię odskoczyło.

W wagonie było dość ciasno. Ludzie patrzyli na nich z niesmakiem. Dwie osoby podniosły telefony komórkowe. Nie można było tego nazwać zniknięciem bez śladu. Coś należało zrobić.

Blom była pierwsza. Uniosła służbową legitymację.

– Bardzo przepraszamy – powiedziała. – Policja. Nie ma tu już nic do oglądania.

Podróżni, zerkając podejrzliwie, wrócili do swoich zajęć. Berger odetchnął i przyjrzał się zakrwawionej dłoni.

– Jak oni nas znaleźli, do cholery? – wyszeptał.

– Później się nad tym zastanowimy – odparła Blom. – Teraz pytanie brzmi, czy dadzą radę przyjechać przed nami na następną stację.

– Na Jordbro – jęknął Berger.

– Na drogach panuje spory ruch – powiedziała Blom – ale w zasadzie wystarczy jechać Gamla Nynäsvägen. Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni.

Pociąg jechał szybko, wydawało się nieprawdopodobne, aby volvo dało radę go prześcignąć. Trzy minuty później byli na stacji Jordbro. Przez szybę nie sposób było zobaczyć, czy volvo już tam jest. Wskoczyli, prędko przeszli przez bramki i zbadali sytuację. Ta stacja była znacznie bardziej prowincjonalna, ale po drugiej stronie torów wznosił się znajomy logotyp. Być może najbardziej znany na świecie. Mieściła się tu główna szwedzka siedziba Coca-Coli, potężny budynek, pod którym stało bardzo dużo samochodów. Skierowali się w jego stronę, w paskudnie upartym deszczu.

– Pracownicy zmianowi – stwierdziła Blom. – Kradzież samochodu zauważą dopiero jutro rano.

– Miałabyś ochotę się zasadzić na coś bardziej nowoczesnego? – spytał Berger.

Posłała mu tylko mroczne spojrzenie i wkrótce byli już w podobnym samochodzie z lat dziewięćdziesiątych i stali w korku wśród kierowców jadących do centrum Sztokholmu.

– Omijaj centrum – poleciła Blom. – Żadnych bramek.

– Żadnych kamer – dodał Berger.

Dopiero na wysokości Farsta zaczął się czuć bezpiecznie.

– Jak oni nas znaleźli, do cholery? – powtórzył pytanie.

– Nadajnik nie mógł być na moim samochodzie od początku – odparła Blom. – W takim wypadku zgarnęliby nas już w nocy. Albo dziś rano, kiedy byliśmy na zakupach.

– No to o co chodzi? Mam jakiegoś pieprzonego chipa w ciele? Albo ty?

– Nie sądzę – odparła Blom. – Obstawiałabym, że udało im się odwrócić GPS. Nie sądziłam, że to już jest możliwe. Trzeba grzebać w co najmniej trzech satelitach.

– Czy w hangarze jesteśmy bezpieczni? Możemy tam wrócić? Czy może Roy i Roger już tam na nas czekają?

– To zależy od tego, kiedy się uporali z sygnałem.

Berger westchnął ciężko.

– Okej – powiedział. – No to trzeba będzie się przekonać.

## 24

**Środa, dwudziesty ósmy października, godz. 19:04**

DESZCZ ROZSIAŁ po ciemnej powierzchni zatoki miriady eterycznych kręgów.

W hangarze nikt na nich nie czekał.

Nie było żadnych znaków świadczących o tym, że zostali odkryci.

Berger przechylił się przez barierkę i odetchnął. Był kompletnie przemoczony i robił, co mógł, żeby nie zasnąć na stojąco. Pośrodku barierki znajdowało się przejście i drabinka prowadząca prosto do wody. Na samą myśl, że wkrótce trzeba będzie tam zejść, krew zamarzała mu w żyłach.

Zjawiła się Blom i stanęła obok niego. Była równie mokra.

– Gotowy? – zapytała.

Skinął głową.

– Umieściłem w strategicznych miejscach cztery mikrokamery z alarmem – potwierdził. – To naprawdę ten sam rodzaj, który wykorzystaliście przy Vidargatan?

Skinęła głową i odparła:

– Zmieniłam tablice rejestracyjne naszej skradzionej mazdy.

– Ile ty ich masz w tych säpowskich torbach? – zapytał.

Nie otrzymał odpowiedzi. Jeszcze przez jakiś czas stali i patrzyli na pogrążoną w mroku zatokę.

– Czasami człowiek żałuje, że już nie pali – stwierdził Berger.

Potem wrócili do środka. Usiedli każde przy swojej ławie stolarskiej i swoim komputerze. Po jednej stronie ław na karimacie leżał śpiwór, po drugiej tak samo. Oba były nieużywane.

Berger pił kawę, a Blom herbatę. Oboje starali się zapomnieć, jak bardzo są zmęczeni.

Berger spróbował pisać na klawiaturze zranioną lewą ręką. Poszło niespodziewanie dobrze.

Zaczął sprawdzać pewną koncepcję. Przyszła mu do głowy na moście Väster, kiedy nadal milczał, zawstydzony, że się przedstawił jako Charles Lindbergh. Blom z kolei zaczęła od tego, co najbardziej oczywiste. Po chwili powiedziała:

– Nie jesteśmy szukani.

Obserwował ją w milczeniu.

– Nie jesteśmy poszukiwani – doprecyzowała. – Säpo nie ogłosiła naszego zniknięcia. Nie ma alarmu.

– Dobrze – stwierdził Berger. – To znaczy, że tylko najbystrzejsi gliniarze w Szwecji polują na nas w najgłębszej tajemnicy.

Blom rzuciła mu cierpkie spojrzenie.

– Co wiedzą Deer i Allan? – zapytał.

– Wiedzą, że jestem z Säpo i że wzięliśmy cię na przesłuchanie w imieniu „wewnętrznych”. Niewiele więcej.

– Myślą, że gdzie teraz jestem?

– Pod naszą opieką. Tak sędzę. Chyba że August Steen sfabrykował jakąś historyjkę o nagłym urlopie. Szczerze mówiąc, nie wiem.

Berger coś mruknął i oboje wrócili do komputerów. Blom siedziała nieruchomo i zagłębiała się coraz bardziej w bezkresne archiwum Säpo. Berger wgryzł się w umorzone śledztwo policji i szukał powiązań. W pewnym momencie wstał i podszedł do tablicy. W końcu znalazł to, czego



szukał. Jego komputer przez długi czas odtwarzał jakiś film. Blom uderzyła w ekran i zajęczała.

– Brak postępów? – zapytał Berger.

– W żadnych aktach Säpo nie ma Nilsa Gundersena – odparła.

– To był strzał w ciemno – stwierdził Berger i wzruszył ramionami. –

Może Gundersen jest tylko postacią z zamglonej wyobraźni Alicii Anger.

Blom skinęła głową. W końcu powiedziała:

– Być może jest jeszcze jedna szansa, ale to znacznie trudniejsze.

Po zastanowieniu Berger odparł:

– Nie wiem, czy się odważę włączyć w to Strzałę...

Blom popatrzyła na niego i oznajmiła:

– Jesteś śmiesznie zagadkowy.

– Strzała – powiedział powoli. – To dzięki niej cię znalazłem.

– Długo się zastanawiałam, jak do tego doszło – przyznała Blom. – Strzała to jakiś program komputerowy?

Berger wybuchnął śmiechem.

– W sumie jesteś blisko – powiedział.

– Przestań gmatwać.

– Nawet teraz nie powinienem tego mówić – odparł z westchnieniem Berger. – No ale ty i ja znaleźliśmy się w trudnym położeniu i mimo niechęci musieliśmy się zdobyć na zaufanie. Prawdziwe nazwisko Strzały to Sylvia Andersson. Pracowałem z nią w zasadzie od czasu szkoły policyjnej. Przeprowadziła nieoficjalne poszukiwania firmy Wiborg Detaljist AB i znalazła twoje nazwisko na liście, którą później zestawiliśmy z klinikami leczącymi migrenę botoksem.

– Lista? – wykrzyknęła Blom. – Jaka lista?

– Wewnętrznych i zewnętrznych „zasobów” Säpo.

– Co ty opowiadasz? Wszystkich?

– To miało związek z firewallami, które przez jakiś czas były słabe z powodu reorganizacji, kiedy kończył się jeden rok i zaczynał następny. Strzała mówiła, że znalazła tam wiele anomalii. Możliwe, że trafiła na drzwi do skarbcza w najgłębszej piwnicy.

– Istnieją klasy bezpieczeństwa, do których nie mam dostępu – odparła Blom – ale i tak wolałabym się nie opierać na tej twojej Strzale. Mimo wszystko uciekamy przed wymiarem sprawiedliwości. Pozwól mi najpierw wypróbować mój sposób.

– Ten znacznie trudniejszy. Co to takiego? Tylko bez tajemnic.

– Must – odpowiedziała krótko.

Berger wpatrzył się w nią i powoli pokręcił głową.

– Wojskowa Służba Wywiadu i Bezpieczeństwa? – odparł. – Masz tam kolegów? A może starego kochanka?

– Wcale nie jest stary – odparła spokojnie Blom. – A czym ty się zajmowałeś? „Tylko bez tajemnic”.

– Tym – odparł Berger i odwrócił komputer.

Był to film z kamery przy bankomacie gdzieś w centrum. Padał lekki deszcz, ale było jasno i pusto. Jakby to była jedna z najjaśniejszych nocy w roku. W końcu ulicą przeszła dziewczynka. W ręku miała nożyce do cięcia drutu. Berger zatrzymał film, kiedy odwróciła się twarzą do kamery. Naprawdę była napięta. Napięta do granic.

– Emma Brandt, lat piętnaście. Hornstull, noc świętojańska tego roku.

– Dobrze – odparła Blom. – Zapisz ten obraz. Chcę go wydrukować.

– Wydrukować?

– Chciałabym pozbiierać zdjęcia uprowadzonej dziewczynki – powiedziała i wskazała swoją rozłożoną tablicę.

Berger pokiwał głową, zrobił zrzut ekranu i puścił film. Dzielnica znów była kompletnie pusta. Przewinął do przodu. Gdyby nie pewien wróbel –

nocny marek – można by pomyśleć, że to stop-klatka. Po chwili jednak ustawił z powrotem normalne tempo. Niebawem przez kadr przejechała furgonetka. Ponownie zatrzymał obraz. Na boku furgonetki widniał wyraźny napis „Statoil” – wielkie litery nad znacznie mniejszymi.

– Ach – westchnęła Molly Blom.

– Ach – potwierdził Berger i przybliżył mniejszy wyraz.

Wprawdzie był pikselowaty i ledwo dało się go odczytać, ale byli prawie pewni, że to nazwa miejscowości – Gävle.

– Tu jedzie William – oznajmił Berger. – Siedem minut później. W tym momencie Emma Brandt dotarła już do najwyższego punktu mostu Väster. Może nawet zaczęła rozcinać ogrodzenie.

Samochód jechał dalej w superszybkim tempie. Kiedy Berger zatrzymał obraz, dało się odczytać dwie litery i cyfrę z tablicy rejestracyjnej.

– Wy z Säpo zatailiście przed nami informację o samochodzie Statoil – powiedział Berger. – Ale znalazłem ją na twojej tablicy. Numer rejestracyjny się zgadza.

Blom skinęła głową.

– Ładnie. Zgadza się. Statoil w Gävle. Na Sätrahöjden. Sprawdziliśmy to dokładnie. Wynajęty w maju przez Johana Erikssona.

– Brata Erika Johanssona?

– Hm – mruknęła Blom. – W każdym razie dokładnie to zbadaliśmy. Nie było po nim żadnych śladów. A filmy z kamer przemysłowych na stacji benzynowej zostały już dawno usunięte.

– Nie zdziwiłoby mnie, gdyby to była ta sama furgonetka, którą widziano przed szkołą Ellen Saviger na Östermalmie.

– W każdym razie jesteśmy coraz bliżej dowodów – stwierdziła Blom.

Wrócili do komputerów. Na zewnątrz hangaru nie mogło już być ciemniej. Upływu czasu nie było widać w otoczeniu, tylko na ich coraz bardziej

zmęczonych twarzach.

Po dwóch godzinach na twarzy Bergera pojawił się krzywy uśmiech. Zgarnął bezpieczny telefon Blom i wyszedł na pomost.

W czasie dość długiej rozmowy Blom użyła nowo kupionej drukarki do wydrukowania portretów Sunisy Phetwiset i Emmy Brandt, dwóch niedawno odkrytych potencjalnych ofiar. Podeszła do tablicy i przyczepiła nowe twarze obok starych. Było ich teraz w sumie siedem. Kiedy zobaczyła rząd młodych twarzy – należących do ofiar obłąkanego seryjnego mordercy, który ćwierć wieku wcześniej prawie zamordował również ją – poczuła nie tylko niesmak i przerażający smutek, ale również coś innego. Myśl, której brakowało kierunku, celu i znaczenia i która szybko uleciała.

Wiedziała, że chodzi o coś, co zobaczyła w tych siedmiu twarzach. A teraz już tego nie było.

Berger wrócił, uniósł telefon i niepotrzebnie dziarskim tonem oznajmił:

- Jutro jedziemy do Kristinehamn.
- Ale to przecież ze trzysta kilometrów.
- Tylko dwieście pięćdziesiąt. Pomyśl o tym, że kiedyś pokonałaś taką odległość na rowerze.

Spodziewał się surowego spojrzenia. Ale Molly Blom odpowiedziała tylko:

- Mów.
- Jonna Eriksson zniknęła razem ze swoim chłopakiem Simonem Lundbergiem z domu zastępczego w Kristinehamn dwunastego lutego tego roku. Policjanci z nowego okręgu Bergslagen przeprowadzili pokaźną liczbę wywiadów z jej byłymi i obecnymi przybranymi rodzicami, z kolegami, nauczycielami, *you name it*. Nie udało się ustalić nic istotnego poza tym, że uciekli razem, każde ze swojego domu zastępczego. Nikt się nimi szczególnie nie interesował. Ale była data. Dzień, w którym najlepsza przyjaciółka

Jonny, Sandra, miała wrócić z długiej podróży po Australii i okolicach. Ta data wypadła kilka dni temu. Dziewczyna jest już w domu. I ma co opowiadać.

– I to jest warte pięćsetkilometrowej jazdy samochodem?

– Tak myślę. Sandra zna tajną kryjówkę w lasach Värmlandii, w której Jonna i Simon mogli się schować przed światem. Nikt inny o niej nie wie. I nikt się z nią nie kontaktował, kiedy podróżowała po Australii.

Blom skinęła głową i się uśmiechnęła. To był wyjątkowy uśmiech.

Chwilę później wstała i podeszła do tablicy. Po raz kolejny popatrzyła na twarze. Prawie wszystkie były uśmiechnięte.

Na zdjęciach widniały Aisza Pachachi, Nefel Berwari, Julia Almström, Sunisa Phetwiset, Jonna Eriksson, Emma Brandt i Ellen Saviger.

– Był taki moment, kiedy stojąc tutaj, przy tablicy, doznałam czegoś w rodzaju objawienia – powiedziała Blom. – Już się ulotniło, ale widzę coś innego. Kiedy William wynajął dom w Märsta jako Erik Johansson?

– Ponad dwa lata temu – odparł Berger i uważnie jej się przyjrzał. – Zaczął wynajmować w marcu dwa i pół roku temu. Właściciele mieszkają w Argentynie.

– Marzec – powiedziała Blom. – Pierwszą ofiarę, Aiszę, porywa po zakończeniu szkoły siódmego czerwca. Nie ulega wątpliwości, że zabrał ją do domu w Märsta. Ściana. Dlaczego pętle do mocowania były tak głęboko osadzone? Nie byłam w tym domu. Ale czy ta cała labiryntowa struktura to jego dzieło?

– Nie wiem – odpowiedział Berger. – Tak czy inaczej, wydaje się chore.

Molly Blom podrapała się mocno po głowie, jakby chciała pobudzić komórki mózgowie. W końcu oznajmiła:

– Jeśli nasze hipotezy są słuszne, w ciągu dwóch i pół roku wprowadził siedem dziewczyn. Dom w Märsta jest jedynym miejscem zbrodni, jakie

mamy. Czy to znaczy, że miał do dyspozycji siedem równie skomplikowanych budynków? W których mógł spokojnie budować swoje zegary i torturować na nich dziewczyny? Czy nie musi ich być mniej? Czy nie byłoby logiczne, gdyby istniał tylko jeden zegar, jedno miejsce zbrodni, do którego zabierał wszystkie dziewczyny?

– Okej – odparł Berger. – Twierdzisz, że w Märsta mieściła się kwatera główna? Że Ellen nie była pierwsza w tym domu? Mimo że tylko jej DNA odnaleziono?

– A nie może tak być? – zapytała Blom, a jej oczy lśniły, jakby znów doznała objawienia. – Z każdą kolejną torturowaną dziewczyną stawiał nową warstwę ściany. To było możliwe, bo pętle mają dziesięć centymetrów długości. W końcu nie zostało z nich już zbyt wiele. Zamurował wszystkie ślady DNA.

Berger poczuł, że intensywne myślenie zniekształciło mu rysy twarzy.

– Jutro musimy jechać do Märsta. Choć liczyłem na Kristinehamn.

– Jutro? – odparła Blom i włożyła bluzę treningową.

## 25

**Czwartek, dwudziesty dziewiąty października, godz. 0:01**

BERGER PRZYLGNAŁ plecami do drewnianej ściany. Naprawdę była tak zbutwiała, że aż porowata. Zerknął na resztki sąsiednich domów. Wiedział, że Blom przycupnęła gdzieś tam w ciemnościach, widział tylko grę światła jej latarki na trawie. W górze, przy czubkach osik, nie było już żadnych liści, nocy nie przeszywał jakikolwiek szum.

I nie padało.

Zerknął na zegarek. Wskazówki za niemal pozbawionym wody szkiełkiem właśnie minęły północ.

Wkroczyli w godzinę duchów.

Blom nagle zniknęła. Kiedy podniósł wzrok znad tarczy zegarka, już jej nie było. Światło jej latarki omiatało trawę, drzewa, zbutwiałe ściany zrujnowanych domów, niewielkie, na wpół rozpadłe drzwi w fasadzie.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły. Światło padało na zrujnowany dom, przechodziło przez niego i skupiało się na ścianie z tyłu.

W drzwiach pojawiła się Blom. Przywołała go do siebie gestem. Podeszedł. Zobaczył, że przeciwna ściana jest całkowicie otwarta, niczym drzwi garażu. Jej palec wskazujący zanurkował w sнопie światła i wskazał glinę, która była tam zamiast podłogi. Widniały w niej wyraźne, względnie świeże ślady kół.

Ruszyli dalej. Jak dawno temu po raz ostatni pokonywał ten odcinek? Dogonił skulonych kolegów i patrzył, jak wyłaniają się z ulewy, jeden po

drugim, przygarbione postaci, które, choć widział tylko ich plecy, emanowały szczególną powagą.

Wkrótce ramiona jednego z nich miały zostać przeszyte latającymi ostrzami. Uświadomił sobie, że wcale nie było to dawno – Ekman pewnie jeszcze leżał w szpitalu. Próbował policzyć doby, ale na próżno – jego myśli podryfowały w innym kierunku.

W kierunku dowodów. Perspektywy Allana.

Wiele się zdarzyło w ciągu tych paru dni, absurdalnie wiele spraw zostało wykopanych z przeszłości. Udało im się znaleźć siedem możliwych ofiar szalonego mordercy, którym najprawdopodobniej był William Larsson. Jednak tak naprawdę istniał tylko jeden dowód na to, że mieli do czynienia z brutalnym porywaczem, i ani jednego, który wskazywałby na seryjnego mordercę. Jedyнным namacalnym dowodem pozostawała próbka DNA z piwnicy domu, który mieli przed sobą. Krew Ellen Saviger.

Poza tym nie było nic.

Aisza Pachachi mogła równie dobrze dołączyć do brata i zostać młodą żoną kogoś z Państwa Islamskiego w Syrii.

Nefel Berwari mogła paść ofiarą mordu rytualnego w Brovalli w Örebro.

Julia Almström mogła uciec z kraju ze swoim nieznanym nikomu chłopakiem, byłym więźniem.

Sunisa Phetwiset mogła zostać zabita przez pedofila Axela Janssona.

Jonna Eriksson mogła uciec ze swoim chłopakiem i bratem w niedoli Simonem Lundbergiem.

Emma Brandt mogła zeskoczyć z mostu Väster i wypłynąć z prądem na otwarte wody.

A William Larsson mógł równie dobrze być widmem z mrocznej przeszłości Sama Bergera i Molly Blom, który przyjął realną postać, chociaż nie istniał. Obiektywnie rzecz biorąc, najbardziej prawdopodobne było to, że



zmarł w latach dziewięćdziesiątych z powodu poważnych deformacji szkieletu.

Wszystko mogło być tylko wymyślonym upiorem, który teraz, w godzinie duchów, miał pokazać swoją prawdziwą naturę.

Wszystko oprócz sprawy Ellen Saviger. Ona ponad wszelką wątpliwość była porwaną, a może i zamordowaną piętnastolatką.

Choć może za plamą na ścianie znajdował się dowód, że to nie wymyślone upiory, lecz jak najbardziej realne ofiary seryjnego mordercy.

Przy schodach na werandę nadal powiewała biało-niebieska plastikowa taśma, choć wiatr był właściwie niewyczuwalny. Berger poszedł przodem, Blom za nim. Prawdopodobieństwo, że w domu ktoś jest, było zerowe, a jednak równocześnie i niezależnie od siebie wyjęli broń.

Berger otworzył drzwi i przykucnął obok. Poświecił na mechanizm rzucający nożami. Nic się nie zmieniło. Wszedł do środka, Blom poszła jego śladem.

Po lewej, w salonie, wszystko wyglądało jak przedtem. Szybko zajrzał do sypialni, a potem do kuchni. Wejście w podłozie było otwarte, policyjne taśmy znajdowały się w tych samych miejscach co podczas jego poprzedniej wizyty. Nic nie wskazywało na to, że od tamtej chwili ktokolwiek był w domu.

Berger poświecił na schody i stanął na nich, potem zszedł i omiół światłem ściany labiryntu. Obrócił się i zobaczył skupioną twarz Blom, lśniąca w ciemności. Przemierzyli labirynt i dotarli do przejścia wybitego w dolnym rogu. Berger opadł na kolana i powoli wszedł, z bronią w gotowości. Światło pełzało po gołych, lecz nie twardych ścianach, w czasie gdy Blom wsuwała się do komórki. Kiedy weszła, posypało się na nią sporo szarobiałego pyłu, jakby ściana nad otworem miała runąć. Przez chwilę pluła drobkami betonu. Potem się rozejrzała i podeszła do dalszej ściany. Pomału

powiodła dłonią po krawędziach plamy krwi, pochyliła się i w świetle latarki znalazła ślady paznokci. Paznokci u nóg. Paznokci u rąk. Potem przyjrzała się obu podporom i dotknęła pętli w ścianie.

Berger widział po niej, że też czuje krzyk ścian. Nie słyszy, lecz czuje. Za pierwszym razem był nim przytłoczony. Ona pewnie też była przytłoczona, choć na swój sposób. Można było zadać pytanie o liczbę tych krzyków.

Czy krzyczał cały dziewczęcy chór?

– Tak – powiedziała w końcu. – To musiał być ten sam zegar.

– Zegar wieżowy – odparł. – Znacznie potężniejszy, niż niektórzy sądzą.

– Ja się nie zaliczam do niektórych – odparła twardo Blom i wróciła do ściany po lewej od plamy krwi. Zaczęła grzebać w szczelinie wybitej wokół środkowej pętli. – Trudno stwierdzić – oznajmiła. – Może tu być kilka warstw, ale to jest tak brutalnie poodłupywane...

– Przykro mi, że moim odłupywaniem nie zadowolilem jaśnie pani – odparł naburmuszony Berger.

– Tak czy inaczej, tym razem musimy to robić delikatniej – powiedziała spokojnie Blom i z dwóch spośród wielu kieszeni wojskowych spodni wyjęła młotek i dłuto.

Przyłożyła dłuto do środka plamy i odwróciła się do Bergera. Skinął głową.

– To trudniejsze, niż się wydaje.

Uderzyła raz. I nic. Potem jeszcze raz. Udało jej się odłupać kilka odłamków.

Po pewnym czasie zdołała wyrąbać kontury kwadratu o boku liczącym trzy centymetry. Zaczęła ostrożnie odłupywać jak najcieńsze warstwy ściany w jego wnętrzu.

Po jednym centymetrze ściana zmieniła kolor. Blom uderzyła jeszcze raz. Od ściany odpadł większy płat cementu i uwolnił mały, wyraźnie

czerwonobrunatny kawałek ściany.

– O cholera – powiedział Berger i wyjął z kieszeni woreczek na dowody.

Blom włożyła rękawiczki, wydłubała kawałek rdzawobrunatnej ściany i upuściła go do otwartego woreczka Bergera, on zaś zasunął woreczek i wodoodpornym mazakiem zapisał na etykiecie: „Warstwa 1”. Włożył go do kieszeni i dalej obserwował i nadzorował jej pracę.

Po dobrej chwili precyzyjnego obtłukiwania pojawiła się kolejna warstwa. Zacisnęli pięści i cała procedura zaczęła się od nowa. Tym razem jednak Blom podała młotek i dłuto Bergerowi.

Po chwili uniósł woreczek z napisem „Warstwa 3”, uważnie mu się przyjrzał w świetle latarki i rzekł:

– Pytanie brzmi tylko, jak pozyskamy DNA.

– Może coś się znajdzie – powiedziała Blom i popatrzyła na mały woreczek znikający w kieszeni.

– Niech zgadnę... – odparł Berger. – Zasoby zewnętrzne?

Odłożył narzędzia na podłogę i przyjrzał się swoim dłoniom. Ze zdziwieniem zauważył, że ma na nich więcej odcisków, niż kiedy uwalniał znacznie większe pętle do mocowania.

– Zbyt często przebywam z kobietami – stwierdził.

Blom kompletnie go zignorowała, podniosła młotek i dłuto i dalej uderzała w kwadrat. Wkrótce pojawiła się kolejna rdzawoczerwona warstwa.

Czas płynął. Berger przejął narzędzia. Pracował długo.

W końcu oboje patrzyli na woreczek, na którym widniał – niewątpliwie kreślony drżącą ręką – napis „Warstwa 6”.

– Sześć warstw plus Ellen – powiedziała Blom. – Siedem dziewczynek.

Ze ścian piwnicy znowu dobiegł krzyk, Berger miał nawet wrażenie, że słyszy siedem głosów. Siedem głosów z czyścica.

Próbował myśleć racjonalnie. Nie było to łatwe.

– Dziewczynek nie musi być siedem – oznajmił. – Mogą być też inne. Możliwe, że ofiar jest więcej.

Nagle coś usłyszeli. Nie był to zbyt głośny dźwięk, ale i tak sprawił, że Molly Blom zupełnie zeszywniała. Zdążyła pośpiesznym gestem uciszyć Bergera, zanim w ogóle przyszło mu do głowy cokolwiek powiedzieć.

Otwierane drzwi?

A może po prostu dźwięk, który rozbrzmiewał tu wraz z nastaniem godziny duchów?

Blom i Berger stanęli nieruchomo.

Żadnych kolejnych dźwięków nie było. Tylko głucha cisza.

Blom zgasła swoją latarkę i zasłoniła latarkę Bergera. Nagle rozległo się delikatne szuranie.

Jakby stopa na schodach do piwnicy.

Berger bezszelestnie wyjął pistolet z kabury, uniósł w powietrze palec, potem dwa palce i zrobił pytającą minę. Blom pokręciła głową, jakby sama też nie potrafiła stwierdzić, i zaczęła się przemieszczać, imponująco bezgłośnie, w stronę otworu w dolnym rogu ściany. Nawet kiedy rozległy się kolejne kroki, niedaleko otworu w ścianie, nie byli w stanie rozstrzygnąć, czy mają jednego gościa, czy jest ich więcej.

W każdym razie tylko jeden człowiek naraz mógł wejść do celi.

Ustawili się strategicznie wokół otworu. Oboje wycelowali pistolety w wejście. Berger zgasił latarkę. Zapadła kompletna ciemność. Znów było słychać kroki. Dźwięk człowieka, który opada na kolana, kładzie się na brzuchu.

Rozległ się odgłos sugerujący, że ktoś przechodzi przez szczelinę.

Berger włączył latarkę i w tej samej sekundzie kopnął ścianę nad otworem. Postać, która właśnie weszła do celi, została całkowicie pokryta szarobiałym pyłem.

– Nie ruszaj się! – wrzasnęła Blom.

Chmura unoszącego się w powietrzu pyłu powoli opadała na przybysza. Jego twarz była szarobiała, dopóki brązowe oczy się nie otworzyły. Widniało w nich czyste przerażenie.

To były sarnie oczy.

– Deer, do ciężkiej cholery! – krzyknął Berger i opuścił pistolet.

– Okej – powiedziała schrypniętym głosem Desiré Rosenkvist. – Teraz to naprawdę jest koszmar.

– Jesteś sama? – ryknęła Blom.

– Przerażliwie sama – odparła Deer.

Berger chwycił ją za rękę i postawił na nogi.

– Stanowczo zbyt często przebywam z kobietami – oznajmił.

Blom opuściła również swój pistolet i zapytała:

– Co ty tu robisz?

– Czy to nie ja powinnam zadać to pytanie? – odparła Deer i zaczęła się otrzępywać. – Już od dawna próbowałam się z tobą skontaktować, Sam, ale Allan powtarza tylko, że przesłuchania trwają. Co tu się wyprawia, do cholery?

– Długa historia – oznajmił Berger.

Deer wskazała Blom i powiedziała:

– No proszę, Nathalie Fredén. I oboje jesteście uzbrojeni. To naprawdę jakiś pieprzony koszmar.

– Trudno to w prosty sposób wytłumaczyć – powiedział Berger. – Musisz się zdecydować, czy mi ufasz, czy nie.

Deer patrzyła na niego sceptycznie.

– Czyli ona jest gliną? – zapytała. – Od Allana dowiedzieliśmy się tylko, że ją wypuszczono, a ty zostałeś zabrany na przesłuchanie przez „wewnętrznych”. Choć nie mogę powiedzieć, że nie czułam w tym wyraźnie

ręki Säpo.

– Tak, jestem gliną – potwierdziła Blom, nie chowając pistoletu. – Co ty tu robisz?

– Nagła myśl w środku nocy. Ściana. Dlaczego była taka gruba? Czy nie wydaje się nieprawdopodobne, że przestępca pogrubiał ją o dziesięć centymetrów za jednym razem? A może przebiegało to etapami? Może Julia Almström i Jonna Eriksson też się opierały o tę ścianę.

– Dobrze cię wyszkoliłem, Deer – powiedział Berger i wyciągnął w jej stronę jeden z małych woreczków.

– Gówno, a nie wyszkoliłeś i dobrze o tym wiesz – odparła i przeczytała napis „Warstwa 6”. – Sześć?

– Sześć warstw pod tą obecną, wszystkie z wyraźnymi śladami krwi. Siedziało tu siedem dziewczyn.

– Co, do cholery? – wykrzyknęła Deer. – Co to ma być? Prowadzicie jakieś tajne równoległe śledztwo? Na konto Säpo? Zwerbowali cię, Sam?

– Sprawa jest bardziej skomplikowana – odparła Blom. – Pytanie brzmi, czy możemy ci ufać.

– Nie rozumiem kontekstu – odparła podniesionym głosem Deer. – Ufać w jakim sensie?

Berger rzucił Blom szybkie spojrzenie i wydawało mu się, że uzyskał coś w rodzaju potwierdzenia.

– Nas nie ma – wyjaśnił. – Nie spotkałaś nas tutaj. Sama wyrąbałaś ten kwadrat w ścianie. To ty zabierzesz te sześć woreczków do Robina i Narodowego Centrum Kryminalistycznego.

Deer prychnęła i pokręciła głową.

– Tak myślałam, że coś tu śmierdzi. Zwialiście?

– Pracujemy poza zasięgiem radarów – odparła Blom. Nadal trzymała w ręku pistolet.

– Sam? – powiedziała Deer tonem ponaglenia.

– *Undercover* – potwierdził. – Masz jeszcze swój stary telefon na kartę?

– Leży rozładowany w domu – odparła Deer.

– Wyślę ci esemes z czterema nazwiskami. Sprawdź, czy to się zgadza. DNA Julii, Jonny i Ellen już mamy. Musisz załatwić DNA z czterech pozostałych, starych śledztw. Szuflady w komodzie, grzebienie, szczoteczki do zębów, ubrania, lokówki, cokolwiek.

– Z drugiej strony, właściwie już prawie nie ma żadnego śledztwa – stwierdziła Deer ponuro. – Niewiele z niego zostało. Przypuszczam, że wkrótce przejmie je Säpo.

– To, o czym mówię, może tchnąć w nie trochę życia. Zorientujesz się w sytuacji, kiedy otrzymasz nazwiska. Będziesz mogła prześledzić te sprawy. Odpowiedz na esemes po zakończeniu analiz. Unikaj oficjalnych kanałów.

Deer westchnęła i było widać, że intensywnie myśli.

– Tak było? To naprawdę seryjny morderca?

– Tak i wygląda na to, że wszystkie siedem ofiar przebywało tutaj – odparł Berger.

– Czułam to już za pierwszym razem, kiedy weszłam do tej piekielnej piwnicy – powiedziała Deer. – Tutaj wydarzyło się wiele złego.

– Spadamy – rzekł Berger i podał jej pozostałe woreczki. – Przypominam: nie widziałas nas.

– Nawet nie wiem, kim jesteście – odparła Deer i ruszyła w stronę ściany. Uważnie się przyjrzała wybitej dłutem dziurze i pokręciła głową. – Przede wszystkim nie wiem, kim ty jesteś, Sam – ciągnęła. – Okłamałeś mnie. Naprawdę prowadziłeś tajne równoległe śledztwo. Utrudniając to prawdziwe. Nie wyobrażam sobie, abyś pozostał w policji.

– Teraz ważne jest tylko to, żebyś mi ufała, Deer. Za resztę przeproszę w bardziej sformalizowanych okolicznościach.

Berger klęknął i wysunął się tyłem przez otwór.

Deer odwróciła się do Blom.

– A ciebie w ogóle nie znam – powiedziała. – Coś ty za jedna?

– Eva Lindkvist – odparła Molly Blom i wreszcie schowała pistolet do kabury.

Kiedy poszli, Deer podniosła ręce do uszu i mocno je przycisnęła.

Ale krzyki były coraz głośniejsze.



## 26

**Czwartek, dwudziesty dziewiąty października, godz. 7:02**

NIE KAZAŁ IM zbyt długo na siebie czekać.

Zaczął się od dyskretnej zmiany koloru wzdłuż powierzchni. Świat z wysiłkiem dźwigał się z mroku, wyraźnie miał dwie części, dopóki czerwień świtu nie oddzieliła góry od dołu, nieba od wody. Ze szczeliny pomiędzy nimi wypływały kolory i rozchodziły się po wodzie.

Stali na pomoście po dwóch godzinach snu. Berger dotknął zabandażowanej lewej dłoni i poczuł, że Blom go obserwuje.

– Co się działo, kiedy zwiąłeś? – zapytała. – Wtedy. Dwadzieścia trzy lata temu.

Pokręcił głową.

– Kiedy odbiegłem kawałek, twój krzyk ustał. Nawet wtedy się nie odwróciłem. Pobiegłem z podkulonym ogonem i się schowałem. Nic nie powinno być bardziej niepokojące od nastolatka, który przesadza z normalnym zachowaniem. Ale moi rodzice niczego nie zauważyli.

– A William?

– Po prostu go unikałem – odparł Berger. – Do końca semestru. I nadal nie wiedziałem, kim ty byłaś. Nie widziałem cię wystarczająco wyraźnie.

– Myślisz, że nas nienawidził? – spytała Blom.

Berger wpatrywał się w niespodziewanie szybko wstające słońce i odparł:

– Żeby cokolwiek z tego zrozumieć, trzeba sobie uświadomić, kim był

William. Mówimy o matce i synu, którzy musieli się wyprowadzić z Huvudsta, Hässelby, Stuvsta i Bandhagen, bo syn był tak mocno prześladowany. Brnął przez życie z tą kostropatą twarzą, trzymał się mocno swoich zegarów, choć wokół niego raz za razem rozpętywało się piekło. W końcu coś pękło. Mogła o tym zdecydować ta śnieżka, którą rzuciłyście w zegarek, kiedy mi go pokazywał, mogło to być coś zupełnie innego.

– Śnieżka... – odparła Blom. – Nie rzuciłam jej.

– Ale byłaś tam. Stałaś w tej grupie. On kochał zegary, były dla niego największą świętością. Zegarki na rękę, kieszonkowe, ściennie, a teraz zbudował najbardziej skomplikowany ze wszystkich: zegar wieżowy. Choć bez wieży. Tylko z hangarem. I zaczął modyfikować swoją konstrukcję z myślą o zemście. Padło na ciebie, Molly, ale pewnie był to zwykły przypadek.

– Teraz jest inaczej. Teraz nic nie jest przypadkowe.

– To zupełnie inny poziom. Kiedy pokazywał mi zegarki, chciał być podziwiany, widziany z perspektywy tego, w czym był dobry. Chciał się dzielić. To, że znowu tego chce, na pewnym poziomie oznacza, że już sięgnął dna. Kiedy ktoś robi coś takiego, są dwie możliwości. Albo: co nas nie zabije, to nas wzmocni. Albo: ten, kto zostaje mordercą, sam już jest martwy.

– Chcesz powiedzieć, że to zastępcze samobójstwo?

– Najwyraźniej nie został odpowiednio wzmocniony.

– Czyli jak?

– Nie wiem – przyznał Berger. – Wybaczenie to nie moja działka.

– Sugerujesz, że to jedyne rozwiązanie?

– Może. Uczyć się od zła, żeby je zrozumieć i umieć zwalczyć. W sobie i poza sobą. Mnie się nie udało.

– Ja też nie wybaczyłam – odparła Blom. – Jak sobie z tym poradzić?

– Ale potrafiłaś pójść dalej.

– Tak, odgrywając swoje życie.

– Wydaje mi się, że wszyscy ciągle to robimy. Kiedy byłem synem, odgrywałem syna. Kiedy byłem ojcem, odgrywałem ojca. W przyszłości będę odgrywał staruszkę. I trupa.

– Ale nie policjanta?

– Nie sądzę, żebym kiedykolwiek odgrywał policjanta. A ty?

– To jedyna rola, jakiej nigdy nie grałam – odrzekła Blom.

Przez chwilę stali w bezruchu. Czerwień przeszła w światło dnia i bez żadnych hamulców rozprzestrzeniła się po wodach zatoki Ed. Dzień nadszedł. Pytanie brzmiało tylko: jaki dzień.

– Ta rola pewnie niedługo dobiegnie końca – stwierdził Berger.

Blom wolno pokiwała, a potem pokręciła głową. Weszła z powrotem do hangaru. Berger poczekał chwilę. W końcu poszedł za nią.

Obserwował ją, kiedy wkładała wierzchnie ubrania i pochłaniała napój proteinowy, jednocześnie oglądając filmy z kamer z poprzedniej nocy. Ekran podzielił się na cztery równe części, cztery perspektywy na otoczenie hangaru. Nic się nie działo, w żadnej kratce.

– Spokojna noc – stwierdziła i zasunęła zamek sportowej bluzy.

Patrzyła na niego sceptycznie, kiedy brał do ręki starą marynarkę i powoli ją wkładał.

– Dziwna z nas para – stwierdziła i wyszła.

Dogonił ją przy ogrodzeniu.

– Ja poprowadzę – powiedziała i wyciągnęła rękę, a on włożył do niej kluczyk.

I tak nie miał ochoty pokonywać całej drogi do Kristinehamn skradzioną mazdą z dziewięćdziesiątego czwartego na fałszywych numerach.

Przez dwieście pięćdziesiąt kilometrów udawało im się uniknąć deszczu. W czasie jazdy zdarzyła im się tylko jedna wymiana myśli zasługująca na

miano rozmowy.

– Opowiedz o wspinaczce – poprosił Berger.

– O wspinaczce? – odparła Blom.

Samochód pokonywał irytujący odcinek nieopodal Örebro, na którym obowiązywało ograniczenie do dziewięćdziesiątki.

– Zdaje się, że to twoja życiowa pasja.

– Naprawdę chcesz, żebyśmy rozmawiali o życiu?

Roześmiał się i odparł:

– Ech, kij z tym. Ale to trochę niesprawiedliwe.

– Jak to?

– Znam cię dużo lepiej jako Nathalie Fredén niż jako Molly Blom. A ty zagłębiałaś się w stabilnie jednorodne wnętrze Sama Bergera.

Naprawdę można było odnieść wrażenie, że na jej wygładzonym czole pojawia się zmarszczka. Choć prawdopodobnie był to tylko efekt słońca, które nagle się przebiło przez pokrywę chmur.

– Tak – powiedziała w końcu. – Lubię się wspinać.

– Wyobrażam sobie, że ktoś, kto pracuje jako agent, ma ochotę odsapnąć przy zajęciu, które nie przypomina mu o pracy. Wyszywanie? Pelargonie?

– Chcesz powiedzieć, że wspinaczka przypomina moją pracę?

– A tak nie jest? Czy w obu przypadkach nie chodzi o zachowanie ekstremalnej kontroli na krawędzi przepaści?

– W pewnym sensie – zgodziła się. – Ale kiedy tam wiszę, na łonie bezkresnej przyrody, czuję tylko wielką, potężną wolność.

Skinął głową.

– Ja mam lęk wysokości – powiedział. – Poza tym nie bardzo ufam samemu sobie. Mógłbym mieć atak i po prostu się puścić.

– Teraz ty opowiedz o zegarkach.

Uśmiechnął się.

– Zegarki mnie uspokajają. W tym, jak współgrają wszystkie te maleńkie kółka, jest coś niepowtarzalnego. Wkraczam do innego świata i czerpię z niego siłę. W nim czas zawsze jest taki sam. Spokojny i prosty. Dzięki temu skomplikowaniu.

– To dziwnie przypomina wspinaczkę – stwierdziła Blom.

– Wspinaczkę z siatką bezpieczeństwa – dodał Berger.

Potem milczeli aż do Kristinehamn.

\*\*\*

W rogu Södra Torget, na wzmagającym się deszczu, siedziała naburmuszona dziewczyna. Przez jej stanowczo zbyt cienkie ubranie prześwitywały tatuaże. Kiedy zajrzała do samochodu, wyglądała na bardzo podejrzliwą.

– Sandra? – spytał Berger.

– Mhm – odparła. – A kto to jest?

Blom wyciągnęła swoją ze wszech miar fałszywą legitymację policyjną i powiedziała:

– Wskakuj do tyłu.

– Nie wydaje mi się – odparła Sandra. – Jonna i Simon właśnie to zrobili.

– Nie byłaś wtedy w Australii? – zapytał Berger. – Spokojnie, jesteśmy policjantami. I chcemy tylko z tobą porozmawiać. Wczoraj przez telefon powiedziałaś coś o tajnej kryjówce...

Sandra ciężko westchnęła i wskoczyła do samochodu. Blom powoli ruszyła i zatrzymała samochód na parkingu kawałek dalej.

– Jaskinia – powiedziała Sandra. – To było nasze tajne miejsce, kiedy byliśmy małe. Ale nie wiem, czy pokazała je Simonowi.

– Trzymaliście się razem w dzieciństwie? – zapytała Blom.

– Tak – odparła Sandra. – Przez dwa lata mieszkaliśmy u tej samej rodziny zastępczej. Jaskinia była miejscem, w którym się chowaliśmy przed światem. Potem Jonna się przeprowadziła i nasze spotkania były rzadsze.

Simona widziałam jakieś dwa razy.

– Wydaje się prawdopodobne, że pokazała tę jaskinię Simonowi?

Sandra skinęła głową.

– Myślę, że uciekali do niej od czasu do czasu – odparła Sandra. – Kiedy nazbierało się za dużo gówna. Tak jak wcześniej my.

– Jak dawno temu ostatnio tam byłaś?

– Dopiero co wróciłam do domu z Australii, nie było mnie prawie rok. A przedtem nie przychodziłam do tej jaskini od jakichś dwóch lat. Teraz uciekam dalej...

– Możesz nas tam zaprowadzić, Sandro? – zapytał Berger.

Bez słowa skinęła głową. Ruszyli. Wjeżdżali na coraz węższe drogi, w głąb värmlandzkich lasów. Coraz silniejszy deszcz głośnie stukał o dach samochodu. Wjechali do bardziej pagórkowatej części lasu, podmokłe drogi wznosiły się i opadały. Kilka razy omal się nie zakopali. W końcu Sandra wskazała przed siebie, na znak z dużą literą M. Oznaczał *mötesplats* – miejsce, w którym droga jest szersza, żeby samochody mogły się wyminąć.

– Tędy biegnie ścieżka w las – powiedziała.

Blom wjechała do połowy na trawę przy znaku, w miejscu, w którym gliniasta droga trochę się rozszerzała. Zanim wyłączyła silnik, przednie koła zdążyły się zagłębić na kilka centymetrów w brei.

– Może z pięćset metrów stąd – oznajmiła Sandra. – Ścieżka nie jest zbyt wyraźna.

– Tam jest bardzo mokro – powiedziała Blom. – Zostań w samochodzie.

– Ni chuja – odpowiedziała Sandra i otworzyła tylne drzwi.

Poprowadziła ich ścieżką, której bez jej pomocy raczej by nie zauważyli. Mokre iglaste gałęzie na przemian smagały ich i ochlapwały wodą. Już po kilkunastu metrach ich ubrania były zupełnie przemoczone. Jedyne pocieszenie stanowiło to, że nie mogli już bardziej zmoknąć.

Po chwili teren zrobił się pagórkowaty. Wędrowali wzdłuż całkiem stromego zbocza, na którym nawet mchom i porostom coraz trudniej było się utrzymać. Po chwili zbocze skręciło i szli w pewnej odległości od niego. W końcu Sandra się zatrzymała i wskazała punkt. Po jej policzkach spływały nieprawdopodobne ilości tuszu do rzęs.

– Krzaki urosły – powiedziała.

Podążyli za jej palcem. W pewnym miejscu równa roślinność biegnąca wzdłuż dolnej krawędzi zbocza robiła się nieregularna. Był tam zagajnik, na który żadne z nich nie zwróciłoby uwagi, gdyby nie to, że szukali odstępstw od normy. Może znaleźliby go bez Sandry, ale najprawdopodobniej nie. Jeżeli za krzakami było wejście do jaskini, natura dobrze je zamaskowała.

Sandra ruszyła w kierunku skały. Blom położyła jej dłoń na ramieniu i ją zatrzymała. Sandra odwróciła się ze zirytowaną miną.

– Zostań tu – poleciała Blom.

– Możesz przykucnąć pod tą sosną – powiedział Berger i wskazał duże drzewo, mając nadzieję, że to sosna.

Z wyraźną niechęcią Sandra powłokła się w stronę pnia, a Blom i Berger ruszyli do jaskini. Berger spojrział przez ramię – Sandra wyglądała jak widmo z nordyckiej mitologii. Jej biała twarz była poznaczona czarnymi paskami, a oczy wyglądały jak wielkie kule.

Nie wiedzieli, co to za krzewy tam rosną – kolczaste i rzeczywiście tak wysokie, że trudno było sobie wyobrazić, iż dwie dziesięćlatki przedarły się przez nie, uciekając przed wrogim światem. W ciągu ostatnich lat musiały się rozrosnąć.

Pytanie brzmiało, czy ktokolwiek się przez nie przedarł nie przed pięciu laty, ale przed ponad pół rokiem. W połowie lutego.

Kiedy Jonna Eriksson i Simon Lundberg zniknęli z powierzchni ziemi.

Blom nie zamierzała patrzeć, jak Berger przygotowuje drogę. Postanowiła

utorować sobie własne przejście przez gęste zarośla. Kiedy pierwsza błyskawica przecięła metaliczne niebo, Berger już miał krzyknąć do Sandry, żeby się odsunęła od pnia, ale gdy rozbrzmiał ciężki i głuchy huk, uświadomił sobie, że pewnie jest znacznie lepiej obyta z przyrodą niż on. Poza tym krzyk wydał mu się niestosowny. Dopiero kiedy zobaczył wejście do jaskini, zrozumiał dlaczego. Sprawiała dziwne wrażenie zamieszkaney.

Właściwie było możliwe, że krył się tam William Larsson z Ellen Saverger rozpiętą na gigantycznym zegarze.

Wyciągnął pistolet, dojrzał w zaroślach Blom i przekonał się, że zrobiła to samo. Kiedy kolejna błyskawica odcisnęła na niebie swój wzór, Molly przestała być widoczna w dziwnie wrogich zaroślach. Po chwili rozległ się grzmot – tym razem wyżej i szybciej – a on zdał sobie sprawę, że dotrze do jaskini jako pierwsza. Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Czekała na niego przed wejściem. Było niewiele wyższe od przeciętnego człowieka, mroczne i ozdobione nieprzyjemną naturalną draperią w postaci pajęczyny. Z ciemności dobiegały ciche, jakby piszczące dźwięki. Niewyraźne cienie sprawiały, że niemal niewidoczne ściany jaskini lekko się poruszały. Berger uniósł latarkę, żeby poświecić do środka. Gdy tylko ją włączył, Blom chwyciła jego nadgarstek i przycisnęła do ziemi.

– To nie jest dobry pomysł – szepnęła.

Weszła do środka, świecąc w podłogę. Berger ruszył za nią, robiąc to samo. Podłoga jaskini była pokryta kamieniami, które wyglądały, jakby z biegiem lat odpadły od górnej ściany, wessane nieubłaganą siłą grawitacji. Ale było tam coś więcej. Wyglądało jak odchody. Małe odchody, może szczura.

Ciasny korytarz jaskini biegł dalej, przez jakieś kilkanaście metrów. Berger pilnował, żeby nie świecić po ścianach. Nagle korytarz gwałtownie się rozszerzył. Znaleźli się w czymś w rodzaju komnaty. Przez ukrytą



szczelinę w górnej ścianie, pięć metrów nad ich głowami, sączyło się delikatne światło. Po chwili znaleźli wytłumaczenie tej gry cieni.

Ściany jaskini były pokryte nietoperzami. Wisiały do góry nogami i lekko drżały, jakby oddychały w dziwnym, urywanym, wspólnym rytmie. Nagle zrozumiał, skąd te piski. I odchody na podłodze.

Nietoperze skupiły się jednak przede wszystkim wokół struktury w głębi jaskini, która rozciągała się przez mniej więcej metr, od podłogi do ściany. Tam nie tylko wisiały. Poruszały się, kłębiły, wchodziły na siebie, tworząc dziwaczny układ. Jakby płaskorzeźba w rzymskiej łaźni nagle ożyła.

Berger usłyszał swój własny jęk. Spojrzał na Blom. Wpatrywała się w formację nietoperzy. Obie latarki były skierowane w podłogę, kłębowisko oświetlało jedynie słabe światło dzienne, padające z górnej szczeliny.

– Liczę do trzech – wyszeptała Blom. – Potem świecimy prosto na nie i natychmiast padamy plackiem na ziemię. Okej?

Jakaś część Bergera rozumiała instynktownie. On sam jednak stał z pytającą miną.

– Okej – wyszeptał mimo wszystko.

Blom obserwowała go w półmroku. Wyglądała, jakby po raz kolejny oceniała jego stan psychiczny. Wreszcie wyszeptała:

– Raz. Dwa. Trzy!

Wiązki światła omiotły kłębiące się nietoperze. Potem wszystko zaczęło się dziać błyskawicznie. Berger rzucił się na ziemię i jednocześnie zobaczył podrywające się w powietrze nietoperze, które wyglądały jak jeden wielki, szeroki organizm w kształcie skrzydła, jak latający diabeł morski. Piski stopniowo narastały, ogromne skrzydło przeleciało im nad głowami. Zanim Berger uderzył o ziemię, nietoperze były już poza jaskinią i pewnie wznosiły się w deszczowe niebo niczym gigantyczny pióropusz. Ból wyjątkowo wolno pokonał drogę od jego kolana do mózgu, a w podwójnym świetle latarek

ukazała się struktura, którą opuściły nietoperze. Dwie skrzydlate istoty z prehistorycznych czasów pozostały – pierwszy nietoperz wisiał na żebrze, a drugi, rozbudzony, latał między całkowicie wyjedzonymi szczękami kostnej formacji.

Szczęki się poruszyły; wyglądało to tak, jakby szkielet przeżuwał nietoperza.

– O kurwa – zawołał Berger, wstając.

Szkielet siedział w kucki przy ścianie. Resztki zgniłego, wysuszonego mięsa wisiały jeszcze na kilku białych kościach. Jeden z nietoperzy uwolnił się z ust szkieletu niczym zmaterializowany krzyk i wyleciał na poszukiwanie swoich pobratymców.

Berger sięgnął po omacku po rękę Blom. Ona z kolei chwyciła jego dłoń. Trzymając się za ręce, podeszli do przycupniętych resztek ludzkiego ciała. W drżącym świetle latarek cała scena robiła wrażenie archaicznej, jakby trafili do epoki człowieka jaskiniowego.

Szkielet naprawdę kuczał, jakby odpoczywał po bieganinie za mamutem.

W wyobrażonym kręgu wokół szkieletu leżały strzępy ubrań, które spadały z ciała, kiedy jego objętość się zmniejszała. Widać było też portfel, wystający spod sterty odchodów.

Blom uwolniła dłoń z uścisku Bergera i włożyła rękawiczki. Wyjęła portfel z odchodów i drżącą ręką wyciągnęła z niego dowód osobisty.

Należał do Simona Lundberga.

Przyjrzeni się szkieletowi. Rzeczywiście mogły to być szczątki piętnastoletniego chłopca.

Poświecili po wnętrzu jaskini. Nie było już zbyt wiele do oglądania.

– Nie ma Jonny Eriksson – stwierdził Berger.

– No nie ma – odparła Blom i oświetliła z bliska resztki ubrań wokół szkieletu.

Podnosiła je, jeden fragment po drugim, całe w odchodach. W końcu odsłoniła połyskujący przedmiot.

Miał nie więcej niż centymetr średnicy, malutkie ząbki i był okrągły.

To było maleńkie kółko zębate.

## 27

**Czwartek, dwudziesty dziewiąty października, godz. 13:12**

KIEDY WRACALI do domu, Molly Blom dwukrotnie przysnęła za kierownicą. Co gorsza, zdarzyło się to w ciągu tych rzadkich chwil, kiedy Sam Berger miał wyostrzone zmysły. Poza tym nie był szczególnie pomocny. Przez większość czasu można go było określić słowem półżywy.

Kiedy wczesnym popołudniem wbiegli znów do hangaru – po sprawdzeniu filmów z kamer na parkingu – byli zgodni, że nadszedł czas wśliznąć się do śpiworów. Żadne z nich nie było w stanie policzyć, ile godzin w ciągu ostatnich dni byli na nogach.

Berger wyjął z kieszeni maleńki woreczek i zapisał kilka słów na etykietce, którą później na nim nakleił. Włożył ją razem z pozostałymi do pudełka, pod zegarki. Ostatnie, co zobaczył, to słowa „Jonna Eriksson, jaskinia”.

– Tylko dwie godziny – dobiegł głos Blom z drugiej strony ław. Zdjęła sportową bluzę, rozpięła wojskowe spodnie i stała nieruchomo.

Berger, właściwie się nad tym nie zastanawiając, zdjął bluzę i zaczął ścierać dzinsy. Zamarł, kiedy zobaczył jej ostre jak brzytwa spojrzenie.

– Wiem – powiedział. – Prędzej czy później trzeba będzie wejść do tej cholernejszej wody. Ale najpierw sen.

– Nie zareagowałam na twój zapach – odparła Blom i wymierzyła w niego wskazujący palec. – Co ci się stało w rękę?

Berger dotknął szerokiego na pięć centymetrów zagłębienia w lewym przedramieniu. Jak zawsze było pozbawione czucia.

– Stara rana – wyjaśnił i ściągnął dzinsy.

– Wygląda, jakby ktoś cię porządnie ugryzł – odparła Blom.

Ale Berger, skulony, już zasnął.

\*\*\*

*Przedlecie na opustoszałym, wysypanym żwirem boisku wydaje się dziwnie bezwzględne – spokojne powietrze nasycone jest kurzem, słońce jest ostre i szczypiące. Po drugiej stronie boiska, przy przeciwległej bramce, Sam widzi grupę ludzi. To dziewczyny, wiele dziewczyn. Słyszy ich piskliwe głosy, ale nie potrafi rozpoznać słów. Pustka nad pylącym żwirem zdaje się odfiltrowywać wszystko, co przypomina język. On stał się kimś innym, czas też uległ zmianie. Ma wrażenie, jakby w zaledwie kilka tygodni postarzał się o dwa lata. Teraz unika tego rodzaju zbiegowisk. Czuje, że został odludkiem. Jednak w nieartykułowanych krzykach dziewczyn jest coś, co go przyciąga. Wbrew wszelkim instyktom rusza w ich stronę i rozpoznaje kolejne dziewczyny po plecach. Mają letnie stroje – sukienki, spódnice – a nieubłagane słońce sprawia, że ich długie włosy mieniają się wszystkimi kolorami. Wokół nich wiruje pył, a kiedy się lekko rozstępują, Sam dostrzega, że nie są same. Za nimi wznosi się głowa kogoś wyższego. Należy do Antona, znika za kurtyną dziewczyn, powraca, jest w ciągłym ruchu. Zasłona rozszerza się jeszcze mocniej i ukazuje postać przyciśniętą do słupka bramki, przywiązaną. Długie jasne włosy opadają jej na twarz niczym kolejna zasłona. Spodnie są ściągnięte, postać od pasa w dół jest naga. Nagle Anton go zauważa, uśmiecha się swoim typowym, szerokim Antonowym uśmiechem i krzyczy do niego: „Halo! Sam! Chodź odwiedzić swojego kolegę!”. Chciałby gwałtownie się odwrócić i uciec, zanim William zdąży go zobaczyć, ale jest już za późno. Idąc przez kurtynę dziewczyn, myśli tylko: „Już*

*niedługo wakacje. Już niedługo koniec całego tego gówna”. Ale dla Antona to nie jest koniec. O nie. Wyciąga coś w jego kierunku i dopiero po chwili dociera do niego, że to ręcznik, lekko wilgotny ręcznik. „Wal!”. Dopiero wtedy Sam zauważa, jak czerwony jest bezwłosy fiutek Williama. Jak wysmagany. Nagle widzi przed sobą hangar na łodzi, widzi język dziewczyny pod srebrną taśmą klejącą, słyszy jej dziki krzyk, przzerwany gwałtownie, podczas gdy on uciekał jak pierdolony zając przez trawę sięgającą mu do piersi. Zaczyna okładać Williama ręcznikiem i widzi, jak jego ciało kurczy się z bólu, ale z jego ust nie dobywa się żaden dźwięk. Wtedy William po raz pierwszy podnosi wzrok i patrzy mu w oczy. Sam zbliża się do niego, staje tuż obok i mówi szeptem: „To za to, co się działo w hangarze, ty pieprzony psycholu”.*

\*\*\*

Nieznane siły gwałtownie uniosły go do pozycji siedzącej. Gapił się niewidzącym wzrokiem na hangar, dopóki nie odzyskał pola widzenia. Znajdowała się w nim Molly Blom. Wyjęła z drukarki fotografię i pokazała mu ją. Przedstawiała siedzący szkielet Simona Lundberga.

– To o mnie mu chodzi – powiedział Berger zaspanym głosem.

Blom przypięła fotografię do tablicy i mu się przyjrzała. Nic nie mówiła. Berger wstał i wypełził ze śpiwora.

– Nienawidzi mnie bardziej, niż to zapamiętałem – ciągnął. – Wyidealizowałem przeszłość.

– To pozwala przeżyć – odparła Blom. – Co ci się śniło?

Znów miała na sobie wojskowe spodnie i bluzę sportową. A jednak wyglądała inaczej. Berger to zignorował i pokuśtykał do tablicy. Stał i przyglądał się zdjęciom ofiar Williama Larssona.

– Byłaś wtedy przy bramce?

Blom nadal mu się przyglądała z natarczywą dokładnością.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparła.

– William był przywiązany do bramki. To było już po hangarze, zanim zaczęło się lato. Wokół stała grupka dziewczyn. Byłaś wśród nich?

Blom pokręciła głową.

– Aż do zakończenia roku trzymałam się na uboczu tak bardzo, jak to było możliwe.

– Wydaje mi się, że reszta twoich koleżanek tam była – odparł. – Okładałem go mokrym ręcznikiem. Po kutasie.

– Williama?

– Tak. Jasna cholera.

Spojrzał jej w oczy. Były w nich ślady współczucia.

Skinęła głową, jakby chciała raz na zawsze przerwać martwą ciszę, i wskazała w przeważającej części nagie ciało Bergera.

– Idź się wykąpać. Tam jest szampon.

Wtedy zrozumiał, co się w niej zmieniło. Odniósł wrażenie, że jej włosy są lekko wilgotne.

Stał pod wystającym dachem i patrzył na kurtynę deszczu, która zakryła całą zatokę Ed. Westchnął ciężko, zgarnął stojącą na poręczy butelkę szamponu i zrobił trzy kroki po drabince, aż dreszcz, który wyszedł od palca u nogi, przeszył całe ciało. Wtedy wskoczył do wody. Sięgała mu do pępka. Poczł się tak, jakby w jednej chwili zobaczył cały swój mózg, każdą najdrobniejszą aktywność. Zanurzył resztę ciała w wodzie i przez paralizujące zimno poczuł – wyraźniej niż kiedykolwiek – że William czegoś od nich chce. Chciał z nimi porozmawiać. Chciał opowiedzieć historię. Historię, na której końcu było bardzo dużo bólu i śmierci.

Kropka śmierci.

Nagle jego płuca zaczęły opowiadać zupełnie inną historię: że musi wyjść z lodowatej wody. Kiedy wzburzył jej powierzchnię, coś mu przyszło do

głowy. Namydlając się, pilnował, żeby wijące się synapsy zatrzymały tę myśl.

Kilka minut później wbiegł do hangaru owinięty ręcznikiem i krzyknął:

– Anton!

Blom stała i patrzyła na zdjęcia siedmiu ofiar. Berger widział, jak ociera kącik oka i się do niego odwraca.

– Co? – zapytała.

– Anton – powtórzył. – Najgorszy prześladowca w klasie. Pamiętasz go?

– Jak doskonale wiesz, nie chodziłam z tobą do klasy. Kiedy ty byłeś w dziewiątej, ja byłam w ósmej.

– Ale pamiętasz obchody Świętej Łucji? Kiedy przykleili koronę do włosów Williama?

Widział po niej, że wróciła do lat, których wcale nie chciała przeżywać ponownie.

– Tak, pamiętam – odparła. – Było trzech z dziewiątej klasy.

– Anton, Micke i Freddan – sprecyzował Berger. – To Anton kazał Williamowi śpiewać.

– Aha. „Śpiewaj, do cholery, nie wstydz się”.

– Pamiętasz co do słowa.

– Pamiętam stanowczo za dużo – odpowiedziała Blom. – O co chodzi z tym Antonem?

– To on przywiązał Williama do bramki, ściągnął mu gacie, a potem w jakiś sposób zaprosił tam dziewczyny, żeby patrzyły, jak go upokarza.

– I poprosił cię o pomoc?

– Złość mnie zaślepiła. Może w głębi duszy okładałem sam siebie. Chciałem wysmagać z siebie całe tchórzostwo.

– To było jeszcze bardziej tchórzliwe.

– Wiem – odparł Berger głuchym głosem. – Ale jeśli William wrócił do



Helenelund i jeżeli to jest jakaś chora zemsta za krzywdy, których doznał w dzieciństwie, to czy zostawił w spokoju Antona?

– Aha – powtórzyła Blom. – Możesz go odszukać?

– Spróbuję – odparł Berger i rzucił się do komputera.

Miał nazwisko, miał rok urodzenia, pamiętał nawet w przybliżeniu datę urodzin. Zlokalizowanie Antona Bergmarka nie zajęło wiele czasu.

– Hydraulik – oznajmił Berger. – Został w Sollentunie. Przepracował dziesięć lat w firmie ojca. Przejął ją. Tytułował się dyrektorem generalnym. Potem poszedł na zwolnienie chorobowe.

– Zwolnienie chorobowe? – odparła Blom. – Kiedy?

– Prawie trzy lata temu. Pół roku później przeszedł na wcześniejszą emeryturę.

– Nieźle. Od dyrektora generalnego przez faceta na chorobowym do emeryta w pół roku. Nasuwa się wniosek, że chodziło o jakieś uzależnienie.

– Zbyt wiele reprezentacyjnych kolacji z deserem kokainowym? – odparł Berger. – Niewykluczone. Firma poszła na dno, zbankrutowała. Tuż przedtem rozwiódł się z drugą żoną. Przyznano jej prawo opieki nad trójką dzieci, z których jedno nawet nie było jej. To było dziecko z pierwszego małżeństwa Antona Bergmarka.

– Zakaz odwiedzin?

– Nic takiego nie znalazłem. Mam za to adres.

– Niech zgadnę – odparła Blom. – Ośrodek terapii uzależnień?

– Dom opieki „Jaskółka”. W centrum Sollentuny.

\*\*\*

Już kiedy weszli do środka, pewne rzeczy świadczyły o tym, że coś się nie zgadza. Dom opieki „Jaskółka” zajmował dwa piętra jednego z wieżowców przy Malmvägen w Sollentunie. W długim korytarzu wisiało za dużo makatek z mądrościami typu: „Dom jest moją twierdzą” albo „Wszędzie

dobrze, ale w domu najlepiej” – przynajmniej jak na ośrodek terapii uzależnień. Kiedy pojawił się pierwszy wózek inwalidzki, a siedząca na nim co najmniej dziewięćdziesięciosześcioletnia kobieta powitała ich słowami: „Państwo Kośćsłoniowie, czy już czas na opróżnienie latryny?”, to wrażenie jeszcze bardziej przybrało na sile. Pojawiła się pielęgniarka z pytającym wyrazem twarzy. Berger uniósł legitymację służbową i zapytał:

– Jakiego rodzaju ośrodkiem jest „Jaskółka”?

Dziwne było to, że pielęgniarka zareagowała wybuchem śmiechu.

– Kiedyś mówiło się na to: „dom opieki długoterminowej” – powiedziała po chwili.

– Starsi, stetryczali ludzie czekający na śmierć?

– Nie tylko. Mamy też kilkoro młodszych pacjentów.

– Jak Anton Bergmark?

Pielęgniarka skinęła głową i poprowadziła ich dalej korytarzem, aż dotarli do większego pokoju z widokiem na inne wieżowce. Znajdowało się tam około dziesięciu osób, siedziały w rozproszeniu. Telewizor był włączony, ale nikt na niego nie patrzył. Wszyscy wyglądali na staruszków, wszyscy siedzieli na wózkach inwalidzkich, nikt nie robił nic szczególnego. Pielęgniarka przeszła pomiędzy nimi i stanęła przy oknie. Siedział tam mężczyzna na wózku i patrzył na deszcz. Był odwrócony do nich plecami, miał kiepską postawę, ręce zwisały luźno po bokach, a odbicie w szybie było zbyt niewyraźne, aby mogli cokolwiek wywnioskować.

– Anton? – odezwała się łagodnie pielęgniarka.

Nie wywołało to żadnej reakcji.

Pielęgniarka złapała uchwyty wózka i pomału go odwróciła.

Berger nagle znów był piętnastoletnim Samem, biegnącym jak nigdy wcześniej przez trawę sięgającą mu do piersi. Postać na wózku powoli skierowała wzrok w jego stronę.

Twarz, którą Berger i Blom widzieli przed sobą w domu opieki „Jaskółka”, była kanciasta i kostropata. Miała wręcz kubistyczne wypustki.

Patrzyli na zdeformowane oblicze. Odpowiadało im spojrzenie. Mroczne, sceptyczne i niechętnie.

\*\*\*

*Chciałby gwałtownie się odwrócić i uciec, zanim William zdąży go zobaczyć, ale jest już za późno. Idąc przez kurtynę dziewczyn, myśli tylko: „Już niedługo wakacje. Już niedługo koniec całego tego gówna”. Ale dla Antona to nie jest koniec. O nie. Wyciąga coś w jego kierunku i dopiero po chwili dociera do niego, że to ręcznik, lekko wilgotny ręcznik. „Wal!”. Dopiero wtedy Sam zauważa, jak czerwony jest bezwłosy fiutek Williama. Jak wysmagany. Nagle widzi przed sobą hangar na łodzi, widzi język dziewczyny pod srebrną taśmą klejącą, słyszy jej dziki krzyk, przzerwany gwałtownie, podczas gdy on uciekał jak pierdolony zajęc przez trawę sięgającą mu do piersi. Zaczyna okładać Williama ręcznikiem i widzi, jak jego ciało kurczy się z bólu, ale z jego ust nie dobywa się żaden dźwięk. Wtedy William po raz pierwszy podnosi wzrok i patrzy mu w oczy. Sam zbliża się do niego, staje tuż obok i mówi szeptem: „To za to, co się działo w hangarze, ty pieprzony psycholu”. William gapi mu się prosto w oczy. Sam wie, że nigdy w życiu nie widział tak mrocznego spojrzenia. Wtedy następuje ruch. Jest ekstremalnie powolny. Sam widzi go, jakby klatka po klatce. Długie, jasne włosy się unoszą i zostają odrzucone do tyłu. Ukazują się kanciaste, kostropate kształty, a z kanciastości wyłaniają się dwa rzędy białych zębów. Rozszerzają się. Są coraz bliżej jego przedramienia. Nie czuje, jak przechodzą przez skórę i mięso. Nie słyszy, jak się zaciskają na jego ramieniu. Nie słyszy i nie czuje. Ból, który promieniuje z bicepsa, nie daje o sobie znać, dopóki Sam nie dostrzeże, że z ust Williama wystaje kawałek mięsa, a wraz z nim strużka powoli ściekającej śliny. Z nienormalną powolnością kawałek opada na*

*suchy żwir boiska.*

## 28

**Czwartek, dwudziesty dziewiąty października, godz. 14:54**

BERGER I BLOM wpatrywali się w zdeformowane oblicze. Odpowiadało im spojrzenie. Mroczne, sceptyczne i niechętne. Berger poczuł, że coś w nim wiruje.

– William? – wykrztusił i nie poznał własnego głosu.

Kątem oka widział Blom. Drżała.

Była kompletnie roztrzęsiona.

Mężczyzna na wózku nie odpowiadał. Siedział nieruchomo i tylko patrzył na Bergera pustym wzrokiem. Po jego brodzie pomалу spływała strużka śliny.

Czyżby aż tak bardzo się pomylił?

Czy każde z nich dało się zwieść swojemu wybrakowanemu dzieciństwu? Czy zaprzepaścili kariery dla bezwartościowego strzału, który nie miał żadnego pokrycia w rzeczywistości?

Znowu byli na polu numer jeden?

Wróciły do niego resztki racjonalności. Czy to naprawdę był William? Dlaczego miałby siedzieć w ośrodku pod nazwiskiem swojego dawnego prześladowcy, Antona Bergmarka?

Jasne, na jego twarzy widniały oznaki starości – bruzdy, zmarszczki i zaczerwienienia, które wskazywały na upływ lat. Ale z drugiej strony narośle, guły i wszystkie kany były w tych samych miejscach co dwadzieścia

trzy lata wcześniej.

Dokładnie w tych samych miejscach.

Blom doszła do siebie jako pierwsza.

– Czy mogłaby tu pani przynieść całą dokumentację Antona? – zwróciła się do pielęgniarki.

Pielęgniarka skinęła głową i wyszła.

To nie było spojrzenie Williama Larssona. A jeśli tak, to zostało kompletnie zdemolowane. Oczy tego człowieka były wodniste i nie było w nich nic, co wskazywałoby na jakąkolwiek obecność.

– Nazywa się pan William Larsson? – zapytał Berger bardzo wyraźnie.

Wodniste oczy osadzone w kraterowym krajobrazie twarzy powędrowały do góry i zatrzymały się na Bergerze. Berger w nie spojrzał i sam już nie wiedział, co widzi.

– Cześć, Sam – odparła postać i na jej twarzy pojawił się krzywy uśmiech. Kiedy lewy kącik ust uniósł się ku górze, z prawego pociekła strużka śliny.

Berger odwrócił się do Blom. Został rozpoznany. Pytanie brzmiało, co to oznacza. Spostrzegł, że drgawki Blom ustąpiły. Już zaczęła myśleć. Co to oznaczało, jeśli William nigdy nie opuścił kraju? Kto stał za porwaniami, jeśli jego deformacje w końcu dotarły do mózgu i sprawiły, że stał się niedołączony? W jaki sposób przejął tożsamość Antona Bergmarka? Drżenie Blom zostało zastąpione przez bieganinę myśli. Wyraźnie widział, jakie myśli biegają jej po głowie. Widział to jak w lustrze.

– Cześć, William – odpowiedział. – Jak się masz?

Postać wydała syk, który gdzieś tam, głęboko, prawdopodobnie był śmiechem.

– A ty, Sam? Jak tam ręka?

Berger odruchowo dotknął prawą dłońią lewego przedramienia. Nawet przez marynarkę wyraźnie czuł wgłębienie w bicepsie.

– Ugryzłeś mnie – odpowiedział. – Ugryzłeś mnie naprawdę mocno.

Tym razem postać po prostu się na niego gapiła i zdawało się, że jego świadomość ulega zaciemnieniu. Spojrzenie nie było już przejrzyste. Znajdowało się gdzie indziej.

Pielęgniarka wróciła z kartami.

– Są też materiały ze śledztwa policji z Sollentuny – oznajmiła. – W teczce pod spodem.

Podawała Blom dwie teczki i wyszła. Wzięli po jednej, poszli na dwa przeciwległe końce sali i czytali na stojąco. Po nieokreślonym czasie się zamienili. Znow minęło trochę czasu. Kiedy Berger skończył czytać zawartość drugiej teczki, popatrzył na Blom. Miała zamknięte oczy.

– A niech to szlag – powiedział w końcu.

– Myliliśmy się – oznajmiła Blom. – Ale nie tak, jak myśleliśmy.

– Mniej, niż się obawialiśmy – odparł Berger i poczuł na twarzy wykrzywiony uśmiech.

– Aisza Pachachi nie była pierwszą ofiarą Williama – powiedziała Blom. – Był nią Anton Bergmark.

Berger pokiwał głową i odchrząknął.

– Pewnego lutowego wieczoru prawie trzy lata temu świeżo rozwiedziony Anton Bergmark siedział w swoim domu w Häggvik w Sollentunie i chlał. Nagle rozległ się dzwonek do drzwi i Anton zapewne dobrowolnie wpuścił przybysza do środka. Ślady na grzbietach dłoni i stóp, a także na nogach od stołu w salonie wskazują na to, że Anton został przywiązany do stołu w pozycji leżącej. Kolejne ślady świadczą o tym, że po jednej stronie stołu zostało zamontowane coś w rodzaju imadła, które przytrzymało głowę Antona, zanim rozpoczęły się tortury. Według opinii lekarza były one zadawane młotkami czterech różnych wielkości i kształtów. Te groteskowe tortury trwały prawie dwie doby. W którymś momencie Anton Bergmark

w sensie dosłownym stracił rozum. Po pół roku zwolnienie chorobowe przeszło we wcześniejszą emeryturę. Jako że Bergmark robił interesy z kilkoma grupami przestępczymi, założono, że tortury miały związek z niespłaconymi długami. Śledztwo poszło wyłącznie w tym kierunku i z braku dowodów sprawa rozeszła się po kościach. Policji z Sollentuny udało się zachować dyskrecję, media prawie o tym nie wspominały, nie opublikowano żadnych zdjęć pobitego Bergmarka. Nikt nie mógł porównać twarzy Williama sprzed dwudziestu lat z obecną twarzą Antona.

Blom się skrzywiła i pokiwała głową.

– Zamiana ról – powiedziała w końcu.

Berger podsumował:

– William zmasakrował młotkiem twarz Antona, żeby przypominała jego własną z czasów prześladowań. Najprawdopodobniej już tak nie wygląda. Do tego, by z pomocą imadła i czterech młotków przemienić Antona w Williama, potrzebne są determinacja, precyzja i zimna krew. To sprawia, że musimy przewartościować Williama. Jest profesjonalistą. Jak to możliwe?

– Profesjonalistą, ale jednak świrem – odparła Blom. – Trzeba być świrem, żeby w tak zaawansowany sposób zemścić się na dawnym dręczycielu.

– Ale także profesjonalistą na wielu różnych płaszczyznach. Miał szesnaście lat, był fizycznie i psychicznie zdemolowany po latach najokropniejszych prześladowań, jakie można sobie wyobrazić. W ciągu kolejnych dwudziestu lat został kimś w rodzaju profesjonalisty w dziedzinie tortur. Jak?

– Mimo wszystko to tylko hipotezy – stwierdziła Blom. – Błądzimy po omacku. Wcale nie musiał trenować, żeby się stać profesjonalistą.

– Chcesz powiedzieć, że został nim tak po prostu?

– Nie wiem. Powodowany wciąż rosnącą chęcią zemsty?



– Nie kupuję tego – odparł Berger i wskazał postać na wózku kilkanaście metrów dalej. – Przecież widzisz Antona. To zrobił człowiek, który już wcześniej zadawał tortury, zapewne regularnie. Zdobył szlify w świecie gangsterskim albo wojskowym. Według mnie to potwierdza teorię o ojcu, który nazywał się Nils Gundersen i był najemnikiem „w jakimś cholernym arabskim kraju”. Musimy go znaleźć.

Blom wyglądała na przytłoczoną.

– No nie wiem – odparła z ociąganiem. – Obawiam się, że powoli nadchodzi czas na poważną rozmowę.

– Must?

– To nie jest takie łatwe...

– Chwyć byka za rogi, do cholery – powiedział Berger. – A ja obiecuję, że go chwycę za uszy.

– Musisz zrobić więcej – odparła Blom i wyjęła telefon. – Musisz stąd wyjść.

Skreśliła za róg, a Berger przespacerował się po sali. Naliczył piętnaście osób pogrążonych w czymś, co można było nazwać absolutną beczynnością. Telewizor nadal był włączony – pokazywał mecz bez dźwięku, nikt go nie oglądał. Było tak, jakby czas się zatrzymał. Jakby znaleźli się w jakiejś szczelinie pędzącego czasu. Jakby kółko zębate wypadło z zegarka.

Przy oknie, na wózku, siedziała postać o zdeformowanej twarzy. Patrzyła niewidzącym wzrokiem na smutne sznury kamienic, w pochylonej do przodu pozycji, która prawdopodobnie sprawi, że za dwa lata będzie przywiązany do łóżka.

Berger przykucnął przy nim i odezwał się:

– Anton?

Anton Bergmark odwrócił się i na niego spojrział. Do wodnistych oczu powróciło coś, co przypominało świadomość.

– Kurwa, ale go sprąeś – powiedział.

Berger gwałtownie się cofnął.

– Co ty mówisz, Anton? – spytał.

Ale postać na wózku już zniknęła w nieznanym świecie.

Berger wstał i lekko pogładził go po głowie. Zobaczył w szybie swoje odbicie, poprzecinane strugami deszczu, rozmyte. Bardzo niewiele różniło je od odbicia Antona.

Kiedy szedł korytarzem, myślami był gdzie indziej. Na stojącej na uboczu sofie siedziała Molly Blom z komputerem na kolanach. Gapiła się w ekran. Nie podnosząc wzroku, powiedziała:

– Tak, to przerosło oczekiwania.

– Must wspomina cię z czułością?

Zignorowała to i odparła:

– Must naprawdę ma w swoich rejestrach Nilsa Gundersena, poszukiwanego na całym świecie za różne przestępstwa wojenne. Urodził się w czterdziestym ósmym. Aż do przełomu wieków był obywatelem Norwegii. Potem przyjął obywatelstwo libańskie. Podobno teraz mieszka w mieście Dżubajl, bardziej znanym jako Byblos.

– O cholera! – zawołał Berger.

– Gundersen w wieku dwudziestu dwóch lat został oficerem norweskiej armii, szybko awansował i w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim, w wieku dwudziestu pięciu lat, przeszedł do Legii Cudzoziemskiej. Dwa lata później zniknął z list, nagle, nielegalnie zdezerterował. Prawdopodobnie został zwerbowany jako najemnik przez jedną z wielu walczących falang w ogarniętym wojną domową Libanie. Pojawił się w materiale informacyjnym z Bejrutu, w okolicach Bożego Narodzenia siedemdziesiątego szóstego, siedział w wozie bojowym. Ta wojna była prawdziwą płataniną krajowych i zagranicznych interesów. Były w to zamieszane Stany

Zjednoczone, Izrael, Syria, Iran, Irak. Stronami krajowymi były ugrupowania sunnickie, szyickie, palestyńskie, druzyjskie i maronickie. Must nie wie, dla kogo walczył Gundersen. Ponieważ jednak był poszukiwany, interesowano się jego powrotem do Europy. Podejrzewano, że podróże mają charakter werbunkowy, udokumentowano jego obecność w kilkunastu europejskich miastach w latach od siedemdziesiątego szóstego do osiemdziesiątego czwartego. Jednym z pierwszych miast był Sztokholm.

– Wow – zawołał Berger. – W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym?

– Gundersen nigdy nie zostawał długo w jednym miejscu. Dopiero po czasie udało się ustalić, że był w Sztokholmie niecały tydzień w połowie kwietnia siedemdziesiątego szóstego. A William Larsson urodził się dokładnie dziewięć miesięcy później, w poniedziałek siedemnastego stycznia.

– Jasna cholera.

– To nadal niczego nie dowodzi – powiedziała Blom. – I nie ma też żadnych dowodów w postaci zdjęć. Ale jest to.

Blom obróciła komputer. Ekran wypełniała cała seria zdjęć. Kliknęła pierwsze – rozmazaną fotografię dobrze zbudowanego, brodatego mężczyzny o ogorzalej twarzy. Miał koło pięćdziesiątki. Wyglądał, jakby się przechadzał po bazarze.

– Według Must to ostatnie znane zdjęcie Nilsa Gundersena – oznajmiła Blom. – Zrobione przez CIA w Marrakeszu. Został zidentyfikowany, kiedy był już daleko. Wtedy już od dawna był poszukiwany na całym świecie za przestępstwa wojenne popełnione w Libanie, Afganistanie i Iraku.

– CIA, no proszę – powiedział Berger cierpkim tonem.

Blom przeklikała kilka zdjęć coraz młodszego Gundersena w różnych sytuacjach. Późniejsze miały bardziej wojenny charakter.

– Tak – powiedziała i wskazała ekran. – Gundersen walczy w Kuwejcie po stronie Iraku. *Operation Desert Storm*.

– Pierwsza wojna w Zatoce Perskiej? – zapytał Berger, wpatrując się w zdjęcie wąsatego oficera o bardzo jasnych włosach, który stał przed swoimi żołnierzami.

– Tak – odparła Blom. – To zdjęcie z wiosny dziewięćdziesiątego pierwszego. Jeżeli dobrze odczytano dystynkcje, był pułkownikiem.

– Wynajętym przez Saddama Husajna?

– Na to wygląda. I ten pułkownik dwa lata później przyjedzie do Szwecji zabrać swojego syna.

– Naprawdę „syna”?

– Poczekaj – odparła Blom i dalej przeglądała zdjęcia. Widoczny na ekranie Nils Gundersen nadal młodził. Na pierwszym zdjęciu stał na górzystym terenie, miał brodę i opierał się o bazookę.

– Afganistan? – zapytał Berger.

– Partyzantka mudżahedinów – odparła Blom. – Wszystko wskazuje na to, że w latach osiemdziesiątych Gundersen był powiązany z CIA i szkolił mudżahedinów. To była ostatnia wojna Związku Radzieckiego.

– Hm – mruknął Berger.

Pokaz slajdów trwał nadal. Nils Gundersen był eleganckim młodym oficerem z norweską flagą starannie przyszytą na piersi. Był uczniem liceum, błyskającym zębami w uśmiechu. Był chłopcem w wieku dojrzewania, miał rumiane policzki i zjeżdżał na nartach. Był wyższy od reszty uczniów w klasie szkoły podstawowej. Na pożółkłej czarno-białej fotografii siedział w piaskownicy i sypał piaskiem. Był na kolanach babci, siedzącej na solidnym fotelu. Za fotelem stał mężczyzna.

– To jedyne znane zdjęcie ojca Nilsa Gundersena – wyjaśniła Blom i zaczęła przybliżać jego twarz. – Cechy genetyczne lubią czasem

przeskoczyć jedno pokolenie.

W końcu Berger spostrzegł, że broda mężczyzny jest krzywa, a po jednej stronie czoła widnieje wybrzuszenie przypominające róg.

Dziadek ze strony ojca Williama Larssona miał kanciastą, kostropatą twarz, która przywodziła na myśl kubistyczną rzeźbę.

## 29

**Czwartek, dwudziesty dziewiąty października, godz. 16:12**

TEGO POPOŁUDNIA jeże zapadły w sen zimowy. Cała rodzina wróciła w kąć hangaru. Widać było wyraźnie, że mama jeży zbudowała gniazdo na zimę. Okrążyła dwie smutne postaci przy tablicy, jakby chciała powiedzieć: „Dobranoc, na zimę wyjeżdżamy do bezkresnego świata snów i będziemy mieli o wiele lepiej niż wy”.

Potem wróciła i położyła się ze swoimi młodymi.

Jedna ze smutnych postaci przy tablicy miała nagi tors. Druga dotykała ramienia tej pierwszej.

– Widać ślady zębów – powiedziała Molly Blom.

– Wiem – odparł Berger. – Nie chcą zniknąć.

Kiedy wkładał koszulkę, Blom się odwróciła i przyczepiła zdjęcie na tablicy. Obok fotografii piętnastoletniego Williama Larssona znajdowało się teraz wykonane komórką zdjęcie Antona Bergmarka. Deformacje twarzy miały uderzająco podobny kształt.

– Precyzyjna robota – stwierdził Berger.

Blom stała blisko niego i przyglądała się zdjęciom. W końcu powiedziała:

– Jeżeli przyjmujemy, że ojciec Williama, jasnowłosy najemnik czynnie działający w świecie arabskim, rzeczywiście pomógł mu opuścić kraj, możemy chyba uznać za prawdopodobne, że William został poddany licznym zabiegom chirurgii plastycznej. Był rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty

trzeci, dwa lata wcześniej ustała wojna domowa w Libanie, wojna w Zatoce Perskiej też już dobiegła końca. Być może w tych nieco bardziej pokojowych czasach Nils Gundersen mógł się poświęcić sprawdzaniu, czy w ogóle ma syna, jak ów syn wygląda i jak mu się żyje. Usłyszał o prześladowaniach, postanowił, że go uratuje, i zabrał go do swojego tajnego świata poza zasięgiem radarów. Na pustkowia.

– Czy w takim razie Gundersen nie otrzymał pomocy w Szwecji? – zapytał Berger. – W końcu był przestępcą wojennym, poszukiwanym na całym świecie. Raczej trudno jest niepostrzeżenie przewieźć wzbudzającego zainteresowanie szesnastolatka ze Szwecji do Libanu.

– Prawdopodobnie od czasu wizyty w siedemdziesiątym szóstym, kiedy to został poczęty William, miał kontakty w Szwecji.

Berger podszedł bliżej do tablicy i przyjrzał się zdjęciu młodego Williama Larssona.

– Gundersen był wojownikiem – powiedział. – Nie człowiekiem, który nadstawia drugi policzek. Chyba można przypuszczać, że nie przekazywał synowi prawd o miłości i wybaczeniu.

Blom skinęła głową.

– Człowiek wyszkolony w torturach i przemocy – powiedziała. – Dwadzieścia lat później jego wytrenowany w wojsku i zoperowany syn powraca i rozpoczyna serię naprawdę mocnym uderzeniem w najgorszego prześladowcę: Antona Bergmarka. Torturuje go młotkiem przez dwie koszmarne doby, zmienia w wersję siebie, która istnieje już tylko w jego głowie. Już w tym przypadku morderstwo jest tak dobrze zamaskowane, że wygląda na zbrodnię zupełnie innego typu. Ale potem przestaje atakować prawdziwych winowajców i wyładowuje się na niewinnych dziewczynkach. Dlaczego?

– To nie jest racjonalne – odparł Berger. – Nie interesuje go zemsta na

dorosłych kobietach. To piętnastoletnie dziewczynki widziały jego poniżenie. To one zostały mu w głowie, być może sprawiając, że nie jest w stanie współżyć z kobietami. To je należy zlikwidować. Zgadzam się z tobą, że to przede wszystkim szalenie. Może się nauczył racjonalnego, profesjonalnego działania od ojca, masowego mordercy, ale jego motywacje są chore. Jeżeli napatoczy się chłopak, jak Simon Lundberg w jaskini, po prostu usuwa go z drogi. Interesują go tylko dziewczyny.

– Siedem warstw krwi w piwnicy w Märsta – powiedziała Blom. – On torturował te wszystkie dziewczyny. Dzięki Antonowi wiemy, że naprawdę ma umiejętności i zimną krew potrzebne, by coś takiego przeprowadzić. Spędził z nim dwie doby.

– O cholera – odparł Berger.

Znieruchomieli. Patrzyli na coraz bardziej dziwaczny schemat na tablicy. Myśleli. W końcu Blom się odezwała.

– Kiedy ojciec zabiera szesnastoletniego syna, powinien chyba poinformować matkę? Czyżby zabrał go tak po prostu?

– No dobrze – powiedział Berger. – Mamy dwa różne wizerunki Nilsa Gundersena. Ten oczywisty to wizerunek twardziela. Dezerteruje z Legii Cudzoziemskiej, żeby zostać najemnikiem. Walczy w Libanie, Afganistanie, Iraku. Jest poszukiwany za przestępstwa wojenne i łamanie praw człowieka. Mniej oczywisty jest obraz ojca, który dowiaduje się, że ma syna, który jest prześladowany i źle to znosi, i przyjeżdża go uratować. Który z tych dwóch Gundersenów objawia się mamie Williama, Stinie Larsson? Pewnie ten drugi, co? Tata ratujący syna?

– Zgadzam się – odparła Blom. – Raczej nawiązali kontakt. Stina powinna była wyrazić zgodę.

– Co oznacza, że siostra Stiny, przebywająca w domu opieki Vendelsögården Alicia Anger, może mieć nam coś więcej do powiedzenia.



– O ile uda nam się przedrzeć przez mgły językowe.

– Warto spróbować – stwierdził Berger i wyciągnął dłoń. Dopiero po dobrej chwili Blom włożyła mu w nią telefon komórkowy.

– Vendelsögården, mówi Mia Arvidsson – odezwał się kobiecy głos.

– Cześć, Miu – powiedział Berger. – Mam wrażenie, że to z tobą rozmawiałem kilka dni temu przed salą, w której przebywa pacjentka Alicia Anger.

– Możliwe – odparła sucho Mia Arvidsson. – Z kim rozmawiam?

– Nazywam się... Charles Lindbergh. Jestem policjantem, który niedawno rozmawiał z Alicią, nie wiem, czy mnie pamiętasz. Chciałem spytać, czy dałoby się z nią porozmawiać przez telefon.

– Tak. I nie.

– Możesz rozwinąć tę myśl?

– Tak, pamiętam. I nie, nie dałoby się z nią porozmawiać przez telefon.

– Oczywiście wiem, że komunikacja może być trudna...

– Trudności komunikacyjne, o których mówię, są absolutne – odparła Mia Arvidsson. – Alicia Anger nie żyje.

Berger umilkł. Zapadła cisza. Po chwili Arvidsson mówiła dalej:

– Była tu policja. Ustalili, że śmierć, choć nietypowa, nastąpiła z przyczyn naturalnych. Błąd podczas przyjmowania pokarmu, o ile dobrze pamiętam ten termin.

– Błąd podczas przyjmowania pokarmu? – powtórzył Berger ze zdziwieniem.

– Trudno to wytłumaczyć – odparła Mia Arvidsson. – Trzeba chyba zobaczyć na własne oczy.

Berger pomyślał chwilę. W końcu zaryzykował:

– Nie masz przypadkiem zdjęcia?

– Mam – potwierdziła Mia Arvidsson. – Ale nie chcę go rozpowszechniać.

- Nie rozpowszechnisz go, wysyłając je policji, gwarantuję.
  - Policja już je ma...
  - Ja nie – odparł Berger. – A naprawdę muszę je zobaczyć. Teraz.
- Wyraźnie usłyszał, jak pielęgniarka wzdycha. Potem zapytała:
- Ma pan adres mailowy?

Berger spojrzał na Blom. Szalała już przy komputerze. W końcu odwróciła ekran w jego stronę i mógł podyktować adres.

Trzy minuty później mail przyszedł na prowizoryczną, naprędce założoną skrzynkę. Berger powiększył zdjęcie, zobaczyli Alicję Anger na fotelu bujanym w ośrodku Vendelsögården. Jeśli pominąć jeden szczegół, wyglądała na spokojniejszą niż za życia.

Z jej ust zwisała czarna długa skarpetka, która wyglądała jak zwęglony język.

Był też podpis, prawdopodobnie sporządzony przez pielęgniarkę Mię Arvidsson. Brzmiał: „Z uwagi na zwyczaje żywieniowe pani Anger i codzienne przykre incydenty przy przyjmowaniu pokarmu istnieje duże prawdopodobieństwo, że po prostu pomyliła skarpetkę z jedzeniem i się nią udławiła. Postępowanie zakończone, zdarzenie zostaje zakwalifikowane jako nieszczęśliwy wypadek”.

Prawdopodobnie był to cytat z materiałów policji.

- To oczywiście może być prawda – stwierdziła Blom, przyglądając się dziwacznemu zdjęciu. – Nie można powiedzieć, żeby idealnie kontaktowała.

- *Ingen ruaidh* – powiedział Berger. – „Czerwona dziewczynka” napełnia teraz miodem róg Odyna. Ale mam cholerne wrażenie, że została zamordowana.

- Przez Williama? – spytała Blom. – Dlaczego miałby zamordować własną cierpiącą na demencję ciotkę?

- Tu jest napisane, że to się wydarzyło dziś rano. Dzień po tym, jak Roy

i Roger ścigali nas do dworca. Mamy to uznać za przypadek?

– On ma na imię Kent – odparła Blom. – Długo pracowałam z Kentem i Royem. Nie sądzę, żeby ją zamordowali.

– A jednak raczej by nie umarła, gdybyśmy wcześniej nie złożyli jej wizyty.

Nagle zadzwonił bezpieczny telefon Blom. Nigdy wcześniej nie dzwonił. Podniosła i przeczytała: „Nieznany numer”. *The story of her life*.

Odebrała.

– Tak?

Berger ją obserwował. Na jej twarzy nie drgnął żaden mięsień. Bez słowa podała mu telefon.

– Tak? – powiedział.

– Sam – odezwał się głos Deer, którego nie można było pomylić z żadnym innym.

– Nie wystarczy esemes?

– Za małe przyciski w zapasowym telefonie. Norr Mälarstrand za pół godziny, ławka. Okej?

– Okej – odparł Berger. – Weź ze sobą Strzałę.

– Strzałę? – zdziwiła się Deer. – Dlaczego?

– Powiedz jej, że sama wie dlaczego. I dodaj, że jeśli odmówi, to zrozumie.

Rozmowa się zakończyła. Berger spojrział na zegarek. Było kilka minut po czwartej.

– Ławka? – zapytała Molly Blom.

\*\*\*

Parkowa ławka obok małego pomostu na północnym wybrzeżu zatoki Riddar nie wyglądała jak wtedy, kiedy Berger i Deer siadali tam, żeby za pomocą kawy, rozmowy i widoków uciec od niekiedy ciężkiej atmosfery komisariatu.

Wtedy można tu było odpocząć. Teraz – najwyżej odmoknąć.

Deer siedziała pod parasolem. I nie była sama. Pod drugim parasolem rozpoznali większy i znacznie ostrzejszy profil.

Berger i Blom przez chwilę krążyli wokół ławki, chcąc mieć pewność, że Deer nie okazała się służbistką. Ale nic nie wskazywało na to, że są obserwowani. Usiedli każde po jednej stronie Deer i Strzały, bez parasoli.

Byli w zasadzie sami wśród rzadko rozstawionych latarni na Norr Mälarstrand.

– Jesteście poszukiwani – oznajmiła Deer. – W porze lunchu pojawił się komunikat Säpo. Najwyraźniej wtedy podjęli decyzję. A ty, Nathalie Fredén, nie nazywasz się też Eva Lindkvist, tylko Molly Blom. To drastyczny krok ze strony Säpo: ujawniać tożsamość jednego z „zasobów wewnętrznych”. Wskazuje na poważne przestępstwo.

– Okej – odparł Berger. – A teraz macie przy sobie sprzęt nagrywający?

– Oczywiście – odparła Deer zupełnie neutralnym tonem.

– Dlaczego mnie tu ściągnęłaś? Co to takiego, czego nie można było załatwić przez telefon?

Deer podała mu teczkę.

– Uznałam, że będziesz chciał mieć kopie dokumentacji – powiedziała.

Berger wsunął teczkę za pazuchę i się uśmiechnął.

– Dobrze cię wyszkoliłem, Deer.

– Jak doskonale wiadomo, w ogóle mnie nie wyszkoliłeś – odparła. – Wszystkie ślady DNA się zgadzały. Odwiedziłam mnóstwo miejsc, żeby pozyskać włosy, i wszystko się zgadzało. Wszystkie siedem dziewczynek o nazwiskach i numerach ewidencyjnych podanych przez ciebie w esemesie siedziało w piekielnej piwnicy domu w Märsta. Jedna po drugiej.

Berger skinął głową i spojrzał na Blom. Ona też skinęła.

– Żadnych wymyślonych upiorów – powiedział w końcu.

– Mam jeszcze dwie rzeczy – oznajmiła Deer. – Najpierw wiadomość od Viry. Pamiętasz Virę?

– Asystentka koronera Hööga? Dwudziestojednolatka? Znakomita pamięć.

– Dokładniejsze badania wykazały, że środek rozcieńczający krew to tak naprawdę środek usypiający, niedostępny w Szwecji.

– Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem.

– Wyjaśnię ci to dobitnie – powiedziała Deer. – Efekt rozcieńczenia krwi jest jednym ze skutków ubocznych, i to z jego powodu środek jest zakazany na całym Zachodzie. To dlatego Krajowa Agencja Medycyny Sądowej go nie znalazła. To bardzo silny lek uspokajający, dziś rzadko stosowany. Cały raport masz w teczce.

– Zapoznam się z tym – odparł Berger. – Dzięki, Deer.

– A ta druga sprawa? – spytała Blom.

Deer się odwróciła i przez chwilę na nią patrzyła.

– Säpo – odparła w końcu bardzo dziwnym tonem.

– Tak? – odezwał się Berger, żeby uspokoić napiętą sytuację.

Deer odwróciła się z powrotem do niego z tym samym sceptycznym wyrazem twarzy i powiedziała:

– Jesteś absolutnie pewny tego, co teraz robisz, Sam? Naprawdę nie chcę cię widzieć za kratkami. To by była plama na moim CV.

– Po prostu powiedz – poprosił Berger.

Deer odchrząknęła i oznajmiła:

– Dzisiaj, kiedy Säpo wszczęła alarm, wyjaśnienia były tak mętne i wymijające, że po prostu musiałam to sprawdzić. Pogadałam nieoficjalnie z dawnym kolegą, który teraz pracuje w Säpo. Powiedział, że chodzi o jakąś nową informację, którą informatycy wydobyli z filmu z przesłuchań. Coś wam to mówi?

Berger popatrzył na Blom. Ze zmartwioną miną pokiwała głową.

- Jeszcze raz dziękuję – powiedział Berger. – Naprawdę.
  - A dlaczego ja tu jestem? – zapytała Strzała z wyraźnym niepokojem.
  - Domyślam się, że Deer przedstawiła ci sytuację?
  - Rozpętał się dzisiaj z twojego powodu niezły alarm, Samcze – syknęła.
  - To, że z wami rozmawiam, zamiast was zatrzymać, czyni mnie współwinną.
  - A jednak tu jesteś – odparł Berger.
  - Domyślam się, że to ty, Sylvio, ustaliłaś moje nazwisko.
  - Którego przysięgaliśmy uroczyście nikomu nie zdradzać – odparła i posłała Bergerowi spojrzenie ostre jak grot strzały.
  - Anomalie – oznajmił Berger. – Kiedy podczas nieoficjalnych poszukiwań znalazłaś listę Säpo, mówiłaś o anomaliach. Znalazłaś coś jeszcze oprócz listy?
  - Tak, ale wtedy zamknęłam oczy – odparła Strzała.
  - Chcę, żebyś z powrotem je otworzyła – rzekł Berger. – Co to były za anomalie?
- Strzała zmarszczyła brwi i przeczesała dłonią swoje rzadkie, wyblakłe włosy.
- Są znaki świadczące o tym, że kiedy kończył się jeden rok, a zaczynał następny, firewall został celowo osłabiony na mniej więcej godzinę. Wygląda na to, że nie tylko zabrano tajne dokumenty.
  - Ale też...?
  - Nie wiem – odparła Strzała i rozłożyła ręce. – Może usunięto.
  - Są znaki, że coś usunięto z najtajniejszego laboratorium Säpo? – wykrzyknęła Blom.
  - Znaki – odparła Strzała. – Nic więcej.
  - Możesz się temu przyjrzeć z bliska? – zapytał Berger.
  - Już dwa razy się umawialiśmy, że dosyć tego – powiedziała Strzała. –

A wtedy byłeś jeszcze policjantem.

Berger wybuchnął śmiechem.

– Możesz się temu przyjrzeć z bliska? – powtórzył.

– Jeśli się upierasz – odparła kwaśno.

– Dzięki. Nie będziemy was już zatrzymywać.

Deer i Strzała wstały. Strzała zaczęła już odchodzić, ale Deer jeszcze chwilę została i na niego patrzyła. W końcu pokręciła głową i odwróciła się z parasolem. Niedługo potem obie zniknęły, jakby ostatecznie połknięte przez deszczową mgłę.

– Znam ich plan – powiedziała Molly Blom.

– Co? – odparł Berger, który zdążył już się pogrążyć w utraconej przeszłości.

– Plan informatyków. Znam go. Wiem, gdzie jeden z nich wychodzi. I mniej więcej kiedy. Musimy się dowiedzieć, co wydobyli z pętli. Były tam rzeczy, które mogą zniszczyć całe nasze śledztwo.

– Zamierzasz dołożyć „przemoc wobec urzędnika państwowego” do naszej już i tak imponującej galerii przewinień?

– Anders Karlberg to mój kolega – odparła Blom. – Myślę, że możemy z nim porozmawiać. Bez uciekania się do przemocy.

– Kolega?

– Okej – powiedziała Molly Blom i wzruszyła ramionami. – Trochę więcej niż kolega.

**Czwartek, dwudziesty dziewiąty października, godz. 17:45**

WYSTUKALI KOD, weszli na klatkę schodową w domu przy Bergsgatan, minęli windę wiodącą w dół do piekła i wyszli na wewnętrzny dziedziniec, na którym rzeczywiście stał zaparkowany mercedes vito należący do Molly Blom. Przypuszczała, że teraz korzystał z niego ktoś inny. Przyłgnęła do fasady z lewej strony, żeby uniknąć kamer, i prześlizgnęła się w kierunku najnowszego modelu tesli. Berger przycupnął obok niej.

- Tesla, no proszę – wyszeptał.
- Anders to specjalista od techniki – odparła szeptem Blom.
- W łóżku też?
- Z madame X nie ma porównania.

Przez następne pół godziny milczeli, żeby się nawzajem nie denerwować. Berger nawet nie wspominał o swoich domniemaniach, jak dogłębne musiało być badanie Säpo.

Przycupnęli na ponurym dziedzińcu i czekali, aż poczuli sztywność stawów i skurcze mięśni. Pojawiły się dwie osoby i odjechały jakimiś samochodami. Trzy.

Kiedy wydawało się, że czas został już zupełnie rozmyty przez deszcz, usłyszeli kroki po raz czwarty. Blom popatrzyła na zegarek Bergera i skinęła głową. Rozległ się dźwięk otwieranego zamka tesli. Czekali, aż kierowca usiądzie na swoim miejscu. Wtedy wskoczyli – Blom na fotel pasażera,



a Berger do tyłu.

– Kurwa! – krzyknął lekko siwiejący mężczyzna siedzący za kierownicą. Najpierw jednak uderzył głową o sufit auta.

– Anders, dlaczego alarm ogłoszono dopiero dzisiaj? – zapytała Blom.

– Molly, do jasnej cholery – powiedział Anders Karlberg i rzucił szybkie spojrzenie przez ramię na Bergera. – Weź pod uwagę, że jestem za stary na zawał.

– Wiem – odparła Blom. – Ale ja nie jestem na tyle stara, by zostać wylana z pracy z niejasnych przyczyn. Co się stało?

– *Shit* – stęknął głucho Karlberg, rozmasowując ciemię. – I jeszcze, jakby tego było mało, wpuszczasz do mojej tesli swojego współnika.

– Obiecuję, że jej nie pobrudzę – odparł Berger i spojrzał na ociekające gliną siedzenie przy swoich pośladkach.

– Znasz mnie, Anders – powiedziała Molly Blom. – Wiesz, że nie jestem żadnym przestępcą. Mów.

– Tak, dzięki, znam cię. Twarda sztuka.

– No dawaj, Anders.

– Coś zakłóciło sterowany komputerowo sprzęt nagrywający. Dopiero po jakimś czasie odkryliśmy, że to urządzenie zapętlające. Nadajnik wysłał kod programu i stworzył pętlę z dwudziestosekundowej sekwencji. W uproszczeniu można to nazwać wirusem. Ale na dwie sekundy urządzenie się zacięło. Nie rozumieliśmy, dlaczego tylko raz, choć zapętłony fragment powtórzył się prawie trzydziestokrotnie. Okazało się, że kod był naprawdę dobrze ukryty. Dopiero dzisiaj w porze lunchu zrozumieliśmy, co to takiego.

– A dlaczego wszczęliście alarm?

– Bo dotarło do nas, że ten przeciek został zrobiony celowo. Małe dzieło sztuki programowania czasowego. August Steen twierdził, że specjalnie to zlecił. Żeby zostać zdemaskowana. Zastanawiał się tylko, po jaką cholere.

Musi cię powstrzymać, Molly. Musisz zdradzić, co kombinujesz.

– Czekaj – odparła Blom. – Urządzenie zapętłające było tak przerobione, żeby wydarzył się przeciek?

– Tak – odparł Anders Karlberg. – Można to porównać do mikroskopijnego zegarka.

\*\*\*

Berger z trudem wrzucił bieg w starej zdezelowanej maździe, dodał gazu na Norr Mälarstrand i zapytał:

– Wiborg Detaljst AB?

– Tak – odparła Blom i pokręciła głową. – Powinam była się domyślić. Przecież zawsze robią wszystko perfekcyjnie.

– Urządzenie w firmie wyprodukował niejaki Olle, prawda? Co wiesz o tym gościu?

– Właściwie kompletnie nic. Olle Nilsson. Pracuje w Wiborg Detaljst już od dość dawna. Zdolny, małomówny, wyjątkowo profesjonalny. Ale nic o nim nie wiem.

– A mimo to powierzyłaś mu wykonanie nieoficjalnego zadania?

– Te chłopaki są przyzwyczajone do wszelkiego rodzaju zadań, mniej lub bardziej tajnych, i są gotowi przyjąć honorarium w każdej nietypowej formie. To techniczni geniusze, głęboko świadomi tego, że działają w szarej strefie.

– Ale coś sprawiło, że ze wszystkich technicznych geniuszy wybrałaś właśnie Ollega Nilssona.

– Wydawał się godny zaufania, niewidzialny i milczący jak grób. Nie miał żadnego problemu z lewymi fakturami. Płaciłam gotówką. Paragonu nie było.

– Mógł włożyć ten tak zwany mikroskopijny zegarek do twojego urządzenia. Zapewne po to, żeby cię zdemaskować. A może zdemaskować nas. Jeśli tak, to Olle Nilsson musiał mieć do czynienia z Williamem.

– Tak czy inaczej, powinniśmy z nim porozmawiać – powiedziała Blom. – To mogła być usterka techniczna.

– Ale raczej nie, prawda?

– Prawda – odparła Blom. – Raczej nie.

W milczeniu przejechali rondo na Lindhagensplan, most Traneberg, Brommaplan. Jadąc długą Bergslagsvägen, dotarli do nieciekawej przemysłowej dzielnicy Vinsta. Berger rzucił okiem na zegarek i byle jak zaparkował przed budynkiem Wiborg Detaljist, który robił złudne wrażenie podupadłego. Dochodziła siódma i nic nie wskazywało na to, że w opustoszałej dzielnicy trwa jakaś praca.

Przystanęli przy pomoście przeładunkowym przed wejściem i rozejrzeli się po parkingu. Nie było tam żadnych poruszających się ludzi, nie startował żaden silnik. Było pusto jak po Sądzie Ostatecznym. Blom podeszła do brudnego panelu przy drzwiach, wystukała długi kod, a drzwi, które zupełnie nie kojarzyły się z elektroniką, rozsunęły się z niespodziewaną płynnością.

W obskurnej recepcji nie siedział żaden opryskliwy recepcjonista zalatujący alkoholem. Blom weszła pod stolik i znalazła przycisk. Drzwi za stolikiem zabrzęczały i rozsunęły się z taką samą dobrze naoliwioną precyzją co drzwi wejściowe. Molly Blom i Sam Berger weszli do pomieszczenia, które było zarazem magazynem i halą produkcyjną. Lekko obskurny wygląd tego miejsca według Bergera był tylko fasadą. Samotny mężczyzna koło czterdziestki siedział za dwoma komputerami, które wyglądały, jakby były przeżarte kurzem.

– Dyżurny? – zapytała Blom i uniosła legitymację w takiej odległości, żeby nie udało się nic przeczytać.

Mężczyzna skinął głową i wstał.

– Högberg – powiedział. – A wy?

– Eva Lindkvist i Roy Grahn, Säpo. Jest tu dziś u ciebie Olle Nilsson?

Högberg pokręcił przecząco głową i z powrotem usiadł.

– Już od jakiegoś czasu go nie widziałem. Z drugiej strony, nie widuje się go zbyt często. Ma lekką zmianę.

– Lekką zmianę?

– Z reguły pracuje w domu. Przychodzi tylko wtedy, kiedy jest to absolutnie konieczne.

Berger i Blom wymienili szybkie spojrzenie.

– Masz jego adres?

– Nie jestem upoważniony do udostępniania adresów. Staramy się nie zwracać na siebie uwagi.

– Przypuszczam, że i tak wiesz, Högberg, jak wyglądają związki Wiborga z Säpo. Słuchaj wszystkich naszych poleceń i nie zadawaj pytań. Nie sypnij nikomu. No więc: adres?

Högberg zrobił naburmuszoną minę i zaczął sprawdzać w komputerze.

– A czy właśnie w tej chwili nie sypię? – zapytał.

– Nie sypiesz, dając Säpo to, czego chce – odparła Blom tonem, który przyprawił Bergera o mdłości.

Högberg wskazał drukarkę. Leżała w niej kartka. Blom wzięła ją do ręki i zaczęła czytać. Potem wyszła bez słowa. Berger ruszył za nią.

Wskoczyli do mazdy.

– Bålsta – powiedziała Blom. – To chyba gdzieś na wsi.

– Z Märsta do Bålsta – odparł Berger. – Brzmi prawdopodobnie.

Palił gumy na tyle, na ile pozwalała powolna mazda. Bergslagsvägen była przyjemnie niezakorkowana, a po E18 jechało się szybko. Zostało kilkadziesiąt kilometrów.

– Mogliśmy to wcześniej rozgryźć – stwierdziła samokrytycznie Blom, wpisując adres do laptopa i przybliżając na ekranie dużą partię zieleni. Powoli zieleń przechodziła w las, widziany z satelity.

– Dom Ollega Nilssona leży w środku lasu? – spytał Berger, kiedy szybko zerknął na zdjęcie satelitarne.

– Najbliższy sąsiad jest przynajmniej kilometr dalej.

Berger wpatrywał się w ciemność, rozmazywaną przez beznadziejne wycieraczki. Na razie drogę oświetlały mocne latarnie uliczne.

Wrażenie, że teraz sprawa robi się poważna, narastało z każdą minutą.

Zjeżdżając na Bålsta, zostawili za sobą cywilizację. Blom pewnie pilotowała Bergera po coraz węższych drogach. Przerwy między kolejnymi samochodami jadącymi z przeciwka wydłużały się, pomiędzy latarniami – były jeszcze dłuższe. Po jakimś czasie jechali w całkowitej ciemności. Wymarłe jesienne lasy można było od biedy dostrzec przez deszczowe mgły spowijające samochód niczym kokon. Nie istniało nic poza głuchą, terkoczącą deszczem, odbijającą się echem ciemnością.

– Następna w prawo – powiedziała Blom i zaczęła gmerać przy kaburze.

„Następnej w prawo” nie można było nawet nazwać drogą. Kilkaset metrów dalej ścieżka odrobinę się rozszerzyła.

– Stań tutaj – poleciła Blom.

Pokazała mu komputer.

– Jeśli podjedziemy bliżej, to nas usłyszysz – oznajmiła i wskazała zdjęcie satelitarne terenu.

– Gówniana mazda – odparł Berger.

– Tutaj – wskazała Blom. – Mniej więcej czterystumetrowy odcinek lasu, potem coś, co wygląda jak większa polana, w każdym razie otwarty teren liczący jakieś dwieście metrów. Na krańcu tej polany stoi dom.

Berger skinął głową i wyłączył silnik. Niewiele się zmieniło. Dookoła nich mrucała ciemność.

Latarki poszły w górę, stożki światła zaczęły omiatać korony drzew, obijały się o pnie, rozdzielały się na spadających kroplach, które bardziej

przypominały łodyżki.

Weszli do lasu i natychmiast zapadli się po kostki w wilgotnym mchu. To był podmokły świat. Pnie drzew stały gęsto, walczyły o każdy metr. Gałąź odskoczyła i uderzyła Bergera w nasadę nosa. Nie powiedział ani słowa, zdawał sobie sprawę, że to nie jest odpowiedni moment. Czuł się tak, jakby brnął przez koszmarny sen. Wydawało się, że drzewa próbują ich złapać.

Niekiedy Berger miał wrażenie, że Blom zniknęła, ale potem pojawiała się znowu, a jej przemoczona bluza z kapturem świeciła ciemną zielenią.

W końcu dostrzegł światło w lesie. Było tak słabe, że równie dobrze mogło mu się tylko przywidzieć. Ale oboje je widzieli, jako lekką zmianę odcienia. Drzewa stopniowo zaczęły rzednąć. Prawdopodobnie byli już blisko polany.

Zostały tylko ze dwa rzędy drzew i trochę zarośli, kiedy stało się jasne, że światło nie dochodzi z polany, lecz z bardziej odległego punktu. Berger zgasił latarkę, precyzyjnie się przemieścił przez ostatnie zarośla i wyszedł na polanę.

Światło padało z drugiej strony, może dwieście metrów dalej. Sprawiało, że fasada małego odrapanego domku połyskiwała.

Ale nie tylko to było rozświetlone.

Choć światło padało z daleka, nie ulegało wątpliwości, że jego źródłem są reflektory, co najmniej cztery, znajdujące się na wysokości około dwóch metrów, skupione wokół centrum. Centrum stanowiły cztery pale, obrane z kory, formujące kwadrat. Oświetlony kwadrat.

Berger nie widział wiele więcej. Musiał wyostrzyć wzrok i sprawić, by bardziej precyzyjnie przeniknął przez deszcz nad polaną. Trawa, która ją porastała, wydawała się zbyt wysoka jak na zwykłą trawę.

Utkwił wzrok w jasnym punkcie, osobliwej scenie rozświetlającej mrok w oddali. Reflektory na przydomowej posesji. A w ich świetle cztery nagie, stabilne pnie, ucięte, wysokie najwyżej na trzy metry.

Przypominały drewniane podpory.

Między czterema pniami biegły łańcuchy, ułożone w zawiły wzór. Ale nie tylko łańcuchy. Berger miał wrażenie, że widzi też dwa wielkie koła zębate, sprężyny, trzpienie, ciężarek i wahadło.

To był zegar.

Zegar wieżowy bez wieży.

W środku zegara tkwiła jakaś postać.

Jej absurdalnie długie ramiona były wyciągnięte na boki i wystawały z eleganckiej, zanadto letniej sukienki w duże kwiaty. Długie włosy były koloru blond.

– Ellen – syknęła Blom i pobiegła w tamtą stronę.

Berger widział, jak do połowy tonie w źdźbłach trawy, które bardziej przypominały trzciny. Polana zaś wyglądała raczej jak bagno. Przedzierała się przez trawy sięgające jej do piersi, stawiając jeden ciężki krok za drugim.

Popędził za nią. Zapadł się głębiej, ale też był znacznie wyższy. Deszcz chłostał ich coraz mocniej, kiedy z wysiłkiem posuwali się naprzód. Perwersyjnie oświetlony zegar trząsł się i drżał im przed oczami, kiedy stawiali kolejne kroki. Berger usłyszał wyraźne kliknięcie wwiercające się w ciemność i zobaczył, że ramiona Ellen Saviger wydłużają się jeszcze odrobinę. Nie słyszał żadnego krzyku, żadnych innych dźwięków niż te, które wydawali wraz z Blom, brnąc przez bagno.

Stopy grzęzły w podłożu, zaplątywały się w korzenie, uwalniały z plaśnięciem. Trzcina siekła ich po twarzach. Twarz Blom rozświetlała mrok bielą, była blada, lecz zacięta.

Byli już w połowie drogi. Wytężali wszystkie siły. Usłyszał własny ryk. Poczuł się tak, jakby głos pochodził od kogoś innego. Z zupełnie innych głębin.

Wtedy rozbrzmiało kolejne głośnie kliknięcie. Ramiona w sukience w duże

kwiaty wyciągnęły się jeszcze mocniej. Byli już tak blisko, że wyraźnie widzieli przypiętą postać. Jasne włosy zakrywały pochyloną do przodu głowę. Berger zrozumiał, że patrzą na Ellen od tyłu.

Gołe nogi były ściśnięte pod sukienką, odstawały tylko ramiona. Ellen Saverger wyglądała jak ukrzyżowana przez czas.

Teraz krzyk nie dobiegał już z oddali. Berger wrzeszczał, wył. Z całej siły wyszarpywał stopy z błotnistej brei. Unosił się w powietrzu, przemknął koło Blom, wszystko w nim krzyczało, był już tak blisko. Nagle poczuł, że może rozróżnić każdy jasny włos z tyłu głowy Ellen.

Rozległo się kolejne kliknięcie, głośniejsze niż poprzednie.

Był już w zasadzie na posesji, kiedy spostrzegł, że grube łańcuchy naciągają się jeszcze odrobinę. Nagle zobaczył, jak jedna ręka odrywa się od ciała. Zdawało mu się, że w huczącym deszczu słyszy dźwięk wyrywanych stawów, pękających mięśni, rozdzieranej skóry. Zobaczył, jak prawa ręka jest wysysana z rękawa sukienki, rysuje łuk w powietrzu, po czym zawisa i dynda niczym wahadło na jednym z łańcuchów przy nagim pniu.

Dopiero wtedy bagno wypuściło jego stopy. Z rykiem wyrwał się na stały grunt i popędził do zegara. Okrążył biegiem zmasakrowane ciało i popatrzył Ellen w oczy. Były nieruchome.

I nie należały do człowieka.

Patrzył w oczy manekina.

– Jebany manekin! – wrzasnął w ciemność.

Blom wybiegła z bagna. Z malutkich rozcięć na jej twarzy spływały drobne jasnoróżowe strużki. Nic nie mówiła, patrzyła tylko na ramię zwisające z grubego łańcucha. Podeszła do ciała, które nie było ciałem. Podczas gdy Berger robił skłon w przód, za kolana, ona przyglądała się twarzy, która nigdy nie była żywa. Wyciągnęła rękę, wyjęła jakiś przedmiot z ust manekina i podała go Bergerowi.



To było małe kółko zębate.

## 31

**Czwartek, dwudziesty dziewiąty października, godz. 19:48**

BERGER SZUKAŁ wzrokiem Blom. Z uniesionym pistoletem prześliznął się obok pozbawionego kończyny manekina w wielkim oświetlonym zegarze. Blom wskazała ręką kierunek i przemknęła w stronę werandy małego domku. Kiedy kucnęli pod schodkami, poczuli, że podobieństwo z domem w Märsta jest wręcz perwersyjne. Wyglądał jak jego brat bliźniak.

Stojąc na skraju ostrego światła reflektorów, kiedy zdolność logicznego myślenia powróciła, Berger doszedł do wniosku, że zegar musiał zostać aktywowany w odpowiednim czasie – tak, żeby się spóźnili o włos. A więc William musiał widzieć, że się pojawili na polanie, i oszacować, ile czasu zajmie im pokonanie bagna, a potem znaleźć się przy zegarze i go uruchomić.

Musiał być na miejscu.

William mógł ich zastrzelić w każdej chwili na bagnie. Przez kilka minut byli żywymi tarczami. Nie zrobił tego jednak, miał wobec nich inne plany.

Pewnie czekał na nich w domu.

Blom wyjęła latarkę i skinęła głową Bergerowi. Wyciągnął swoją i odwzajemnił skinienie. Widział w jej oczach, że myślała o tym samym.

Nie było odwrotu. Musieli wejść.

Weszli na werandę, przycupnęli przy drzwiach, uważając na ewentualne pułapki, sprawdzili drzwi. Były otwarte. Blom odczekała, aż się rozsuna.

W sztucznym świetle nie przeleciały żadne noże, żaden diabelski

mechanizm nie czał się w jeszcze przez to mroczniejszej ciemności za progiem. Obie latarki zostały włączone.

Przedpokój nie do końca przypominał ten z domu w Märsta – bliźniacze domy nie były jednak klonami. Kuchnia na wprost, schody do piwnicy po lewej, schody na górę po prawej, nic poza tym. Musieli się zdecydować.

Berger pilnował najbliższych drzwi, mając na oku zarówno kuchnię, jak i korytarz, a Blom przemknęła do kuchni. Nie podobało mu się, że na moment zniknęła za rogiem. Na szczęście zaraz pojawiła się znowu, kręciła głową.

Wróciła na korytarz. Dopiero wtedy dotarły do nich wrażenia węchowe. Przez chwilę stali nieruchomo i próbowali je zinterpretować. Przede wszystkim było tam coś stęchłego, ślady kału i moczu. Oboje w cząsteczkach zapachowych szukali śmierci.

Czy były w nich ślady śmierci?

Ile rozkładających się ciał czekało na nich w tym piekielnym domu?

Jednak jakkolwiek analizowali zapach, nie wyczuwali w nim śmierci. Aż nazbyt dobrze znajoma słodkawa woń gnijącego mięsa była ostentacyjnie nieobecna.

Nie musiało to nic znaczyć. I tak mogła tu być śmierć – ukryta, zneutralizowana, wysterylizowana. Wszystko w tym domu wskazywało na śmierć.

Blom wzięła głęboki oddech i uczyniła gest w kierunku schodów do piwnicy.

Chciała chwycić byka za rogi.

Ciemność wstępująca z dołu wydawała się materialna – była gęsta i jakby rozciągliwa. Oświetlili pierwszy stopień. Dalej kamienne schody skręcały i znikaly im z oczu. Któreś z nich musiało iść pierwsze.

Berger odbezpieczył glocka i ruszył przodem. Blom ubezpieczała go, na

ile to było możliwe na wąskich schodach do piwnicy. W stożkach światła rzucanych przez latarki krążyły leniwie drobiny kurzu, obojętne na rozgrywające się wokół piekło. Nie było słychać żadnego dźwięku, ale zapach przybierał na sile, robił się coraz bardziej stęchły, coraz bardziej gówniany.

Szczyzny i gówno.

Berger pokonał zakręt schodów. Zobaczyli zamknięte drzwi. Zeszli do nich. Berger położył dłoń na klamce i usłyszał własny oddech. Brzmiał jak u chorego, umierającego człowieka. Nacisnął klamkę. Drzwi się otworzyły.

Znaleźli się w bardzo małym pokoju. Było tam dwoje wyraźnie niższych drzwi. Blom mogła stać wyprostowana, Berger musiał się pochylić. Na podłodze leżał materac ze zmietoszonym kocem, w rogu stało wiadro z pokrywą. Kiedy do niego podeszli, woń moczu i kału się wzmogła.

Szczyzny i gówno.

Rozejrzeli się dookoła. Pomieszczenie, w którym stali, było celą więzienną. Miejscem, w którym z całą pewnością leżała kiedyś Ellen Saver. Najbrudniejszym z piekieł.

Berger zobaczył, że Blom bierze głęboki wdech i zbliża się do jednych z dwojga drzwi w głębi pomieszczenia. Posłała mu spojrzenie i nacisnęła klamkę. Berger przykucnął i ją osłaniał, kiedy robiła krok do środka. Jej latarka rozświetliła kolejne pomieszczenie.

Było tam z grubsza podobnie – zużyty materac z kocem, wiadro z pokrywą, brak górnego światła, i dwoje niskich drzwi na drugim końcu małego pomieszczenia.

Berger widział, że Blom jest zdziwiona, ale podejrzewał, że to samo można wyczytać z jego twarzy. Wszystko było bardzo dziwne.

Ponownie wybrali jedno z drzwi i weszli do kolejnej maleńkiej celi, na oko takiej samej. Ona również była pusta.

„Znów za późno” – to hasło stawało się dla nich coraz bardziej jasne. Ani Williama Larssona, ani Ellen Saviger nie było na miejscu. William po raz kolejny uciekł.

Chwilę potrwało, zanim obeszlili całą piwnicę, znaleźli właściwą drogę. Raz za razem się gubili i wracali do punktu wyjścia. Wciąż pojawiały się kolejne drzwi. Z rozmysłem ich za sobą nie zamykali. W końcu wszystkie drzwi były już otwarte. Obeszli całą strukturę. Wreszcie nie mogli już dłużej milczeć.

– Co to ma być, do cholery? – zapytał Berger. – Czy on ją przenosił z miejsca na miejsce? Siedem pieprzonych malutkich celi, po jednej na każdy dzień tygodnia?

Blom tylko pokręciła głową. Potem ruszyła tam, gdzie prawdopodobnie znajdowało się wyjście. Po dwóch próbach trafili i znaleźli się z powrotem na piwnicznych schodach. Blom przykucnęła i ustawiła latarkę na maksymalną moc. Stożek mocnego światła padł na najbliższą celę i przez kolejne drzwi, najdalej jak się dało.

– To labirynt – powiedziała Blom dokładnie w chwili, kiedy Berger pomyślał to samo.

– Tak jak w Märsta – odparł schrypniętym głosem. – Tam też były cele. Siedem cholernych celi.

– Nie chodzi o dni tygodnia. – Blom zaświeciły się oczy. – Nie siedem dni tygodnia, tylko siedem porwanych dziewczyn.

Spojrzeli na siebie. Krew z małych ranek na ich twarzach zmieszała się z wodą ściekającą im z włosów. Ich kredowobiałe twarze wyglądały jak dwoje płaczących oczu.

– Każda dostała swoją celę – oznajmił Berger. – Zanim je pozabijał, przydzielił im oddzielne pokoje.

– Nie pozabijał ich – powiedziała Blom głosem, którego Berger nie

poznawał. – Trzymał je tutaj przez lata. Faszerował silnymi środkami uspokajającymi, zakazanymi na Zachodzie, przez bardzo długi czas. Kolekcjonował je.

Berger wlepił w nią wzrok. Po jej twarzy spływała już nie tylko woda. Także łzy.

Po raz pierwszy widział, jak Molly Blom płacze.

Zastanawiał się, czy będzie jedyna.

Zamknął oczy. Świat nagle uległ zmianie. Nagle znacznie więcej zaczęło od nich zależeć. Od Sama Bergera i Molly Blom.

W ich rękach było siedem ludzkich istnień.

Podawali się do góry, wybiegli na korytarz, zobaczyli perwersyjne światło reflektorów, które wpadało do środka przez otwarte drzwi wejściowe. Znów można było oddychać. Trzymali się nawzajem za przedramiona. Byli niemal przytuleni.

– Kurwa mać – zaklął Berger. – Jasna cholera. Trzymał je przy życiu. Czekał na nas.

– Został zauważony w Märsta – powiedziała Blom. – On z kolei musiał zauważyć kobietę z psem, która widziała jego samochód Statoil. Oczyszczył dom w Märsta, całkowicie go opróżnił, usunął drzwi, wszystko dokładnie poodkurzał. Potem przywiózł tu dziewczyny, wszystkie siedem. Czekał na nas. A dokładnie w tej chwili wywiózł je stąd furgonetką. Musi tu być inna droga wyjazdowa, niewidoczna na mapie.

Nagle Berger zobaczył wszystko z wyjątkową jasnością.

– *The Ramans do everything in threes* – powiedział.

Blom tylko się w niego wpatrywała.

– Ulubiona książka Williama – uściślił Berger. – *Spotkanie z Ramą*, powieść science fiction Arthura C. Clarke’a.

– Okej – odparła Blom. Widać było, że próbuje się nie rozsypać. – Co

chcesz przez to powiedzieć?

– Jest trzeci dom. Trzeci bliźniaczo podobny dom.

Z całej siły uderzył pięścią w ścianę.

Rany na kostkach jego prawej dłoni szeroko się otworzyły. Krew trysnęła z nich na ścianę.

Miał to gdzieś. Tak jak wszystko inne. Naprawdę wszystko.

Oprócz jednego. Tego, co było najważniejsze.

Musiał uratować nie jedną, ale siedem dziewczynek.

Patrzył na ohydne światło reflektorów, sączące się do korytarza. Wyszedł na werandę. Zaczął strzelać do reflektorów, jednego po drugim, dopóki pistolet nie kliknął. Wtedy zrozumiał, że nie wszystkie światła zgasły.

Zszedł z werandy i zobaczył, że fasada domu świeci jakby własnym wewnętrznym światłem.

Jak pomalowana fluorescencyjną farbą.

Wbiegł z powrotem do domu. Popędził po schodach na górę. Znalazł się w warsztacie – był tam okazały zbiór młotków różnej wielkości i kształtów, było kilka form do odlewania noży, była ściana całkowicie podziurawiona ostrzami oraz ława, na której widniały ślady po mocnych uderzeniach młotkiem.

– As – wycedził Berger przez zęby. – Pierdolony as.

Blom skinęła głową. Po policzkach spływały jej łzy.

Byli w samym centrum piekła.

Krwawiący na wszystkie strony Berger popędził do kolejnych drzwi. Za nimi znajdował się mniejszy pokój, a w nim łóżko z brudnożółtym prześcieradłem. W rogu przy ścianie stał stół w kształcie litery L. Widać było na nim wyraźne odciski komputerów, drukarek, routerów.

W tym miejscu William Larsson wszystko planował.

– Coś tu się świeci – powiedziała Blom.

Berger skinął głową. Wydawało się, że z dołu, spod biurka, pada słabe światło. Berger odsunął biurko od ściany. Prosto z gniazdka elektrycznego wystawała lampka.

Przykucnęli.

Obok słabego światła znajdowała się kartka przypięta do ściany.

Pośrodku kartki tkwiła pinezka. Na pinezce wisiało maleńkie kółko zębate.

Na karteczce widniało kilka ręcznie zapisanych liter. Wyglądały jak odbite we krwi.

Napis brzmiał:

„Niedługo przyjdę po was”.

Wiadomość była zakończona uśmiechem.

Po dokładniejszych oględzinach okazało się, że dolna część kartki to przypięta koperta. Blom odczepiła ją od ściany i wstała. Berger zrobił to samo. Krwawił.

Drżącymi dłońmi Blom otworzyła kopertę, ostrożnie, bardzo ostrożnie, i wyciągnęła z niej zdjęcie.

Przedstawiało budynek, którego fasada zdawała się świecić własnym, wewnętrznym światłem.

Hangar na łodzie.



**IV**

## 32

### Piątek, trzydziesty października, godz. 1:29

KREW MIESZAŁA SIĘ z lodowatą wodą. Formowała małe dopływy, które w końcu, coraz bardziej rozrzedzone, docierały do delty i wypływały na otwarte morze. Albo przynajmniej znikwały z oczu, ze światła padającego na okrągły fragment rozległej wody.

Berger zgasił latarkę i wyciągnął rękę z wód zatoki Ed. Czuł, jak dzięki chładowi otwarte naczynia krwionośne powoli się zamykają.

Minęło trochę czasu. Przejrzeli każdy piksel z filmów nagranych kamerą monitoringu, a potem, najostrożniej jak mogli, zbliżyli się do hangaru. Nikogo tam nie było.

Wiedzieli jednak, że William Larsson przyjdzie.

Że może przyjść w każdej chwili.

Berger potrząsnął głową, jakby chciał pobudzić nieruchawe komórki mózgowe, i popatrzył na zatokę, która miała niewielki kontakt z otwartym morzem.

Wszedł do środka. Blom stała przy tablicy i patrzyła na zdjęcia siedmiu ofiar Williama Larssona. Nie po raz pierwszy.

– Już prawie to miałam – powiedziała i pokręciła głową. – Jest tu jakaś myśl.

– Masz je na oku? – zapytał Berger, wskazując dwa otwarte laptopy, i podszedł do przeciwległego rogu tablicy. Oba ekrany były wypełnione

obrazami z pobliskich kamer monitoringu. Doszło kilka nowych.

– A ty? – odparła Blom.

– Nie, kiedy byłem na zewnątrz – powiedział Berger i wskazał zdjęcie niedawno umieszczone na tablicy. Znajdowało się pomiędzy fotografią szesnastoletniego Williama Larssona a dwoma rysopisami Erika Johanssona. – Zdjęcie z prawa jazdy Ollego Nilssona – oznajmił. – Tylko takie udało mi się znaleźć. Jest podobny do twojego Ollego z Wiborg Detaljist AB?

Blom skinęła głową.

– A poza tym niepokojąco przypomina oba rysopisy: z Östermalmu i z Märsta.

Berger też pokiwał głową, a potem wskazał poważnie zdeformowanego szesnastolatka.

– A podobieństwo z nim?

Blom pokręciła głową.

– No, może coś w oczach – powiedziała po chwili.

– Może – potwierdził Berger i próbował zestawić sobie w głowie oba wizerunki. – W każdym razie jest jedynym właścicielem domu w Bålsta, pod nazwiskiem z firmy Wiborg, Olle Nilsson. Nabył go pół roku przed tym, jak wynajął dom w Märsta. Wszystko wygląda na profesjonalnie zorganizowane. Natychmiastowe przewiezienie dziewczyn z jednego domu do drugiego w wynajętej na długi termin furgonetce ze stacji Statoil w Gävle wydaje się możliwe.

– A skoro dostał pracę w Wiborg Detaljist AB – dodała Blom – jest nie tylko wysoko wykwalifikowanym technikiem, ale też przeszedł rygorystyczne kontrole przewidziane dla pracowników Säpo. Nadal uważam, że to dziwne. Istnieje bardzo niewiele rzeczy trudniejszych niż infiltracja policji bezpieczeństwa. Mówię to jako agentka.

– W każdym razie jego zainteresowanie techniką pochodzi z czasów

zegarków mechanicznych – odparł Berger. – Olle Nilsson to naprawdę bardzo sprawnie zbudowana postać, co najmniej tak sprawnie jak Nathalie Fredén. Figuruje jako inżynier, absolwent Uniwersytetu Technologicznego Chalmers w Göteborgu. Ma bardzo przekonujące i naprawdę niemożliwe do zweryfikowania CV. Nic nie wskazuje na to, że kiedykolwiek wyjeżdżał poza granice Unii Europejskiej. Nie ma też żadnych śladów tego, kiedy dokładnie wszedł w rolę Ollego Nilssona.

– Ani tego, kiedy przyjechał do Szwecji – dodała Blom. – Mimo to obstawiałabym, że przeszedł operację plastyczną w którymś z krajów arabskich, może w Libanie, a może, jak sądziłam na początku, w Arabii Saudyjskiej. Sądzę też, że jego ojciec, Nils, wprowadził go w lokalne środowisko i dopilnował, żeby zdobył gruntowne wykształcenie techniczne.

– Nie tylko – rzekł Berger. – Według mnie wszystko wskazuje na to, że William poszedł w ślady ojca. Myślę, że został wojskowym, najemnikiem, może właśnie agentem.

Blom skinęła głową.

– Zgadzam się. To dlatego przyjechał do Szwecji? A jeśli tak, to na czyj rachunek?

– Właśnie. Mógł wrócić do Szwecji, kiedy głosy w jego głowie stały się zbyt głośne. Albo też stały się zbyt głośne, kiedy już tu był. W innych sprawach. Tak czy inaczej, musiało się zdarzyć jakieś załamanie psychiczne. A teraz jest już psycholem pełną gębą.

– Scenariusz pierwszy: Gundersen nie tylko zaopatrzył Williama w nieskazitelne fałszywe papiery, ale też podsycił jego żądzę zemsty, aż w końcu nadszedł czas. Scenariusz drugi: William był tu z jakąś misją, ale pobyt w kraju dzieciństwa sprawił, że przeszłość wróciła z całą mocą.

– Będziemy musieli go zapytać – powiedział Berger z wykrzywionym uśmiechem.

– Ale jak on się dostał do Wiborga?

– W każdym razie, ważne jest to, że istnieje trzeci dom. Musimy go znaleźć. I to dziś w nocy.

Popatrzyli na siebie. W ich spojrzeniach była wielka, ciężka powaga. Nagle w jasnoniebieskich oczach coś jakby kliknęło. Berger zobaczył bardzo wyraźnie, że w głowie Blom zapaliła się żarówka.

Przemieściła się w bok, z powrotem w kierunku siedmiu ofiar Williama.

– To przecież my – powiedziała z przejęciem.

– Co?

– Mówiłeś przedtem o śnieżce – ciągnęła.

– O śnieżce? – zdziwił się Berger. – Co takiego?

– Ty i William siedzieliście na ławce przed szkołą. Myślałyśmy, że po raz pierwszy próbujecie snusu. Linda rzuciła śnieżką, która trafiła to, co trzymaliście w rękach. Okazało się, że to nie było pudełeczko ze snusem, tylko zegarek.

– Zegarek amerykańskiej marki Elgin – potwierdził Berger i zatopił się w przeszłości. – Wtedy po raz pierwszy William pokazał mi zegarek. Kółka zębate się rozsypały, wpadły pod śnieg.

– A my odbiegłyśmy ze śmiechem – powiedziała Blom. – Było nas siedem. Oprócz Lindy i mnie były jeszcze Layla, Maria, Alma, Salma i Eva. Linda, ja, Maria i Alma byłyśmy zwykłymi szwedzkimi dziewczynami. Layla i Salma były imigrantkami z Bliskiego Wschodu. A Eva była adoptowaną Koreanką.

– Wow – odparł Berger. – Chcesz powiedzieć...

– Tak, myślę, że odtworzył naszą grupę. Zebrał nas. Maria i Alma były niczym niewyróżniającymi się szwedzkimi brunetkami, jak Julia Almström i Emma Brandt. Linda była ciemniejsza, zbuntowana i miała kolczyki, jak Jonna Eriksson. Layla była pochodzenia arabskiego, jak Aisza Pachachi, i nie

zdziwiłoby mnie, gdyby Salma była Kurdyjką, jak Nefel Berwari. Eva z kolei była Azjatką, jak Sunisa Phetwiset. Pozostają ja, Molly.

– Jasna cholera. Jedyna blondynka w tej grupie.

– Tak – odparła głucho. – Ellen Saviger to ja, Molly Blom.

– Wisienka na torcie. Kropka nad i.

Przez chwilę milczeli, każde z nich w przelocie obserwowało ekrany komputerów. W końcu odezwał się Berger:

– Zegarki to była świętość. Po raz pierwszy ktoś uderzył w jego oczko w głowie. To wryło mu się głęboko w psychikę. Poza tym myślę, że większość tych dziewczyn widziała też jego upokorzenie na boisku. Choć nie ty, Molly.

– Ja już się wryłam w jego psychikę w inny sposób – odparła. – Przypiął mnie do swojego zegara. Mnie nigdy nie wyprze z psychiki.

– Ani mnie. Tym bardziej mnie. Zdrajcy.

– William Larsson rekonstruuje przeszłość – stwierdziła Blom. – Zachował wszystkie dziewczyny na tę chwilę. Trzymał je odurzone narkotykami i czekał...

– ...aż wykończy mnie – dorzucił Berger i zamknął oczy. – Potem zabije wszystkie siedem dziewczyn za jednym zamachem.

– Innymi słowy, nie wolno mu cię wykończyć – odparła Blom.

Znów na siebie popatrzyli. Spojrzenia wwierały się głębiej niż kiedykolwiek. Chwilę później znów usiedli przy komputerach. Ostatnio często spędzali tak wieczory i noce.

Czas przybrał inną postać. Wszystko stało się cięższe, powolniejsze. Ich ruchy też wydawały się odmienione. Nic więcej nie działali.

Po jakimś czasie znów spojrzeli sobie w oczy. To było inne spojrzenie. Blom kliknęła coś na ekranie, wzięła głęboki oddech, skinęła głową i stwierdziła:

– Nie, już dłużej nie mogę. Idę się położyć na dwie godziny.

Berger pokiwał głową.

– Zaczepnę tylko trochę świeżego powietrza – odparł. – A potem wezmę pierwszą zmianę.

Sam patrzył, jak Molly idzie do śpiwora po swojej stronie ław stolarskich. Odczekał chwilę, uporządkował kilka zdjęć i popatrzył w oczy Ellen Saviger, spoglądającej na niego z tablicy. Jej powściągliwy uśmiech wyrażał bezgraniczną wiarę w przyszłość.

Jak niegdyś uśmiech Molly Blom.

W końcu wyszedł. Otworzył drzwiczki prowadzące na pomost i zrobił krok przed siebie. Na dworze było kompletnie ciemno. Deszcz głośno smagał daszek nad pomostem i mącił niewielki wycinek wody, który Berger był w stanie dostrzec.

Wszystko poza jednym fragmentem. Tam woda wyglądała na nietkniętą. Zbliżył się do tego miejsca.

To nie był fragment wody. To była łódka.

Płaskodenna łódka.

Odruchowo sięgnął za połę marynarki. Krwawiące kostki uderzyły o kaburę. Była pusta.

Odwrócił się i szybko rzucił okiem przez okienko w drzwiach. Na najbliższym stoliku leżał pistolet.

Pchnął drzwi i wpadł do środka. W półmroku zobaczył rękę sięgającą po jego glocka. Zanim zdążył się zatrzymać, już zaglądał w wylot lufy własnego pistoletu.

Dziwnie się poczuł, widząc na żywo twarz Ollego Nilssona.

To była twarz Williama Larssona. A jednak zupełnie inna.

Jakby z bardzo dużej odległości zobaczył, jak William się odwraca i celuje w śpiwór. Kontury śpiącej Molly Blom odznaczały się w ciemności, burza jej

jasnych włosów wystawała ze śpiwora.

William Larsson wystrzelił. Sam miał wrażenie, że widzi, jak ciałem w śpiworze wstrząsają skurcze. Potem znieruchomiło.

William strzelił do Molly jeszcze trzy razy. Berger rzucił się na niego. Strzały odbiły się echem od ścian hangaru, ogłuszyły go tak bardzo, że nawet nie słyszał własnego potępieńczego ryku.

Nie czuł też ciosu, który pozbawił go przytomności.

\*\*\*

Zanim pojawia się „ja”, są zawroty głowy. I nic więcej. Kołowanie, które poprzedza wszystko. Przez długi czas jest wszystkim.

A potem pocenie się. Pot nie jest ciepły, lecz lodowaty. Skądś spływa. Nie ma jeszcze przestrzeni ani ciała; żadnych uczuć, żadnego bólu, żadnego „ja”. Są zawroty głowy. Jest pot. Nic więcej.

Pot zaś jest zimniejszy niż śmierć.

Zanim pojawia się „ja”, jest strach. To strach, który rodzi się z niczego i wzmaga falami. To pierwotny, mroczny strach, bez przyczyny, bez ukierunkowania. Pożera wszystko. Zjada wszystko, co znajdzie na swojej drodze.

W końcu się sadowi. Wczepia się na stałe. Rozszerza mózg, który zaczyna napierać na czaszkę. Czuje się uwięziony w swojej małej klatce. Jest w tym ból, który nie ma nic wspólnego z ciałem. Jest eksplozja wrażeń zmysłowych, które w końcu się przeradzają w „ja”. Ja, które jest tylko wierzchołkiem bólu.

Jest unieruchomienie. A więc musi też istnieć ciało. Unieruchomione ciało. Są nogi, które nie mogą się poruszyć w żadnym kierunku. Są ręce. Usztywnione, wyprostowane.

W końcu są i wrażenia wzrokowe. Jest pokój, ciemne wnętrze. Burza jasnych włosów w podziurawionym kulami śpiworze.



I krzyk, ryk, wrzask.

Jest piekło, tu i teraz.

„Ja” nagle wie, że ma na imię Sam. Ale niewiele więcej. Wszystko jest czystym bólem.

Są dźwięki. Odbijające się echem, głuche, metaliczne dźwięki. Odgłosy ciągnięcia po podłodze, odgłosy szurania, uderzeń. Dźwięk metalu uderzającego o metal. Dźwięki budowania, ustawiania. Ale na razie brak obecności człowieka, w każdym razie żywego.

Sam próbuje obrócić głowę, która pulsuje bólem. Czuje ciepłą strużkę, przedzierającą się przez pokrywający czoło zimny pot. Rozumie, że to krew.

Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Odwraca głowę, jak tylko potrafi. Czuje jakieś ruchy w ciemności za swoimi plecami, bliżej podłogi, widzi kontury jakichś mechanizmów. Kiedy unosi wzrok i zaczyna odwracać głowę z powrotem, czuje grube łańcuchy wychodzące z pętli w ścianie. Zatrzymuje się przy własnej wyciągniętej ręce. Nadgarstek jest mocno przypięty skórzanym paskiem, do którego przytwierdzono gruby, niknący w ciemności łańcuch. Można wyczuć, że jego przedłużeniem jest duże koło zębate.

Słyszy jęki. Mija o wiele za dużo czasu, nim się orientuje, że to on sam tak jęczy.

Szarpie ręką i przyciąga ją do siebie, ale łańcuch trzyma go mocno, bardzo mocno.

Kiedy wykręca głowę do tyłu, widzi tam twarz, oddaloną zaledwie o kilkadziesiąt centymetrów od jego twarzy. Obserwuje go spokojnie jasnoniebieskimi oczyma. Nieznana twarz zaczyna przemawiać głosem dobrze znanym z dzieciństwa.

– Przecież wiedziałeś, że w końcu musimy się znaleźć tutaj.

Sam czuje, że każdy oddech to zwycięstwo nad samym sobą. Dużo

prościej byłoby po prostu przestać oddychać.

Twarz trochę się cofa, zostaje wessana z powrotem w ciemność, z której się wyłoniła. Sam rozpoznaje sylwetkę, widzi kamizelkę kuloodporną i klucz nastawny w ręku.

– Niezłe wyczucie czasu – rozbrzmiewa dalej głos Williama, dobywający się z ust człowieka o nieznamym twarzy. – Zostały mi jeszcze tylko dwa trzpienie do wyciągnięcia. Zakładam, że możesz poczekać.

Twarz znowu znika. Nowe dźwięki dobiegają zza jego pleców. Metaliczne odgłosy innego rodzaju. Dźwięk obracanego elementu.

– Przepraszam, że użyłem czegoś tak banalnego jak korba, ale musiałem zbudować ten zegar jak najszybciej. A ponieważ się zastanawiasz, odpowiem: zajęło to pół godziny. Choć nie zobaczysz tego na swoim zegarku, cały jest pokryty skroploną parą. Jak możesz tak nie szanować zegarków?

Nagle tykanie zostaje przerwane kliknięciem. Sam czuje, jak jego ramiona są wyrywane ze stawów. Na razie to cierpienie nie ma szans w starciu z resztą bólu, który ogarnął jego „ja”.

William znów się cofa. Wokół niego jest już nie tylko mrok. Sam widzi, jak siada na jednej z ław stolarskich. Leży na niej jego glock.

Jest jaśniej niż po drugiej stronie. Tam, gdzie leży Molly.

Martwa.

William przez chwilę siedzi i czeka. Sam się domyśla na co, kiedy słyszy kolejne kliknięcie mechanizmu. Nawet teraz nie czuje tak naprawdę rozciągnięcia ramion.

William widzi, na co patrzy. Odzywa się:

– Ona jest dorosła. To mnie nie interesuje. Nie ten rejestr głosu.

Obraca w swoją stronę laptop Molly. Obserwuje obraz z kamer.

– Ciekawie było patrzeć, które z was wygra. Kiedy miałem opuścić dom

w Märsta, stanąłem na chwilę i się zastanawiałem: do czyjego wzrostu dopasować noże? Sama czy Molly? Molly czy Sama? Molly miała za plecami Säpo, a ty, szczerze mówiąc, wydawałeś się ociążałym gliną. Co się z tobą stało, Sam?

Coś sprawia, że Sam może opanować struny głosowe.

– Żyją? – syczy.

William z ubolewaniem kiwa głową. Robi to przez dłuższy czas. W końcu odpowiada:

– W trzecim domu jest dużo śmierci. Ale nie o tym będziemy rozmawiać. Mamy osiem minut, zanim pierwsza twoja ręka zostanie oderwana. U praworęcznych zwykle jest to lewa.

– William, gdzie jest trzeci dom? – pyta Sam.

– O tym też nie będziemy rozmawiać – mówi William. – Porozmawiamy o twojej zdradzie. Umrzesz, stojąc twarzą w twarz ze swoją zdradą.

– Jaką zdradą? – odpowiada Sam. – Nie zgłosiłem cię na policję.

– Byłeś po prostu zbyt tchórzem – mówi William z lekkim uśmiechem. – Gdybyś to zrobił, byłoby lepiej. Wszystko wyszłoby na jaw. A tak pozostało w ukryciu i rosło.

– Twoja samoświadomość jest imponująca, ty asie – wykrztusza Sam.

– Teraz z kolei jesteś całkiem odważny. „Ty asie”. Słupek bramki na boisku. As Anton i ta pieprzona grupa dziewczyn. Goły fiut. Dziewczyny debilnie się chichrają. A potem mój jedyny przyjaciel w całym zasranym życiu przychodzi i okłada mnie mokrym ręcznikiem po kutasie raz, drugi, trzeci... *It's a wonderful life.*

Sam patrzy na Williama. Wie, że musi się tego dowiedzieć. Nawet jeśli to ostatnia rzecz, jaką usłyszy.

– Gdzie jest trzeci dom, Williamie?

W tej samej chwili zegar klika ponownie. Tym razem ból przyćmiewa

każdy inny.

– Dlaczego zabiłeś swoją ciotkę? – krzyczy Sam.

Po raz pierwszy William patrzy na niego z pewnym zdziwieniem.

– Swoją co?

– Swoją ciotkę, Alicję Anger. Dlaczego ją zabiłeś?

– Ciotka Alicia – mówi William rozmarzonym głosem. – Była miła. Nawet nie wiedziałem, że żyje. Ale rozumiem.

– Co rozumiesz?

– Byliście tacy ociężali. Naprawdę się odsłoniłem przed szkołą na Östermalmie, z tą furgonetką. Zgarnąłem tę blond pannę w biały dzień, w obecności mnóstwa świadków. Myślałem, że już najwyższy czas, żebyście zaczęli mnie ścigać, że będzie fajnie. A tu nic się nie działo. No to pokazałem samochód w Märsta starej babie z psem. Ale nadal nic się nie działo. Do momentu kiedy Molly pojawiła się w Wiborgu i poprosiła o urządzenie zakłócające na przesłuchanie. Kontekst nie był do końca jasny, ale skoro chciała coś ukryć przed Säpo, to pewnie właśnie coś w tym stylu.

William robi gest w bok, w kierunku roztrzaskanej tablicy Molly. Czarne sylwetki wspinaczy są w strzępach, samoprzylepne karteczki leżą porozrzucane na podłodze.

William pochyla się do przodu i z bliska patrzy na komputery. Zza jego pleców wзира dalsze okno. Sam widzi coś czerwonego przez krew spływającą do oka. Przez plamę na szybie, w miejscu, które ćwierć wieku wcześniej pucowała spocona ręka, widać parę oczu. Zegar klika ponownie i ból barku mocniej daje się we znaki. Ale Sam nie chce krzyknąć.

William prostuje plecy, okno znika.

– Domyśliłem się, że Molly ma jakieś ciemne sprawy. Dołożyłem wirusa do pętli, głównie po to, żeby się trochę podrażnić. Skutki były poważniejsze, niż przypuszczałem.

William wstaje i podchodzi bliżej.

– Wkrótce zostaniesz rozczłonkowany, Sam – mówi, a na jego twarzy pojawia się prawdziwy Williamowy uśmiech. – Chcę to zobaczyć z bliska. Chcę zobaczyć twój wyraz twarzy, kiedy zrozumiesz, że umierasz nie tylko ty, ale też siedem zupełnie niewinnych dziewczyn, które zdążyłem dobrze poznać przez te lata. Ich piskliwe głosy niosły mnie do ciebie. Teraz tu jestem. I już ich nie potrzebuję.

Zatrzymuje się w idealnej odległości i czeka na kolejne kliknięcie zegara.

W idealnej odległości.

Sam bierze głęboki oddech, najgłębszy w życiu. A potem ze wszystkich sił wrzeszczy:

– Teraz!

Dźwięki są dziwnie przytłumione. Świat działa w zwolnionym tempie.

Widzi, jak pierwszy pocisk przeszywa lewą stopę Williama, drugi i trzeci chybiają, czwarty miażdży prawą stopę, piąty znika głęboko w ciele Williama. Kiedy szósty pocisk przeszywa drewnianą podłogę, William już nie stoi na nogach.

Krzyczy i rzuca się na śpiwór. Chwyta jasne włosy Molly i wrywa podziurawiony manekin. Napiera na drzwi i znika pośród nocy.

Ociekająca postać wślizguje się na pomost dokładnie w chwili, kiedy zegar klika po raz kolejny. Ramiona Sama rozszerzają się jeszcze bardziej, ból opanowuje go całego. Kilkoma szybkimi cięciami przez pasy Molly uwalnia mu ręce. Odczepiając przytwierdzone do podłoża nogi, krzyczy:

– Dostałam go?

– Jest ranny – odpowiada Sam i wykonuje skręt barkami. Wszystko wydaje się być na swoim miejscu. Chwyta swojego glocka i pędzi po krwawych śladach w nieprzeniknionej ciemności.

Deszcz wyje, na drzewach nie ma już żadnych liści. Mimo to słyszy

wyraźnie szumiącą pieśń osiki. Słyszy ją, chociaż biegnie, jak jeszcze nigdy w życiu, przez trawę sięgającą mu do piersi. Nagle szum liści osiki robi się tak natarczywy, jakby do jego świata chciał przeniknąć ktoś z innej epoki.

Noc jest jak powoli sunąca materia. Sam czuje, że jego ruchy są ociężałe. Jakby czas nie istniał naprawdę.

To, co dostrzega przed sobą, to nie powiew złotych włosów, ale i tak zwalnia. Kiedy kredowobiała głowa się obraca, Sam wie, że nigdy nie przestanie się dziwić.

Rzuca się na Williama. William upada. Leżą jeden na drugim. Prawie jakby się przytulali.

William wygląda, jakby z jego twarzy odpłynęła cała krew. Pośród coraz silniejszej bladości wyraźnie widać blizny, jakby pulsujące po całej twarzy. Sam stacza się z Williama i widzi wielką plamę krwi, rosnącą w kroku jego jasnych spodni i spływającą w dół nogawki spod kamizelki kuloodpornej.

– Trafiony prosto w kutasa, Sam – syczy William. – Jak wtedy.

– Gdzie jest trzeci dom? – krzyczy Sam.

– Jest pełen śmierci. Nie zapomnij o kółkach zębatych.

– Gdzie on jest?

Oddech Williama brzmi jak charkot. Deszcz nieubłaganie pada na jego pobladłą twarz.

– Pilnowałem ich – chrypi William. – Ja byłem łącznikiem. To mnie zżerało. Myślałem, że Anton mnie uwolni, ale to nie wystarczyło. Na drzwiach były kostki mojej dłoni.

– Przecież nie chcesz, by umarli – krzyczy Sam. – Nie chcesz tego, William. One nie są niczemu winne. Poznałeś je. Nie chcesz ich zabić. W głębi duszy nie chcesz tego zrobić.

William uśmiecha się słabo. A potem syczy:

– To nie jest dom, Sam. To początek wszystkiego. Tam zdobyłem

jedynego przyjaciela.

Sam słyszy Molly zbliżającą się do nich z uniesionym pistoletem. Na widok Williama opuszcza go i mówi ochryple:

– Jest za dużo krwi. To była zła amunicja.

William wskazuje na coraz bardziej czerwony punkt poniżej pasa i mówi szeptem:

– To ty, Sam. Nigdy nie przestałeś mnie okładać.

A potem umiera.

\*\*\*

*William gapi mu się prosto w oczy. Sam wie, że nigdy w życiu nie widział tak mrocznego spojrzenia. Wtedy następuje ruch. Jest ekstremalnie powolny. Sam widzi go, jakby klatka po klatce. Długie jasne włosy się unoszą i zostają odrzucone do tyłu. Ukazują się kanciaste, kostropate kształty, a z kanciastości wyłaniają się dwa rzędy białych zębów. Rozszerzają się. Są coraz bliżej jego przedramienia. Nie czuje, jak przechodzą przez skórę i mięso. Nie słyszy, jak się zaciskają na jego ramieniu. Nie słyszy i nie czuje. Ból, który promieniuje z bicepsa, nie daje o sobie znać, dopóki Sam nie dostrzega, że z ust Williama wystaje kawałek mięsa, a wraz z nim strużka powoli ściekającej śliny. Z nienormalną powolnością kawałek opada na suchy żwir boiska. Sam wydaje ryk, unosi wilgotny ręcznik i okłada go dalej. Ciemnieje mu przed oczami, nie przestaje zadawać ciosów, uderza raz za razem, coraz brutalniej, aż ze zmasakrowanego penisa Williama leje się krew.*

**Piątek, trzydziesty października, godz. 3:18**

JUŻ NA KLATCE schodowej poczuli smród zwłok. Nie był silny, w każdym razie nie na tyle, aby zaalarmować sąsiadów. Ale im wyżej wchodzili, tym bardziej Sam czuł, że znajduje się w innym czasie.

W czasie, który nie śmierdział zwłokami.

Miał piętnaście lat. Na drzwiach wejściowych widniał napis „Larsson”. Za nimi czekał magiczny świat zegarów i zegarków. Czekał tam jego dobry przyjaciel, chłopiec o kostropatej twarzy, który ostrożnie wprowadzał go w świat samonapędzających się kólek zębatych, sprężyn, trzpieni, ciężarków i wahadeł. Świat, w którym każda sekunda była misterium.

Rozmawiali o tym, jak w osiemnastym wieku światowym centrum zegarków stała się Szwajcaria, ponieważ paryscy zegarmistrzowie, jako ludzie służący szlachcie, byli zmuszeni uciekać przed rewolucją francuską. Rozmawiali o mechanizmie z Antykithiry – o tym, jak Grecy prawie sto lat przed Chrystusem stworzyli mistycznie kompletny zegar.

Sam czuł się tak, jakby w jego głowie otworzyły się drzwi i ukazały nieznany świat wewnątrz tego starego i zwyczajnego – lepszy świat, do którego być może nigdy nie miałyby dostępu, gdyby nie William. To wszystko wydarzyło się za takimi samymi drzwiami jak te, przed którymi stał teraz prawie dwukrotnie starszy Sam. Molly go dogoniła. Miała w ręku pistolet.

Na otworze na listy nie widniał napis „Larsson”, tylko „Pachachi”.



Smród zwłok był silniejszy niż przedtem.

Sam wyciągnął wytrych i zaczął nim manewrować najciszej, jak potrafił. Patrzył na swoją dłoń. Mocno drżała. Zerknął na Molly. Była blada i lekko się trzęsła. Oboje wiedzieli, że w domu, w którym William spędził dzieciństwo, czeka na nich jakieś piekło. Nie było jednak odwrotu.

Otaczała ich surowość.

Znajdowali się w innym uniwersum, tym prawdziwym, w którym panowała ciemność. Wszelkie światło było iluzją, pocieszającą warstewką kłamstw, która pozwalała żyć, pozwalała dorosnąć. Byli teraz w innej erze, gdzie nadal panowało barbarzyństwo, gdzie nie dotarł jeszcze kaprys cywilizacji.

Usłyszeli kliknięcie, kiedy wytrych chwycił. Pistolety były w gotowości, latarki uniesione. Drzwi otwarte.

Ze środka poczuli ciąg powietrza, jakby w mieszkaniu ciśnienie było znacznie niższe niż na zewnątrz. Panował kompletny mrok. Smród zwłok uderzył w nich jak ściana. Berger przez chwilę patrzył na materiał wokół drzwi. Rozpoznał, co to takiego. Izolacja zapachów. Po to, żeby na klatkę schodową sączyło się jak najmniej śmierci.

Stanęli w ciasnym przedpokoju i próbowali oddychać we właściwy sposób, tak jak ich uczono. Jakby wyszkolenie było w stanie pokonać nieprzepartą ciemność.

Pośród odoru Sam poczuł, że wraca do niego dzieciństwo. Pamiętał każdy zakamarek, każdy kąt tego mieszkania. Korytarz po lewej prowadził do kuchni i jednej sypialni, długi korytarz po prawej wiódł do salonu i drugiej sypialni – sypialni Williama, nadzwyczajnie dużego, pozbawionego okien pokoju, w którym chłopcy bawili się zegarkami. Małymi kółkami zębatymi.

Umierający William: „Nie zapomnij o kółkach zębatych”.

Widzieli to pytanie w swoich oczach.

Kim są zmarli?

Które z siedmiu nastolatków nigdy nie dostaną szansy, aby dorosnąć?

Umierający William: „Jest pełen śmierci”.

Nagle Sam zobaczył coś przyszpilonego do ściany w przedpokoju. Oświetlił tamto miejsce i spostrzegł zegarek. Zegarek na rękę. Rozpoznał małą rysę na szkle.

To był jego patek philippe 2508 calatrava.

Zignorował go i skinął głową w lewo, w kierunku korytarza wiodącego do kuchni i jednej z sypialni. Podzielili się pomieszczeniami.

Sam szybko stwierdził, że mała sypialnia jest pusta. W jej drzwiach też była izolacja. Elektronika na biurku świadczyła o tym, że to była nowa kwatery główna Williama. Z całą pewnością w komputerach kryła się niejedna odpowiedź.

Odwrócił się i zobaczył oczy Molly. Były jak ze szkła. Skinęła głową w kierunku kuchni. Wszedł z sypialni i do niej dołączył.

Przy stole w kuchni siedziały dwie osoby. Można było pomyśleć, że tylko zrobili sobie chwilę przerwy w rozmowie. Byli to dwaj młodzi mężczyźni, którzy już od dawna nie żyli. Mięso zaczęło z nich odpadać, a w miejscach, które jeszcze całkowicie nie wyschły, roiło się od larw.

Sam usłyszał swój własny jęk.

– O cholera – odezwał się.

Molly tak mocno przyciskała do nosa chusteczkę, że prawie nie słyszał, co mówiła.

– Dwóch brodatych młodzieńców w luźnych ubraniach.

– Syn i kolega z Państwa Islamskiego?

Wzruszyła ramionami. Ponownie wyszli, wrócili do przedpokoju, minęli drzwi wejściowe. Korytarz był znacznie dłuższy, niż zapamiętał. Zupełnie jakby się poruszali wewnątrz ludzkiego organizmu. Daleko przed sobą

dostrzegł jakby dyszące światło. Jakby ściany ciemnego korytarza zamykały się wokół nich, zaciskały i przygotowywały do wyrzucenia ich w dawno stracony czas.

Jakby czas w ogóle mógł być stracony.

Dopiero w dużym pokoju dotarło do nich, skąd dochodziło dyszące światło. Były tam fornirowane drzwi, które Samowi wydały się zarazem znajome i nieznane. Dobrze rozpoznał znaki – cztery zagłębienia jak po kostkach dłoni. Drzwi do chłopięcego pokoju Williama zawsze tak wyglądały.

Ale zdecydowanie nie świeciły własnym światłem.

Podeszli do nich.

– Farba fluorescencyjna – stwierdziła Molly.

Sam przyjrzał im się z bliska. Ewidentnie były wzmocnione, nie miały dziurki od klucza, tylko zamek, który wyglądał na elektroniczny. Obok była skrzynka z czymś, co przypominało mikrofon.

– Wyglądają na wyposażone – stwierdziła Molly i przyjrzała się zamkowi z bliska.

– Materiały wybuchowe? – zapytał Sam i nadal patrzył na skrzynkę.

– Niewątpliwe ryzyko. Nie odważymy się w nie strzelać. Nie da się ich wyważyć. To wygląda jak zamek otwierany dźwiękiem.

– Jakim dźwiękiem? – zapytał Sam i wskazał skrzyneczkę.

Zobaczyli, jak w ich twarzach odbija się ta sama myśl.

– Przynieś go – powiedział i zaczął zdejmować plecak.

Usiadł na kanapie, wyjął swoje stare pudełko na zegarki, odchylił pokrytą złotym chromem klamrę, uniósł wyłożone aksamitem wnętrze z czterema zegarkami i zaczął wyciągać foliowe woreczki ze schowka na dnie. Jeszcze kręcił głową, kiedy Molly wróciła z jego zegarkiem Patek Philippe 2508 Calatrava. Wziął go do ręki, położył na stole w salonie i wyjął z plecaka lupę,

pęsetę i otwieracz do kopert.

– Poświęć – powiedział.

Molly zrobiła, jak kazał.

– Miejmy nadzieję, że znaleźliśmy wszystkie kółka – oznajmiła.

Sam się skrzywił, przyłożył otwieracz do tylnej części zegarka i otworzył pokrywę. Zbliżył lupę do wnętrza i przyglądał się częściom. Idealnie skoordynowana konstelacja małych kółek zębatych i sprężyn zawsze gwałtownie spowalniała mu tętno. Ale nie tym razem. Siedział w straszliwym mieszkaniu, czuł groteskowy odór zwłok, myślał o tym, że w grę wchodzi wiele młodych istnień, i próbował sprawić, żeby dłonie przestały mu drżeć. Otwierał jeden woreczek po drugim i wysypywał kółka zębate. Pochodziły z mieszkań w Kristinehamn i Västerås, z domu w Märsta, z pełnej nietoperzy jaskini w Värmlandii, z ust manekina i z domu w Bålsta. Tak naprawdę nie było nic, co świadczyłoby o tym, że to już wszystkie.

Poza jego wiedzą o wnętrznościach zegarków, którą zdobył w tym samym mieszkaniu ćwierć wieku wcześniej. Ta zaś podpowiadała mu, że w mechnizmie brakuje dokładnie sześciu kółek zębatych.

Molly spacerowała po szaleńczym mieszkaniu z wyciągniętą bronią, niecierpliwa na krawędzi szaleństwa.

– A jak on tam wchodził?

– Co? – odparł Sam.

– Skoro ukradł twój zegarek i wyciągnął z niego części, to nie dało się go już używać. Czy nie mógł wykorzystać jakiegokolwiek zegarka?

– Każdy rodzaj zegarka ma własny sposób tykania – wyjaśnił Berger i ostrożnie odsunął rotor, żeby włożyć na miejsce pierwsze kółko.

– Czyli jak to robił?

– Musiał mieć własną calatravę – odparł Sam. – Nie ma ich tak wiele.

– To może jest gdzieś tutaj? W tym mieszkaniu?

– Raczej nie. To mój test. William brał pod uwagę, że możemy go przechytryć. To był plan B. W przypadku śmierci i tak zamierzał mnie przetestować.

– Mimo wszystko go poszukam – oznajmiła Molly i odeszła.

– Proszę bardzo – powiedział Berger do nikogo. – Któreś z ciał może na nim siedzi.

Minęło paskudnie dużo czasu. Próbował sobie przypomnieć wszystko, czego się kiedyś nauczył, czego nauczył go William. Szło mu opornie. Nie za dobrze trafiał pęsetą. Dłonie nadal mu drżały, ale już nie tak bardzo. Jakby dookoła wreszcie zagościł paradoksalny spokój. Niezrównany sposób, w jaki zegarek obchodził się z czasem, sprawił, że wrócił do siebie. Kółko za kółkiem trafiały na swoje miejsca. Po jakimś czasie Molly wróciła z pustymi rękoma.

– Jego kolekcja jest gdzie indziej – stwierdził Sam. – Prawdopodobnie w Libanie.

W końcu zostało mu tylko jedno kółko zębate. Wszystko się zgadzało. W zegarku było już tylko jedno wolne miejsce.

Chwycił pęsetą kółko zębate z piwnicy w Märsta i podstawił je pod światło latarki. Wciąż istniało ryzyko, że złożył wszystko źle.

Upuścił przedmiot do środka. Wpadł na miejsce z lekkim kliknięciem. Popatrzył na mechanizm. Nic się nie ruszało, nic nie wskazywało na to, że robota dobiegła końca.

Przykręcił pokrywę i zaczął potrząsać zegarkiem. Jeżeli działał, rotor powinien uruchomić mechanizm nakręcający. Potrząsał tak pół minuty, rozgrzane osie paliły jak ogień. W końcu przyłożył zegarek do ucha.

Z początku nie słyszał absolutnie nic. Tylko milczenie śmierci. Echo porażki.

I potem nagle rozległo się tykanie. Wypuścił powietrze, ciężko, a kiedy

ponownie wciągnął je do płuc, równie ciężko, po raz pierwszy od bardzo długiego czasu poczuł ohydny, słodki zapach zwłok.

Wstał. Molly go obserwowała. Poszli razem do świecących drzwi. Sam spojrzął na zegarek, pocałował i przyłożył do skrzyneczki z mikrofonem.

Sekundy mijały z bezbrzeżną powolnością.

Nic się nie działo.

Nagle w mechanizmie zamka coś kliknęło i drzwi powoli, powoli się otworzyły, ukazując absolutną ciemność.

Rzeczywiście na drzwiach był pokaźny ładunek wybuchowy. Jego objętość kazała przypuszczać, że gdyby próbowali przestrzelić zamek, wysadziliby w powietrze całe mieszkanie.

Poświecili do środka obiema latarkami. Potem nastąpiła sekwencja wrażeń. Najpierw zobaczyli sufit, ściany, podłogę. Wszystko było pokryte grubym, obszernym, nadmuchanym materiałem. Sam zdążył pomyśleć: „materiał izolacyjny”, kiedy dotarło do niego kolejne wrażenie, również wzrokowe. Struktura przypominała piwnice w Märsta i Bålsta. Za świecącymi drzwiami z całą pewnością krył się labirynt.

Trzecie wrażenie było zapachowe. Uderzył ich wyraźnie stęchły zapach, który zastąpił woń zwłok. W tym labiryncie również nie było jej czuć.

Wrażenie numer cztery było dźwiękowe.

Z materaca na podłodze w pierwszym pokoju dochodziły delikatne jęki. Pod kołdrą ukrywała się rurka kroplówki.

Molly przestała oddychać. Przykucnęła obok materaca. Powoli uniosła kołdrę i znalazła się oko w oko z młodą ciemnowłosą kobietą.

Była mocno naćpana, ale gdzieś na drugim końcu jej zmalretowanego drobnego ciała czaiła się uparta chęć życia. Najwyraźniej młoda Tajlandka Sunisa Phetwiset postanowiła przeżyć. Nie została zamordowana przez pedofila Axela Janssona, który siedział w więzieniu za zabicie jej. Nie została

zamordowana przez Williama Larssona.

Żyła.

Sam zacisnął pięść, ale nie uderzył w ścianę. Zamiast tego wyszedł do salonu i szeroko otworzył wszystkie okna. Do piekielnego mieszkania wtargnęło rześkie, nasycone ozonem powietrze.

Minął Molly i Sunisę i kopnął jedno z drzwi. Na podobnym materacu, przy podobnej kroplówce, leżała młoda dziewczyna z kolczykami, którą rozpoznał jako Jonnę Eriksson. Popatrzyła na niego zdziwiona i wydała kilka nieartykułowanych dźwięków.

Przykucnął przy niej, pogładził ją po policzku i rzekł:

– Tak się dziwnie składa, że jesteś wolna.

Wstał, poprosił, żeby leżała spokojnie, i poszedł dalej. Otwierał kopniakiem wszystkie drzwi po kolei, znajdował kolejne dziewczyny, a każda z nich żyła. Na razie było ich pięć. Czasami w celi spotykał Molly, która szła z przeciwnej strony.

– Jest dużo większy niż poprzedni – powiedział.

– Zapewne kupił sąsiednie mieszkanie – odparła Molly.

Popatrzył na nią.

– Zadzwoń po nich – powiedział.

W końcu zostało tylko dwoje drzwi. Kopnął pierwsze.

Wnętrze pokoju wyglądało tak samo. Skłębiony materac na podłodze, rurka kroplówki znikająca pod kołdrą. Ale kiedy ją odsunął, nie było tam nikogo.

Jedna z celi była pusta.

Brakowało jednej dziewczyny.

Podszedł do ostatnich drzwi. Przełknął ślinę i otworzył je kopniakiem.

Na materacu siedziała młoda dziewczyna o długich włosach w kolorze blond. Na szyi miała prawosławny krzyż na różowym skórzanym pasku.

Z wyrazu jej twarzy można było wywnioskować, że słyszała, co się działo w pozostałych celach. Choć w jej spojrzeniu widać było działanie narkotyków, na twarzy pojawił się powściągliwy uśmiech, który wyrażał bezgraniczną wiarę w przyszłość.

– Ellen – powiedział Sam i przykucnął obok jej materaca.

– Jesteś policjantem? – spytała Ellen Saviger.

Roześmiał się.

– Tak – skłamał.

Potem ją przytulił i poczuł, że świeże deszczowe powietrze dociera nawet do celi w samym sercu labiryntu.

Przez chwilę chodzili tam i z powrotem, uspokajali, pocieszali, na ile to było możliwe, odliczali sekundy do przyjazdu personelu medycznego. Przez krótką chwilę stali w pustej celi. Nagle nie czuli już świeżego deszczowego powietrza. Wszystko znów było stęchłe.

– Kogo brakuje? – zapytała Molly.

– Aiszy – odparł Berger. – Aiszy Pachachi.

– Pierwszej ofiary. Dziewczyny, która tu mieszkała.

– I której brat prawdopodobnie siedzi martwy przy stole w kuchni.

Kiedy usłyszeli stuk przy drzwiach wejściowych, wpatrzyli się w siebie nawzajem.

– To nie koniec – powiedziała wreszcie Molly.

Wyszli z labiryntu. Usłyszeli, że w kuchni kotłują się Kent i Roy. Po chwili zobaczyli, jak wychodzą na korytarz z uniesionymi pistoletami i włączonymi latarkami. Ich twarze były blade jak kreda.

– Opuśćcie broń – powiedział Sam. – Pójdziemy z wami dobrowolnie. Ale najpierw zajrzyjcie tam. I wezwijcie tu całą kawalerię.

Naprawdę opuścili broń. Roy zgiął się wpół, Kent ledwo zdążył uskoczyć przed wymiocinami.



Sam podszedł do szeroko otwartych okien. Zapatrzył się w ciemność. Usłyszał dźwięk. Zdawał sobie sprawę, że nieobecność Aiszy Pachachi jest jak plama, ale sześć dziewczyn mimo wszystko żyło i choć się przed tym wzbraniał, dźwięk, który rozbrzmiewał coraz głośniejsze pośród nocy, mógł nazwać tylko szczęściem.

Kiedy sanitariusze wbiegli do mieszkania, Molly weszła i stanęła koło niego. Ich spojrzenia się spotkały. Uśmiechnęła się.

Objął ją ramieniem.

Ona objęła jego.

Przestało padać.

## 34

**Piątek, trzydziesty października, godz. 16:42**

KOMISARZ ALLAN Gudmundsson ze sztokholmskiej policji cuchnął dymem. Siedział przy swoim bezosobowym biurku i wyglądał jak emeryt. Poprawił okulary po raz osiemnasty w trakcie lektury opasłego dokumentu i w końcu podniósł wzrok na cudaczną parę siedzącą naprzeciwko. Ona miała jasne włosy i zadarty nos, on brązowe włosy z początkami siwizny i tygodniowy zarost.

– Chciałem zrobić sobie wolny weekend – powiedział Allan Gudmundsson.

– Pamiętam to słowo – odparł Sam Berger. – Ale już zapomniałem, co się za nim kryje.

Allan powoli przeniósł wzrok na Molly Blom i patrzył na nią krytycznie znad okularów do czytania.

– A więc cała historia z Nathalie Fredén to była tylko gra? – zapytał.

– Konieczność – odparła krótko Blom.

– Próbuję zrozumieć dlaczego – oznajmił Allan. – Bo potrzebowałeś pomocy Sama przy swoim nieoficjalnym śledztwie? Bo uznałaś, że oboje znacie mordercę od dawna? Od dzieciństwa?

– Mniej więcej – odparła Blom. – Choć teraz chyba nie to jest najważniejsze.

Allan ponownie poprawił okulary do czytania i przybrał surową ojcowską

minę.

– Myślałem, że to ja decyduję, co jest ważne, młoda damo. Wasza przyszłość jest przedmiotem błyskawicznego śledztwa, na razie nie jesteście nawet policjantami. Decyzja leży w rękach Säpo i szefa Steena. Zostaniecie wezwani na oficjalne przesłuchanie, prawdopodobnie jutro, w sobotę. A więc nie jesteś w sytuacji, w której mogłabyś dyktować warunki.

– Jak one się czują? – zapytał Berger.

– Sam, Sam, Sam – powiedział Allan co najmniej równie ojcowskim tonem. – Jak wiesz, już za kilka dni przechodzę na emeryturę. Wszystko było przygotowane do tego, żebyś został moim zastępcą. Gdybyś tylko nie był taki cholernie uparty.

– No to kto nim zostanie?

– Rosenkvist, rzecz jasna – odparł Allan Gudmundsson. – Desiré Rosenkvist.

Berger wybuchnął śmiechem i powiedział:

– Co za szczęście, że tak dobrze wyszkoliłem Deer.

– Gówno, a nie wyszkoliłeś – odparł szczerze Allan.

– Masz rację – przyznał w końcu Berger. – Będzie dużo lepszym szefem, niż ja kiedykolwiek mógłbym być.

– Jak one się czują? – powtórzyła Blom jak echo.

– Dziewczynki? – odparł Allan. – Zważywszy na okoliczności, ogólnie dobrze. Najpierw jednak chciałbym otrzymać odpowiedzi na moje pytania. Jeśli dobrze rozumiem, oddaliliście się samowolnie, bo każde z was prowadziło nieoficjalne, nieusankcjonowane śledztwo, które nie było zgodne z ustaloną linią Säpo i policji kryminalnej?

– Zgadza się – powiedziała Blom. – Nasze pozornie luźne teorie nigdy nie znajdowały posłuchu. Brakowało jakichkolwiek dowodów. Musieliśmy je znaleźć. Kiedy zostałam przyłapana na manipulowaniu sprzętem do

nagrywania w pokoju przesłuchań Säpo, doszłam do wniosku, że moją jedyną szansą jest ucieczka z wówczas zatrzymanym Samem Bergerem.

– Wobec tego cieszę się, że to nie ja mam zdecydować o waszej przyszłości – oznajmił Allan i postukał w plik papierów na kolanach. – Bez wątpienia przeprowadziliście obszerne śledztwo. Zastrzelony mężczyzna, którego znaleźliście na opuszczonej posesji nad zatoką Ed w Sollentunie, został zidentyfikowany jako inżynier i nieoficjalny współpracownik Säpo, Olle Nilsson. Ale wy twierdzicie, że to tak naprawdę morderca i seryjny porwacz William Larsson. Według waszego oświadczenia w ciągu prawie trzech lat porwał siedem piętnastoletnich dziewczynek z zamiarem pozbawienia ich życia.

– Uważamy, że dowody są miażdżące – oznajmiła Blom. – Ale teraz naprawdę chcemy wiedzieć, jak one się czują.

Allan skinął głową i z lekką niechęcią odparł:

– Co ciekawe, i co oczywiście bardzo mnie cieszy, u żadnej z nich nie stwierdzono oznak tortur. Nie rozumiem, jak to połączyć ze śladami krwi i paznokci w piwnicy w Märsta. Albo z tymi diabolicznymi zegarami.

– Też nie do końca to rozumiemy – przyznała Blom. – Ale wydaje nam się, że William trzymał ten mechanizm dla Sama. To w gruncie rzeczy o niego mu chodziło.

– Nie był żadnym seryjnym mordercą – powiedział Berger. – Chciał tylko się ze mną komunikować. Ze zdrajcą przez duże Z.

Allan przez chwilę mu się przyglądał. Potem przez moment wertował papiery i powiedział:

– Jedna z dziewczynek bardzo niedawno złożyła zeznania dotyczące krwi. Zobaczmy... Tak, to ta ostatnia, Ellen Saviger. Któregoś razu przez narkotyczną mgłę widziała, jak przestępca pobiera jej krew. Do próbek.

– Brzmi obiecująco – stwierdziła Blom. – W takim razie krew była

przeznaczona tylko dla nas: dla mnie i dla Sama. Żeby naprowadzić nas na właściwy trop. W piwnicy w Märsta nie było żadnego zegara, a ślady paznokci na podłodze to tylko drobny efekt specjalny Williama. Choć zeznania oczywiście wszystko wyjaśnia.

Allan skinął głową i popatrzył na ekran komputera.

– Aktualna sytuacja dziewczynek. Może od razu podsumujemy wszystko. Wszystkie sześć przebywa teraz w szpitalu, ale w kilku przypadkach chodzi głównie o obserwację i odtrucie. W końcu codziennie dostawały bardzo silny środek uspokajający. Według opinii lekarzy, im krócej go przyjmowały, tym łatwiejszy powinien być powrót do normalnego funkcjonowania. Ofiara numer dwa, Nefel Berwari, nabawiła się bardzo poważnej atrofii mięśni, ale za kilka tygodni powinna stanąć na nogi. Stan psychiczny jest dużo gorszy: ma głęboką depresję, ale jej funkcje poznawcze i intelektualne pozostały bez zmian, a rodzina jest gotowa na jej przyjęcie. Ofiara numer trzy, Julia Almström, wbrew wszelkim przeciwnościom nie ucierpiała fizycznie i mimo półtorarocznego przetrzymywania chyba może wrócić do normalnego życia w Västerås. Ofiara numer cztery, obywatelka Tajlandii Sunisa Phetwiset, odniosła chyba najmniejszy uszczerbek psychiczny. Ponoć twierdziła nawet, że w więzieniu Larssona było jej lepiej niż we wcześniejszym życiu. Dostanie szwedzkie obywatelstwo i nową tożsamość, żeby się uwolnić od albańskiej mafii. Jonna Eriksson, ofiara numer pięć, czuje się w sumie najgorzej. Jest wycieńczona fizycznie, a poza tym nadal opłakuje swojego chłopaka Simona Lundberga, którego szkielet, tak jak sugerowaliście, odnaleziono w jaskini pod Kristinehamn. Ale nawet Jonna najprawdopodobniej wróci do zdrowia, a poza tym czeka na nią dom cieszącej się dobrą opinią rodziny zastępczej z okolic Sztokholmu. Szósta ofiara, Emma Brandt, jest już z ojcem i za dwa dni wyjdzie ze szpitala. Jest bezgranicznie zdumiona, że została uratowana przed samobójstwem przez

mordercę. Ich mała rodzina zamierza wrócić do Skanii i zacząć wszystko od nowa. No i wreszcie Ellen Saviger. Ma wokół siebie rodzinę i wydaje się nawet, że dokończy semestr w dziewiątej klasie szkoły na Östermalmie. Krajowa Agencja Medycyny Sądowej dodaje jednak, że długofalowe skutki przyjmowania tego środka uspokajającego są niepewne.

Blom i Berger wymienili spojrzenia. Sytuacja była nawet lepsza, niż się spodziewali.

– Co zeznają te dziewczyny w sprawie winy Williama Larssona? – spytała Blom.

– Przesłuchania świadków jak na razie były bardzo skąpe ze względu na stan zdrowia. Dotychczasowe zeznania są jednogłośnie i zgodne z waszymi. Wszystkie ofiary zidentyfikowały Ollego Nilssona, a jego DNA zostało znalezione zarówno w domu w Bålsta, jak i w mieszkaniu w centrum Helenelund. To, że ów Nilsson stoi za wszystkimi siedmioma porwaniami, nie powinno budzić najmniejszych wątpliwości. Poza tym ma na koncie trzy morderstwa: Simona Lundberga, Jazida Pachachiego i Radżhana Hamdaniego i ciężkie pobicie Antona Bergmarka z Sollentuny.

– Czyli tam w kuchni siedział Jazid. Ale nazwisko Radżhan Hamdani nic mi nie mówi.

– Kolejny dwudziestodwulatek z Sollentuny, który postanowił walczyć dla Państwa Islamskiego. Obaj zmarli w wyniku obrażeń odniesionych na polu walki i według wstępnej analizy mieli w organizmie pokaźne dawki heroiny. Oba ciała wróciły do Szwecji dwudziestego sierpnia. Wstępne badanie Krajowej Agencji Medycyny Sądowej wykazało, że nie żyli od ponad dwóch miesięcy, co oznacza, że w zasadzie od razu zostali przywiezieni do mieszkania.

– W którym ten psychol miał pełne ręce roboty przy budowie labiryntu – dodał Berger.

– Co się stało z resztą rodziny Pachachich? – spytała Blom. – Byli przynajmniej mama i tata. Przesłuchiwałam oboje przy okazji zaginięcia ich córki.

Allan skinął głową.

– Tak. Ali i Tahera Pachachi. Zniknęli bez śladu, tak samo jak córka.

– Dziwne – stwierdziła Blom.

– Niespecjalnie – odparł Allan i wzruszył ramionami. – Oczywiście są martwi, usunięci z drogi przez Ollego Nilssona. Nie ma bowiem żadnych dowodów, że tak naprawdę nazywa się William Larsson i przeszedł operacje plastyczne w krajach arabskich. Nie znajdujemy absolutnie żadnych powiązań z najemnikiem, który miałby się nazywać Nils Gundersen i mieszkać w Libanie. Wasze wspomnienia z dzieciństwa nie zawierają oczywiście żadnych dowodów. Jednak Säpo bada teraz całe wasze nieoficjalne śledztwo. Być może dowody – na przykład furgonetka albo DNA szesnastoletniego Larssona – pojawią się dzięki waszym materiałom albo kiedy już zostaną bardziej profesjonalnie opracowane. Poza tym trwa najważniejsze, a mianowicie oględziny komputerów Ollego Nilssona z mieszkania przy Stupvägen, więc może kilka zagadek znajdzie rozwiązanie. Choć tak naprawdę nie ma znaczenia, kim on był. Bez względu na to, czy nazywał się William Larsson, Erik Johansson, Johan Eriksson czy Olle Nilsson, został unieszkodliwiony.

– William był wieloma postaciami – powiedział Berger.

Pozostała dwójka przez chwilę go obserwowała.

– Wasze zeznania to bardzo ciekawa lektura – odezwał się w końcu Allan Gudmundsson. – Jednocześnie jest jasne, że nie wiedzieliście, jak dokładnie dokonano porwań. Jak sprawca poznał te dziewczyny? Skąd wiedział o ich istnieniu? Jak planował swoje czyny?

Blom odchrząknęła i odparła:

– Tak jak mówiłam, wiemy tylko tyle, że naprawdę porwał Aiszę Pachachi tuż po zakończeniu roku szkolnego, wszedł do domu Julii Almström w środku nocy i ją zabrał oraz po prostu zgarnął upatrzoną blondynkę sprzed dużej szkoły na Östermalmie. Nie wiemy, jak zniknęła Nefel Berwari. Niejasne jest też, skąd William wiedział, że prostytutka Sunisa Phetwiset pewnego wieczoru odwiedzi pedofila, jak znalazł Jonnę Eriksson i Simona Lundberga w ich schronieniu w nietoperzowej jaskini, skąd wiedział, że Emma Brandt będzie chciała odebrać sobie życie akurat w noc świętojańską i gdzie dokładnie. Przypuszczam, że wiele z tych spraw się wyjaśni po zbadaniu komputerów Williama. Pachnie mi to na kilometr mediami społecznościowymi.

– Muszę też ułożyć sobie w głowie wasz plan ujęcia go w hangarze. Kiedy w domu w Bålsta odebraliście wiadomość „Niedługo przyjdę po was”, mimo wszystko wróciliście do hangaru. Po przyjściu odpowiednio go zabezpieczyliście. A potem wszystko robi się dla mnie niejasne. Podłączyliście w okolicy cztery nowe kamery. Jedna z nich była skierowana z pomostu na wodę. Tamtej nocy przygotowaliście się na przyjście Larssona. Przewidzieliście, że przypnie Bergera do swojego mechanizmu w pierwotnym miejscu zbrodni. Byłeś gotów złożyć się w ofierze, Sam?

– Ramiona nadal mnie bolą – powiedział Berger.

– Znaleźliśmy części zegara w skrytce pod podłogą – powiedziała Blom. – Domyśliliśmy się, że umieści Sama w środku mechanizmu. Sam był gotów się tam znaleźć, o ile dam radę unieszkodliwić Williama, nie zabijając go. Musieliśmy go skłonić do wyjawienia, gdzie się znajduje trzeci dom. Trzeci labirynt. Wszystko od tego zależało.

– Mieliśmy kilka różnych strategii, w zależności od tego, z której strony przyjdzie – oznajmił Berger. – Ale manekin, który przywieźliśmy z Bålsta był elementem każdej z nich.



– Przybył od strony wody – wyjaśniła Blom. – Przyplłynął łódką. To było nieoczekiwane, ale nie na tyle, żeby nie dało się nic z tym zrobić. Pomyślałam, że w najlepszym przypadku uzna mnie za na tyle nieistotną, że po prostu mnie unieszkodliwi i nie będzie się przyglądał z bliska.

– Oczywiście, to był element niepewności – dodał Berger. – Ale plan toczyłby się dalej, nawet gdyby William odkrył manekina.

– A potem? – zapytał Allan.

– Zobaczyliśmy go na filmie z kamery na pomoście – odparła Blom. – Kiedy łódka dobijała do brzegu. Szybko się przygotowaliśmy, manekin leżał już w moim śpiworze. William miał na sobie kamizelkę kuloodporną, więc postawiliśmy, że wejdą pod hangar, który stoi przecież na czymś w rodzaju filarów. Oczekaliśmy tyle, na ile starczyło nam odwagi, a ponieważ mógł nas podsłuchiwać, udawaliśmy, że idę się położyć. Ostatnie, co zrobiłam, to wyłączenie kamery na pomoście. Odłączyłam ją od komputera, bo gdyby William zobaczył, że tam jest, domyśliłby się, że mamy plan.

– Przewidzieliśmy mniej więcej, w którym miejscu stanie, żeby się napawać moją śmiercią – powiedział Berger. – Musieliśmy poczekać, aż się znajdzie w zasięgu strzału.

– Poza tym z dołu widać przez szczeliny w podłodze, jak się poruszają ludzie na górze – dodała Blom. – Chcieliśmy tylko trafić go w stopy od dołu. W żadnym wypadku nie mógł umrzeć.

– A jednak umarł – stwierdził Allan Gudmundsson.

Blom tylko go obserwowała. Czas płynął. W końcu Allan zebrał dokumenty w plik i powiedział:

– Ważne jest to, że potwór został unieszkodliwiony. I to wy dwoje tego dokonaliście, nikt inny. Strzelanina w hangarze została już zakwalifikowana jako uzasadnione użycie przemocy w obronie własnej. Jako akcja policyjna wasz wyczyn był jedyny w swoim rodzaju. Wiele wskazuje na to, że

uratowaliście życie tym sześciu dziewczynkom. Za to macie naszą ogromną wdzięczność i podziw.

Berger i Blom wymienili szybkie spojrzenie. To jeszcze nie był koniec.

Wreszcie Allan dodał:

– Ale wasza przyszłość jest w rękach Säpo.

## 35

**Piątek, trzydziesty października, godz. 19:37**

GRUPA LUDZI wspinała się z wysiłkiem na zaśnieżony szczyt. Ich czarne sylwetki, ujęte z oddali, odznaczały się na tle wielobarwnego, zapierającego dech w piersiach zachodu słońca, którego odbicie było widać na śniegu. Potem się zatrzymali. Gdyby przeszli jeszcze kilka kolejnych metrów, spadliby bezwładnie w przepaść. I ku swojemu niemałemu zdziwieniu wylądowaliby na drewnianej podłodze hangaru nad zatoką Ed w Sollentunie pod Sztokholmem w Szwecji.

Sam Berger i Molly Blom oglądali do połowy sklejoną fotografię. Zakręcili tuby z klejem i patrzyli na kawałki zdjęcia, rozsypane po podłodze jak puzzle.

Nie byli w stanie zrobić nic więcej. Nie w tej chwili.

– Nie wspomniałaś o amunicji – stwierdził Berger.

– A ty nie wspomniałeś o ostatnich słowach Williama.

Ich spojrzenia się spotkały.

– William nie żyje – rzekł Berger. – Sześć z siedmiu dziewczyn zostało uratowanych. Wszystko poza moim sumieniem powinno być pod kontrolą. I chyba jest, prawda?

– Wyleją nas – powiedziała Blom.

– Wiesz, że nie o tym myślę.

– Wiem.

Ich wzrok jeszcze raz padł na smutne, w połowie naprawione dzieło, które obejmowało całkiem pustą białą tablicę. Wyczyszczoną.

– Allan ma sporo racji – stwierdził Berger. – William zgarnął Aiszę Pachachi ponad dwa lata temu. Przesłuchiwałaś jej rodziców. Później, kiedy potrzebował trzeciej kryjówki, zgodnie z logiką wybrał się właśnie tam, do domu lat dziecięcych. Pozbył się rodziców, którzy zostali sami, kupił sąsiednie mieszkanie, a kiedy syn Pachachich wrócił z Państwa Islamskiego jako heroinista, kropnął też jego, razem z kolegą ćpunem, który był również masowym mordercą. Aisza zaś siedziała w najgłębszej celi więzienia Williama. W końcu jej ciało przegrało walkę z nielegalnymi lekami: zmarła podczas transportu, kiedy przewoził je między Märsta, Bålsta a Helenelund.  
*End of story.*

– Zadowala nas to? – spytała Blom.

– Naszym celem było uratować te dziewczyny i zgarnąć Williama – odparł Berger. – Zrobiliśmy to. Musimy się przespać.

– Ale czy nas to zadowala? – Blom nie dawała za wygraną. – Wszystko zakończone? Obraz jest pełny i kompletny?

– Przestań. Też musisz się przespać.

– Wątpliwe – odparła Blom. – Przecież tak samo jak ja czujesz, że obraz jest rozedrgany.

– Ale czy chcę się tym przejmować?

– Przejmujesz się tym, gdzie jest Aisza Pachachi. Brakuje jednej dziewczyny. Ba, brakuje całej rodziny. William nie chował swoich ofiar. Anton Bergmark siedział na wózku inwalidzkim, Simon Lundberg w nietoperzowej jaskini, chłopaki z Państwa Islamskiego przy stole w kuchni, ciotka Alicia Anger na fotelu bujanym.

Blom podsunęła Bergerowi wydruk. Przyjrzał się dziwnej fotografii starszej kobiety w fotelu bujanym, kredowobiałej na twarzy, z czarną

skarpetką wystającą z ust.

Berger z niesmakiem odsunął od siebie zdjęcie. Wystarczyło mu jak na jeden raz.

– Personel i policja byli pewni, że to był nieszczęśliwy wypadek – powiedział. – Alicia Anger miała wystarczająco zmałowany umysł, żeby przez pomyłkę zjeść skarpetkę i się nią udławić. Sama ją widziałaś, Molly, i wiesz, że nie była przy całkiem zdrowych zmysłach.

– Mamy nagranie komórką wszystkiego, co William powiedział w hangarze i poza nim – ciągnęła Molly.

– Ale nie musimy go odtwarzać – stwierdził Berger. – I tak pamiętasz.

Blom podsunęła zdjęcie z powrotem do Bergera i powiedziała:

– „Ciotka Alicia. Była miła. Nawet nie wiedziałem, że żyje”.

Berger zamknął oczy.

– Wiem – rzekł. – On jej nie zabił.

– Więc kto to zrobił?

– Powtórz jeszcze raz o tej amunicji – poprosił Berger – tylko trochę wolniej.

Blom wzięła głęboki oddech.

– Kiedy działałam *undercover*, może się zdarzyć, że strzelam do ludzi, do których nie powinnam strzelać. Wtedy najważniejsze jest to, żeby przez przypadek nie zginęli. Dlatego używam pocisków pełnopłaszczowych, które przechodzą na wylot, i unikam standardowej policyjnej amunicji używanej obecnie, pocisków grzybujących Speer Gold Dot, które się rozszerzają po trafieniu i powodują dużo gorsze obrażenia. Ale teraz moja zwyczajowa amunicja została wymieniona na pociski grzybujące.

– Amunicję dum-dum.

– Czasem tak się je nazywa – odparła Blom. – Choć nie jest to do końca poprawne.

– Kiedy to się stało?

– To moje standardowe torby, zawsze leżą w samochodzie.

– Ale to musiało być przed tym, jak wyciągnęłaś mnie z aresztu Säpo i zwiłaś.

– Tak – odparła. – Nie sądzę, żeby William zginął, gdybym miała swoją zwykłą amunicję. Choć to bardzo na wyrost.

– Tak samo jak wnioski na temat tego, co powiedział, kiedy umierał – odparł Berger. – Z pewnością też to pamiętasz.

– „Pilnowałem ich. Ja byłem łącznikiem. To mnie zżerało. Myślałem, że Anton mnie uwolni, ale to nie wystarczyło. Na drzwiach były kostki mojej dłoni”.

– Tak – potwierdził Berger. – Tak powiedział. A co to znaczy? Może to być czyste szaleństwo, większość przecież nim była. Pilnował tych dziewczyn, był łącznikiem pomiędzy nimi. Myślał, że zmasakrowanie młotkiem Antona Bergmarka, zamiana ról, pomoże się pozbyć tego, co go zżerało, ale to nie wystarczyło. Więc przerzucił się na dziewczyny. I podał mi trop: znaki po kostkach dłoni na drzwiach jego dziecięcego pokoju w centrum Helenelund.

– Choć to może nie miała być wskazówka dla ciebie – odparła Blom. – Wskazówka pojawiła się później. „To nie jest dom, Sam. To początek wszystkiego. Tam zdobyłem jedyne przyjaciela”. Wtedy zdradził ci, że trzecim domem jest mieszkanie Pachachich.

– Nie bardzo wiem, co masz na myśli, Molly.

– Ja też nie. Nie do końca. Ale William naprawdę chciał coś przez to powiedzieć. Pilnował kilku osób. Był łącznikiem między kilkoma osobami. Może nie dziewczynami? Może pilnował tych, którzy mieszkali tam, gdzie na drzwiach były kostki jego dłoni?

– Rodziny Pachachich? Po jaką cholere?

– Dla kogoś – odparła Blom. – Był „łącznikiem”. Ale tam było też coś innego, coś nieprzewidywalnego, jakaś trauma z dzieciństwa. W końcu nie wystarczyło pobicie Antona, ponieważ jego „kostki u rąk” były na drzwiach tego kogoś, kogo miał „pilnować”.

– Aiszy Pachachi?

– Mieszkała w jego pokoju z dzieciństwa – odparła Blom. – Piętnastoletnia dziewczyna w typie tych, które go maltretowały i wyszydzały, zajęła pokój, gdy zdobył jedyne przyjaciela. Tym jedynym przyjacielem byłeś ty.

– To zawile – odparł Berger. – I nie do końca to kupuję. Jest zbyt mętne. Był tam, w swoim dawnym pokoju? „Pilnował” tych, którzy mieszkali w jego domu z lat dzieciennych? Ale co to znaczy, że ich pilnował?

– Dla kogoś – odparła Blom. – Był „łącznikiem” pomiędzy rodziną Pachachich a jeszcze kimś. Oszalał, to go „zżerało”. Próbował to zagłuszyć, systematycznie torturując dawnego dręczyciela, Antona Bergmarka, ale to „nie wystarczyło”, bo za każdym razem, kiedy był w tym mieszkaniu, widział ślady swoich kostek na drzwiach jednego z pokoi. Poza tym był tam ktoś, kto bardzo przypominał jedną z piętnastoletnich dziewczyn, które upokorzyły go w dzieciństwie. W końcu musiał ją zabrać i wszystko się zaczęło.

– Pilnował rodziny Pachachich dla kogoś? – zapytał Berger. – Dla kogo?

Molly Blom uniosła rękę i mocno potarła twarz.

– Kto zabrał go do Szwecji? – zapytała. – Kto dał mu pracę? Techniczną pracę, wymagającą wysokich kwalifikacji?

– Wiborg – odparł Berger. – Wiborg Detaljist AB.

– A w dłuższej perspektywie?

Berger usłyszał swój własny jęk. Nie chciał tu być. Mógł być gdziekolwiek, tylko nie tu.

– W dłuższej perspektywie? – powtórzył.

– Tak.

– Ja pierdolę. Säpo.

Blom chwyciła go za nadgarstek i przekręciła jego zegarek w swoją stronę. Za szkiełkiem znów zaczynała się zbierać wilgoć. Wskazówki pokazywały punkt ósmą.

– Ona jest uosobieniem punktualności – oznajmił Berger i przyciągnął rękę do siebie.

Rzeczywiście, rozległo się pukanie do drzwi.

Blom wyjęła broń i schowała ją pod ławą stolarską. Berger podszedł do drzwi i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.

Stała za nimi, a jej rzadkie włosy mysiego koloru były przyklejone do ciemienia jak po tygodniowej ulewie.

– Strzała – powiedział Berger. – Wejdz.

Sylvia Andersson, przez nielicznych nazywana Strzałą, weszła do hangaru i się rozejrzała.

– Przytulnie – stwierdziła, patrząc na w połowie gotową fotografię kilku sylwetek na tle zaśnieżonego zbocza góry.

– Siadaj – rzekł Berger i wskazał wolne krzesło przy ławie obok Blom, która właśnie schowała pistolet z powrotem do kabury.

Strzała skinęła jej głową i usiadła. Berger spojrzał jej w oczy. Było w nich coś niewypowiedziane głębokiego. Prymitywny strach. Z drugiej strony, czaił się tam już od jakiegoś czasu.

– Ustaliłaś coś więcej? – spytał Berger.

– Nawet nie wiem, dlaczego to robię – przyznała, próbując poprawić nieistniejącą fryzurę. – Przypomnij mi.

– Dla mnie – odparł Berger z krzywym uśmiechem.

– O tak, przez lata wiele mi z tego przyszło – stwierdziła Strzała.



– Co znalazłaś?

– Anomalie. Naprawdę sporo grzebano w archiwach. W jednym momencie.

– W archiwach Säpo?

– Przecież o tym rozmawiamy, nie? – odparła kwaśno.

– Okej. I to się wydarzyło pod koniec roku i na początku kolejnego?

– Nawet nie w przybliżeniu – powiedziała Strzała. – Dokładnie wtedy.

– Kiedy ktoś wiedział, że firewalle będą osłabione?

– Tak, to się wydaje możliwe. Kilka plików zostało usuniętych. Aktywność da się z grubsza odtworzyć, ale pliki nie. W każdym razie nie teraz. Pracuję nad tym.

– Można sprawdzić, kiedy te usunięte pliki zostały utworzone?

– Tak. Przy konkretnych historycznych okazjach. Najwcześniejszy, który udało mi się znaleźć, jest z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego.

Berger i Blom wymienili szybkie spojrzenie.

– Siedemdziesiąty szósty? – odparła Blom. – Może kwiecień siedemdziesiątego szóstego?

Strzała po raz pierwszy popatrzyła na niego z powagą.

– Zgadza się – powiedziała. – Dwudziesty ósmy kwietnia.

– Po pobycie Nilsa Gundersena w Szwecji, w czasie którego werbował najemników do Libanu. I kiedy zrobił dziecko młodej kobiecie, która nazywała się Stina Larsson.

– Był z tego raport Säpo? – zapytał Berger.

– Nie da się powiedzieć nic na temat zawartości pliku – odparła Strzała. – Wyróżnia się tylko tym, że go brakuje.

Berger skinął głową.

– To był najstarszy dokument usunięty z archiwum? Jakie daty mają kolejne?

– Wygląda to dość regularnie, ale przez kolejne piętnaście lat nie zdarza się częściej niż raz do roku – odparła Strzała. – Pewne zabiegi techniczne pozwalają sprawdzić wielkość plików, nic więcej. Te roczne raporty były mniejsze od pliku z siedemdziesiątego szóstego. Jest największy aż do marca dziewięćdziesiątego pierwszego. Ten też był duży. Nawet trochę większy.

– Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty pierwszy – Berger zwrócił się do Blom. – Dwa lata przed tym, jak szesnastoletni William przepadł bez śladu. Mamy coś w marcu dziewięćdziesiątego pierwszego?

Blom powoli pokręciła głową i odparła:

– Gundersen miał czterdzieści trzy lata i walczył po stronie Saddama w Kuwejcie. William miał czternaście i był obiektem ostrej przemocy w Stuvsta.

Berger pokiwał głową i poczuł, że jego mózg zbliża się do punktu wrzenia.

– Niech zgadnę: następna większa ingerencja w archiwum dotyczyła pliku z lata dziewięćdziesiątego trzeciego.

– Zgadza się – odparła Strzała. – Lipiec. Choć przedtem wzmożona aktywność była jeszcze przy marcu dziewięćdziesiątego pierwszego i trzy czy cztery miesiące później. Zniknęły cztery dokumenty. Potem znów mamy większą aktywność w lipcu dziewięćdziesiątego trzeciego.

– Krótko po wyjeździe Williama ze Szwecji. – Blom pokiwała głową.

– To wyjaśnia, dlaczego Nilsa Gundersena brakuje w archiwach Säpo, ale figuruje w archiwach Must – odparł Berger. – Został wymazany.

– Must? – wykrzyknęła Strzała. – Wojskowa Służba Wywiadu i Bezpieczeństwa? W co wyście mnie wciągnęli, do cholery?

– A po dziewięćdziesiątym trzecim? – zapytał Berger, zamiast odpowiedzieć.

– Spokojniej – odparła Strzała, posyłając byłemu szefowi mroczne

spojrzenie. – Powrót do corocznych raportów. Znika jeden mniejszy dokument rocznie. A potem jeszcze mniej. Przez pierwsze dziesięć lat nowego wieku jeden dokument co dwa lata, a potem nic aż do końca dwa tysiące dwunastego. Wtedy znika jeszcze jeden duży dokument. Największy. Jedenastego listopada dwa tysiące dwunastego roku.

– Trzy miesiące przed pobiciem Antona Bergmarka – stwierdziła Blom. – To wtedy William musiał przyjechać do Szwecji. A Säpo miała na ten temat plik, i to duży.

– Tego nie wiemy – odparł Berger. – Nie mamy pewności.

– Niczego nie wiemy na pewno – oznajmiła Strzała. – Ale ślady się piętrzą jak gówno w Gangesie.

– Święta rzeka – powiedział Berger. – A potem?

– Na tym się kończy – odparła Strzała. – Tak jak moje zadanie. Teraz musicie sobie radzić sami, do jasnej cholery.

Berger popatrzył na Strzałę. Po raz pierwszy od czasu szkoły policyjnej w latach pięćdziesiątych wykroczył poza jej zewnętrzny wygląd, widziany każdego dnia, i zbliżył się do Sylvii Andersson, która tak na poważnie nigdy go nie interesowała – samotnej matki z pięcioletnią córką Moirą, małą kopia jej samej.

To, co zobaczył, było czystym strachem przed śmiercią. Strachem nie tyle o siebie, ile o Moirę.

– Jakie masz przecucia? – zapytał Berger. – Co widzisz ze swojej perspektywy, odmiennej od naszej?

– Nic – wycodziła Strzała przez zęby. – Nic nie widzę, nic nie słyszę i przede wszystkim nic nie mówię.

– A jednym słowem? Tak spontanicznie?

– Widzę bliską współpracę między najemnikiem, którego nazywacie Nilsem Gundersenem, a Säpo i nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– A mimo to powiedziałaś, że pracujesz właśnie „nad tym”? – odezwała się Blom.

– Nie wydaje mi się, żebym to powiedziała – prychnęła Strzała.

– Ona może cię nawet zacytować. – Berger skinął głową w stronę Blom.

Blom posłała mu mroczne spojrzenie i odpowiedziała cytatem:

– „Kilka plików zostało usuniętych. Aktywność da się z grubsza odtworzyć, ale pliki nie. W każdym razie nie teraz. Pracuję nad tym”.

– Nad czym pracujesz, Strzało?

– Mam na imię Sylvia.

– Nad czym pracujesz?

– Nad niczym. Przestałam nad tym pracować.

– Czy naprawdę może istnieć sposób na odzyskanie usuniętych plików?

To brzmi niewiarygodnie. Prawda, Molly?

– Kompletnie niewiarygodnie – zareagowała przytomnie Blom. – Żaden żyjący człowiek sobie z tym nie poradzi. Może w przyszłości. Za siedem, osiem lat.

– To naprawdę się wydaje niemożliwe – stwierdził Berger. – Jak miałyby to wyglądać?

– Mam metodę, którą można by zastosować – odparła z ociąganiem Strzała.

– Możesz to załatwić?

– Nie za darmo.

– Przyślij nam fakturę.

– Wam? A coście za jedni?

– Prywatni detektywi – odparł Berger.

## 36

**Sobota, trzydziesty pierwszy października, godz. 15:19**

JUŻ U PORTIERA w recepcji stało się jasne, że zaszły wywrotowe zmiany. Najpierw włożył swoją kartę do czytnika. Nic się nie wydarzyło. Portier za kuloodporną szybą nie podniósł nawet wzroku znad iPada. Kiedy jednak Blom spróbowała ze swoją kartą, wstał, nacisnął przycisk i uruchomił metaliczny głos:

*Musicie chwilę poczekać. Zostaniecie zatrzymani.*

Rzeczywiście, nie minęło więcej niż chwila, gdy w najbliższym korytarzu komisariatu na Kungsholmen w Sztokholmie, w świetle jarzeniówek, ukazały się dwie barczyste sylwetki. Berger westchnął ciężko.

Podczas długiej wędrówki przez kolejne poziomy, wymagające coraz wyższych uprawnień, ani Kent, ani Roy nie powiedzieli choćby słowa. Nie odpowiadali nawet wtedy, kiedy Berger i Blom się do nich zwracali. W końcu oboje zostali posadzeni na sofie w korytarzu działu wywiadu Säpo. Tabliczka nad ich karkami głosiła, że za najbliższymi drzwiami urzęduje szef Steen.

Berger i Blom patrzyli na siebie. Nie mówili ani słowa.

Kwadrans akademicki powoli zaczynał się dorabiać własnego kwadransa akademickiego, kiedy drzwi przy tabliczce wydały ospały pomruk. Blom wstała, Berger poszedł w jej ślady.

Szef działu August Steen siedział za biurkiem. Berger nigdy wcześniej go

nie widział i w pierwszej chwili był pod wrażeniem jego prostych pleców. Wyglądał, jakby przez ponad sześćdziesiąt lat siedział na baczność. Nagle wyobraził sobie opiekunkę do dziecka z lat pięćdziesiątych i stalowoszarego noworodka, wyprostowanego jak struna. Dzięki temu rozmowa była odrobinę łatwiejsza do zniesienia.

– Siadajcie. – August Steen drobnym gestem wskazał dwa niskie krzesła stojące po ich stronie biurka.

Usiedli. Po chwili Steen kontynuował:

– W każdym razie trzeba powiedzieć, że w ciągu minionego tygodnia daliście potężnego kopa działaniom policji, moi państwo. Sam fakt, że uratowaliście sześć dziewczynek i zlikwidowaliście mordercę sprawia, że bez wyrzutów sumienia możemy zamieść dużą część waszych wykroczeń i zwyczajnych przestępstw pod dywan. Jednakże zarówno ja, jak i wielu moich ludzi mamy spory problem z przestępstwem zwanym nadużyciem zaufania.

– Nie było o tym mowy – odparła Blom. – Przez cały czas mieliśmy na względzie dobro tych, którzy nam ufali, czyli policji i obywateli. Przywracanie sprawiedliwości, czy nie o to chodzi w pracy policji?

– Jak najbardziej – przyznał Steen, wbijając w nią kamienne spojrzenie. Jednakże sprawiedliwość to złożone pojęcie i obejmuje nie tylko swoiste wyrównanie rachunków, po tym jak zbrodnia już została popełniona. Z perspektywy sprawiedliwości nawet ważniejsze jest zapobieganie przestępstwom, zatrzymywanie bandytów, zanim przystąpią do działania. Sprawiedliwość staje się mniej jednoznacznym pojęciem, kiedy zbrodnia jeszcze się nie dokonała.

– Nie rozumiem tylko, co to ma wspólnego z polowaniem na Williama Larssona – odparła Blom.

– Ollego Nilssona – poprawił ją August Steen. – W tej sprawie nie było

nawet cienia jakiegoś Williama Larssona.

– Ollego Nilssona – odezwał się Berger – który bez najmniejszych trudności przeszedł wszystkie odsiewające kretynów kontrole Säpo, kiedy w listopadzie przed trzema laty został zatrudniony przez Wiborg Detaljist AB.

– Co też powinno się stać, bo on po prostu był Ollem Nilssonem – powiedział Steen i wlepił w niego wzrok.

Berger po raz pierwszy poczuł jego spojrzenie, i to konkretnie.

– To niemożliwe, żeby w komputerze Ollego Nilssona nie było ani jednego śladu jego przeszłości jako Williama Larssona – wykrztusił.

– Analiza komputerów trwa – oznajmił Steen. – Jednak w waszych tak zwanych nieoficjalnych materiałach nie ma jakichkolwiek dowodów, że wasz zaginiony, prawdopodobnie od dawna martwy kolega z dzieciństwa, William Larsson, ma cokolwiek wspólnego z tym Ollem Nilssonem.

– Ale znaleźliśmy porywacza – powiedział Berger. – Udało nam się to przede wszystkim dzięki nieoficjalnemu śledztwu Molly.

– Znaleźliście porywacza, bo odmówił wykorzystania państwowych środków do wykonania usługi dla kogoś, kto, jak podejrzewał, był osobą prywatną. Molly Blom – odparł spokojnie Steen. – Zamiast tego umieścił ostrzeżenie dla nas w nielegalnym pudełeczku, żebyśmy was znaleźli, kiedy będziecie w najlepsze popełniali poważne przestępstwo. Ty, Molly Blom, przesłałaś wirus do sprzętu nagrywającego w pokoju przesłuchań i śmiesz twierdzić, że to nie jest nadużycie zaufania?

– Czyli to zwykły przypadek, że technik okazał się seryjnym mordercą i porywaczem, którego szukaliśmy?

– Na to wygląda – odparł Steen. – Ale, jak już mówiłem, śledztwo trwa.

– Więc po prostu mieliśmy fuksa? – zawołał Berger.

– Nie pod koniec. Wtedy działaliście efektywnie, mimo że z nadmierną

brutalnością. Jednak nawet na to jesteśmy gotowi spojrzeć przez palce, bo doprowadziło to do uratowania sześciu dziewczynek.

– Z nadmierną brutalnością? – odparł Berger.

– Chyba każdy policjant wie, że strzał amunicją grzybkującą z odległości metra prosto w narządy płciowe powoduje krwawienie, które szybko prowadzi do śmierci.

Berger ugryzł się w język i spojrzał na Blom. Siedziała całkiem spokojnie i popatrzyła mu w oczy z neutralną miną. Ta mina utrzymała jego język za zębami.

Steen mówił dalej:

– Dzięki temu, że udało się wam wyciągnąć ze sprawcy informację o miejscu pobytu jego ofiar, zanim umarł, poparliśmy wniosek sztokholmskiej policji, żeby uznać tę strzelaninę za uzasadnione użycie przemocy w obronie własnej. Ale nie ulega wątpliwości, że to było co innego.

– A mianowicie co? – zapytał Berger.

– Morderstwo, rzecz jasna – odparł Steen i przeniósł spojrzenie na Blom.  
– Morderstwo z zemsty za urojone krzywdy z dzieciństwa. I to niejedyny podejrzany przypadek śmierci w waszym otoczeniu podczas tego tak zwanego nieoficjalnego śledztwa. Kiedy wreszcie udało nam się odwrócić GPS w skradzionym oficjalnym säpowskim mercedesie vito, jechaliście do Vendelsögården, ośrodka dla cierpiących na demencję w Vendelsö. Moi ludzie was tam dogonili, a wam udało się zbiec. Ale zostawiliście za sobą ciało.

– My? – wykrzyknął Berger.

– To wy jako ostatni widzieliście pacjentkę Alicję Anger żywą. Również w tym przypadku udało wam się skierować dochodzenie policji na inny tor, żeby się uratować, i sprawiliście, że ewidentne morderstwo zostało uznane za



nieszczęśliwy wypadek. Mimo to zastanawia mnie, czego chcieliście od tej kobiety i co takiego wam zdradziła, że było to warte pozbawienia jej życia.

– Wiesz bardzo dobrze, że jej nie zamordowaliśmy – powiedział Berger tak spokojnie, jak tylko potrafił.

– Skąd miałbym to wiedzieć?

Berger ledwo zdążył zdać sobie sprawę, że pytanie jest podchwytliwe, kiedy Blom odchrząknęła głośno i zabrała głos.

– Alicia Anger była ciotką Williama Larssona. Myśleliśmy, że da nam dodatkowe informacje o jego zniknięciu.

– Dała?

– Nie. Miała kompletną demencję. Twierdziła, że jest walkirią zwaną „czerwoną dziewczynką”, żyjącą w dziesiątym wieku. Nie dało się wydusić z niej jednego sensownego słowa. No i oczywiście nie zamordowaliśmy jej.

– Hm – mruknął August Steen i uważnie jej się przyjrzał.

Berger i Blom wymienili szybkie spojrzenie. Zobaczył w jej oczach opór i zrozumiał, kto powinien kierować rozmową.

August Steen stukał lekko w biurko opuszkami palców, przez jakieś dziesięć sekund grał na niewidzialnym pianinie. W końcu się odezwał:

– To niezwykle ważne, żebyście nie ukrywali niczego przed policją bezpieczeństwa. Musimy mieć pełny obraz, teraz, kiedy pracujemy nad tym pełną parą. Czy na pewno powiedzieliście wszystko, co wiecie?

– Tak – odparła Blom.

Steen wpatrywał się przenikliwie w swoją dawną adeptkę.

– Hm – powtórzył. – Nie jestem do końca usatysfakcjonowany.

– Co jeszcze mielibyśmy powiedzieć?

– To ja was pytam. Po prostu nie mam dobrych przeczuć, jeśli o was chodzi.

– Przeczuć – wybuchnął Berger i natychmiast tego pożałował.

– Myślę, że komu jak komu, ale tobie, Sam, nie muszę tłumaczyć, co to jest policyjne przeczucie – powiedział Steen. – Zresztą, ty chyba kierujesz się wyłącznie przeczuciami. Wiesz więc, ile są warte. A teraz, tak jak mówiłem, nie mam dobrych przeczuć, jeśli o was chodzi. – Zrobił krótką pauzę, a potem kontynuował: – Jesteście stanowczo zbyt pewni siebie jak na ludzi, których jeszcze niedawno poszukiwała policja w całej Szwecji. Byłoby bardziej na miejscu, gdybym zobaczył w was choćby cień pokory.

– Na miejscu? – odparła Blom.

– Nie tylko. Również bardziej efektywnie. A gdybyście choć odrobinę żałowali albo zdawali sobie sprawę ze swoich błędnych kroków, miałbym dla was ofertę. Do jej złożenia zobowiązało mnie zresztą najwyższe kierownictwo Säpo.

August Steen się skrzywił i wpatrzył w ścianę nad ich głowami. Potem powiedział:

– Kiedy to wszystko trwało, komisarz Allan Gudmundsson i ja byliśmy nastawieni na oskarżenie was, przeprowadzenie normalnego procesu, wysłanie was do więzienia. Sytuacja uległa jednak zmianie. Zarówno Säpo, jak i policja kryminalna doszły do wniosku, że kierował wami policyjny przerost ambicji i nic więcej. A więc rezygnujemy z aktu oskarżenia, który przygotowaliśmy. Nie przymkniemy jednak oka na pokaźny zestaw przypadków niedopełnienia obowiązków służbowych i zwyczajnych wykroczeń. Złamaliście tak wiele zarówno pisanych, jak i niepisanych reguł, że byłoby nam trudno zatrzymać was w naszych szeregach. Po prostu nie jesteście już policjantami. Przykro mi.

Berger i Blom spojrzeli na siebie. Nie było to dla nich zaskoczenie. Wiedzieli, że najlepiej zacisnąć zęby. Trzymać gębę na kłódkę. Wyglądać na zdruzgotanych.

Nie udawało się.

– A oferta? – zapytał Berger.

August Steen zmarszczył brwi i odparł:

– Szefowie Säpo byli wręcz tak zadowoleni z waszej pracy, że chcieli, żebym wam zaproponował wejście w skład ich „zasobów zewnętrznych”. Tym niemniej powiedzieli, że ostateczna decyzja należy do mnie.

– To by znaczyło, że pracowalibyśmy dla Säpo, nie będąc policjantami? – zapytał Berger.

– Od przedpołudnia już nimi nie jesteście – odparł Steen. – To nieodwołalne.

– Podejrzewam, że to tylko odrobinę lepsze od bycia policyjnym młodszym archiwistą – oznajmił Berger, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Najchętniej roześmiałyby się w głos.

– To nieprawda. Nasze zasoby zewnętrzne to ważni pracownicy.

– Takiego wała – wykrzyknęła Blom. – Nigdy w życiu.

– Dobrze – odparł Steen. – I tak nie zamierzałem wam tego proponować. Tak jak powiedziałem, nie jestem usatysfakcjonowany. Możemy po prostu dać wam wypowiedzenie czarno na białym, ale nie wyglądałoby to dobrze dla żadnej ze stron. Lepiej, żebyście się zwolnili dobrowolnie. Jako rekompensatę zaproponowalibyśmy wówczas półroczną odprawę. Co wy na to?

– Roczna – powiedziała Blom.

Berger wlepił w nią wzrok, ale udało mu się utrzymać język za zębami.

– Jak to? – zawołał August Steen.

– Mamy teraz na względzie kwestię mediów – powiedziała Blom. – Uwolnienie Ellen Saviger i reszty to przecież gorące wydarzenie medialne. W gazetach, na blogach, na Twitterze i na Facebooku praktycznie nie ma teraz innego tematu i jak dotąd udało wam się utrzymać szczegóły w tajemnicy przed opinią publiczną. Podejrzewam, że nie byłoby dobrze,

gdyby wyszło na jaw, że dwoje zwolnionych policjantów dokonało tego, co się nie udało ani Säpo, ani policji kryminalnej.

August Steen patrzył na nią lodowatym wzrokiem. Po trzydziestosekundowej pauzie powiedział:

– Upewnię się, czy dobrze zrozumiałem. Przy rocznej odprawie gwarantujecie, że nic nie trafi do mediów, a przy półrocznej nie możecie tego zagwarantować?

– Trafne podsumowanie – odparła Molly Blom.

– Możecie już iść – oznajmił August Steen.

Odwrócili się i poszli do drzwi. Kiedy już wychodzili, Steen podsumował:

– Chcę podkreślić, że to niezwykle istotne, żebyście nie ukrywali niczego przed policją bezpieczeństwa. To niezwykle istotne dla wszystkich zainteresowanych, żebyśmy mieli te same informacje co wy.

Berger i Blom spojrzeli na siebie.

A potem, nie odwróciwszy się już, wyszli.

## 37

### Niedziela, pierwszy listopada, godz. 10:14

DELIKATNE PROMIENIE bajkowego słońca sączyły się przez bezlistne gałęzie osik, uświnione szyby i opadały na wnętrze hangaru niczym cienka warstwa fluorescencyjnej farby. Molly Blom przechadzała się po budynku. Położyła dłoń na podporach, dotknęła pętli w ścianie, przykucnęła i obserwowała sześć dziur po kulach w ścianie. Potem podeszła na kolanach w róg hangaru i nadstawiła uszu, żeby uchwycić ledwo słyszalny oddech.

Śmierć i życie.

Popatrzyła na Sama, kiedy wtargnął do środka przez drzwi prowadzące na pomost.

– W każdym razie z jezami wszystko w porządku – powiedziała. – Śpią dobrze.

– Chodź ze mną – odparł i chwycił ją za rękę.

Wyszli na pomost. Pod nimi, na zachwycająco błyszczącej wodzie, unosiła się łódka Williama Larssona. Była usiana kwiatami.

– W to nigdy mnie nie wsadzisz – powiedziała Molly i popatrzyła na kwiaty.

– Nie tchórz teraz – odparł. – Możemy to nazwać indiańskim latem. Ostatnie słońce tego roku.

Chcąc nie chcąc, uśmiechnęła się i weszła do łodzi, odsunęła kwiaty i usiadła. Berger wypłynął na wody zatoki. Było jak w czasach Bellmana.

Brakowało tylko dźwięku lutni i tryłów muz.

Kiedy byli już dobry kawałek od brzegu, Sam odłożył wiosła i wyciągnął butelkę szampana ze swojego starego plecaka. Wyjął też dwa kieliszki i poprosił Molly, żeby je potrzyzymała. Korek odleciał na dziesięć metrów, a połowa spienionej zawartości butelki znalazła się w zatoce. Ale na dwa kieliszki wystarczyło.

– Zdrowie, moja współniczko w przestępstwie – powiedział i uniósł kieliszek.

– Za co wypijemy? – odparła Blom. – Za to, że zostaliśmy wylani? Że po długiej, wiernej służbie, zwieńczonej imponującą akcją ratunkową, jesteśmy dwojgiem bezrobotnych eksplinarzy?

– Może za to, że udało nam się utrzymać języki za zębami?

– No tak, to nam się udało. Nie podejrzewają, że się domyślamy.

– Tak – odparł i opuścił kieliszek. – Ale nie ulega wątpliwości, że nie możemy z nimi pracować, dopóki nie zrozumiemy, o co dokładnie chodzi.

– Nigdy – odparła.

W tym momencie Sam poczuł coś w rodzaju przyływu energii. Ponownie uniósł kieliszek i powiedział:

– Nie. Zdrowie wszystkich nowych możliwości oferowanych przez życie.

Molly uniosła swój kieliszek z posępnym uśmiechem i odparła:

– Zdrowie rocznej odprawy, skoro nie ma nic lepszego.

– Dwuletniej – odparł Sam i wypił łyk.

Zatoka Ed rozpościerała wokół swoją lustrzaną powierzchnię i sygnalizowała spokój. Na pustkowiach. Słońce szybko zachodziło, więc musieli się cieszyć tym krótkim czasem, który mieli do dyspozycji.

*Carpe Motherfucking Diem.*

Sam ponownie zaczął grzebać w plecaku i wyjął pudełko z zegarkami. Uniósł pokrytą złotym chromem klamrę i przypatrywał się swoim

czasomierzom. Było ich pięć. Zdjął z nadgarstka rolex oyster perpetual datejust i stwierdził, że skroplonej pary już nie ma. Odłożył go na miejsce. Teraz było ich sześć. Wszystkie sześć zegarków znajdowało się na miejscu. Wyjął patek philippe 2508 calatrava i włożył na rękę.

– Zmieniam zegarek co niedziela – wyjaśnił. – A właśnie w tej chwili, dokładnie co do minuty, minął tydzień, odkąd weszliśmy do domu w Märsta.

– Cóż to był za tydzień – powiedziała Molly.

Przez chwilę milczeli, patrzyli na połyskujące światło słońca, napawali się pięknem życia, które mimo wszystko zawsze wracało.

– Czas poszukać nowej pracy – rzekła po chwili Molly, sącząc szampana.  
– Nawet trochę smutno opuszczać to miejsce. Nie sądzę, żebym dobiegając czterdziestki, mogła wrócić do zawodu aktorki. Ale ty możesz zostać filozofem. Tam zawsze potrzebują starszych panów. Możesz zostać profesjonalnym panem od kultury.

– O to mi chodziło, kiedy mówiłem o dwóch latach. Mamy do dyspozycji dwie roczne pensje. Jeśli chcemy zostać.

– Zostać? Dlaczego, kurwa, mielibyśmy tu zostać?

– Chyba wcześniej nie słyszałem, żebyś przeklinała.

Zaległa cisza. Na północnym krańcu zatoki po raz pierwszy ukazała się żółtozłota fasada zamku Edsberg, otoczona parkami i promenadami. Widok był nieopisanie piękny.

Sam położył się na plecach w łódce i patrzył w niebieskie niebo. Od czasu kiedy po raz ostatni niebo było niebieskie, minęło nieprawdopodobnie dużo czasu.

Zamknął oczy i powiedział:

– Dziś skonsultowałem sytuację z adwokatem. Walka prawników wynika z tego, że hangar leży w jedynej pozostałej części wybrzeża, którą wolno zabudować. Ale dwie walczące firmy zmęczyły się tą patową sytuacją. Są

gotowe szybko go sprzedać za rozsądną cenę i podzielić się pieniędzmi. Czy mogę zaproponować szybką i względnie niedorzeczną ofertę?

– Uważasz, że powinniśmy kupić budynek, w którym szalony morderca mnie torturował i w którym ćwierć wieku później go zabiłam?

– Wyjęłaś mi to z ust – odparł Sam.

Zaczęli się śmiać. Równocześnie. Oboje nie byli pewni, czy to już się kiedyś zdarzyło.

– Ty i ja razem? – odparła Molly. – Jako gliniarze wolni strzelcy? Ze wspólną firmą? Biurem detektywistycznym?

– Raczej nazwałbym to... hm... profesjonalnymi usługami śledczymi dla sektora prywatnego i publicznego...

– Nie nada się – odparła Molly. – Hm... supernowoczesne usługi śledcze w czasie rzeczywistym dla... przedsiębiorstw działających na obrzeżach. Na pustkowiach.

Łódka sunęła swobodnie po zatoce Ed. Berger wyciągnął swoją starą komórkę. Karta SIM była z powrotem w środku. Wyszukał Gwiazdę Polarną, punkt centralny, *the still point of the turning world*. Ośmioletni Marcus i Oscar w zagłębieniu porośniętym podbiałem.

Nadszedł czas zadzwonić do Paryża.

Łódka płynęła dalej. Może zasnęli. Może Sam wcale nie usłyszał Molly mówiącej:

– Sześć dziewczyn uratowanych.

I może nigdy nie odpowiedział:

– O to w tym wszystkim chodziło. Reszta to pierdoły.

Tak czy inaczej, obudziły ich pierwsze krople deszczu. Na razie była to jeszcze lekka mżawka, ledwo wyczuwalna. Oboje usiedli w łodzi, jak zmartwychwstańcy.

– Nigdy więcej nie mówmy o tej sprawie – odezwał się Sam.



– Masz na myśli coś w rodzaju przysięgi? – zapytała Molly. – Przysięgniemy sobie, że nigdy więcej o niej nie wspomnimy?

– Tak, czemu by nie? Ładnie tutaj.

Przenosili spojrzenia z dzioba na rufę i z powrotem. Żadne z nich nie było pewne, czy dostrzega pełne przekonanie w oczach tego drugiego.

– Dorwaliśmy Williama – powiedział w końcu Sam. – Po prostu nie był do końca tym, za kogo go uważaliśmy. Jasne, był szaleńcem, ale nie przyjechał tu jako szaleniec. Przyjechał jako profesjonalista, zatrudniony przez Säpo do nawiązania kontaktu z rodziną Pachachich, o których tak naprawdę nic nie wiemy.

– Poza tym, że w archiwach Säpo z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego jest duża luka. Jedyna, której nie jesteśmy w stanie wypełnić.

Sam skinął głową i odparł:

– To wtedy rodzina Pachachich przybyła do Szwecji z ogarniętego wojną Iraku. Gundersen, który właśnie w tym czasie walczył w Iraku, napisał w raporcie o tej rodzinie coś, co zainteresowało Säpo. Powstało swoiste ogniwo łączące Säpo z tą rodziną.

– Dzięki któremu mogli przejąć mieszkanie w Helenelund po mamie Williama.

– Założę się, że to ogniwo jest kluczem do wszystkiego – stwierdził Sam. – Mam głęboką nadzieję, że Strzale uda się je znaleźć.

W tej samej chwili zatoką wstrząsnęło głośne wyładowanie. Niebo zmieniło się w ciężką szaroczną chmurę, a niedaleko od nich przecinały je błyskawice.

Siedzieli w milczeniu. Czekali na deszcz.

W końcu Sam zapytał:

– Czy to było ostatnie, co powiedzieliśmy o tej sprawie?

– Ed?

– Ed – potwierdził Sam i głośno się roześmiał.

Kiedy Sam wiosłował do brzegu ile sił w rękach, powoli przybierający na sile deszcz zdawał się przygotowywać do nowych wyczynów.

Rzucili się do drabinki i stanęli pod wysuniętym daszkiem osłaniającym pomost. Patrzyli na wodę. Żółtozłota fasada zamku Edsberg zaczęła znikać w oddali wraz z parkami i promenadami.

Sam się odwrócił i opuścił wzrok na swój patek philippe. Nie do końca widział, która jest godzina – krople pokrywały ponad połowę tarczy.

Otworzył drzwi i podniósł wzrok.

Przy jednej z ław stolarskich siedziała jakaś postać, zwrócona do nich plecami. Jej włosy były średniej długości, mysiego koloru, rzadkie i kompletnie przesuszone.

– Strzała! – zawołał Sam. – Cudnie. Co znalazłaś?

Kiedy podchodził do ławy i ją okrążał, popatrzył na Molly. Wyglądała dziwnie blado.

Potem spojrział Strzale w oczy.

Nic w nich nie zobaczył, spojrzenie było zgaszone. Z jej ust wystawała czarna skarpetka, która wyglądała jak zwęglony język.

I wtedy naprawdę się rozpadało.

# Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

I

1

2

3

4

5

6

7

8

9

## II

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19



### III

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

IV

32

33

34

35

36

37